

## LUBOSZ BOLESŁAW

### Opowieści o sławnych kochankach

1989

#### KOCHANA CZAROWNICA

Władysław IV Waza i Jadwiga Łuszkowska

Wiele kobiet wznosi się w świecie powyżej swego stanu; wydają kolacje dla wielkich panów, dla wielkich dam, przyjmują księżąt, księżne, zawdzięczając to wyróżnienie swoim miłośnikom. To są, do pewnego stopnia, dziewczki uznane przez przyzwoitych ludzi; bywa się u nich, jakby na mocy milczącej umowy, tak że to nie ma żadnego znaczenia i nie pociąga konsekwencji. Do takich należały za naszych czasów pani Brisard, pani Caze i tyle innych.

#### CHAMFORT

Pochlebcy prawili, że król podąża ku swemu przeznaczeniu, które jeszcze bardziej umocni polityczną dumę kraju, zaś jego osobisty prestiż wodzowski - być może - wzbogaci o nowy wawrzyn. Dlatego też, choć posuwano się naprzód w gęstym pyłe - na południu Polski od miesiąca nie spadła kropla deszczu - i w ogromnym upale, który na tych terenach często właśnie we wrześniu bywa najbardziej dokuczliwy, w kawalkadzie panował nastrój radosnego podniecenia i dobrze sobie życzo, patrząc na wychylającą się od czasu do czasu z karocy pogodną twarz Władysława IV.

Zaledwie kilka miesięcy temu zwycięsko zakończono bitewne zmagania z carem i zawarto wcale korzystny pokój w Polanowie pod Smoleńskiem, wygnieciono tatarskie zagony pod Sasowym Rogiem, teraz zaś król polski postanowił zaczekać we Lwowie na dalsze rozstrzygnięcia: na wojnę lub przedłużenie pokoju z Turcją. Jeżeli otomańska potęga zrejteruje przed dobrą gwiazdą polskiego pana, to basza Widdynia, Abazy, niechybnie otrzyma od Amurata IV jedwabny stryczek za narażenie sułtana na niepewną wojnę. Wszyscy w otoczeniu Władysława mówili, że tak się z pewnością stanie, że los baszy został już właściwie przypieczętowany. Wszyscy - tylko nie król, któremu ustawicznie marzyło się decydujące spotkanie z Turkami na udeptanej ziemi.

Kiedy na horyzoncie ukazały się wieże Lwowa, młody władca z pewnością wspomniął na ostatni swój wjazd do bram tego grodu - jakże jednak inny od obecnego. Minęło od tamtego czasu trzynaście lat. Wracił wówczas spod Chocimia zwycięski, ale złożony ciężką chorobą. Niesiono go w lektyce, zaś wojsko, które mu towarzyszyło, przedstawiało obraz nędzy i rozpacz. Przypominało raczej pochód widm. Ludzie byli okrutnie wynędzniali, zmizerowani i obdarci. Jak później napisano - nie wodzowie, lecz śmierć im przewodniczyła.

Dla wielu z nich Lwów miał pozostać ostatnią przystanią w życiu. Kroniki miejskie odnotowały, że w samym szpitalu św. Łazarza umarło w tym czasie ponad dwa tysiące ludzi. Radość z pokonania Turków przerywały ustawiczne pogrzeby oraz bezustanne lamenty chorych i umierających. W tym żałobnym rozgardiaszu jedynie jezuici pragnęli rozweselić złożonego niemocą królewicza, urządzając na jego cześć przedstawienie teatralne - "Aemilianus Scipio Triumphator" - w którym czyniono liczne pochlebne aluzje do jego osoby.

Teraz jednak był 26 września 1634 roku. Wiele też zmieniło się w życiu Władysława. Od dwu lat królował Rzeczypospolitej, konstruując wielkie plany bitewnych wypraw, chcąc

zabezpieczyć trwały byt niepodległy krajowi i to wbrew destrukcyjnej robocie magnatów i szlachty. Jeszcze miał nadzieję, że ich zegnien, przymusi do uległości wspaniałą, przyszłościową wizją. Na razie wszystko 9 układało się po jego myśli, podążał, zatem do Lwowa w uskrzydłonym majestacie, choć upał ciężki stał nad ziemią, odbierając oddech ludziom i zwierzętom. Całe szczęście, że król nie był przesądny.

Władysław jechał ku swemu losowi, ale - jak się wkrótce okazało - nie miał on nic wspólnego z marsową służbą. Nie wiązał się nawet z dolą i niedolą Rzeczypospolitej. Przeznaczeniem króla stała się wielka miłość, w której istnienie dotąd nie wierzył. Ten renesansowy władca, który nie stronił ani od nadmiernych uciech, ani licznych miłostek, sięgając po kobiety może aż nazbyt często - nie potrafił do żadnej przywiązać się na dłużej - zakochać się miał porywczo, namiętnie i to, o zgrozo, w zwyczajnej mieszczce. Rzecz niebywała, która nie miała się już później powtórzyć.

Z bramy Halickiej, w kierunku, której zmierzał dostojny orszak, wysypał się uroczysty tłum ludzi: nobliwych rajców, skrzętnych braci cechowych, ormiańskich kupców. Na powitanie pospieszyły nawet pełniące służbę chorągwie kozackie.

Przyjazd królewski zapowiedziany został odpowiednio wcześniej. Od dłuższego czasu wysoki urzędnik królewski, o nazwisku Bogatko, przygotowywał w mieście godne kwatery dla prześwietnych gości. Ponieważ Niski Zamek przedstawiał widok raczej żałosny, a na dodatek zatruwała go swoimi wyziewami konsekwentnie zanieczyszczana Pełtvia, zaś rezydencja arcybiskupa została rozebrana, postanowiono połączyć najbardziej okazałą kamienicę, zbudowaną w rynku przez Konstantego Korniaaka, z sąsiadującymi z nią domami Szembeka i Bernatowicza. W ten sposób uzyskano wcale przystojną siedzibę.

Pierwsze piętra - troskliwie urządzone - przeznaczono na pomieszczenia dla króla i towarzyszących mu braci, Jana Kazimierza i Aleksandra. Tam też z pewnością nastąpiło później pierwsze spotkanie pary słynnych kochanków. Miłość wyparła nastroje wojenne; ona też pozwoliła polskiemu panu bez niecierpliwości popatrzeć na obracające się chwilowo w niwecz plany antytyreckie.

Na powitanie Władysława IV miasto przybrało wygląd odświętny - przy okazji usunięto z rynku stale tam walającą się słomę. Nawet kamienny lew strzegący głównego wejścia do ratusza przypomniał sobie dawną świetność, chociaż pomalowany został za jedyne siedem groszy, zaś niejaki Orzeł skomponował uroczystą kantatę pod tytułem „Echo correspondens”, którą - podprawieni syconym miodem dla kurażu - nader głośno wykonali specjalnie z Żółtkwi sprowadzeni muzykanci. Dostał się zaszczytu również dorabiający się sławy radcowskiej i rymotwórczej Bartłomiej Zimorowicz, który - tym razem prozą - napisał po łacinie zgrabny panegiryk „Vox Leonis”.

Najbardziej jednak liczone na bramę triumfalną - aicus triumphalis - która powinna była wyrzeć i być może wywarła - imponujące wrażenie na stołecznych gościach; w tym celu wybito kawał muru fortecznego w pobliżu miejskiego cekhauzu. Mistrz Anzelm Świątkowicz tak zmyślnie skonstruował portyk, że czoło jego zajmował dużych rozmiarów „konterfekt wojny moskiewskiej”, zaś wokół obrazu zgrupował malowane złotem i srebrem herby województw wraz z lwowskim Lwem, dbając jednak przede wszystkim, by odpowiednio wyróżnić zarówno rodowodowy Snopek Wazów, jak i orły Rzeczypospolitej. Dalsza hierarchizacja była mniej ważna.

Z okien kamienicy okalających rynek wypatrywały dostojnego gościa niewiasty. Jak wieść niosła - król nadal był pięknym i postawnym mężczyzną. Na razie patrzył na nie z portretu zawieszzonego na fasadzie ratusza.

Z okna kamienicy Jakubuszowskiej wyglądała z ogromnym podnieceniem najpiękniejsza lwowianka, młodzianka Jadwiga Łuszkowska, wraz z matką Anną. Obie kobiety powodowane były nie tylko zwyczajną ludzką ciekawością. Miały niepłonną nadzieję, że młody król

jeszcze serdeczniej - niż to wcześniej uczynił jego wyniosły ojciec - zajmie się ich bardzo dokuczliwą sierocą dolą. Popadły bowiem w poważne tarapaty, i to nie z własnej winy.

Rodzic Jadwigi, kupiec Jan Łuszkowski - „civis et mercator leopolienis” - zmarł kilka lat temu ze zmartwienia. Dorabiał się fortuny ciężką pracą gdzieś po jarmarkach, wiślanych spławach, a nawet w dalekim Gdańsku i gdy już otwarły się przed nim podwoje ratusza z krzesłem rajcowskim - wybrany został bowiem do „Collegium czterdziestu mężów” i nabył połowę, a może i większą część kamienicy Jakubuszowej w rynku - nadeszło nagle wielkie nieszczęście: w pożarze Jarosławia spłonęły na jarmarku wszystkie sukna, które kupił w Gdańsku do spółki z innym mieszczaninem o nazwisku Brynnik.

Franciszek Jaworski, który miał możność spenetrowania lwowskich akt miejskich („Królowie polscy we Lwowie”, 1906 oraz „Lwów stary i wczorajszy”, 1910), dopowiada: „Zły spółnik naraził na proces kosztowny i utratę kredytu u kupców gdańskich, a gdy na domiar zatoneły na Wiśle galary Łuszkowskiego - znalazł się on nad brzegiem przepaści, z której uratował go na chwilę list zwłoki króla Zygmunta III z roku 1627, nakazujący wierzycielom ciszę i milczenie przez cały rok, dopóki się nieszczęsny dłużnik z biedy nie wygramoli”.

Nakazana cisza na niewiele się zdała. Łuszkowski w ciągu kilku tygodni „zagryzł się na śmierć”. Natychmiast po pogrzebie pojawiły się drapieżne sępy ludzkie. Ławnicy lwowscy - Stanisław Wilczek i Szymon Guga - wymogli „na zrozpaczonej wdowie zeznanie, jako Annie Szwarcowej, sąsiadce swojej i współwłaścicielce kamienicy Jakubuszowej, dłużną jest 1110 złotych polskich po mężu i 200 złotych polskich, które pożyczyła na pogrzeb”.

Najgorszy okazał się jednak ksiądz Krzysztof Janecki, który ze złości, że nieboszczyk tak nagle zgasł, nie zdążywszy mu oddać pożyczonego tysiączka, wsadził w 1631 roku biedną wdowę do więzienia. Na ten czas opiekę nad nieletnią Jadwiżką objął zaliczający się do lwowskiego patrycjatu doctor Paweł Dominik Hepner, który rozpoczął też natychmiast starania o uwolnienie Anny Łuszkowskiej i o uporządkowanie jej spraw majątkowych.

Widocznie przekonał zapiekłego w chciwości Janeckiego, iż wdowa siedząc w więzieniu pieniędzy nie zdobędzie, ponieważ uwolniono ją po jakimś czasie. Musiała jednak przysiąc wobec trzech kanoników - Jana Baranowskiego, Wojciecha Pełczyńskiego i Mateusza Kozłowskiego - „iż ze Lwowa nikędy nie wyjedzie, pokąd złotych tysiąc długu istotnego, swego własnego, księdzu Janeckiemu, wierzycielowi swemu, na raty i czasy postanowione nie zapłaci i onemu się nie ziści”. Cóż by biedne, opuszczone kobiety zdziałały bez pomocy tego szlachetnego człowieka i bez jego wstawiennictwa?

Teraz dobrotliwy Paweł Dominik Hepner wyjechał z innymi miejskimi dostojnikami przed bramy grodu. Miał bowiem do spełnienia - poza misją reprezentacyjną - jeszcze ważną rolę usłużną przy szlachetnym majestacie.

Król stanął pod murami Lwowa około godziny czwartej po południu. Wsiadł z powozu i podszedł pieszo do czekającego nań z chlebem i solą burmistrza, Macieja Hajdera, wysłuchał wdzięcznie jego przemówienia i przyjął podane mu na poduszce ze szkarłatnego adamaszku, „związane sznurkami jedwabiu i wyłaczanym szychem” klucze od miasta. Podziękowawszy krótko, łaskawie wstąpił pod ozdobny baldachim, przygotowany pospiesznie dnia poprzedniego w kościele św. Ducha.

W tej chwili zagrzmiały wszystkie działa na wałach i rozkołysały się liczne dzwony w mieście; kapela - wspomagana basetłami i szałamajami - huczała, jak potrafiła najgłośniej, owe „Echo correspondens”, a trębacze miejscy na wieży obwieszczali światu radosną wieść, tak że harmider zrobił się niemożliwy. Tymczasem cieśla Matys - dumny niczym paw - powiewał z balkonu ratuszowego ogromną chorągwią.

W katedrze śpiewano uroczyste „Te Deum”, na rynku - w imieniu Władysława IV - przemawiał kanclerz królestwa, mąż światły i najlepszy orator Rzeczypospolitej. I chociaż w orszaku paradowało dwunastu senatorów, i chociaż hardo głowy zadzierałi królewicze, oczy

wszystkich kierowały się na ukochanego defensora patriae, który jakby wyolbrzymiał. Trzeba bowiem wiedzieć, że króla otaczano jeszcze wówczas powszechnym umiłowaniem. Kochali go szczególnie biedni i pokrzywdzeni, dochodzący swoich praw, daremnie szukający sprawiedliwości. Król był ostatnią instancją - przychylną wszystkim bez wyjątku - od której w poważnym stopniu zależała odmiana człowieczego losu. Mówiono, że jest nie tylko sprawiedliwy, ale życzliwy i współczujący.

Wychylała się więc z okna kamienicy Jakubuszowskiej, jak tylko potrafiła najdalej, urodziwa Jadwiżka Łuszkowska z tym większą nadzieją, że baldachim ze złotymi gałkami dźwigał tak bardzo jej życzliwy zacny Paweł Dominik Hepner. Znajdował się więc blisko wszechmocnego, który mógł odczarować jej los i przysporzyć szczęścia biednej matce. Należało tylko do niego dotrzeć. Nie przypuszczała jednak w najśmielszych snach, że po spotkaniu z królem aż tak znacznie życie jej się odmieni.

Na rynku lwowskim Władysław prezentował się wspaniale. Mąż w sile wieku - liczył wtedy trzydzieści dziewięć lat - niezwykle nadal urody i „o pięknym układzie ciała”, choć zaczynała już dawać o sobie znać nadchodząca tusza, ale - jak na razie - nie odbierała mu „onych wdzięków, które były jego ozdobą i ściągały na niego oczy wszystkich, i ujmowały mu serca”. Mówiono jeszcze o pewnej melancholii malującej się na monarszym obliczu i o wrodzonej „grandezzy”, czyli hiszpańskim majestacie tak charakterystycznym dla wszystkich z rodu Wazów.

Gdzieś około godziny siódmej wieczorem pozwolono wreszcie królowi udać się na spoczynek do kamienicy Korniakowskiej (później Rynek 6), gdzie - jak napisano w kronice - „dla jego wygody trzy sąsiednie domy przebito i połączono razem jako rezydencję”. W mieście jeszcze długo trwała iluminacja i słychać było wesołą krzątanicę, która w oddalonych zaułkach nie słabła aż do świtu.

Następnego dnia w pokojach monarchy zjawiła się deputacja mieszczańska z darami: Władysław IV otrzymał dwa złote dzbany z nakrywkami wartości - jak zaznaczono w aktach - 1212 złotych polskich, zaś braciom jego ofiarowano złote puchary - starszemu, Janowi Kazimierzowi, za 426, młodszemu za 366 złotych polskich. Obdarowano także najbliższą świętą królewską.

Miasto postanowiło wystąpić godnie. Sfinansowało nawet ucztę, którą Władysław IV wydał dla owej deputacji w kamienicy Marcina Groswajera. Do kuchni dostojnego gościa poszło wówczas sześć wołów, beczka wina, ogromne ilości ryb, rodzynek, przypraw korzennych, warzyw i słodczy.

W tym dniu Jadwiżka Łuszkowska z pewnością nie została dopuszczona przed oblicze najjaśniejszego. Gdy kielichy zaczęły krążyć, nieoceniony Hepner mógł jednak w odpowiednim momencie przemówić za swymi podopiecznymi i przygotować grunt dla ewentualnej audiencji. Król lubił ładne twarzyczki - podobnie zresztą jak jego najbardziej zaufany dworzanin, Adam Kazanowski - i był aż nazbyt dla nich przystępny i łaskawy.

Zbytne poufalenie się majestatu z lwowskim mieszczaństwem nie bardzo podobało się panom polskim, a jeszcze mniej szlachcie; pokrzykiwali zgodnie, iż najjaśniejszy nie przebiera w towarzystwie, dając do siebie dostęp niskim stanom, a nawet, o horrendum chętnie zagląda do niechlujnych chat na przedmieściach. Chcąc go odciągnąć od podobnych wizyt, przestrzegano gorliwie przed chorobami, ale Władysław IV gardził ostrzeżeniami, jako niegodnymi jego majestatu. Nazwano go wówczas - zresztą z przekąsem - królem chłopów i będzie to za nim wlokło się przez całe życie.

Później jedni z drwiną, a drudzy z uwielbieniem kolportować będą wieści o tym, jak to współczuł plebsowi: nie pozwolił na przykład rajcom miasta Mohylewa ściągać podatków od biedoty i podupadłych rzemieślników, bronił chłopów wsi królewskiej Ususzek przed uciskiem, osłaniał przed zbytnią pańszczyzną i wygórowanymi czynszami dzierżawnymi, wstawiał się za chłopami borrejkowskimi, upitskimi, szawelskimi, sieradzkimi i wieloma

innymi. Interweniował czasami nawet w bardzo dalekich stronach, broniąc na przykład mieszczan Witebska przed ich wojewodą - Sanguszką. A zaczęła się ta „chłopotomania” już dawno temu. Powiadano, że podczas podróży po Włoszech - jeszcze jako królewicz - wykupił ośmiu chłopów Rusinów przykutych do galer.

Skoro nie można było we Lwowie odciągnąć Władysława IV od jego dziwacznych plebejskich gestów, dwór szybko swoje kłopoty i troski utopił w winie i zaczął gustować w hałaśliwych, a nawet frywolnych zabawach, czym gorszył co bardziej cnotliwych mieszczan, wprawiając równocześnie w przerażenie mężów i ojców pięknych żon i córek. Tak oto nagle wielcy panowie stali się łasi na cnotę dorodnych mieszczek.

Władysław IV, który nie stronił od uciech i dużego kielicha, wykazywał w tym czasie zadziwiającą wstrzemięźliwość. Kanclerz Albrycht Stanisław Radziwiłł pisze w swoich pamiętnikach o tym, jak musiał umoralniać braci królewskich, którzy i tak po miesięcznym pobycie wyjechali ze Lwowa w nader ciężkim stanie zdrowotnym, a Aleksander nawet wkrótce zmarł, rzekomo w następstwie owych nadmiernych swawoli.

Jegomość pan natomiast bardziej od kielicha i dworskich zabaw pilnował nowej swej miłości; pogrążył się bowiem zupełnie w pięknych oczach młodziutkiej Jadwigi Łuszkowskiej. I kto wie, czy aby nie ten gorący, nagły afekt ustrzegł króla przed zbytnią i przypadkową rozwiązłością, która nierzadko miała nader groźne następstwa dla zachłannych miłośników.

Nuncjusz papieski w Polsce, Honoriusz Visconti, przekazał w liście do Rzymu osobliwą charakterystykę polskiego władcy: „Lubiąc nade wszystko swobodne życie, nie cierpiąc w niczym przymusu, ściągnął na siebie podejrzenie zbytecznego może zamiłowania do tych przyjemności, które zmysłowymi zowią, a dla których Jowisz zstępował z wysokości Olimpu na padół ziemski pod postaciami mniej godnymi ojca bogów i ludzi”.

Zauważył jednak dosyć sprawiedliwie, że Władysław IV miał równocześnie ogromne poczucie obowiązku. Przyrównał go zatem do „owego wielkiego Demetriusza, syna Antygona, który o ile był zwolennikiem rozkoszy, o tyle umiał nad nimi panować, gdy był zajęty sprawami wojny lub pokoju”.

We Lwowie król poczuł się zupełnie odprężony. Czekając na wieści z Konstantynopola, mógł folgować swoim zachciankom - tym bardziej że był pewny swego. Zagarnął więc dla siebie piękną Jadwiżkę, nie zdając sobie początkowo sprawy, że tym razem i on zostanie wzięty w jasyr, bo rozkocha się w niej jak w nikim dotąd.

Trudno dzisiaj dociec, w jakich okolicznościach poznał piękną mieszczaną córę. Prawdopodobnie jednak jej matka, Anna Łuszkowska, uzyskała posłuchanie u najjaśniejszego pana i zabrała ze sobą swoją nadobną Jadwigę, wiedząc z całą pewnością o słabości króla do urodziwych niewiast. Posłużyła się bronią kobiecą i wygrała. Jadwiga, która olśniła monarchę od pierwszego powłóczyściego wejrzenia, przekreśliła w tym samym momencie raz na zawsze wszystkie osaczające ich troski i kłopoty finansowe. Władysław IV prawie natychmiast powziął przekonanie, że tym sierocym podwikom dzieje się bezustannie wielka krzywda, którą tylko on potrafi we właściwych wymiarach naprawić. I patrzył godzinami w bezbrzeżną otchłań pięknych oczu Jadwiżki, przekonany, że na całym świecie nie ma podobnych, które mogłyby się z nimi mierzyć.

Nadobna panna Łuszkowska opuściła wkrótce rynkową pierzeję i przeniosła się do apartamentów królewskich w kamienicy Korniakowskiej, co spowodowało, że w aktach miejskich przestano ją odtąd nazywać: „pudica” czyli „wstydliva” - tym przydomkiem określano wszystkie panny - a zaczęto tytułować: „nobilis” - „szlachetna”, a nawet: „szlachetnie urodzona” - „nobilis generosa”. Sprytny urzędnik miejski nie obraził królewskiej kochanki, lecz swoje powiedział.

Prawie natychmiast po spotkaniu z królem pani matka co jakiś czas pojawiała się na ratuszu i wypłacała wierzycielom większe sumy. Kiedy przekazywała kwotę dwustu tysięcy

złoty Annie Szwarcowej, towarzyszyli tej operacji najwybitniejsi patrycjusze miasta - burmistrz Maciej Hayder i ogólnie szanowany Paweł Boim.

Nie wiadomo, czym bardziej poruszone zostało miasto nad Pełtwią: ekscesami szlachty przybyłej ze stolicy czyli też niezwykłą i nagłą karierą tych do niedawna biednych i przez los pokrzywdzonych kobiet. Przebyły w ciągu kilku godzin jakby ogromny i prawie nie do pokonania dystans oddzielający mury grodzkiego więzienia od królewskiego pałacu.

Równie wielkie zaskoczenie wywołała Jadwiżka nabywając drugą część kamienicy Jakubuszowskiej od „pudici Agnieszki, vulgo Nety Szymonowiczówny”. W imieniu Łuszkowskiej pośredniczył zresztą w transakcji tej poeta Bartłomiej Zimorowicz - na co dzień obrońca sądowy i rzecznik publiczny. Ulubienica królewska wyłożyła od razu całą żadaną sumę w wysokości trzech tysięcy złotych. I oto w nader krótkim czasie panie Łuszkowskie stały się właścicielkami tego domu, o który tak bardzo, lecz bezskutecznie zabiegał wieloletnią, ciężką pracą ich mąż i ojciec - ów zacny „civis et mercator leopoliensis”. Musiał umrzeć, żeby jego córka mogła wejść w inną konstelację towarzyską. Poeta Zimorowicz powie, że niczym jego bohaterkę Marellę otoczyły ją „kwiaty pańskie, narcyzy, hijacynty, lilie albańskie” zamiast „wasilka i mięty, którymi brzydzą się panięty”. A ona przecież do tych ostatnich była przypisana. Czyżby szlachetny pisarz chciał powiedzieć, że nie można przesadzać kwiatów z łaskawej na niełaskawą ziemię?

Lwów miał swoją sensację. To prawda, że mieszczenie zazdrościli Jadwiżce, ale zazdrość ta mieszała się z podziwem, a nawet z dumą, boć przecie wielki i powszechnie lubiany władca rozmiłował się w prostej dziewczce, w jednej z ich grodu. Zauważono też bardzo szybko, iż to nie przelotna miłostka, że ten romans może mieć żywot kto wie jak długi? Między tym dojrzałym i doświadczonym w służbie miłosnej mężczyzną a ledwo rozkwitłą dziewczyną zrodziło się coś autentycznego i wzruszającego.

Właśnie coraz większe zaangażowanie uczuciowe Władysława IV zaczęło budzić prawdziwy niepokój wśród niektórych jego dworzan. Początkowo nawet z upodobaniem przypatrywano się tej urodziwej dziewczce. A bo to pierwszy raz zakochał się król w przygodnie poznanej pannie? Gdziekolwiek przystawał, a obowiązki państwowe go riie ponaglały, zawsze rozglądał się za ładną buzią. W takiej sytuacji rzadko której przepuszczał. Ale igraszki kończyły się zawsze w przyzwoitym czasie. Kiedy zorientowano I się, że tym razem to nie przelewki, ochłodziły nagle uprzedzające grzeczności, zaś kurtuazyjne słowa cedzono przebiegle. Atmosfera wokół dziewczyny zaczęła się zagęszczać. Król na to nie zwracał uwagi, miał za nic dworskie intrygi; gdy zajdzie potrzeba, udowodni, że potrafi zadbać o bezpieczeństwo swej Jadwiżki.

I oto byli pochlebcy przeobrazili się nagle w oszczercze tuby. Niektórzy z trudem hamować będą jawną nienawiść. Należał do nich między innymi Rafał Jączyński, który swoją porywcość postanowił przelać na papier. W nieopublikowanych zapiskach „Collectanea” - znajdowały się one przed wojną w zbiorach Ossolineum - piętnował zajadle nocne hulatyki królewiczów. Najgorzej jednak obszedł się z Jadwigą Łuszkowską, nazywając ją córką rzeźnika () i uważając, że ta „femina formosa sed vitiata” - piękna, ale zepsuta - w pewnym momencie użył nawet określenia „scortum”, czyli nierządnicą.

Natomiast kanclerz wielki litewski, Albrycht Stanisław Radziwiłł, który w swoim pamiętniku prawie dzień po dniu opisywał pobyt Władysława IV we Lwowie, milczy zupełnie na jej temat. Jakby tej damy w ogóle nie było w jego otoczeniu. Może uważał ją jeszcze wówczas za niegodną wzmianki? Upłynie dobrych kilka lat, zanim nazwie ją z pogardą „kobietą słynną z niewstydu i niesławy”. Wielki arystokrata może wspomniał w tym momencie na Katarzynę, córkę hetmana Krzysztofa Radziwiłła, którą ród pchał do królewskiej łożnicy, licząc, że zostanie królową. Nic z tego jednak nie wyszło, chociaż Władysław przez jakiś czas wystawiał jej cnotę na szwank.

Jadwiga знаła swoje miejsce i nikomu do tronu drogi zagrozić nie mogła. Górowała nie tylko urodą. Posiadała podobno wspaniałą inteligencję wrodzoną oraz iście królewską prezencję - potrafiła się wyszukanie i gustownie ubierać oraz poruszać, jak przystało na wielką damę. Widocznie taktownym zachowaniem oraz wytwornością ujęła już we Lwowie swego królewskiego kochanka. Nosiła się zaiste jak „nobilis generosa” - pisarz miejski nie musiał w tym wypadku schlebiać.

Inaczej na ten romans patrzył poeta Zimorowicz. Wiedział, że po chwilach euforii i wielkiego szczęścia nadejdą znacznie dłuższe dni goryczy i zapomnienia. Jak chce wspomniany już przeze mnie Franciszek Jaworski, rysy Jadwiżki nosi Marella, o której śpiewa Panas z sielanki Zimorowicza - „w wirydarzach swoich kazała tulipany z koronami carskimi sadzić” - a później jak najgorzej wyszła na faworach, odesłana na daleką północ.

W październiku 1634 roku o smutnej przyszłości pięknej lwowianka myślał na razie tylko poeta.

Rozmówiony wielce w Jadwidze król Władysław postanowił zabrać ją do Warszawy, skoro tylko nadejdą pomyślne wiadomości z Turcji. Na otarcie łez tęsknoty - „mając w łaskawości naszej wzgląd na ubóstwo i niedostatek uczciwej Anny Łuszkowskiej, wdowy po obywatelu lwowskim” - uhonorował matkę Jadwigi specjalnym nadaniem, które zwalniało ją „od wszelkich podatków” i zezwalało na wyręb w lasach królewskich.

Powoływanie się w tym dokumencie na ubóstwo starszej pani można by uznać za swoistą kpinę lub co najmniej za dwuznaczność, gdyby to nie był zwrot zwyczajowy i gdyby nie stanowił formuły usprawiedliwiającej. Córka zostawiała przecież matce - nie mówiąc już o gotowiznie - okazałą kamienicę, która jeszcze w czasach nam współczesnych miała nie byle jakie znaczenie, ponieważ w latach międzywojennych należała do firmy Baczewskiego i sprzedawano w niej sławne lwowskie likiery.

Natomiast reprezentacyjny dom przy Rynku nr 6, który gościł Władysława IV i jego braci, wkrótce zmienił właściciela. Zakupił go bowiem ojciec Jana Sobieskiego, który w swoich przedkrólewskich latach chętnie w nim przebywał, szczególnie gdy towarzyszyła mu ukochana Marysieńka. Czyżby i ten sławny romans w początkach miał w nim także swoją przysiań?

Po czterech tygodniach - pod koniec października - Władysław IV opuścił Lwów, udając się z całym dworem i chorymi braćmi do stolicy. Jadwiga Łuszkowską otrzymała najlepsze pokoje zamkowe na drugim piętrze. Nie sąsiadowała zatem bezpośrednio ze swoim monarszym kochankiem. Takie same pokoje zajmie kilka lat później królowa, Cecylia Renata, tylko piętro niżej.

W okresie panowania Wazów Warszawa stała się ważnym centrum kulturalnym. Nie tylko Polski. Dwór Władysława IV - dokumentują to między innymi Władysław Czapliński w książce „Na dworze Władysława IV” oraz Aleksander Bruckner „W dziejach kultury polskiej” - wyróżniał się w Europie dokonaniem artystycznymi poważnej miary. Piękna Jadwiżka zastała w otoczeniu królewskim świetnych twórców: architektów, śpiewaków operowych - ze słynną solistką Cataneą - aktorów, muzyków i plastyków. Przez komnaty zamkowe przewijała się oświecona Europa - i ta polityczna, i ta naukowa, i ta estetyczna.

Władysław Waza dopiero od momentu, gdy został królem i gdy zakończył działania wojenne, mógł w zupełności oddać się swoim pasjom artystycznym. Wówczas to stworzył w zamku warszawskim znakomitą salę teatralną ze zmyślnymi urządzeniami. Takiego theatrum nie miał żaden z europejskich władców. Można było wywoływać na tej scenie gromy i błyskawice, ukazywać statki pływające po wzburzonym morzu, można było fruwać w powietrzu i zapaść się pod ziemię.

Ta piekielna maszyna znajdowała się pod opieką królewskiego konstruktora, Włocha Augustyna Locci, jednego z twórców słynnej kolumny Zygmuntowskiej. Architekt polski, a

równocześnie muzyk i zapalony wierszopis, Adam Jarzębski, autor poematu opisowego „Gościniec”, tak o tych dziwach scenicznych rymował:

Dla tych theatrum cudowne  
Z perspektywami budowne  
Stoi zacne z kolumnami.  
Jedne kunszty na dół schodzą,  
Wagami do góry wchodzą;  
Drugie szruby obracają,  
Czynią z chmurami ciemności,  
Potem światłość przyjemności...

Jak napisze później Jean Laboureur: opera Władysława IV uważana była za pierwszą w Europie i składała się z najlepszych śpiewaków Italii, gdyż „...król miał iście królewską pasję dla tej prawdziwie królewskiej przyjemności i nie szczędził pieniędzy, byle wciągnąć do swej służby wszystkich, co się wybili”.

Jadwiga Łuszkowska wiosną 1635 z pewnością oglądała utwór sceniczny „Judyta”, natomiast w grudniu operę „Dafne”, do której libretto napisał Wirgiliusz Puccitelli. Fabułę zaczerpnął z Owidiuszowych „Przemian”; mówiła ona o gwałtownej miłości Apolla do nimfy Dafne, która wcześniej ślubowała czystość, a nie mogąc ująć przed natarczywością wielbiciela, prosiła swego boskiego ojca, Peneusza, o przemianę i prawie już dopędzona przeobraziła się w drzewo laurowe.

Dramatyzm sytuacyjny stwarzał szerokie możliwości dla różnego rodzaju sztuczek technicznych. Obecny na spektaklu Albrycht Stanisław Radziwiłł nie mógł wyjść z podziwu, gdy główna bohaterka nagle zmyślnie zniknęła w drzewie, które ni stąd ni zowąd pojawiło się na scenie. „Można by pomyśleć, że na tajemniczym podium dzieją się cuda i dziwy”.

Podobno uznano tę operę za hymn na cześć miłości. Nietrudno się domyśleć, komu - poza królem - chciał przypochlebny Włoch złożyć wdzięczny ukłon. Nastąpił równocześnie jakby renesans twórczości Owidiusza w Warszawie, zaś opowieść o Dafne intrygowała wyobraźnię wielu twórców. Pod jej urokiem znalazł się również wielce utalentowany Samuel ze Skrzypny Twardowski, który wprowadził ją do literatury polskiej poematem „Dafnis” drzewem bobkowym”.

W tymże 1635 roku Jadwiga Łuszkowska w zamkowych komnatach na drugim piętrze urodziła królowi syna, który otrzymał imiona Władysław Konstanty. Władca polski musiał pokochać to dziecko, które być może wyzwoliło w nim uczucie ojcowskiej dumy, bo nadał mu także swoje rodowe imię - Waza. Kiedy później wejdzie w związek małżeński z habsburżanką Cecylią Renatą, wyśle swego potomka do ukochanej Italii, gdzie syn aż do śmierci występować będzie jako Władysław Konstanty hrabia de Wassenau. Papież zamianuje go szambelanem. Swego stryja, króla polskiego Jana Kazimierza, Władysław Konstanty przeżyje aż o dwadzieścia sześć lat. Umrze w 1698 roku, a zatem w dwa lata po śmierci Jana III Sobieskiego, jako ostatni z Wazów.

Na nagrobku w Rzymie, gdzie żył i został pochowany, prezentuje się dostojnie i można w jego twarzy, choć okolonej bujną i długą peruką a la August II Mocny, dopatrzeć się podobieństwa z rysami królewskiego ojca, którego po wyjeździe z Polski już nigdy nie miał oglądać, podobnie zresztą jak swojej mieszczańskiej matki.

Jadwiga Łuszkowska przez trzy lata - aż do 1637 - pozostawała przy królu i były to najszcześniejsze chwile w jej życiu. Znalazła się w sytuacji nierzeczywistej, baśniowej. A może to los uczynił ją aktorką i kazał na scenie królewskiej grać rolę, pozwalającą zapomnieć o przyziemnym pochodzeniu? Jaworski uważa, że posiadała łatwość adaptacji i chyba także talent towarzyski. Powiada wręcz, iż „w jednej chwili przeobraziła się w wielką damę, pełną smaku, elegancji i wytworności”.



Piękna Jadwiga musiała zapewne jeszcze posiadać wybitne walory duchowe i intelektualne, a może i zmysł artystyczny, skoro potrafiła przywiązać do siebie taką indywidualność, jak starannie wykształcony i wszechstronnie utalentowany król Władysław - wielki wódz i pragmatyczny reformator, miłośnik nauk i sztuk, wielce popularny i u żołnierzy, i u artystów, u ludzi nauki i ludzi czynu.

To na jego cześć poeci polscy, włoscy i niemieccy składali pochwalne rymy. Znakomity Ivan Gundulić z Dubrownika, zafascynowany zwycięską bitwą pod Chocimiem, poświęcił mu dzieło swego życia - wielki poemat „Osman”; genialny Galileusz, z którym Władysław prowadził korespondencję, zadedykuje mu jedną ze swych prac. I ten renesansowy człowiek pokochał prostą, lwowską dziewczynę, otoczył ją czułością i tkliwą opieką. Świadom nastrojów arystokracji wzmacniał straż osobistą, bacząc, by kochanki nie spotkało nic złego. Nie dowierzał nawet swoim dworzanom.

Spotykana tylko w najbliższych kręgach towarzyskich - oficjalnie nie występowała - była niczym cień królewski. Władysław zabierał ją wszędzie ze sobą. Dlatego też z końcem 1635 roku Jadwiga - już po urodzeniu dziecka - towarzyszy królowi w podróży do Prus i do Gdańska, dokąd wybrał się Władysław przypilnować rokowań, prowadzonych pomiędzy Rzeczypospolitą a Szwecją w Sztumskiej Wsi. Układy te miały dla króla ogromne znaczenie: poza chęcią wyparcia Szwedów z polskiego Pomorza rzecz szła o koronę jego przodków, Wazów, z której Władysław nie chciał zrezygnować i dla jej osiągnięcia gotów był na wiele wyrzeczeń.

Wśród neutralnych mediatorów w Sztumskiej Wsi znalazła się i Francja. Sekretarzem tego poselstwa był Charles Ogier, który z tej egzotycznej dla niego podróży spisał nader ciekawy dziariusz. Odnotował w nim swój zachwyt dla niezwyklej urody Jadwigi. Dla nas ta przez nikogo nie inspirowana, obiektywna opinia posiada wagę dokumentu.

Władysław IV - po przyjeździe z Królewca - bawił w Gdańsku od 12 stycznia do 10 lutego 1636. Na kilka dni przed opuszczeniem tego miasta - 5 lutego - kanclerz litewski, Albrycht Stanisław Radziwiłł, wydał imponującą, bo trwającą od południa do północy, biesiadę, podczas której wiele tańczono i bawiono się w różne wymyślne gry towarzyskie.

Charles Ogier powiada w swym pamiętniku, że polski monarcha nie brał jednak udziału w tej zabawie, ponieważ „prywatną swoją urządził on wtedy u swej gospodyni Katarzyny de Neri (przy Długim Targu 2 - naprzeciw Dworu Artusa - przyp. B.L.), w której... uczestniczyła jego miłośnica, we francuski strój przyodziana, i kilku prywatnych dworzan, z którymi wielce po przyjacielsku się zabawiał. Ogromną się ten władca odznacza uprzejmością i oglądą, ogromną także hojnością...” (Karol Ogier: „Dziennik podróży do Polski”, tłum. Edwin Jędrkiewicz, 1953.)

Warto na marginesie uciesch dworskich nadmienić, że Władysław IV był zapalonym tancerzem. Oddawał się tej namiętności dopóty, dopóki nie przykuła go do łoża bezlitosna podagra, która jakże srodze się z nim obeszła w ostatnich latach życia. Tazbir powiada, że ulubionym tańcem Wazy był polonez, śpiewany obecnie jako „Te Deum laudamus”. (Z kolei z koronacyjnego poloneza królów polskich wywodzi się popularna kolęda „Bóg się rodzi”.) Zaciekawiony Łuszkowską francuski dyplomata będzie od tej chwili podejmował usilne zabiegi i starania, żeby ją zobaczyć. Uda się mu to dopiero w dniu jej odjazdu z Gdańska. Pod datą 10 lutego napisał: „Po śniadaniu wygodnie mogłem obejrzeć odjeżdżającą miłośnicę króla, którą okrutnie chciałem zobaczyć. I bardzo piękna ona, i wielkiego również pełna uroku, o ciemnych oczach i włosach, i gładkiej ogromnie i świeżej cerze. Ale nie ma ona pełnej swobody, bo ciągle koło niej straż mężczyzn i niewiast”. Pobyt króla Władysława na Pomorzu obserwował również pilnie najwybitniejszy poeta niemiecki tego czasu - urodzony w Bolesławcu na Śląsku - Martin Opitz. Od lat znajdował się pod urokiem polskiego władcy, którego mądrość podziwiał. Przebywał w 1636 w Toruniu wraz z księciem brzeskim, Janem Chrystianem, który wypowiedział posłuszeństwo cesarzowi niemieckiemu i schronił się w

Polsce. Opitz z dużym przejęciem pisał wiersz pochwalny na cześć Władysława IV. Uruchomił - być może, że i przy pomocy księcia brzeskiego - wszystkie swoje wpływy, by utwór prawie natychmiast wydrukowano. Słynny „Lobgedicht an die königliche Majestat zu Polen und Schweden” - „Wiersz pochwalny na cześć królewskiego majestatu Polski i Szwecji” - ukazał się równocześnie w trzech oficynach - Gdańska, Torunia i Leszna...

Do względów nie zapędzisz.

Pan żądny miłości - sam kochać wpierw winien,

To łączy się w jedność.

Ten na piasku wznosi,

Co bez miłości chce budować.

Ona jest Tą więzią, co spina przyrodę...

Król polski, poznawszy spryt dyplomatyczny poety, powoła go na swego sekretarza i historiografa z pensją tysiąca talarów rocznie i każe mu się natychmiast udać do Gdańska, by tam pilnował jego interesów. Opuszczając pomorskie dziedziny, Władysław IV mógł sycić się dumą zapobiegliwego gospodarza, któremu towarzyszy sukces. Opitz miał rację powiadając, że nie musiał wyciągać z pochwy miecza; dla przechylenia sprawy na stronę Polski wystarczało często jego imię.

Minął rok jeden i drugi, a król ani myślał o odesłaniu Jadwigi. Wręcz przeciwnie - upodobanie, jakie w niej znalazł, ani na moment nie zmalowało. Panowie polscy, którzy czuli się przez ten związek spostonowani, a nawet ośmieszeni - choć w gruncie rzeczy chodziło głównie o utratę wpływów - zaczęli w sposób coraz to mniej wybredny okazywać swoje niezadowolenie. Podburzana przez nich szlachta też wkrótce zacznie - przy krążących kielichach - bezceremonialnie wykrzykiwać o rozpustnym życiu na warszawskim zamku i marnotrawieniu grosza publicznego na nierządnicę.

Wspomniany już Jączyński zaatakuje z pasją majestat i nazwie króla „publicus concubiniarius” - publicznym rozpustnikiem, podsumowując swoje wywody stwierdzeniem, że wszystkim wstyd mieć takiego króla. Cytowany również wcześniej papieski dyplomata, Honoriusz Visconti, doniesie oględnie, że król polski został „urzeczony” przy pomocy czarów, które ani chybi wywodzą się z Rusi, gdyż tamtejsi mieszkańcy bardzo są biegli w preparowaniu różnych tajemnych mikstur. Czcigodny nuncjusz niedwuznacznie sugerował, że oddana bez reszty młodzieńczej miłości Jadwiżka posiadała moc nieczystą i należy zaliczyć ją do grona czarownic. Usidlić do tego stopnia miłościwie panującego, który jeszcze nie tak dawno w stosunkach z kobietami uchodził za cynika, a co najwyżej za niepoprawnego lekkoducha, mogła tylko niewiasta pochodząca z tego „ciemnego kąta Rzeczypospolitej”, czyli z Rusi.

Argumenty Viscontiego uznał za swoje także prymas polski. Przejęty własną misją dziejową postanowił zniszczyć tę miłość przy pomocy egzorcyzmów i święconej wody. Podobno ceremonia „wypędzania złego ducha”, gnieżdżącego się w powabnym ciele Jadwiżki, odprawiona została z całą powagą i przy niemałym rozgłosie. Stanowisko prymasa poparł swoim autorytetem senat, czyli cała arystokratyczna śmietanka obojga królestw. Posypały się liczne vota senatorów, cyzelowano wystąpienia nabrzmiałe od pomówień.

Władysław lekcewał to larum sterowane przez wielmożów, zwiększał tylko Jadwiżkę ochronę osobistą. Ani myślał ustąpić, gotów raczej przytrzeć rogowi dostojnikom - zarówno świeckim jak i duchownym. Poniektórzy zresztą mieli już okazję poznać twardą rękę króla, który choć pogodny, wyrozumiały i wspaniałomyślny - potrafił być stanowczy i konsekwentny.

Szcęście Jadwiżki z pewnością długo by jeszcze trwało, gdyby nie ciążył nad Władysławem obowiązek zachowania dynastii. Panowie polscy skwapliwie to wykorzystali i zakrzętnęli się nader gorliwie wokół ożenku monarchy, który sam sobie zresztą zdawał sprawę, że już dawno wkroczył w wiek męski.

Początkowo król jego miłość droczył się - ale raczej spektakularnie - jakoby niespieszno mu było do łóżnicy małżeńskiej. A kiedy wskazał na protestancką księżną Elżbietę, córkę wygnanego elektora Palatynatu, Fryderyka V i Elżbiety angielskiej - czym wywołał wielkie niezadowolenie katolickich panów - powiedział w senacie: „Gdy pomieniona wybrana się nie podoba, inszą namknijcie albo pozwólcie inszą jaką, w Królestwie Polskim urodzoną, królowi obrąć za małżonkę”. I takimi oto słowy Władysław IV nadal drażnił swoich moralizatorów, którzy tej samej surowości do własnych osób nie przykładali.

Ostatecznie król polski wstąpił w związek małżeński we wrześniu 1637 z Cecylią Renatą - córką cesarza Ferdynanda II. W miesiącu tym minęła akurat trzecia rocznica poznania nadobnej lwowianki, której nowo ożeniony monarcha nadal nie zamierzał się pozbyć. Młoda królowa polska zajęła apartamenty na pierwszym piętrze warszawskiego zamku i ani wiedziała, kto nad nią mieszka.

Ta co najmniej dwuznaczna sytuacja nie trwała jednak zbyt długo. Usłudźni bardzo szybko poinformowali Cecylię Renatę, kogo to ma za sąsiadkę. Wówczas też pojęła, co miał na myśli ksiądz prymas, gdy w czasie zaślubin grzmiał od ołtarza przeciwko tym, co szukają uciech miłosnych poza związkiem małżeńskim.

Opowieść literacka mówi, że romans królewski wydał się jeszcze w czasie trwania zabaw i występów towarzyszących uroczystościom weselnym. Mianowicie w trakcie zmagania zwierząt, staczających swe walki na dziedzińcu zamkowym, musiało dojść do sytuacji zabawnych, gdyż w pewnym momencie przypatrująca się tym igrom ze swoich okien Jadwiżka roześmiała się tak donośnie, że zwróciła na siebie uwagę młodej królowej.

Łuszkowska musiała opuścić warszawski zamek. I choć sytuacja, jaka się wytworzyła, groziła nawet skandalem międzynarodowym, Władysław IV ciągle jeszcze nie chciał zrezygnować z kochanki. Przeniósł Jadwiżkę do budowanego przez Adama Jarzębskiego pałacu ujazdowskiego, zaś do urody Cecylii Renaty daremnie starał się przekonać. Ta tłumiona niechęć króla do małżonki rzuciła się obserwatorom w oczy już podczas pierwszego ich spotkania w Iłży. Radziwiłł w pamiętniku swoim napisał: „Wrócił zdrów, zauważono jednak, że niezbyt wesoły powrócił do domu, stąd różne przypuszczenia”.

Dumna Cecylia Renata nie ustawała w wysiłkach, dopóki ostatecznie nie wypędziła Jadwiżki i z Warszawy, i z pobliskiego Ujazdowi. Łuszkowska musiała zniknąć z królewskiego horyzontu.

Władysław IV postanowił zatem wydać kochankę za męża. Wybór jego padł na dworzanina Jana z Wypych Wypyskiego herbu Grabie, który miał zostać osłoną „dalszych królewskich zapałów”.

Chciała Cecylia Renata mieć Łuszkowska jak najdalej od Warszawy, więc - zgodnie z jej wolą - tak się też stało. Dopiero po niewczasie stwierdzi oburzona, że król osadził kochankę z jej mężem na terenach łowieckich - wprawdzie bardzo odległych, ale najbardziej przez niego ulubionych, na których co roku przebywał przez wiele tygodni. Pozornie nic mu nie można było zarzucić.

Ta rozległa knieja znajdowała się w powiecie mereckim, położonym nieopodal Kowna. W litewskiej krainie - najwspanialszej nie tylko dla Władysława, ale i dla jego towarzysza łowieckich wypraw, Macieja Sarbiewskiego. Otóż Wypyski tuż przed ślubem z Jadwigą Łuszkowska otrzymał „w drodze wielkich zasług” starostwo mereckie. Sygnowano ten akt 7 sierpnia 1637, po czym nowożeńcy stanęli przed ołtarzem.

Według Franciszka Jaworskiego „sam król podobno oddawał narzeczoną oblubieńcowi, zaś mowę weselną miał Jakub Maksymilian Fredro, podkomorzy przemyski”.

Dziwny to był ślub, lecz jeszcze dziwniejsza mowa Fredry - granicząca nieomal z farsą. Ale jak inaczej miał się biedny podkomorzy przemyski wywiązać ze swego obowiązku, skoro kazano mu tę wielce złożoną sytuację miłosną i matrymonialną wyjaśnić w sposób dyplomatyczny, a on posiadał wrodzony zmysł dowcipu. Z mowy tej „na weselu Pani Jadwigi

ze Lwowa, Faworitey J.K.Mci Władysława IV” zaśmiewała się cała szlachecka Polska, ponieważ niedyskretny družba puścił ją w obieg.

Jadwiga, „która za szczęściem swoim przyszedłszy do tego, że się J.K.Mci jako najprzedniejszemu wszystkich sierot opiekunowi dostała, wreszcie dostąpiła tego, że fata jej serce i oczy J.K.Mci do niej obróciły i skłoniły. Otrzymałszy ten los, że bliżej nad insze do upodobania i uciech królewskich przypuszczona, azaż nie mogła sobie za łaską tak wielkiego i możnego, hojnego monarchy coraz to większych nadziei i fortunnych ozdób swych czynić? Azaż nie mogła sobie z rąk tak wielkiego opiekuna i patrona wielmożnego towarzysza upatrywać? Mogła niechybnie Damom takim niczego się zwykle nie odmawia. A przecież do tego towarzysza serce skłoniła, którego jej szczęście i niebo oznaczyło”.

Wypyski siedział podczas tego przemówienia niczym Piekarski na mękach. Widział z pewnością te tłumiące wesołość, zadowolone gęby i musiał milczeć. Najlepiej w takiej kłopotliwej chwili przemilczać zbliżającą się fortunę: przecież to coś za coś Życie on, Wypyski, będzie miał obfite, ale naznaczone, niczym infamis. Tymczasem wszelkie pocieszenia i tłumaczenia Fredry jeszcze bardziej pogrążyły go w publicznym wstydzie:

„A nie bądź, Waszmość, tego rozumienia et non haeret (i niech się nie czepia) to myśli Waszmości, aby to miało co dehonestare (ubliżać), że do poufałych stosunków pana swego przypuszczoną była... Wszystko, cokolwiek z rąk panów swych bierzemy, nie może być jeno zacnego, jeno pocziwego, jeno ozdobnego, ponieważ od majestatów królewskich, które są źródłem ozdoby i szlachectwa, lubo różnym sposobem na poddanych zwykły honory i ozdoby przychodzić...”

Od czasu tego dziwnego ślubu piękna królewska kochanka ginie z pola widzenia dworu. Zniknęła bowiem z głównej areny towarzyskiej, zaś straż nad cnotą Władysława przejęła zakłopotana sytuacją Cecylia Renata.

Harmonii w rodzinie królewskiej nadal jednak nie było. Przestrzegano pozorów, ale Władysławowi tęskno było za gładkolicą Jadwiżką. Nie przypadkowo osadził nowożeńców w Mereczu. Jak pięknie napisano: „Na tle lasów litewskich, w połowie drogi między Grodnem a Trokami, wśród echa rogów myśliwskich i grania ogarów, pod poetycką strażą «Sihiludiów» Macieja Sarbiewskiego rozgrywał się dalej romans królewski, trwała sielanka. Tylko że coraz dłuższe cienie na nią padają...”

Władysław IV należał do zagorzałych myśliwych, dlatego też co najmniej raz w roku musiał zanurzyć się w starodawnych kniejach. Bardzo często zabierał ze sobą nadwornego kaznodzieję i druha, Macieja Sarbiewskiego, który był przede wszystkim znakomitym poetą łacińskim, znanym w całej Europie. Mówiono o nim „polski Horacy”.

Król bardzo go cenił, a co ważniejsze - serdecznie lubił. Zbliżyła ich do siebie przyroda, wspólne wędrowki po lasach pod Birsztanami w powiecie trockim i wokół Solecznik. Z tych nagłych popasów pod drzewami w Kotrze zrodziły się słynne „Simludia”, czyli poetyckie zabawy leśne.

Czasami w podróżach na Litwę towarzyszyła Władysławowi IV jego małżonka, Cecylia Renata, ale gdy nadeszła godzina łowów, król zostawiał ją u któregoś z magnatów i wraz ze swoją drużyną przepadał w gęstwinie boru, kierując się zapewne w stronę Merecza. Królowa cierpiała bardzo z tego powodu i podobnie - jak swego czasu nuncjusz apostolski, Visconti - uważała, że jej małżonek został po prostu zauroczony, że ktoś opętał go złymi mocami. Ani chybi dobrze znana wszystkim czarownica Co więcej - twierdziła, że te złe moce dybią równocześnie na jej zdrowie. I ona, gdy tylko znajdzie się na Litwie, odczuwa ich fatalne skutki.

Głęboko przejęta opowiadała pewnego razu, że kiedy znalazła się zupełnie sama w swojej alkowie w Daugnach u Albrychta Radziwiłła w gościnie, nagle zaczęła ją coś mocno aż do bólu ścisnąć za rękę. Biedna królowa chyba nigdy nie zdołała pozyskać miłości swego małżonka i zeszła do grobu niekochana, chociaż znajdowała się dopiero w kwiecie wieku.

Trudno coś więcej powiedzieć o dalszych dziejach królewskiego romansu. Nie znamy daty śmierci Jadwigi Łuszkowskiej, nie wiemy nic o jej pożyciu z Wypyskim, który prawdopodobnie zmarł przed 18 grudnia 1647. Kilka miesięcy później zszedł z tego świata również Władysław IV Waza. Żywota dokonał właśnie w swoim ukochanym Mereczu. Wyobraźnia ludowa widziała go konającego na rękach umiłowanej Jadwiżki, ale jest to mało prawdopodobne. W każdym bądź razie jakaś wewnętrzna siła kazała ciężko schorowanemu człowiekowi udać się przed śmiercią do tego miejsca, które było świadkiem jego przeżyć.

Z całą pewnością szukał już w tym fatalnym dla Rzeczypospolitej roku nie miłości, a dobrych wspomnień. Król zmarł, zaś kraj pogrzyżł się w odmętach okrutnej wojny. Nastąpiły lata ognia i miecza. Nie dziwnym się zatem, że wybitny poeta, Wacław Potocki, wychowany w surowej etyce ariańskiej, zafundował w swoich „Jovialites” - czyli fraszkach i żartach rozmaitych - bardzo szpetny „Nagrobek Władysławowi IV”. Kazał królowi oskarżać się pośmiertnie.

Gdy mi bronią z Turczynem szukać sławy w mieczu,  
Puściłem cug pieszczonej Wenerze w Mereczu.  
Com miał mało od Marsa między kawalery,  
To mię między dziewczęta potka od Wenery.  
Umieram niejako król w ten tu grób otwarty,  
Ja, Władysław, sromotnie zawieram się czwarty.  
Umieram, dwa klejnoty różnego gatunku  
Zostawiwszy Polakom swoim w podarunku:  
Jeden - wojna kozacka, drugi - zbytek sprośny  
Z Francuzką wprowadzony nie jednej że wiosny.  
Niejednej głowy praca takie zgoi rany,  
Długo będzie Władysław w Polsce pamiętany.

## WIĘCEJ PYCHY NIŻ MIŁOŚCI

Królowa Anna Austriaczka i księżę Buckingham

Pan de M... który cieszy się łaską księżniczek niemieckich, mówił do mnie:

„Czy pan sądzi, że pan de L... miał panią de S...?”

Odparłem:

„Nie ma do tego nawet pretensji.

Podaje się za to, czym jest, za hulakę, za człowieka, który lubi nade wszystko dziewczęta.  
- Młody człowieku, odparł, nie bierz się na to: tacy właśnie miewają królowe”.

CHAMFORT

Nie była to dobra miłość. Współcześni kronikarze arystokratycznych salonów w ogóle nie mówili o głębszym uczuciu. Dyskretnie pomijali bliższe określenia, bynajmniej nie powodowani rygorami pruderyjnego *savoir vivre*'u. Musieli wiedzieć swoje. Bo też to, co zaistniało między żoną króla francuskiego, Anną Austriaczką, a angielskim dandysem, Jerzymi Villiers, księciem Buckingham miało charakter wyzywającej demonstracji miłosnej, a nawet skandalu, trąciło teatralną pozą i' szeleściło fałszem.

To literatura uczyniła z nich później parę nieszczęśliwych kochanków, prześladowanych przez los i takie monstra jak Richelieu i Ludwik XIII. Głównym animatorem tej miłosnej legendy stał się Aleksander Dumas, którego relacja - dzięki poczytności „Trzech muszkieterów” - zaciążyła nad prawdą historyczną. Przypomnijmy zatem chociażby pobieżnie, jak ten literacki przechera bawił się naszymi uczuciami.

W jego znanej powieści historycznej - cytowanej tutaj w tłumaczeniu Joanny Guze - Anna Austriaczka uchodzi za uosobienie cnót nad cnotami i za istotę głęboko nieszczęśliwą:

„opuszczona przez króla, śledzona przez kardynała, zdradzana przez wszystkich”. Na pytanie przycięzko myślącego Atosa, dlaczego królowa Francji kocha „akurat tych, których on i większość Francuzów nienawidzi, czyli Hiszpanów i Anglików, rezolutny d’Artagnan odpowiada: „Hiszpania jest jej ojczyzną i nic dziwnego, że kocha Hiszpanów, są dziećmi tej samej ziemi. Jeśli chodzi o drugi zarzut” słyszałem, że kocha nie Anglików, lecz jednego Anglika”. Oczywiście tym wybranym, tym obdarzonym wzniosłym uczuciem jest; piękny jak młody bóg i rycerski jak Zawisza - książę Buckingham, którego w pewnym momencie podstępny kardynał Richelieu - przy pomocy sfałszowanego listu uciskanej królowej - sprowadza do Francji, by Annę skompromitować, a czyste uczucie sprofanować. Jednak dzięki dzielnym muszkietierom, a w szczególności siódmemu zmysłowi d’Artagnana, kochankowie wychodzą cało - także czyszc moralnie - z wszystkich zastawionych na nich obierzy.

Choć Anglik wprowadzony zostanie - tajnym przejściem przez bramę od ulicy de l’Echelle - nawet do apartamentu królowej w Luwrze, choć kochankowie będą mogli cieszyć się ubezpieczoną samotnością, jednak cnota królowej nie dozna uszczerbku. A zatem Buckingham będzie nadal żył tylko niespełnionym wspomnieniem. Pozostają mu wzdychania: „O, królowo, królowo... Oddam wszystko, bogactwa, fortunę, sławę, resztę życia za taką noc”.

Anna Austriaczka nie widzi możliwości dalszego spotykania się z angielskim adoratorem. Wszystkie bliskie, oddane jej osoby zostały oddalone: panią de Vernet wręcz wypędzono, zaś pani de Chevreuse pozbyto się z piętnem królewskiej niełaski. Wokół królowej wytworzyła się pustka. Tym bardziej kochankowie marzyli o tym, by Villiers został ambasadorem angielskim przy francuskim dworze, ale ascetyczny Ludwik XIII wiedział dobrze, co się przędzie i nie chciał tego pięknisia widzieć na oczy. Powiedział to swoim ministrom bez ogródek.

I ta decyzja - według Dumasa - miała stać się przyczyną wojennej awantury między Anglią i Francją o wyspę Re i o gniazdo forteczne hugenotów, La Rochelle. W powieści Buckingham powiada butnie: „Tak, i Francja zapłaci wojną za tę decyzję swego króla. Nie mogę cię więcej widzieć, pani; dobrze, chcę, byś co dzień słyszała o mnie”.

Na pożegnanie królowa miała rzekomo wręczyć angielskiemu kochankowi szkatułkę z diamentowymi spinkami, które - nieszczęsna - otrzymała nie tak dawno od swego małżonka. Niestety, tajemnica cennego podarku dotarła dziwnym tropem do podstępnego kardynała i trzeba było na łeb na szyję sprowadzać z powrotem te klejnoty z Anglii - i to przy pomocy doborowych muszkietierów oraz samego d’Artagnana. Trup padał gęsto i mroczno było na kartach książki.

Oczywiście takie niezwykle wyprawy - pełne niebezpieczeństw i potyczek - takie dumki o złamanym sercach i rozdzielonych kochankach ubarwiają zawsze powieści z kręgu płaszcza i szpady, ale z prawdą historyczną bywają często na bakier. Dumas jednak w tę swoją argumentację wierzył, ponieważ - już nieprzymuszony akcją fabularną - powiedział ku pamięci potomnych: „Stąd widać, że stawką w grze, którą dwa najpotężniejsze królestwa prowadziły dla przyjemności dwóch zakochanych mężczyzn, było spojrzenie Anny Austriaczki”.

Aleksander Dumas lubił powoływać się na zmyślane memuary i zmyślonych autorów, chociaż w „Trzech muszkietierach” wymienił raz znakomite pamiętniki pani de Motteville. Uczynił to jednak jakby mimochodem, chcąc przy okazji napiętnować wielkie skąpstwo i małoduszność króla Francji, Ludwika XIII. Tymczasem jest to źródło autentyczne i nieraz przyjdzie nam się na tę wyborną, zawierającą jakże bystre obserwacje prozę powołać.

Autorka, Francoise Langlois de Motteville (ok. 1621-1689), słynęła także ze swego salonu i ze swego wielkiego charakteru, który potwierdzony został piórem Chamforta. Jej styl był podziwiany i naśladowany. Jeszcze Stendhal, pisząc receptę na dobrą książkę anonimowemu

G.C. - autorowi dalszego ciągu „Don Juana” Byrona - powiedział, że przede wszystkim trzeba przez dwa lata przyswajać sobie prawdziwość pojęć u Benthama i w stu jednym tomie pamiętników: Gourville, pani de Motteville, d’Aubigne itd. A zatem znakomity pisarz umieścił tę zapomnianą autorkę na samym początku listy nauczycieli, którzy powinni wesprzeć swoim doświadczeniem twórczym talent młodego adepta literatury.

Skoro przypomnieliśmy sobie literacką mistyfikację tego głośnego romansu, podążmy obecnie tropem prawdy historycznej. Za dajmy sobie po raz drugi pytanie: co to właściwie zdarzyło się między królową Francji a angielskim dandysem?

George Villiers nie pochodził z wielkiego rodu. To dopiero od niego rozpoczął się jeden z najświetniejszych angielskich arystokratycznych domów. Posiadał jednak bogatą i chorobliwie ambitną matkę, która postanowiła, że zrobi ze swojego nad wyraz urodziwego syna wielkiego światowca, podbijającego królewskie salony. Wysłała go zatem do Francji, gdzie miał przyswoić sobie: najwykwintniejsze maniery, które charakteryzowały skupioną wokół Luwru arystokrację francuską.

Kiedy George powrócił na angielskie parkiety miał lat dwadzieścia i był w każdym calu wykwiśniętym salonowcem, onieśmielającym purytańskich Brytyjczyków posturą i swobodą. Tryskał młodzieńczą zuchwałością, nosił głowę dumnie, a pięknie trefione włosy obramowywały szlachetną i regularną twarz, którą wieńczyła bródka a la Henri Quatre oraz ozdabiał wąż misternie podkreślony do góry.

Wkrótce też został w sposób cyniczny „podsunięty” królowi, Jakubowi I przez arcybiskupa Canterbury, który chciał pozbyć się innego zbyt wpływowego faworyta, hrabiego Somerset. Zwycięstwo nad Somersetem przyszło bardzo łatwo. Biedny arcybiskup: nie przypuszczał jednak, jaki sobie i swojemu otoczeniu zgotowali los. Jakub I, mający słabość do pięknych twarzy, szybko został zawojowany przez ambitnego Villiersa. Doszło wkrótce do tego, że król nie mógł się wprost obejść bez swojego nowego faworyta.

Na piękną głowę tego dotąd mało znanego szlachetki spadł prawdziwy deszcz łask i zaszczytów: podczaszy królewski, szambelan, kawaler Orderu Podwiązki, baron, wicehrabia, markiz, lord Wielki Admirał, Strażnik Pięciu Portów, książę Buckingham. Villiers pozostał aż do swojej tragicznej śmierci ulubionym i pierwszym ministrem zarówno Jakuba I jak i jego syna, Karola. Wybitny ówczesny angielski polityk, historyk i pamflecista, Edward Hyde Clarendon powiedział: „Nigdy nie widziano, żeby człowiek odbył szybszą drogę kariery i wzniósł się tak, jedynie dzięki swej urodzie, na pierwsze stanowisko w państwie” („The History of the Rebellion and Civil Wars in England”).

Kardynał Richelieu, który serdecznie nienawidził Villiersa, wydał mu w swoich pamiętnikach wręcz druzgocące świadectwo. W porywie nienawiści pisał: „Człowiekiem niskiej rasy był Buckingham, umysłowość nieszlachetna, bez cnót, bez wiedzy, źle urodzony i źle wychowany; jego ojciec umysł miał pomieszany, a jego brat był wariatem, którego musiano wiązać. On sam grawitował między wariacją a rozumnością - znajdował się dokładnie w środku, ekstrawagancki, wydany na łup swych namiętności”.

Wielki francuski mąż stanu, drugi po Henryku IV architekt rozwoju i wielkości Bourbonów, nienawidził tego lekkoducha, ponieważ swoimi nieobliczalnymi decyzjami przysparzał mu mnóstwo kłopotów, szczególnie na arenie międzynarodowej. Za to Jakub I przepadał za Buckinghamem. Sądząc po nader poufalem tonie, na jaki pozwalał sobie ten chłopak w listach do swojego króla, zażyłość między nimi musiała być duża.

Po raz pierwszy Buckingham zobaczył Annę, królową Francji, w okolicznościach niezwykłych, można nawet mówić o wręcz romantycznym anturazie.

Otóż w pewnym momencie Jakub I doszedł do wniosku, że najlepszym mariażem politycznym dla wyspiarskiego królestwa będzie małżeństwo jego syna, Karola, z infantką hiszpańską, Izabelą, młodszą siostrą żony Ludwika XIII. Jednak następcą tronu angielskiego nie chciał „kupować kota w worku” i postanowił wraz z Villiersem udać się incognito do

Madrytu. Król-ojciec projekt pochwalił i dwaj młodzieńcy - bez specjalnego orszaku - wybrali się w tę dziwną podróż.

Było przedwiośnie 1623 roku. Do Paryża przybyli w przebraniu i z fałszywymi brodami. Rzekomo nie bez wysiłku udało im się „dziwnym trafem” wkręcić na dwór królewski i brać udział w spotkaniach towarzyskich, podczas których mogli przyglądać się do woli królowej, Annie Austriaczce, i siostrze króla, czternastoletniej Henriecie Marii, która po dwu latach miała zostać właśnie żoną tegoż Karola.

Na razie jednak księciu Walii ani w głowie była ta młoda oblubienica. Bardziej intrygował go rozbuchany, arystokratyczny Paryż. Także Buckingham nie zachwyił się wówczas Anną, choć kto wie, czy nie wtedy właśnie uroda królowej sięgała szczytu.

Romantyczni młodzieńcy, zadowoleni z rzekomo zupełnego incognito, pisali do Jakuba I zabawne listy, zaczynające się od słów: „Dear Dad and Gossip...”, czyli „Drogi Papciu i Kumie”, a kończące się: „Your baby and your dog...” - „Twój dzieciak i twój Pies...” Oczywiście Karol był „baby” a jego towarzysz „dog”.

Andre Maurois w swoich „Dziejach Anglii” powiada: „Nie m lektury bardziej zadziwiającej jak zbiór listów Karola i Buckinghama do Jakuba I podczas tej podróży. Można w nich śledzić charakter osobisty i niepoważny całej polityki faworyta Ta „głęboko zakonspirowana” podróż następcy tronu angielskiego śledzona była uważnie przez europejskie dwory. Szczegół nie zaś przez Paryż i Madryt, o czym mieli przekonać się osobiście z całą dobitnością w Hiszpanii, gdy opadły maski tego dziwnego kamuflażu.

Także Richelieu w swoich pamiętnikach powiada, że gdy tylko Karol Angielski rozpoczął tę przedślubną podróż, zwrócił uwagę królowej-matki, Marii Medycejskiej, na wielkie niebezpieczeństwo, jakie z tego mariażu może wyniknąć dla Francji. Mądry kardynał marzył z kolei o francuskiej żonie dla protestanckiego» Anglika. Okazało się, że i tym razem czas pracował dla niego \*

Tymczasem pełni wrażeń młodzieńcy przybyli w nocy do Madrytu. Podczas gdy Karol, chowając się w cieniu muru przytrzymał konie, Buckingham z ogromnym trudem usiłował obudzić ambasadę angielską, której urzędnicy ani domyślali się \u0441 tym nocnym Marku pierwszego ministra Jego Królewskiej Moście Początkowo dwór madrycki poczuł się nawet pochlebiony tą niezwykłą wizytą, ale w kręgach inkwizytorskich bezustannie podnoszono bezczelne zachowanie się wyspiarzy, szczególnie zaś Buckinghama. Chociaż i Karolowi niczego nie brakowało; urządzano festyny i zabawy. Wciągnięto w nie nawet Lope de Vegę, który na cześć Karola układał nadobne oktostychy i śpiewne stance, sławiące księcia jako istny zbiór cnót.

Wielki poeta miał w tej wierszowanej służbie wcale poważne doświadczenie. Zgrzebne rymy układał przecież nie tylko na cześć swoich mecenasów; kilka lat wcześniej opiewał ślub Anny Austriaczki, najstarszej córki króla hiszpańskiego Filipa III z francuskim Ludwikiem XIII. Jeszcze niosło się echo tych wierszy po dworskich salonach:

Ya no divide nieve pirenea A Espana eon Francia se deposa.

Poeta z pewnością nie przypuszczał, że odmieni się sytuacja polityczna i że jego Espana nie będzie „przrzeczona w stan małżeński Anglii”. Dwór madrycki stawiał coraz to twardsze żądania. Między innymi, by zagwarantowana została infantce wolność praktyk religijnych, by dzieci przyszłej pary królewskiej wychowywane były do dziesiątego roku życia przez matkę i jej otoczenie i by nie obowiązywały ich angielskie, surowe prawa odnoszące się do katolików. Miało to wręcz oznaczać, że wnukowie Jakuba I wyznawać będą wiarę rzymsko-katolicką. Poza tym dokument opatrzony został licznymi tajnymi klauzulami, które mówiły także o swobodnym wykonywaniu praktyk religijnych w domach prywatnych - z celebracją mszy świętej włącznie.



Zmęczony tymi przetargami król angielski, który poza tym dziedziczy młodzieńczy, hamowany dotąd temperament zaczął go popychać do wyskoków, cierpiał z powodu rozłąki ze swym faworytem - w listach skarżył się, z coraz to bardziej nieodpowiedzialnych czynów.

Najpierw następcę tronu zobaczył infantkę przejeżdżającą vi powozie, potem został jej przedstawiony, ale księżniczce napisanej słowo w słowo, co ma powiedzieć podczas tego spotkania. Tyle nic więcej..

Któregoś dnia Karol - stylizując się na bohatera z rycerskiej opowieści - przeskoczył mur ogradzający mauretańską samotnię infantki. Stary pokojowiec, opiekujący się królową, padł przed, Karolem na kolana, błagając go, by zechciał się oddalić, gdyż i przeciwnym razie jego siwa głowa pójdzie pod topór. Lament sługi poskutkowało, Karol ponownie sforsował mur i wielce rozgoryczony powrócił do ambasady. Błędny rycerz nie był dla niego dobry. Oświadczył, że „nikt nie zasłużył się lepiej swemu krajowi i swemu wzorowemu. królowi”

Podobne ekstrawagancje nie sprzyjały dyplomatycznym rozmowom, które z przedstawicielami dworu hiszpańskiego prowadził król angielski. A przecież i tak trudno było pogodzić myślenie inkwizytorskiej i arcykatolickiej Hiszpanii z mentalnością purytan. Na gruncie angielskim Buckingham z wielkiego rzecznika arcy-purytańskiego i antypapieskiego Albionu. przedzierzgnął się szybko w zwolennika katolickiego królestwa. Dla wysokiego gościa organizowano, nieoficjalnie, różnego rodzaju rozrywki. Pomimo to skarżył się, „że musi pędzić „smutne życie wdowy”. Król odwołał w październiku z Hiszpanii swego „baby” i swego „doga”. Powrót następcy tronu, jeszcze kawalera, i Buckinghama miał charakter wjazdu triumfalnego - tak gorąco witali ich mieszkańcy Londynu zadowoleni, że Karol okazał się twardym protestantem i nie będzie miał papistki za żonę.

Chytry Buckingham sobie przypisał zasługę zerwania układów matrymonialnych z Hiszpanią. I Anglia w to uwierzyła. Był to bodajże jedyny raz w jego awanturycznym życiu, kiedy społeczeństwo królestwa odnosiło się do niego z prawdziwą serdecznością. Nawet Parlament - od początku przeciwny temu mariażowi - 36 nie były. W ten sposób niesforny książę stworzył zaślonę dymną dla swoich tajemnych, dyplomatyczno-politycznych planów. Jest bowiem faktem, że zanim z jego szat opadł pył podróży do Madrytu, już w sekrecie przed społeczeństwem próbował nawiązać kontakt z dworem francuskim - także „arcykatolickim” - starając się wyswatać angielskiego następcę tronu z siostrą Ludwika XIII Marią Henriettą. Tą samą, na którą w Paryżu nie zwracali specjalnej uwagi.

Tajnym emisariuszem Buckinghama był niepozorny braciszek reguły zakonników bosych. Pewnego dnia zjawił się on u stolicy u królowej-matki, Marii Medycejskiej, przynosząc jej hołdownicze pozdrowienia od księcia, który przekazywał, że - jak zawsze zresztą - czuje i myśli po francusku, że został przez Hiszpanów dotkliwie obrażony, ponieważ odciął się od ich dynastycznej polityki, że teraz chętnie by powrócił do zaniechanego na pewien czas płam silniejszego powiązania dworów angielskiego z francuskim przy pomocy mariażu.

Maria Medycejska odniosła się do posłania żebraczego mnicha wielką atencją. Kazała podziękować księciu za zaufanie i przypomnieć mu, że w okresie swego panowania w stosunkach z Anglią zawsze kierowała się uczuciami przyjaźni. Zabrzmiało to dostojnie i gorzko, ponieważ starzejąca się królowa, odsunięta od tronu przez własnego syna w sposób zdecydowany a nawet brutalny; rozścielała swoje żale, gdzie tylko mogła. Teraz powracał jak gdyby powiew dawnych dni. Ten krojący się ślub mógł „starą panią znowu na pewien czas ustawić w pierwszym rzędzie panujących.”

Jej osobisty doradca, kardynał Richelieu - niecierpliwie wyczekujący odpowiedniego momentu, by uwolnić się od Medyceuszki znaleźć w służbie króla - także był gorącym zwolennikiem tego związku. Propozycja Buckinghama trafiła więc na podatny grunt uprzedzając jak gdyby oczekiwania francuskiej dyplomacji. Resztę dopełniała poczta pantoflowa, która łądziła zadawnione konflikty i spory.

I oto krótko po objęciu przez kardynała Richelieu stanowiska pierwszego ministra przy Ludwiku XIII zjawili się we Francji nadzwyczajni i pełnomocni wysłannicy angielscy w osobach hrabiego Carlisle i lorda Holland. Król bawił akurat w Compiègne i tam go wyspiarscy posłańcy spotkali.

Ich misja polegała na tym, że mieli w imieniu swego pana, Jakuba I, wystąpić z prośbą o rękę księżniczki Henrietty Marii dla księcia Walii, angielskiego następcy tronu, i ustalić warunki wstępnego porozumienia. Działali niewątpliwie przeciwko opinii swego kraju.

Natomiast Francja mogła wiązać z tym małżeństwem pewne istotne nadzieje; chodziło głównie o poprawienie dobrosąsiedzkich stosunków między obu krajami, ażeby kanał La Manche bardziej łączył aniżeli dzielił oba królestwa. To trudne posłannictwo polityczne miało więc spocząć na wątych barkach młodziutkiej Henrietty i jej męża. Kardynał liczył poza tym na ocieplenie opinii angielskiej w stosunku do wiary katolickiej; powiedzmy od razu, że wielce się łudził.

Dla antypapieskiej Anglii, znerwicowanej jeszcze Spiskiem Prochowym, był to kolejny nieprzyjemny wstrząs. Tym bardziej że nastąpił po tym przedłużającym się hiszpańskim romansie królewicza, a spotęgowany został równie licznymi co nieproporcjonalnymi posunięciami Jakuba I i Buckinghama wobec Parlamentu i niższych stanów, broniących z determinacją swojej godności. W ulotnych pismach anonimowych zauważano, że „królowa francuska nigdy nie przyniosła wielkiego szczęścia Anglii”.

Tę prawdę otoczenie Jakuba I uważało jednak za przesadę. Karol wprawdzie z całą stanowczością oświadczył, że jego przyszła małżonka będzie miała swobodę wyznaniową tylko dla siebie i swego otoczenia i że nie należy liczyć się z żadnymi zmianami w angielskich stosunkach religijnych, utrwalonych od czasów Henryka VIII. Zapewnieniom tym jednak nie dowierzano. I słusznie Król angielski bowiem w tajnej klauzuli zobowiązał się katolików ochraniać.

Kontrakt ślubny angielsko-francuski został zrealizowany w krótkim czasie - w dużej mierze dzięki energicznemu działaniu kardynała Richelieu. Piękna i drobna córka wielkiego Henryka V i Marii Medycejskiej miała zaledwie piętnaście lat, kiedy - niepytana o zgodę przez nikogo, a zwłaszcza przez swego królewskiego brata - miała zostać żoną Karola Angielskiego, człowieka pozostającego pod przemożnym wpływem swego ojca i jego faworyta - młodzieńca, który zaledwie kilka miesięcy temu nielecho w Madrycie dokazywał. Nie zachował się żaden portret Marii Henrietty z tamtego okresu. Van Dyck portretował ją, kiedy była już kobietą dojrzałą, twardo przez los doświadczoną. Powszechnie uważano ją w młodości za nader urodziwą.

Jednak nie Maria Henrietta miała zostać główną bohaterką uroczystości własnego ślubu. Los ten przypadł Jerzemu Villiers, księciu Buckingham, a dzięki niemu w kręgu nie najlepszej sławy znalazła się też królowa Francji, Anna Austriaczka.

Zastanawiające było i to, że wszyscy wysłannicy Jakuba I - chociażby Carlisle i Holland - a więc reprezentanci surowych obyczajowo i oszczędnych Anglików, starali się wielkim przepychem, graniczącym wręcz z bufonadą, przelicytować lekkomyślną przecież na ogół arystokrację francuską. Popadając w przesadę, wzbudzali nawet niesmak. Lud Paryża długo kpił z rozrzutnych Anglików, przyrównując ich do pańskich dziadów, kierujących się dewizą: „zastaw się, a postaw się”.

Najbardziej szokującym zjawiskiem był jednak sam Buckingham, który przybył do Francji jako osobisty wysłannik króla, zarówno by uświetnić udaną misję zaręczyn, jak też by towarzyszyć młodziutkiej Henriecie Marii w podróży do jej nowej ojczyzny.

Z dużym przekąsem, choć także niewątpliwie i z zazdrością mówiono o pysznym wywyższeniu się tego angielskiego księcia. Na uroczystość tę przywiózł on dwadzieścia siedem bogato inkrustowanych złotem i drogimi kamieniami kreacji. Największe wrażenie zrobił strój z białego aksamitu, gęsto zdobiony diamentami. Gdy książe wkroczył w nim do

sal królewskiego pałacu, od razu zaczęły rozsypywać się z niezwykle naszyjnika duże perły, jako dar dla podziwiających go dworzan i pałacowej służby. Tym wielkopańskim gestem Buckingham nie przysporzył sobie jednak popularności w najbliższym otoczeniu Ludwika XIII.

Główne przyjęcie odbyło się w wielkiej galerii pałacu Luksemburskiego. Tam - na tle dwudziestu jeden płócien żywołowego Rubensa - królowa-matka, Maria Medycejska, oczekiwała przybycia gości. Rubens niewątpliwie podnosił urodę jej czerwono-złocistych włosów i cennej biżuterii ze starego złota. Natomiast błękitny płaszcz królewski z wyhaftowanymi białymi liliami upodobił ją do Junony. Tak przynajmniej widzieli królową plotkarscy kronikarze owego ślubnego widowiska.

Towarzyszący królowi Richelieu nie cierpiał malarstwa Rubensa i dlatego potraktował wystawne przyjęcie w galerii jako osobliwą zemstę Marii Medycejskiej, którą ongiś tak haniebnie opuścił „Stara pani” połączyła zapewne piękne z pożytecznym, dbając jednakże przede wszystkim o swoją prezencję. Pozostawiając w cieniu także osobę królewskiego syna, nie mogła jednak przyćmił Annę Austriaczkę, obnoszącą z wielką zalotnością urodę dojrzałej kobiety. Młoda królowa, świadoma swego uroku, z prawdziwą przyjemnością przyglądała się przystojnemu Buckinghamowi. Niewątpliwie podniecał ją ten fanfaron, ale i galant wielki, którego władza równała się prawie królewskiej.

Kardynał Richelieu - surowy obserwator tej sceny - powie później Ludwikowi XIII, że „swoboda wystawiania się i ton, w jakim ze sobą tych dwoje zaczęło konwersować, mógł sprawić wrażenie jakby znali się od dawna”. Spostrzeżenie było, zaiste, zastanawiające, chociaż nigdy przedtem królowa z księciem bliższych kontaktów nie miała. Widocznie Anna Austriaczka chciała najwyraźniej wyróżnić tego angielskiego dworaka.

Mimo woli musiała porównywać go ze swoim małżonkiem, który - wiecznie skrępowany dławiącym splotem kompleksów - traktował ją chłodno i w sposób władczy. Ludwik nie posiadał nic ze świeżości swego wielkiego ojca, Henryka IV. Nie był ani energiczny, ani przedsiębiorczy i nie potrafił cieszyć się życiem. Wskutek chłopięcego upośledzenia nie dojrzywał wciąż do roli i funkcji męża. Wewnętrznie spięty, ospały, z twarzą wiecznie zmęczoną i przygaszoną - sprawiającą wrażenie przedwcześnie dojrzałej - uchodził w młodości za chłopca, który nie lubi się uczyć, a przy tym bywa uparty i zawzięty.

Najbardziej cierpiał z powodu pospolitego jękania się i może stąd właśnie wywodziły się jego wszystkie zahamowania i stesy. Od urodzenia przysposabiano go do rządzenia, do licznych wystąpień, podczas gdy on w najważniejszych momentach zacinął się i milczał ponuro. Przy byle okazji porównywano go więc z ojcem, który ujmował słuchaczy niezwykłą elokwencją i trafnymi sądami.

W przeciwieństwie do swego wspaniałomyślnego rodziciela Ludwik XIII nie zapomniał żadnej wyrządzonej mu zniewagi, żadnej niestosowności nawet. Zamykał oczy i w perspektywie czasu ustawiał swoje ofiary na szachownicy zdarzeń. A sprawiedliwość tę wymierzał nawet po wielu latach.

W stosunku do swojej żony bywał zakłopotany, a przy tym twardy, ostry, wybuchowy, to męcząco uniżony, to znów drobiazgowy, próbujący surową autorytatywnością pokryć własną męską klęskę. Tymczasem królowej trudno było opanować uśmiezek, gdy słyszała jego patetyczne jękanie i gdy widziała, jak nosi go po kątach pałacu.

Jej dwór składał się z pięknych, wytwornych, wesołych kobiet - swobodnych w obyczajach i mowie. Całe młode i eleganckie towarzystwo arystokratyczne Ignęło do Anny. Ludwik, czując się w takim otoczeniu skrępowany, tym częściej wybuchał.

Młody władca, kiedy chce być sobą, ucieka ze swoimi prymitywnymi myśliwymi w lasy i pola i z pasją poluje. Tam też w ostępach, w głuszy, gdy uważa, że jest sam, wygłasza skomplikowane tyrady. A poluje systematycznie: co poniedziałek, środę i sobotę. I tak ni stąd ni zowąd jego powiernikiem zostaje oddany mu sokolnik nazwiskiem Luynes - młody

Prowansalczyk bez przeszłości i bez poparcia kół dworskich. Luynes widocznie rozumie skomplikowaną sytuację psychiczną króla, który jedynie przy nim nie wstydy się jąkać i za to niezwykle zaufanie pana ofiaruje mu siebie samego. Stara się też uprzedzać każde życzenie króla.

Nic więc dziwnego, że kariera dworska młodego Prowansalczyka była błyskawiczna i doprowadziła go w krótkim czasie do stanowiska pierwszego ministra w królestwie francuskim; może być porównywana jedynie z karierą Buckinghama. Gdyby nie nagły zgon Luynesa, z pewnością kardynał Richelieu długo by jeszcze czekał na swoją szansę, tym bardziej że Ludwik XIII purpurata nie lubił. Jeszcze kilka miesięcy przed jego nominacją mówił z niechęcią: „On za dużo przeciwko mnie przedsięwziął, on jest do gruntu fałszywy”. Kiedy jednak pozostał sam i stan inercji polityczne królestwa zaczął się pogłębiać, zwyciężył rozsądek i król - jak ktoś to patetycznie powiedział - przywołał do swego boku geniusze nazwiskiem Richelieu.

Annie Austriaczce sprawy państwowe były obce. Nie posiadała zmysłu politycznego ani wyobraźni władcy, o czym mieli przekonać się poddani aż nadto dotkliwie, gdy po śmierci męża została regentką. Dla niej całym światem był jej rozplotkowany dwór. Buckingham miał wkrótce trafić w tryby tego kobiecego młyna. A ponieważ księżę jej się zwyczajnie podobał, uczyniła wszystko, by tą wiadomością poruszeni zostali zarówno jej małżonek, jak i dwaj oficjalni, niejako urzędowi wielbicieli, księżęta Montmorency i Bellegarde. Ci ostatni rychło podnieśli odpowiedni huczek towarzyski, natomiast Ludwik XIII najnormalniej wpadł w szaf.

Mówiono kiedyś o ośmiu dniach paryskich Buckinghama, tak długo trwały w stolicy uroczystości, podczas których - jak chcą niektórzy pamiętnikarze i nasza znakomita stylistka, pani de Motteville - kontakty królowej z księciem zacieśniły się. Faktem jest, że angielski dandys oczarował wówczas wszystkie kobiety, zaś podrażnieni w dumie mężczyźni najchętniej dokonaliby na nim samosądu. W tych ośmiu dniach sława księcia przeszła wszystkie stopnie popularności: od uwielbienia do nienawiści.

Statecznym paryskim mieszczanom jawił się ten zalotny Anglik w postaci jeźdźca-Apokalipsy. Na wszelki wypadek woleli swoją kobietę trzymać w domu. Rozwiązyły fraucymer królowej robi) wszystko, ażeby wysokim zakochanym umożliwić tete-a-tete. Pani de Motteville, zaufana królowej w owych czasach, nie kryje w swoich intrygujących pamiętnikach, że Anna Austriaczka „lubiła igrać z ogniem zakazanej miłości”.

Drugiego czerwca 1625 młoda królowa angielska, Henrietta Maria, rozpoczyna wreszcie podróż do swojej nowej ojczyzny. Ludwik XIII zatrzymuje się w Fontainebleau. Królowa-matka i Anna Austriaczka, w myśl przepisów dworskiej etykiety, wyruszają inną aniżeli Henrietta Maria drogą „w stronę Anglii”, a właściwie w stronę Boulogne-sur-Mer. W Montdidier koronowane panie spotkają się znowu. Zanim jednak kawalkady ślubne wyruszą w podróż nad kanał La Manche, podenerwowany do ostatniego stopnia, zazdrosny król wydaje królowej i całemu jej fraucymerów surowy zakaz spotykania się z Buckinghamem. Widzenie z nim będzie możliwe tylko podczas oficjalnych ceremonii.

W Montdidier rozkazu przestrzegano rygorystycznie; podobnie rzecz miała się początkowo także w Amiens. I chociaż tam tańczono zaś centralną postacią balu był - jak zwykle - Buckingham, to jednak mimo uporczywych wysiłków Anglika do zbliżenia nie dochodziło. Nadszedł jednak czerwcowy zmierzch i królowa udała się dla ochłody do pałacowego parku. W spacerze do kwitnącej altanki towarzyszyła jej jedynie pewna - zakochana w lordzie Holland - dama dworu. Ona to też doprowadziła wcześniej Buckinghama tajemną ścieżką do ukrytej parkowej furtki. Obie damy znajdujące się w kwitnącej altance osłaniał szambelan dworu, który jednak, gdy nadszedł księżę, dyskretnie się wycofał.

Anna Austriaczka spacerując z Buckinghamem w pewnym momencie znalazła się z nim sam na sam w zacisznym miejscu. I oto z tego miejsca dało się po chwili słyszeć głośne

wołanie królowej o pomoc. Zewsząd zaczęli zbiegać się zaaferowani dworacy; pierwszy przybył z dobytą szpadą szambelan, próbując ująć Buckingham, ale ten wykorzystał ogólne zamieszanie i ulotnił się „po angielsku”.

Pamiętniki z tamtych czasów pełne są sprzecznych relacji na temat tego romansowego zajścia w pałacowym ogrodzie.

Królowa-matka daje wreszcie przyzwolenie na dalszą, samotną już podróż Henrietty Marii. Ostatnia żegna przyszłą królową Anglii Anna Austriaczka. Karoce obu dam zatrzymują się drzwi w drzwi. Z cienia wyłania się Buckingham, który klęka, jakby chciał przeprosić adorowaną królową za niezbyt chlubny parkowy wyczyn. Woźnice zacięli konie, pożegnanie zostało zakończone.

Po przybyciu do Boulogne zakochany książę nie może sobie darować tej niespełnionej okazji. Zła pogoda, nasycone wilgocią powietrze przedłużały w nieskończoność oczekiwanie na zaokrętowanie bagaży dostojnych podróżników; tymczasem kurierzy bezustannie krążyli między królową-matką a Henriettą.

Wykorzystując fakt, że nadszedł od króla Jakuba list do Marii Medycejskiej, Buckingham postanawia sam go jej doręczyć. Samowtór z Hollandem przebył w ciągu jednego dnia trzydzieści mil dzielących Boulogne od Amiens. Kazał się też zaraz zameldować u królowej-matki, odpoczywającej w łóżku po upuście krwi, i został bezzwłocznie przyjęty.

Kiedy z kolei wieść, że do Amiens powrócił Buckingham, doszła do Anny Austriaczki, miała podobno wykrzyknąć: „Co, znowu tu jest? Miałam nadzieję, że raz na zawsze uwolniłam się od niego”.

Księżciu nie brakowało wszakże sprytu i kazał się anonsować, jako kurier króla angielskiego, a więc - jak ktoś powiedział - „osoba na nowo oficjalna”. Poprosił też o audiencję u królowej Francji; która - czując się tego dnia niezdrowa - pozostawał także w łóżku. Anna Austriaczka zapytała na wszelki wypadek teściowej, czy może przyjąć tego fanfaronu w dezabilu.

Wdowa po Henryku IV odpowiedziała z całkowitym spokojem „Dlaczegoż by nie? Przecież ja uczyniłam to samo”.

Buckingham dopuszczony został więc do królowej, którą otoczył kordonem cały jej fraucymer. Rozkapryszony Anglik, widząc taką wdzięczną publiczność, postanowi odegrać bulwersująca przedstawienie. Niczym wzgardzony kochanek rzucił się nagle na kolana, wykrzykując swoje żale boleściwym głosem.

Anna Austriaczka podjęła tę komedię, przybierając z kolei postać prześladowanej niewinności. Z dobrze wyakcentowany) gniewem pokazała mu drzwi. Buckingham posłuchał, lecz następnego dnia pojawił się ponownie. Mógł królową zobaczyć, ale nie potrafił się do niej zbliżyć. Przygotowane tyrady nie trafiły do słuchaczy. Bez cienia czułości, nawet bez pożegnania musiał dosiąść konia i udać się w drogę powrotną.

Po latach - wspomina pani de Motteville - kiedy Buckingham nie było już na świecie, a jego kawalerską sławę napoczęły mole Anna Austriaczka nie potrafiła ukryć żywiołowego rozbawienia na wspomnienie tej sypialnianej sceny.

Natomiast słynną opowieść o diamentowych spinkach, ofiarowanych przez królową francuską angielskiemu księżciu, która tę relacją poczyniła tyle zamieszania w powieści Dumasa, odnotował w swoich pamiętnikach znakomity pisarz, filozof i moralista Francois de La Rochefoucauld. Autor głośnych „Maksym” miał zaledwie dwanaście lat, gdy opisywane przez nas zdarzenia miały miejsce. Uważał on iż szpiegiem kardynała była hrabina Carlisle - u Dumasa Milady Winter - która rzekomo na balu odcięła Buckinghamowi diamentowe spinki, by skompromitować królową. Dumas wcale wiernie trzymał się relacji La Rochefoucaulda Wmieszał w to jedynie muszkieterów oraz melodramatyczny romans lady Winter z Feltonem - zabójcą Buckingham. Ile w pamiętnikach autora „Maksym” było prawdy, a ile zmyślenia trudno dociec.

Za dużo jednak nadal w tych opowieściach literatury. A może to po prostu Andre Maurois ma rację, twierdząc: „Gdy Buckingham ostatecznie zrozumiał, że nie uda mu się nawiązać świętego sojuszu między Karolem I a Ludwikiem XIII, zemścił się na królu francuskim nie wtajemniczonym w wewnętrzne tarcia angielskie, publicznie zalecając się do jego żony, Anny Austriaczki”.

Znienawidzony przez naród Buckingham zginął 23 sierpnia 1628 z ręki bliżej nieznanego porucznika Feltona, z którym miał zatarg.

Król angielski patrzył z okien swojego pałacu na radość londyńczyków, pijących za zdrowie zabójcy. Groziła profanacja dostojnych zwłok przez wzburzony tłum; trzeba było zatem po kryjomu pochować księcia, który za życia chciał być równy królom. W chwili śmierci liczył zaledwie trzydzieści sześć lat.

## INTYMNOŚĆ SZEKSPIROWSKA W SASKICH DEKORACJACH August II Mocny i Aurora von Königsmark

...bardzo lubił kobiety, mówił mi, że towarzystwo ich jest mu potrzebne, aby złagodzić surowość jego myśli i zatrudnić tkiwość jego duszy. „Mam (powiadał) Tacyta w głowie, a Tihulla w sercu”.

### CHAMFORT

W wytwornym szeregu dobrze urodzonych ekscytujących liczne dwory Europy - kochanek Augusta II Mocnego wyjątkowe miejsce zajmuje Aurora von Konigsmark. Nie dlatego, że była pierwsza, ale że żadna z następnych nie dorównywała talentom jej umysłu i serca. Właśnie te zalety być może - spowodowały, że nie została ani uwięziona, ani brutalnie odsunięta i wymazana z królewskiej pamięci. August „galante - jak go poniektórzy nazywali - utrzymywał z nią poprawne kontakty aż do jej śmierci w 1728 roku.

Podobno Aurora już jako pięcioletnia dziewczynka wyróżniał się niezwykłą urodą, dlatego otoczenie wróżyło jej wspaniałą przyszłość. Ale - o dziwo - gdy dojrzała do małżeństwa, jakoś nie było widać ubiegających się o jej rękę godnych kawalerów; jakby zostali porażeni albo onieśmieleni jej urodą. A może na przeszkodzie stanęła po prostu wybitna inteligencja tej młodej dziewczyny?

Dociekliwy, ale i złośliwy Wolter, znajdujący się pod jej urokiem, miał dla Aurory tylko słowa podziwu: „Ta kobieta, słynna w świecie dzięki swemu umysłowi i wielkiej urodzie, była sprawniejsza od jakiegokolwiek ministra... Spośród licznych zalet, w których osiągnęła doskonałość, a które uczyniły z niej najbardziej taktowną i miłą kobietę w Europie, wyróżnia się owa zadziwiająca łatwość opanowywania licznych obcych języków; posługiwała się nimi w taki sposób, jakby należały do jej ojczystego, chociaż do wielu krajów nigdy nie dotarła; zabawiała się też często pisaniem wierszy po francusku, które można było przypisać osobie urodzonej w Wersalu...”

Ponieważ Aurora von Konigsmark jako pierwsza ubiegała się o widzenie z saskim elektorem i wręcz go do tego spotkania przymusiła siła, złe języki oczerniały ją na różne sposoby. Najgorsze spośród kursujących pomówień brzmiało, że Aurora swoje miłosne szczęście z drezdeńskim księciem zbudowała na tragedii brata.

W tej obmowie było wiele prawdy. Przecież to właśnie tajemnicze zniknięcie hrabiego Filipa kazało siostrze przedsięwziąć podróż do Saksonii i uporczywie pukać do bram elektorskiego pałacu. Poznanie miało zatem bogate odniesienia dramatyczne i toczyło się początkowo w stylu królewskich kronik Szekspira. Potem jednak, kiedy rozpoczął się romans, kochankowie nagle zapomnieli o nieszczęśliwym Filipie. Nie dotykano nawet mimochodem tej podstępnej śmierci, jak gdyby był to temat zabroniony. W każdym bądź razie psuły na pewno upojny nastrój.

Aurora von Königsmark mieszkała wprawdzie w małym hanowerskim miasteczku Stade, a następnie w Hamburgu. Jej ojcem był zubożały hrabia Konrad Christian - wyższy oficer w służbie duńskiej - zaś matką - córka szwedzkiego feldmarszałka Wrangla. Ojciec Aurory zginął podczas oblężenia Bonn, gdy ona miała zaledwie pięć lat. Od tego smutnego zdarzenia hrabiowska rodzina Königsmarków zaczęła prząść bardzo cienko. A przecież ambitna córka walecznego Wrangla zatroszczyła się o wcale rzetelne wykształcenie swoich dzieci.

Przedsięwzięła nawet podróże do Sztokholmu, Hanoweru i Brunszwiku, by zaprezentować swoje dorosłe córki na tamtejszych dworach książęcych i starać się dla nich o właściwe parantele. Udało się to w stosunku do starszej córki, która w Szwecji zawarła rzeczywiście intratny mariaż, wychodząc za mąż za hrabiego Löwenhaupta; jednak młodsza, Aurora, choć piękniejsza, wędła nadal w panieństwie.

Natomiast ich braciszek, hrabia Filip, wstąpił do służby żołnierskiej u saskiego elektora. Ale wkrótce zaczął zaniedbywać swoje obowiązki na rzecz romantycznej miłości do młodszej księżny hanowerskiej, Zofii Doroty, rychło zyskując jej wzajemność, jako że małżonek kurprinz spędzał większość czasu z faworytami.

Kiedy namiętność stała się zbyt głośna - któregoś dnia Filip Königsmark zniknął i ślad po nim zaginął. Po wielu latach wyszło na jaw, że został podstępnie zamordowany, gdy nad ranem opuszczając pokoje księżniczki kierował się do wyjścia ustronnym korytarzem. Zmasakrowane ciało zamurowano prawie natychmiast pod schodami w mało zamieszkałym skrzydle pałacu.

Zaniepokojona tajemniczym zniknięciem brata Aurora przystąpiła do energicznych poszukiwań. Wprawdzie udała się na dwór hanowerski, ale nie uzyskała nawet posłuchania. Nikt ze służby ani z najbliższego otoczenia księcia nie chciał w ogóle z nią rozmawiać. Unikano jej jak ognia. Tylko służba Filipa, mająca w rozpytywaniu o swojego pana więcej szczęścia, informowała, że zdradzony książę-elektor, Ernest August, nasłał na hrabiego czterech drabantów, którzy w sposób okrutny go usiekli. Natomiast niewierną małżonkę trzymał początkowo zamkniętą w jej pokojach, a następnie uwięził w zamku w Launauenau, surowo separując od świata. Wytoczył jej nawet proces, który wprawdzie niczego księżnie nie udowodnił, ale zdecydował o rozwodzie, mimo że uwięzionej nie wrócił wolności. Przeniesiona z kolei do twierdzy w Ahlden, żyła jeszcze trzydzieści dwa lata. Zofia Dorota była najmłodszą córką „króla zimowego” i Elżbiety Angielskiej. Płynęła w niej zatem po matce krew Stuartów. Dlatego właśnie jej syn, Jerzy Wilhelm, powołany został na tron angielski (1714) i dał początek obecnie panującemu w Anglii domowi.

To jednak dzieje późniejsze.

Aurora natomiast, nie wskazawszy niczego w Hanowerze - pokazano jej bowiem przysłowiową zimną łopatkę - postanowiła poszukać pomocy u saskiego księcia-elektora, który był przecież chlebodawcą i przełożonym usiecnego Filipa. I tak się rozpoczął jej wielki romans: od morderstwa.

August Mocny przyjął nadobną petentkę z niezwykle przepychem w mniejszej sali audiencyjnej. Ubrany był według najnowszej francuskiej mody: opięty w atlas wyszywany złotem, w krótkie do kolan spodnie, jedwabne pończochy i buty z ozdobnymi klamrami, a chcąc podkreślić, że jest synem Marsa, założył na pierś złoty półpancerz. Gdy podniósł się ze złoczonego fotela imponował słusznym wzrostem i silną budową ciała, a jego jasnoniebieskie oczy i lekko wydęte czerwone usta wyrażały samozadowolenie i wielką pewność siebie. Celebrował swój majestat.

Aurora von Königsmark wystąpiła w głębokiej żałobie, która jakże przemyślnie podkreślała jej niepokojącą urodę. Zobaczywszy postawę Augusta, o którym mówiono, że z łatwością łamał podkowy, udała zachwycenie półbogiem, padła na kolana i starała się go pocałować w rękę, jak nakazywał dworski rytuał. I ta klęcząca piękność w czerni złamała kochliwe serce młodego księcia-elektora. A chociaż sądził, że to on w tym podboju zostanie

łowczym, rola zwierzyny przydzielona została mu już w tym momencie, gdy przy pomocy swoich kamerdynerów przywdziewał złoty półpancerz, ostatni element uroczystego stroju.

Początkowo schadzki zakochanych były mocno zakonspirowane. Aurora przywołała do Drezna nawet swoją siostrę, hrabinę Lowenhaupt, by usprawiedliwić wystawny tryb życia, za który płacił zupełnie kto inny...

Przed plotkarskim drezdeńskim dworem nic się nie dało ukryć, wkrótce zaczęto głośno mówić o tajemniczych odwiedzinach, które „Ktoś” składa hrabinie Aurorze, nadmieniając tajemniczo i dwuznacznie o spotkaniach Marsa z Wenerą. Wreszcie zakochany August „galante” dał upust swej namiętności i zaczął rezolutnej damie swego serca składać hołdy oficjalne, organizując nie kończące się bale, przyjęcia, maskarady, kuligi z płonącymi pochodniami, festyny na łonie natury, widowiska, w których nierzadko występował to jako zwycięski wódz, to znów jako sentymentalny pasterz...

Podczas tego korowodu uciech, w temperaturze wysokiego uniesienia miłosnego, kto by tam myślał o ponurej tragedii w posepnych murach hanowerskiego zamczyska. Nic poza miłością w tej chwili się nie liczyło. Biada zatem temu, kto chciałby przerwać albo tylko zakłócić potok bezustannych zaklęć i wzajemnych wyznań.

Na krwi serdecznej nieszczęśnika postawiła rozwiązłą łożnicę, mówili zazdrośnicy, wytykając jej równocześnie, że była już - jak owe czasy - starą panną, gdy trafiła na dwór drezdeński. Istotnie, Aurora von Königsmark, urodzona w 1662, choć starała się wszelkimi sposobami obniżyć swój wiek - fałszując między innymi metrykę - nie potrafiła zatkać ust prawdomówcom. Z właściwych obliczeń wynikało bowiem, że była aż o osiem lat starsza od swego kochanka. W każdym bądź razie w najbliższym otoczeniu elektora mówiono przypoehlebnie, że byli prawie jednoratkami, sugerując delikatnie, że to „prawie” wcale nie odnosi się do miłościwie im panującej Wenery.

August chyba w odpowiednim momencie dowiedział się, jak w istocie rzecz metrykalna wygląda. Ale czy który zakochany - w pierwszym porywie - zagląda swojej bogdance do aktu urodzenia? Aurora imponowała mu nie tylko dojrzałą, kobiecą urodą, ale i rozważą w ferowaniu sądów. Umiejętnie podsycala jego dumę, wmawiając wiele talentów, których ów próżny człowiek wcale nie posiadał. Nade wszystko podtrzymywała go w dążeniach do korony polskiej, ponieważ spostrzegła, że była to na razie tylko swoista Schwarmerei - mało realne marzenie.

Politycznym i towarzyskim taktem, a gdy trzeba było uległością, potrafiła zjednać sobie nie tylko księżną matkę, ale nawet - do pewnego stopnia - żonę kochanka. Tak się złożyło, że wszystkie bliskie temu Wettinowi kobiety podobnie jak on marzyły o koronie polskiej. W tym czasie Rzeczypospolita nie była jeszcze bezwolnym organizmem, o którym napisze przed elekcją kolejnego Sasa minister spraw zagranicznych Francji, duc de Praslin, że „nie jest ani republiką, ani monarchią, a łączy błędy despotyzmu i anarchii, skoro poddani są niewolnikami, a panowie - niepodlegli, nie może mieć ani wojsk, ani finansów, ani handlu... Jest to w układzie politycznym ciało całkowicie bierne, które nie może być groźne ani pożyteczne dla żadnego mocarstwa”.

Pod koniec XVII wieku wszechobecna jeszcze była pamięć o wielkich wojennych sukcesach Jana III Sobieskiego. Ta korona mogła stać się prawdziwą ozdobą na głowie każdego panującego i teoretycznie stwarzała nieograniczone perspektywy.

Blisko cztery lata Aurora von Königsmark panowała na dworze Augusta jako wszechwładna faworyta i pierwszy doradca. Z tego miłosnego związku przyszło na świat dziecko płci męskiej. W drugiej połowie 1696 roku Aurora wycofała się do górskiego miasteczka Goslar, by ukryć swój stan.

W miejscowej księdze parafialnej znajduje się następujący zapis: - Dnia 28 października 1696 wieczorem między 7 a 8 godziną urodził się wytwornej pani w domu Winkela synecek,



ochrzczony wieczorem w domu magistra Alby i jako Maurycy (Moritz) został oddany pod opiekę Pana Jezusa”.

W czasie narodzin syna August Mocny przebywał w Wiedniu gdzie prowadził meandryczne gry i podchody polityczne. Finalizował się także jego sen o polskiej koronie. Kiedy tylko Aurora zauważyła, że staje się swemu kochankowi coraz to bardziej obojętna, przeniosła się bez rozgłosu do zakładu dla dobrze urodzonych dam i panien w Kwedlinburgu, postanawiając ubiegać się o stanowisko przełożonej (Propstin) tej intratnej fundacji. Przy pomocy księcia-elektora, ucieszonego jej bezkonfliktowym odejściem, mogła liczyć na znacznie więcej. Wiedziała jednak, co czynił tytuł Propstin brzmiał nobliwie, kojarzył się z duchowną osobą i skutecznie zacierał dwuznaczną przeszłość.

August II Mocny uznał Maurycego za syna zrodzonego z nieślubnego związku i nadał mu tytuł marszałka saskiego - Marechal de Saxe. Chłopak wzrastając stawał się coraz to bardziej podobna do swego królewskiego ojca i od najmłodszych lat popisywał się niezwykłą siłą, która zdumiewała. W odróżnieniu od Augusta okazał się wybitnym, wręcz wielkim wodzem.

Wojaczkę rozpoczął wcześniej. W 1711 towarzyszył ojcu na Pomorze przeciw królowi szwedzkiemu, Karolowi XII, którego uwielbiał i próbował później naśladować.- W bitwie z Karolem dowodził oddziałem kawaleryjskim, podrywając go trzykrotnie do beznadziejnego natarcia; trzykrotnie też przeciwnik ubijał pod nim konia. W 1717 pod dowództwem księcia Eugeniusza Sabaudzkiego brał udział w wojnie przeciwko Turcji. Od 1720 przebywał w służbie francuskiej, która przyniosła mu buławę marszałka polnego i wiele bardzo wysokich odznaczeń i wyróżnień.

Marzyła mu się jednak przede wszystkim korona i udzielne księstwo. Cel marzeń omal się nie spełnił: w 1726 obwołany został księciem Kurlandii, ale w osadzeniu na tronie przeszkodziły mu Polska i Rosja. Po powrocie do Paryża odniósł dla Francji sporo błyskotliwych zwycięstw - najświetniejsze pod Fontenoy (1745) i Raucoux (1746). Dowodził także armią francuską w sukcesyjnej wojnie austriackiej. W miłości był równie niestały jak jego ojciec.

Aurora, choć usunęła się do Kwedlinburga, prowadziła ze swoim byłym kochankiem wprawdzie rzadką, ale dosyć regularną wymianę myśli i jak tylko mogła starała się być użyteczna. W zamian oczekiwała tylko dowodów sympatii, poważania i oczywiście gratyfikacji pieniężnych, by mogła budować wielkość syna.

Miejsce Aurory przy boku elektora zajmowały kolejne faworyty. Jako pierwsza pojawiła się złotowłosa hrabina Esterle de domo Lamberg, która doczekała się koronacji Augusta na króla polskiego. Dla niej zresztą to wielkie zdarzenie było zarazem początkiem rychłego końca. Nowy pan Warszawy i Krakowa szybko zwrócił uwagę na swoje słowiańskie poddane i prawie że z marszu wziął do łóżnicy piękną Polkę o orlim profilu, Urszulę Katarzynę Lubomirską żonę Jerzego Dominika Lubomirskiego, podkomorzego wielkiego koronnego. Nowa kochanka liczyła lat zaledwie osiemnaście, a przejawiając od najwcześniejszej młodości przeogromny spryt z powodzeniem wodziła za nos wpierw męża, a później swego królewskiego wielbiciela.

Lubomirską zastąpiła najstępniejsza z faworyt Augusta zżerana ambicjami hrabina Cosel, z którą też najjaśniejszy obszedł się wyjątkowo surowo, bo uwięził do końca życia w twierdzy Stolpen. A potem były, oczywiście, kolejne i następne - dopóki Mocnego nie powaliło silniejsze od niego fatum.

Aurora von Kónigsmark wiedziała, że z urodą młodszych od siebie faworyt nie może rywalizować. Starła się zatem zdobyć status kobiety rozważnej, kroczącej - od momentu znalezienia się w kwedlinburskim zakładzie - jedynie drogą cnoty. Odrzucała zatem nawet bardzo ponętne propozycje małżeńskie, których teraz wcale, choć już przekroczyła trzydziesty piąty rok życia, o dziwo, nie brakowało. Podobno wśród starających się był nawet dzielny książę - Chrystian Ulryk Wirtemberski.

Zarówno w Dreźnie, gdzie zatrzymała swój dom, jak i w Kwedlinburgu prowadziła elitarny salon towarzyski, w którym podejmowała gości znaczących i w opinii dworskiej arystokracji nieskazitelnych. Składano Aurorze hołdy, bo wiadano, że król nadal zasięga jej zdania, a i ona nie pozostawała bez wpływu na jego osobę.

W Kwedlinburgu złożył jej na przykład wizytę syn cara Piotra I, wielki książę Aleksy, ze swoją małżonką, księżniczką brunszwicką. Na ich cześć zorganizowała Aurora zabawy i sielanki pasterskie, pokazy sztucznych ogni i wspaniałe uczty. Może właśnie u tej byłej faworyty saskiego pana przeżył młody Aleksy ostatnie, naprawdę radosne chwile w swoim życiu, bo po powrocie do ojczyzny czekała go z rozkazu ojca okrutna, męczeńska śmierć.

Takie wystawne życie kosztowało, zaś obecny budżet przełożonej zakładu dla dobrze urodzonych pań nie pozwalał na wiele. Poza tym pełen temperamentu syn nieraz już sięgał aż do dna matczynej kiesy. Niewątpliwie przedłaby bardzo cienko bez pomocy byłego kochanka, który ciągle zdawał się wierzyć w jej polityczny instynkt. Gdyby nie potrzebował tej kobiety, o apanażach nie byłoby mowy.

I August II Mocny nieraz korzystał z jej dyskretnych misji, kontaktów i dyplomatycznego pośrednictwa.

W roku 1702, kiedy zauważył, iż nie poradzi sobie z królem szwedzkim, Karolem XII, którego nieopatrznie sprowokował do wojny, postanowił zawrzeć z nim pokój za wszelką cenę. By przedwcześnie nie urazić sprzymierzonego z nim cara Piotra III zdecydował się prowadzić pertraktacje w sposób niekonwencjonalny. Tę delikatną misję powierzył właśnie Aurorze.

Biedna, starzejąca się Kónigsmark, wnuczka szwedzkiego feldmarszałka, pospieszyła do Karola aż na Litwę. Młody król nie był jednak łasy na kobiecie wdzięki, wręcz przeciwnie - uchodził za niepoprawnego antyfeministę. Nie udzielił też Aurorze widzenia choć wstawił się za nią gorąco jego zaufany - hrabia Piper, I nakazał, by oddaliła się z obozu.

Wysłanniczka polskiego króla do polecenia zastosowała się, ale też z powierzonej jej misji nie zrezygnowała i postanowiła spotkać się z Karolem, zastępując mu drogę podczas codziennej przejażdżki konnej - niby to niespodziewanie. Jeszcze wierzyła w siłę swej urody i w swoją aktorską zalotność. Zawsze dotąd - kiedy tylko chciała - odnosiła sukcesy.

Wolter w swoim dziele „Histoire de Charles XII, Roi de Suede” tak tę scenę opisał: „W istocie spotkała go na bardzo wąskiej drodze; skoro go tylko dostrzegła, wysiadła z powozu; król uklonił się jej i, nie wypowiadając ani słowa, odwrócił momentalnie konia, tak że hrabina von Kónigsmark z tej podróży jeno takie zadośćuczynienie odnieść mogła, iż król Szwedów przeląkł się jej wdzięków”.

Aurora, podobnie jak podczas pierwszego spotkania z Augustem, odstąpiła gwałtownie powłóczysty szal, który skrywał jej twarz i opuściła go na ziemię, licząc, że młody król schyli się po niego, jak na rycerza przystało; zaś w zanadrzu miała starannie przepisane własne wiersze, sławiące bukietem słów niezliczone zalety ascetycznego Karola.

Wszystko na nic. Tym razem misja nie powiodła się. Najbardziej zmartwiona niepowodzeniem była jednak wysłanniczka. Po raz pierwszy przegrała jej uroda.

Aurora von Kónigsmark doczekała się upadku swej największej rywalki, hrabiny Cosel. Tuż przed śmiercią dotarła do niej wieść, że syn, Maurycy, został obwołany udzielnym księciem Kurlandii.; Po długich cierpieniach umarła na puchlinę wodną.

Zostawiła po sobie dobrą pamięć i przeogromne długi.

## CARSKIE WROTA NAMIĘTNOŚCI

Caryca Anna i Ernest Biron

W towarzystwie, w którym znajdował się pan Szuwałow, ekskochanek carycy Elżbiety, ktoś pytał o jakiś szczegół dotyczący się Rosji. Poseł Chabillant rzekł: „Panie Szuwałow, niech nam pan to opowie; musi pan wiedzieć, pan, który byłeś tamtejszą Pompadour”.

CHAMFORT.

Swego czasu powtarzano konfidencyjnie na dworach europejskich taką oto sensacyjną opowieść. Któregoś dnia 1709 roku syn ubogiego dzierżawcy pewnego kurlandzkiego szlachcica postanowił odmienić swój los i ruszył na poszukiwanie szczęścia do Petersburga. Nazywał się Ernest Biren albo Biron, najprawdopodobniej jednak Buhren. Początkowo spotykały go same rozczarowania i poniżenia, nic więc dziwnego, że popadał w coraz to większą nędzę. Nie miał bowiem zbyt wiele do zaoferowania, bo tak na dobrą sprawę znał się jedynie na koniach, które potrafił pielęgnować, a nawet ujeżdżać.

Mierzył wysoko. Rozpoczął zatem starania o służbę u następcy tronu jako koniuszy bądź też jako człowiek do posług przy gonitwach i polowaniach. Nie udawało mu się jednak dotrzeć do kogoś bardziej znacznego, a ponieważ strój miał biedny i zaniedbany, odprawiano go szybko i z kwitkiem.

Rozczarowany, miesiącami błąkał się po Petersburgu, popadając w coraz to większą frustrację. Nie wiedział doprawdy, co z sobą począć, choć instynktownie nadal uporczywie krążył w pobliżu pałaców możnych. Po uroczystościach ślubnych Anny - młodszej córki Iwana V - z księciem kurlandzkim, Fryderykiem Wilhelmem Kettlerem, znalazł się również w gronie gapiów, którzy otoczyli carski dworec z zamiarem przyglądania się pompatycznemu wyjazdowi młodożeńców do Mitawy. On też pochodził z tego grodu, który był stolicą książąt kurlandzkich, i chętnie by już - całkowicie pogiębiony - wrócił w jego okolice, ale w mieszkaniu nieszczęśnika panowała przeraźliwa pustka.

Wreszcie - poprzedzony licznymi brykami - wytoczył się z okazałej bramy pałacowej powóz z książęcą parą. Tłum, zobaczywszy młodych, urodziwych nowożeńców zaczął gromko wiwatować i podrzucać w górę czapki, chusty i co kto miał pod ręką. Zrobił się taki tumult, że przestraszone konie ruszyły gwałtownie z kopyta. Gdyby nie Biron, z pewnością poniosłyby niebezpiecznie, ponieważ nie przygotowany na taką reakcję woźnica - do tego podchmielony - spadł z kozła tracąc zupełnie głowę. Biron bez namysłu rzucił się ku przerażonym rumakom, skrócił gwałtownie uzdy i opanował sytuację. Gdy opamiętanie wróciło, wielki książę łaskawie zapytał Birona, czego sobie za swój bohaterski czyn życzy? Ten, spoglądając odważnie prosto w oczy pytającego, odrzekł:

- Poprowadzić powóz dalej, aż do Mitawy

Z książęcego woźnicy zdarto zatem szybko futro wraz z charakterystyczną niedźwiedzią czapą, przekazując te atrybuty powoźnego Bironowi, który z włóczęgi przeobraził się nagle w wyniosłego, arystokratycznego sługę.

Fryderyk Wilhelm Kettler rad był dokonanej zamianie, zwłaszcza kiedy odkrył, że ten jego „krajaniek” znał się nie tylko na koniach, psach i polowaniach, ale posiadał również obyczaje szlacheckie - potrafił się dobrze wysławiać i nieobca mu była galanteria.

Nieco później ojciec odważnego woźnicy przytomnie zadbał o to, żeby książęcej parze przedstawić genealogię własnego rodu, który choć zubożał, pieczętuje się nadal wartościowym klejnotem szlacheckim. Kto wie, czy to właśnie nie ta barwiona fantazja opowieść sprawiła, że uległ zasadniczej zmianie dworski status młodego Birona. Opromieniony odwagą, obecnie przebrany w szlacheckie szatki, przeobraża się niczym poczwarka z niedźwiedzięgo woźnicy w zaufanego powiernika książęcej pary. Przewrotni zazdrośnicy, których nigdzie nie brak, rychło i złośliwie wynaleźli mu jako zawołanie herbowe znaną łacińską maksymę: „Non sum, aqualis eram”, czyli „Nie jestem tym, kim byłem”.

Trudno dociec, czy już wówczas Bironowie powoływali się na swoje rzekome pokrewieństwo z wielce zasłużonym francuskim rodem, który w XI wieku tworzył historię i wydał znakomitych mężów. Prawdopodobnie tak; w każdym bądź razie z pewnością czyniono odpowiednie aluzje. I tak oto utrwałała się świetna rodowa legenda.

Należy przypuszczać, że dwór kurlandzki nie przejmował się zbyt mocno tą mistyfikacją: zawsze lepiej mieć faworyta o takich parantelach aniżeli bezimiennego hołysza. Marzenia inflanckich Bironów o pokrewieństwie z francuską mitrą książęcą miały się zresztą później ziścić - nie tyle de facto, co de jure - gdy przypadkowy woźnica stanie się pierwszą osobą przy cesarskim tronie.

Katarzyna II - jeszcze jako wielka księżna, żona następcy tronu - zanotowała, nie bez widomej złośliwości w swoich młodzieńczych pamiętnikach: „Dzierżawca ów nazywał się Biren, jednakże fawory, jakimi obdarzano jego syna w Rosji, sprawiły, że przyjęła go do swego rodu rodzina francuskich Bironów, uczyniwszy to za namową kardynała Fleury (pełniącego od 1726 za panowania Ludwika XV stanowisko pierwszego ministra - przyp. B.L.), który, schlebując próżności i miłości własnej księcia kurlandzkiego Birena, chciał pozyskać sobie dwór rosyjski”.

Nie uprzedzajmy jednak faktów. Na razie syn owego dzierżawcy pnie się coraz wyżej po stopniach domu panującego w Mitawie. Schlebia mu fakt, że może być człowiekiem do specjalnych poruczeń, a potem prawą ręką swego łaskawego pana. Nie zaniedbuje się również w posługach dla Anny Iwanowny, zaglądając jej w oczy - czasami aż nazbyt głęboko, choć zawsze z bezbrzeżnym oddaniem. Wkrótce wmówił wszystkim - nie wyłączając swoich chlebobawców - że jest człowiekiem do najtrudniejszych posług, a przy pewnych misjach wręcz niezastąpionym.

W roku 1711 umiera nagle Fryderyk Wilhelm, który nie zdążył: się nacieszyć ani małżeństwem, ani swoim kurlandzkim posłannictwem. Młoda wdowa bez namysłu zatrzymuje Birona, który dopiero teraz może w całej pełni zaprezentować swoją administracyjną przedsiębiorczość i towarzyską przydatność.

Anna Iwanowna nigdy nie zapomniła, że należał do grona osób szczególnie jej bliskich, które przybyły wraz z nią z ojczyznej Rosji. Ten fakt - z pominięciem uwłaczających szczegółów - często i chętnie podnosił wobec innych sam zainteresowany, podkreślając przy okazji służebne przywiązanie do księżnej. Poza tym Ernest Biron był niewątpliwie przystojnym mężczyzną; walory zewnętrzne podnosiła wrodzona inteligencja, a zwłaszcza dar szybkiej orientacji i oceny zdarzeń. W tym domu żałoby on jeden miał już jasno wytyczony cel, do którego postanowił dążyć zdecydowanie i bezwzględnie, za każdą cenę.

Na księżnę wywierał wpływ prawie magnetyczny. Aż dziw bierze, iż Anna Iwanowna, która obnosiła bardzo wyniosłe swoje cesarskie pochodzenie, tak łatwo uległa temu przyszywanemu szlachetce. Widocznie w pierwszych tygodniach po zgonie małżonka nie miała w swoim otoczeniu człowieka, na którym mogłaby się bez zastrzeżeń oprzeć. Nie wrosła jeszcze w nowe środowisko, w kurlandzkie układy arystokratyczne, w ten kraj pełen kontrastów i sprzecznych orientacji politycznych, szukający swojej tożsamości między mocarstwowymi dążeniami Rosji i Polski. Przecież zaledwie rok minął od chwili zawarcia związku małżeńskiego z Fryderykiem Wilhelmem, potomkiem starego rodu Kettlerów, panujących na tej ziemi od XVI wieku, kiedy to ostatni mistrz zakonu inflanckiego, Gothard Kettler (1517-1587), obwołał się księciem kurlandzkim i uznał za lennika polskiego króla.

W tych przełomowych dla niej i dla tego północnego kraju chwilach Ernest Biron, być może, okazał się mężem opatrnościowym.

Wypadki potoczą się teraz szybko. Zanim minie żałoba po panującym księciu, rozejdzie się powszechna plotka o prawie jawnym stosunku miłosnym Anny Iwanowny z jej doradcą. Oboje byli bardzo młodzi. Księżna kurlandzka liczyła zaledwie osiemnaście lat - urodziła się w 1693 - zaś jej kochanek wyprzedzał ją jedynie o trzy lata. Plotki i pomówienia wytworzyły

sytuację nader kłopotliwą. Dla uspokojenia opinii sięgnięto jak zwykle do mistyfikacji. Przede wszystkim postanowiono zaprzeczyć, jakoby coś między młodymi było, a jeśli zanosilo się na romans - to bardzo przelotny, który wcześniej wygasł niż się narodził. Postąpiono tak, gdyż nie można było przeciągać struny - tym bardziej że donosicielska poczta dotarła już z pewnością do cara Piotra I, który tego związku nie mógł aprobować. I choć Anna była tylko córką jego starszego, nieżyjącego już brata, w każdym bądź razie to Romanowna. Postanowiono też, że Ernest Biron wstąpi w związek małżeński.

Fakt ten ułatwić miał ponowne zaślubiny kurlandzkiej pani z wyznaczonym jej w przyszłości księciem krwi. Dla kochanków chwile te nie należały do łatwych. Dopiero co się odnaleźli w miłości, a już narzucać musieli sobie ograniczenia.

Sprawą ożenku Ernesta Birona zajęła się osobiście księżna. Spośród przedstawionych jej przez dwór kandydatek wybór padł na córkę barona Treydena, którego ród należał do najstarszej arystokracji kraju. Anna Iwanowna nie potrafiła jednak pozostać wielkoduszną do końca. No cóż, odezwała się młoda krew. Opinia publiczna ze zdumieniem przyjęła wiadomość, że księżna pani uwiła gniazdko nowożeńcom w mitawskim zamku, tuż za ścianą swoich apartamentów. Panującej osobie wszystko wolno. Pozory zostały zachowane. Jej faworyt miał teraz równie bliską drogę do żony jak i do kochanki.

Niewiele dzisiaj możemy powiedzieć na temat tego osobliwego trójkąta. Być może, iż w zamku mitawskim miały miejsce dramatyczne sceny zazdrości, ale - broń Boże - nie ze strony pokornej baronówny; stary Treyden wychował ją w należnym szacunku dla głów koronowanych. To Anna Iwanowna demonstrowała fumi, kiedy zauważyła, że Ernest zostanie szczęśliwym ojcem. Postanowiła też przytrzeć mu rogów.

Otóż w 1726 roku Maurycy Saski - naturalny syn Augusta II Mocnego i Aurory von Konigsmark - zdeklarował się jako kandydat do jej ręki i Anna tę ofertę z wielkim ożywieniem zaakceptowała. Przynajmniej tak to wyglądało na zewnątrz. Posunęła się nawet do tego, że za jej podpuszczeniem szlachta kurlandzka obwołała Maurycego księciem.

W tym momencie Biron poczuł się zagrożony. Najwyraźniej ziemia zaczęła mu się usuwać spod nóg. Zdawał sobie aż za dobrze sprawę, że wraz z przybyciem do Mitawy Maurycego, który należał do nader przystojnych i sławnych w Europie wodzów, skończy się jego, Ernesta, kariera, a nawet jego obecność na kurlandzkim dworze będzie niemiłe widziana. Kto wie, czy zostałby przez tego dumnego pana w ogóle zauważony. A jeżeli tak, to z pewnością w kontekście bardzo nieprzyjaznym.

Zagrożenie miało charakter totalny. Nie pozostawiało właściwie dotychczasowemu wybrańcowi losu żadnej szansy. Dlatego można Przypuszczać, że to sam były woźnica umiętnym donosem dyplomatycznym starał się przekonać rząd rosyjski o ambicjach syna króla polskiego, marzącego o usamodzielnieniu się Kurlandii, co by godziło w wiekowe wysiłki carskiej polityki, pragnącej podporządkować sobie te nadbałtyckie krainy.

Pod naciskiem Rosji, a także i polskiego Sejmu Maurycy Saski rezygnuje z oferowanej mu godności książęcej. - Nie próbował nawet o to udzielne władztwo specjalnie walczyć, chociaż całe życie będzie marzył o przywdzianiu korony. Cóż mógł począć, skoro nawet jego własny ojciec - jako król polski - wystąpił przeciwko niemu. Ważniejszy bowiem dla króla był rosyjski sojusznik aniżeli rodzony syn.

Na krótko przed tymi wydarzeniami Maréchal de Saxe związał romans z najslynniejszą aktorką francuską Adrienne Lecouvreur odnoszącą niebywałe sukcesy w Theatre Francais. Ta drobnej postury artystka o delikatnej, subtelnej urodzie zakochała się w silnym, pięknym, ale równocześnie jakże lekkomyślnym żołnierzu bezgranicznie. Gotowa była do wszelkich ofiar, a nawet i poniżeń, byle tylko znaleźć się w jego najbliższym otoczeniu. Należała do osób bogatych, więc - jak chcą niektórzy - sprzedała wszystkie swoje kosztowności, a zgromadzone pieniądze - cztery tysiące funtów - wręczyła ukochanemu, gdy wyruszał na

podbój kurlandzkiego księstwa. O tym, że do korony przypisana była Anna Iwanowna, w Paryżu się nie mówiło.

Szansa Maurycego rozwiąła się, zanim zdążył wkroczyć w polityczne szranki. Pod naciskiem Moskwy entuzjazm „ludu” dla nowego władcy wygasł zupełnie. Nie objawiała pierwotnego zainteresowania także księżna kurlandzka, która znalazła się już w nurcie innej orientacji państwowej. Nie mogło być inaczej.

Powróciła też Annie dawna namiętność do Birona. Po surowej lekcji nie zaniedba on już nigdy swoich powinności - także intymnych - wobec wysokiej dobrodziejki. Kochankowie próbowali sobie wmawiać, że to miłość z nową mocą rozgorzała w ich sercach, więc trzeba ją na wieczność ocalić. I rzeczywiście - w staraniach podtrzymujących owe niekonwencjonalne uczucie wykazali później prawdziwie heroiczną wytrwałość.

Maurycy Saski musiał chyba szybko zorientować się, że to kurlandzkie państewko całkowicie uzależnione jest od ościennych mocarstw, nie ma więc zbyt wielkich perspektyw na przyszłość. I do tego jeszcze ta niechciana żona. Gdyby mógł przewidzieć, co w Rosji nastąpi za cztery lata, nie dałby sobie z pewnością wyrwać tej pozornie lichej korony. Ponieważ mierzył bardzo wysoko, mógł Kurlandię traktować jako odskocznię do większych i wspanialszych królestw.

Tymczasem sytuacja polityczna zaczęła się komplikować. W 1725 umarł wskutek silnego przeziębienia Piotr I. Stronictwo arystokratów oraz niedawno wyniesieni dostojnicy, między innymi Mienszykow, powołali na tron żonę zmarłego cara, Katarzynę, która panowała zaledwie dwa lata. Po jej zgonie władzę objął, jako piotr II, syn zamordowanego Aleksego. Ten wnuk Piotra I, na którym kończył się męski ród Romanowów, miał zaledwie dwanaście lat, gdy przywdział koronę carów. I jemu też nie było pisane długie panowanie. Umarł na czarną ospę w roku 1730.

Za czasów jego „panowania”, kiedy to autentyczne rządy sprawowała Najwyższa Tajna Rada, złożona z arystokratycznych panów, największe wpływy uzyskiwała rodzina książąt Dołgorukich, którzy między innymi usunęli Mienszykowa z wszystkich urzędów i zesłali go - wraz z córkami i synem - na Syberię. Powzięli także zamiar ożenienia młodzieńczego cara z Katarzyną Dołgoruką. Nagła śmierć Piotra II pokrzyżowała ich dalekosiężne plany. Nigdy też nie mogli sobie wybaczyć, że nie przyspieszyli tego mariażu. Powiadano przecież: „Co innego narzeczona, co innego głowa namaszczonea”.

Normalną koleją powinna teraz wstąpić na tron najstarsza córka Piotra I, Elżbieta, lecz na wniosek Dołgorukich i Golicynów zaproponowano koronę młodszej córce Iwana V, Annie - aktualnej księżnie kurlandzkiej - sądząc, że przez ten niespodziewany wybór będzie im wdzięczna i powolna. Obwarowano się słynnymi „kondycjami”, czyli warunkami, od podpisania których uzależniono ewentualne wstąpienie na tron.

Kładły one kres absolutyzmowi monarszemu w Rosji. Rządy miała sprawować Najwyższa Tajna Rada, bez której zgody panujący nie mógł nakładać podatków, powoływać na wyższe stanowiska cywilne i wojskowe, nadawać dóbr ziemskich, przystępować do wojen lub zawierać pokój. Zażądano także, by przyszła carowa nie wychodziła za mąż i nie wyznaczała następcy tronu bez ich zgody. W wypadku, gdyby któryś z punktów „kondycji” nie został dotrzymany, można było Annę pozbawić korony.

Bazyli Dołgoruki, który przybył do Mitawy z misją Najwyższej Tajnej Rady zażądał jeszcze, by „hrabia Biron, szambelan jej wysokości”, nie pozostawał nadal w służbie przyszłej cesarzowej.

Anna Iwanowna nawet w najśmielszych snach nie marzyła o rosyjskiej koronie. Piotr I wydawał się być człowiekiem z żelaza, podobnie jak jego plebejska żona Katarzyna, która była córką litewskiego chłopca i nazywała się właściwie Marta Skawrońska. Istniał przecież młodzieńcy następcy tronu. Anna natomiast należała do bocznej linii panującej, dlatego po zamążpójściu ani razu nie była w Moskwie czy Piotrogradzie. Siedziała przez całe

dziewiętnaście lat w Mitawie jak u pana Boga za piecem i przędła - tak jej się przynajmniej zdawało - cichy romans z oddanym Bironem.

Po śmierci wielkiego Piotra odetchnęła z ulgą, bo cień tego zaborczego człowieka kładł się szeroką smugą na jej życiu. Marzyła tylko o spokoju dla siebie i dla tego intratnego księstwa, w których przyszło jej żyć i panować.

Oburzyły ją żądania, jakie przekazał Bazyl Dołgoruki, ale Ernest Biron, który w lot zwierzył ogromną, dziejową szansę, kazał jej wszystko podpisać. I tak się też stało. Po czym - najszybszymi końmi - przybyła Anna nadspodziewanie wcześniej do Moskwy. Okazało się na miejscu, że jej szambelan miał rację: „kondycje” nie wytrzymały nawet wstępnej próby czasu.

Szlachta i mieszczenie - oburzeni zuchwalstwem arystokratycznych rodów - zwrócili się do Anny zaraz po przyjeździe z prośbą, by przyjęła samowładztwo „takie, jakie mieli jej sławni przodkowie” i by własnoręcznie zniszczyła niedawno przez nią podpisany, hańbiący dokument.

Ernest Biron, który wbrew zakazom stołecznych mocodawców towarzyszył swej kochance w podróży do Moskwy, triumfował; podczas uroczystości koronacyjnych mógł nawet stać z podniesioną głową za jej fotelem. Najwyższa Tajna Rada przestała istnieć, zaś Dołgorukowie powędrowali na zesłanie do Bieriozowa - tej samej miejscowości na Sybirze, w której umieścili wcześniej Mienszykowa z rodziną.

I znowu w tym trudnym, przełomowym dla Anny Iwanowny okresie jej wyniesiony do urzędu szambelana woźnica okazał się człowiekiem nie do zastąpienia. Caryca Wszechrosji ślepo mu zaufała. Za jej zgodą został faktycznym samorządcą tego rozległego kraju. Niestety, okazał się człowiekiem okrutnym, niesprawiedliwym, wyniosłym i zachłannym.

Ludwik Bazylow w swojej „Historii Rosji” powiada: „Okres panowania Anny to jedno z najbardziej ponurych dziesięcioleci w dziejach Rosji”. Obojętna zupełnie wobec spraw państwowych, niewykształcona, ulegająca wyłącznie wpływom niemieckim Anna zajmowała się tylko życiem dworskim, balami i maskaradami. Właściwe rządy sprawowali Niemcy z Kurlandii, powoływani na różne wysokie stanowiska. Największe wpływy miał oczywiście Biron, który wprowadził system szpiegostwa i donosicielstwa, za<sup>o</sup> wzięcie tropił różnych prawdziwych i rzekomych przeciwników władzy i to tylko pośród Rosjan, których nienawidził. Sprawami tymi zajmowała się tzw. Tajna Kancelaria, utworzona jeszcze za Piotra I w celu ścigania przestępstw politycznych i zreorganizowana w roku 1730 setki i tysiące niewinnych ludzi torturowano, a potem wydawano wyroki - śmierci lub zesłania. Carowa aprobowała bez wahania wszystkie okrucieństwa Birona”. Pokorny sługa został satrapą. Czyżby te krwiożercze instynkty wyzwoliła w nim nieograniczona władza, jaką posiadał? Bajkowy bohater nie wybrał więc dobra, a przepoczwarzył się w postać odrażającą.

Dziesięć lat rządził Biron Rosją. Okres ten, trwający aż do śmierci Anny, nazwano później „bironowszczyzną”. Dostał najwyższych godności i zagarnął ogromne dobra. Wreszcie w marcu 1738 - po śmierci ostatniego z Kettlerów, Ferdynanda, gdy dynastia ta ostatecznie przestała istnieć - mógł dzięki woli carycy zostać księciem Kurlandii, czyli udzielnym władcą; zrównał się wówczas z rodami panującymi.

Musiał ten wybór zatwierdzić również i król polski, August III Sas, ponieważ Kurlandia stanowiła nadal formalnie lenno Rzeczypospolitej. Chcąc się przypodobać moskiewskiej pani, z największą powolnością mościł jej faworytowi drogę do książęcego tronu. Jakby zapomniał, że dwanaście lat temu godność ta miała przypaść jego przyrodniemu bratu. Z racji formalnej opieki, jaką nad tą krainą miała Polska, marzeniem Sasów było osadzenie w Inflantach swoich potomków. I gdy wreszcie nadarzyła się niebagatelna ku temu okazja, uległość i tchórzostwo Augusta III przekreśliło raz na zawsze te dynastyczne plany.

Także Maurycy Saski nie zwrócił głowy w stronę Kurlandii, jakby wiedział, że nawet od Francji, której tak znakomicie służył, nie uzyska poparcia dla swoich władczych zamierzeń.

Najbliżej Mitawy w ostatnich dziesięcioleciach byli zawsze carowie, choć z Moskwy do Kurlandii znacznie dłuższa droga aniżeli z Warszawy. Widocznie przyzwyczaili się już do wielkich odległości.

Upadek Birona nastąpił nagle i dokonał się w sposób brutalny i bezwzględny. Posłużono się jego praktykami, stosowanymi wobec najgroźniejszych przeciwników. Caryca Anna - jakby w przeczuciu przedwczesnej śmierci, która nastąpiła w 1740 roku - wyznaczyła swego następcę. Został nim wnuk jej starszej siostry, Katarzyny, syn księcia brunszwickiego Antoniego Ulryka, Iwan VI, który liczył dwa miesiące, gdy obejmował władzę, a rok, gdy ją utracił.

Regentem przy tym niemowlęcym imperatorze został oczywiście Ernest Biron. Gdyby może wcześniej dał się poznać jako człowiek sprawiedliwy, pozbawiony sadystycznych skłonności, może mógłby rządzić dalej krajem, a ustanowiona przez Annę nowa linia dynastyczna miałaby szanse przetrwania. Nie chciano jednak poddać się rządóm znenawidzonego człowieka.

Na czele spisku stanął feldmarszałek hrabia Mimnich, który jeszcze poprzedniego dnia deklarował poparcie faworytowi zmarłej carycy. Ale i on miał go już dosyć. Dopadnięto Birona nocą w jego sypialni. Pułkownik Mannstein, naoczny świadek napadu, napisał w swoich pamiętnikach, że wielkorządcę bito z rozmachem po głowie, ten zaś z desperacją bronił się i głośno krzyczał o pomoc. Miało to ten skutek, że zapchano mu gębę chustą, którą się zakrztusił, zaś jego małżonka, potrącana brutalnie, padając zemdląła.

Sąd spiskowców skazał księcia kurlandzkiego na śmierć, lecz wyroku nie wykonano, zamieniając go na dożywotnie, syberyjskie zesłanie do Pełymy. Po roku przeniesiono Bironów do Jarosławia nad Wołgą, gdzie spędzili dwadzieścia lat. W pamiętnikach Katarzyny II mamy taką adnotację na ten temat: „Cesarzowa Elżbieta rozkazała odwołać księcia z Syberii, dokąd został zesłany za regencji księżniczki Anny (księżniczka Anna była matką Iwana VI i została regentką po obaleniu Birona; panowała krótko, ponieważ i kolejny przewrót pałacowy wyniósł na tron córkę Piotra I, Elżbietę - przyp. B.L.) i wyznaczyła mu na miejsce zamieszkania miasto Jarosław nad Wołgą. Mieszkał tam z żoną, synami i córką. Ta ostatnia nie wyróżniała się ani urodą, ani zgrabną postacią, przeciwnie, była niska, o garbatych plecach, ale miała piękne oczy, odznaczała się rozumem i niezwykłą zdolnością do intryg”.

Katarzyna II, która odnosiła się do Bironów z wyraźnym sarkazmem, zwróciła im jednak w 1763 Kurlandię. Lennem Polski rządziła już wówczas jak jakąś gubernią nadwożańską. Biron panował w Kurlandii do 1772 - równie okrutnie jak ongiś w Rosji. Przymuszono go wreszcie do abdykacji na rzecz syna Piotra, który w roku upadku Rzeczypospolitej (1795) musiał także oddać Rosji księstwo kurlandzkie.

## KRÓLEWSKA TANCERKA

Fryderyk II i Barberina Campanini

Pan de Voltaire, bawiąc w Poczdamie, jednego wieczora, po kolacji, odmalował portret dobrego króla, jako kontrast z obrazem tyrana. Rozgrzewając się stopniowo, uczynił straszliwy opis nieszczęść, jakie cierpi ludzkość pod królem despotą, zdobywcą etc., Król pruski, wzruszony, uronił parę łez. „Patrzcie, patrzcie wykrzyknął Voltaire, ten tygrys płacze”

CHAMFORT

Kobiety w życiu Fryderyka II pruskiego - zwanego Wielkim - nie odgrywają prawie żadnej roli. Chociaż w młodości próbował się do nich zbliżyć, wszystkie te nieśmiałe kontakty zawsze miały dla obu stron konsekwencje nader smutne, a nawet posępne. Dla młodego następcy tronu start do dorosłego życia dworskiego rozpoczął się od osobistej



tragedii. Przebywając wraz z ojcem w Dreźnie na dworze Augusta II Mocnego w 1728 roku - skończył tam akurat szesnaście lat - oszołomiony przepychem tej rezydencji, w której rojno było od pięknych kobiet, od razu zaanektowany został przez piękności z kręgu hrabiny Orzelskiej - faworyzowanej córki polskiego króla.

Pewna wielka, światowa dama „nie przepuściła” młodemu pruskiemu prowincjuszowi. Jak domniemywa Stanisław Salmowicz, kronprinz Fryderyk przeżył w Dreźnie inicjację erotyczną. Skrzywiony psychicznie i wielce wrażliwy chłopak przyplącił to poważną chorobą i po powrocie do Berlina długo się leczył. Starsza siostra następcy tronu Zofia Wilhelmina - późniejsza margrabina von Bayreuth - przypomina w swoich pamiętnikach: „Od powrotu z Drezna pograżył się w czarnej melancholii. Zmiana usposobienia odbijała się na jego zdrowiu; chudł w oczach i często był tak osłabiony, że obawiano się suchot... Odgadnięto w końcu, że źródłem zła jest miłość. Od czasu swego pobytu w Dreźnie brat zasmakował w rozpuście”.

W tym fragmencie wspomnień dostojna dama mocno przesadziła. Wszystkie jej wynurzenia na temat umizgów braciszka do hrabiny Orzelskiej - które rzekomo „wzbudziły w królu polskim okrutną zazdrość” i August, „aby przerwać tę miłość, ofiarował mu piękną Fornarinę” - są zdecydowanie przesadzone i ubarwione wyobraźnią zahukanej, ale i stęknionej podniecających przygód dziewczyny.

Młody książę chorował raczej z powodu dziwnej niemożności. Kompletna niewiedza na temat swych właściwych skłonności ponownie doprowadziła do dramatu nieco później, kiedy przy pomocy swego adiutanta, lejtnanta von Ingerslebena, nawiąże bliższą znajomość z urodziwą Dorotą Ritter, córką kantora przy kościele św. Mikołaja w Poczdamie. Stworzy pozory wielkiego zaangażowania, ale do intymniejszego zbliżenia nigdy między nimi nie dojdzie.

Rozgniewany król, gdy mu doniesiono, że jego krnąbrny jedynak spotyka się nocami - a czasem i koncertuje - z jakąś mieszczańską córką, kazał ją natychmiast pojmać i publicznie wychłó-i stać. Potem szesnastoletnią Doris Ritter przewieziono do więzienia w Spandau, do pracy przy krosnach. Na zmianę decyzji nie wpłynął nawet fakt, iż - jak wykazały badania lekarskie - Dorota była i pozostała dziewicą.

Znacznie później, gdy Frederic de Prusse, już usamodzielniony, będzie przywabiał do siebie Woltera, w liście do francuskiego pisarza i filozofa napisze: „Kobiety roztaczają niewypowiedziany urok na otoczenie, nie mówiąc już o dworności tak potrzebnej w towarzystwie, której są nosicielkami. Bez nich każde towarzystwo jest mdłe”. Jednakże markizy du Chatelet - słynnej z urody i intelektu kochanki Woltera - dumny właściciel Sans-Souci nie chciał dopuścić do swego otoczenia. Pruski dwór królewski stawał się już wówczas „aż zanadto męskim”, co później miało stać się źródłem nieustających dwuznacznych plotek.

Młody władca ciągle jeszcze studiował równolegle technikę pisania wierszy oraz zasady sztuki wojennej; obydwie dziedziny w myśl wskazań francuskiej wiedzy, albowiem wszystko, co niemieckie, mierziło go nad wyraz; uważał to za prostackie. Jego uwielbianymi mistrzami byli: w dziedzinie wojskowości wielki Kondeusz, a w literaturze właśnie Wolter. Po wielkim poetyckim trudzie, w efekcie którego zrymował wiele tysięcy linijek, nadeszły popisy wojenne. Okazało się rychło, że Mars sprzyjał mu bardziej od Apollina.

Właśnie w pierwszych latach swego panowania - między jedną wojną śląską a drugą - Fryderyk II stał się sprawcą niezwyklej awantury: prawdziwego raptus puellae Stolica Prus, Berlin, była natenczas nudną, ascetyczną prowincjonalną mięściną, a cóż dopiero Poczdam - bardziej podobny do koszar niż do normalnego miasta, żyjącego rytmem rzemieślniczej pracy i handlem. Nowy król postanawia zatem ożywić intelektualnie swoje otoczenie; chce także mieć stolicę z prawdziwego zdarzenia, liczącą się w topografii miast panujących, nie odstającą zbytnio od Drezna, Wiednia czy Londynu.

Jako wielki miłośnik muz i filozofów kończy w 1743 budowę opery. Zabiega o dobrych aktorów i śpiewaków, bywa w garderobach artystów, uprawia nawet krytykę teatralną na łamach dwu pism, jakie - jedno w języku francuskim a drugie po niemiecku - wydawano w owym czasie w Berlinie. Stolica nie miała jednak prawdziwej gwiazdy artystycznej i młody król postanowił zaangażować do nowej opery najśłynniejszą tancerkę europejską, Barbenę Campanini rodem z Parmy. Zaoferował jej gażę trzykrotnie większą od wynagrodzenia ministra. Skonsternowani najbliżsi współpracownicy króla na zadane mu pytanie, czy aby nie przesada z tą hojnością, otrzymali odpowiedź: „Spróbujcie tylko zatańczyć tak jak ona, to pogadamy; także o pieniądzech”.

Suma, którą zaproponowano Barberinie, wynosiła siedem tysięcy talarów rocznie. Ponadto tancerka zastrzegła sobie w umowie, pięciomiesięczny urlop, który będzie mogła wykorzystać na podróże lub dodatkowe, gościnne występy gdzie indziej. Wynikało więc, że za każdy efektywnie przepracowany miesiąc otrzymywać miała tysiąc talarów - kwotę na owe czasy ogromną.

Tancerka mogła dyktować warunki, ponieważ cała Europa leżała u jej stóp. Paryż - zawsze krytycznie ustosunkowany do obcych - dosłownie szalał po występach Włoszki, która z samozaparciem i wyniośle odrzuciła karesy księcia Carignana. Podobno miała mu powiedzieć, że nawet sto tysięcy franków to zbyt mało za jeden pocałunek złożony na jej ręce. No cóż, książę, który mimo swoich lat prowadził życie nie tyle rozwiązało co na pokaz, bez większego żalu pogodził się z tą rekuzą.

Barberina Campanini podbiła także Londyn, gdzie jednak wykazała wcale spore upodobanie w Anglikach. Chłód arystokratycznych wyspiarzy działał na nią jak płomień. A może to wcale nie: był chłód?

Piękna tancerka - ciekawa świata i żądna sukcesów - podpisała z administracją króla Prus kontrakt, ale jego finalizacja - nie z jej winy - zaczęła się nagle oddalać. Można było przypuszczać, że berliński monarcha uległ chwilowemu kaprynowi. Skorzystał z sytuacji angielski arystokrata, lord Stuart Mackenzie, któremu udało się rozkochać w sobie słynną artystkę. Bywały w świecie, wiedział, czego można oczekiwać po pruskiej dyscyplinie, dlatego też gwałtownie sprzeciwiał się wyjazdowi Barberiny do Berlina.

Kochankowie uradzili, że uciekną do Wenecji, gdzie - jak sądzili - nie dosięgnie ich ręka potężnego Fryderyka. Tymczasem romans stawał się coraz głośniejszy. Europa plotkowała. I ta atmosfera nie do poznania odmieniła pruskiego pana, który teraz za wszelką cenę postanowił dopiąć swego i w pełni zrealizować zawartą umowę. Stawał się coraz bardziej niecierpliwy.

Naciski wywierane na tancerkę nie dawały jednak rezultatu. Nie pomagały nawet groźby, a także i szykany ze strony miejscowych władz, które starały się przypodobać obcemu królowi. Pruski poseł w Wenecji, hrabia Cataneo, okazał się w pewnym momencie bezsilny. Wyczerpał wszystkie możliwe argumenty.

Wówczas to ambasador Fryderyka przy dworze wiedeńskim, hrabia Dohna, otrzymał taki mniej więcej rozkaz: „Hrabia Dohna powinien przedsięwziąć właściwe środki, by to stworzenie (dieses Geschöpf) szczęśliwie sprowadzić do miejsca przeznaczenia (an Ort und Stelle bringen). Kabinettsordre podpisano 4 kwietnia 1743 roku. Posłowi w Wenecji natomiast nakazano opracowanie szczegółowego planu uprowadzenia artystki. Wiele do myślenia daje fakt, że depeza ta skreślona została przez króla odręcznie - nerwowo i pośpiesznie.

I oto przy pełnej aprobacie wysokiego senatu republiki weneckiej, który - mimo „nastrojów obrzydzenia” - gotów był tancerkę wydać, Barberina Campanini została z domu matki podstępnie uprowadzona. Raptus puellae stało się faktem. W karecie, która pędziła koło wyskoczy, specjalny konwersator, niejaki Meyer, miał za zadanie słynną artystkę „wszelkimi sposobami wprowadzać w dobry humor, by ją przekonać, że zdąży do pięknego

miasta i na wielki dwór królewski”. Uciekinierom towarzyszył silny oddział kawaleryjski, który miał za zadanie skutecznie niweczyć wszelkie usiłowania zmierzające do uwolnienia urodziwego więźnia.

Zakochany lord Stuart Mackenzie wraz z innym adoratorem tancerki - hrabią Calenbergiem, zorientowawszy się w sytuacji, puścili się za porywaczami w pogoń. Niestety, ani aktorskie mistyfikacje z przebieraniem się, ani przekupywanie właścicieli gospód i zajazdów - za pośrednictwem których podrzucano Barberinie bileciki z miłosnymi deklaracjami i słowami otuchy - nie zdały się na nic. Próby wywiedzenia w pole strażników i urzędowych opiekunów artystki okazały się równie bezskuteczne. Podróż przebiegała tak, jak sobie tego życzył wielki protektor muz w Berlinie, choć dwaj arystokratyczni przebierańcy przydali jej, jak byśmy to dziś powiedzieli, pewnej romantycznej otoczki.

Owo porwanie artystki opisała w przesadnie egzaltowany sposób, obchodząc się zresztą dość swobodnie z faktami historycznymi, George Sand w powieści „Hrabina z Rudolstadt”. Głośna francuska autorka najwyraźniej nie kochała „zbyt męskiego” Fryderyka i koniecznie chciała utrwalić w literaturze jego despotyczny portret.

To prawda, że podczas tej niezwyklej podróży Barberina Campanini chorowała z miłości i zgryzoty, tym bardziej że czuła obecność krążącego wokół niej zakochanego lorda. Ujawnił on zresztą w Wiedniu przed ambasadorem Dohną ogrom swego uczucia, deklarując zastaw stu tysięcy talarów, byleby mu pozwolono towarzyszyć ukochanej do Berlina, gdzie zamierzał rzucić się królowi do nóg, by odzyskać obiekt swej wielkiej miłości. Wzruszony hrabia przyobiecał nawet wstawiennictwo.

Rzeczywiście w podróży tancerka czuła się podle. W Berlinie jednak żałość powoli mija. Młody król okazuje się pięknym mężczyzną i czułym adoratorem, prowadzi ciekawe i dowcipne konwersacje, ofiarowuje wystawne warunki życia. Instaluje Barberinę w pięknym domu przy Behrenstrasse (który później tancerka nabędzie na własność). Adresowane do Fryderyka listy, jakie przesyła Stuart Mackenzie, informujące króla o skali uczuć, a nawet małżeńskich intencjach lorda, pozostają bez odpowiedzi. Na jednym z nich król odręcznie napisał „reponatur” - odłożyć do akt; i rzeczywiście, list zachował się w królewskim archiwum.

Sytuację jednoznacznie rozstrzyga królewski rozkaz, który Barberina otrzymuje już piątego dnia (3 maja) po przybyciu do Berlina: „Ma natychmiast wystąpić w antraktach podczas przedstawienia komedii francuskiej”. Stolica Prus niecierpliwie czeka na występ głośnej gwiazdy.

I jakkolwiek wielka artystka przymusową podróż kończy śmiertelnie znużona, na scenie tchnie świeżością, jest czarująca, wręcz wspaniała. Berlin poddaje się jej urokowi. W salonach o niczym innym się nie mówi, tylko o Barberinie. Żadna parada wojskowa nie wzbudziła dotąd takiego entuzjazmu. Obydwa pisma berlińskie prześcigają się w uprzejmościach, publikują na jej cześć wiersze pochwalne - po francusku, niemiecku, a nawet po łacinie.

Król, występujący w roli szczęśliwego zdobywcy, zaczyna składać jej oficjalne hołdy. Nakazuje nawet swoim generałom, by zapraszali mademoiselle Barberinę na obiady, w których - jakżeby inaczej - osobiście bierze udział. Natomiast podczas souper wieczerzy - bywa już z nią przeważnie sam na sam.

Zaczynają się szerzyć domysły, że słynna tancerka została królewską faworytą. Fryderyk całym swoim postępowaniem utwierdza tę opinię. Rozkazał między innymi dręczonemu zazdrością lordowi opuścić Prusy z początkiem lipca. Stuart, już od dwu miesięcy przebywający w Berlinie, był świadkiem wielkiego triumfu ukochanej i nie przestawał zasypywać jej zapewnieniami o swej dozgonnej miłości. Jednak w sercu aktorki obraz niedawnego kochanka zaczął się z czasem coraz bardziej zacierać.

Nakaz wydalający był surowy. Lordowi towarzyszył lokaj, pozostający na usługach policji, który miał pilnować, by Stuart nie tylko dotarł do Hamburga, ale i odpłynął wprost do Anglii. Przejęty od nieszczęśnika pakiet listów miłosnych do Barberiny sługa ów przekazał oczywiście prezydentowi berlińskiej policji, Kircheisenowi, i w ten sposób znalazły się one w prywatnym archiwum króla.

Pełno w nich przestróg w rodzaju: „Proszę Cię i zaklinam - bądź zawsze w czujnym pogotowiu... Z żadnym mężczyzną nie pozostawaj nigdy sam na sam... Nie przyjmuj nikogo, szczególnie gdy leżysz w łóżku...” Lord Mackenzie miał jeszcze nadzieję na powrót do serca swego ideału. Jednak rodzina Anglika nie podzielała ani jego uniesień miłosnych, ani planów matrymonialnych.

W chórze wiwatujących na cześć włoskiej tancerki głos Woltera, który spotkał ją w otoczeniu uwielbianego przez siebie Fryderyka, zabrzmiał jak dysonans: był przysłowiową łyżką dziegiu w miodzie pochwał. Wolter kpił złośliwie z gwiazdy i rozgłaszał o niej różne niestworzone rzeczy. Utrzymywał - jak powiada Kazimierz Chłędowski - że Barberina podobała się pruskiemu panu nie z powodu swych wdzięków, ale dlatego że miała łydki grenadiera i krok gwardzisty.

Autorem „Kandyda” powodowała najzwyczajniejsza zazdrość o Fryderyka, którego przyjaźnią nie chciał się z nikim dzielić. Stale jeszcze miał nadzieję, że zdobędzie na niego decydujący wpływ i uformuje go według swego wzoru dobrego księcia. Poza tym mścił się za markizę du Chatelet - wzgardzoną i niedopuszczoną do królewskich łask. Nieobecność przyjaciółki nastrojała go nie najlepiej.

Tymczasem Barberina Campanini uzyskała wyjątkowe uprawnienia. Jako jedyna kobieta miała przywilej przekraczania progów pałacu Sans-Souci. Co więcej, król zawiesił jej portrety w swej poczdamskiej „samotni”. Malował je nadworny malarz, Francuz Antoine Pesne, który od 1700 rezydował w Berlinie i dostąpił tam wielu zaszczytów, zostając nawet (w 1762) dyrektorem Akademii. Włoska artystka spogląda na nas z tych płócien sarnimi oczami spod silnie zarysowanych brwi, wiotka niczym postacie z fresków Correggia w katedrze romańskiej w Parmie, mieście, w którym w 1720 przyszła na świat.

Złośliwy Wolter nie mógł przecież oglądać zbyt dokładnie jej nóg, ponieważ występowała w krynolinie sięgającej aż do kostek; nawet obnażonych rąk nie pokazywała na scenie. Zresztą taniec jej zbliżony był bardziej do pełnej wdzięku pantomimy aniżeli do późniejszych, pełnych temperamentu, popisów baletowych.

Mijały miesiące, potem lata, a uwielbiana Barberina nie mogła doczekać się tego, o co ją po przybyciu do Berlina posądzano; król czynił jej nadal awanse, komponował zmyślne sceny adoracyjne, płacił nawet jej długi, co u skąpego pruskiego władcy było prawie równoznaczne z miłością, ale ognistym kochankiem najprawdopodobniej nigdy nie został. Złośliwi plotkarze, których na europejskich dworach nie brakowało, mówili coraz częściej i coraz głośniej o fałszywych manewrach, prowadzonych przez Fryderyka II na polach Wenery.

W roku 1748 Barberina Campanini, chcąc widocznie poirytować królewskiego adoratora albo zwyczajnie pobudzić go do większej aktywności, postanawia odbyć podróż do Anglii. Fryderyk, o dziwo, nie zgłasza sprzeciwu. Z zadziwiającą obojętnością przygada się jej przygotowaniom do wyjazdu. Po kilku miesiącach tancerka pospiesznie wraca, bo nie o nowe sukcesy artystyczne jej chodziło... Do lorda Stuarta Mackenzie nie było już powrotu

Stary poczdamski przechera dobrze o tym wiedział i spokojnie czekał.

Wkrótce atoli urodziwa Barberina miała tak zbulwersować dwór berliński, że aż zadrzał w posadach.

Prawą ręką króla od 1747 roku był wielki kanclerz Samuel Freiherr von Cocceji, zarządzający wcześniej ministerstwem sprawiedliwości, utalentowany reformator i precyzyjny administrator. Fryderyk II wyjątkowo go cenił, dopuszczając nawet do pewnej konfidencji. I oto syn wielkiego kanclerza nagle rozmiłował się płomiennie w Barberinie i...

potajemnie ją zaślubił. Wkrótce związek ten został ujawniony, zaś dumnego ojca ledwo odratowano - tak uderzyła mu do głowy niedobra krew.

Poruszył zatem niebo i ziemię, by unieważnić kompromitujące małżeństwo i oderwać syna od pazernej i sprytnej tancereczki, pozostającej nadal w dwuznacznej sytuacji z pruskim monarchą. Jakże mógł postąpić inaczej, skoro syn, w którym pokładał najszczytniejsze nadzieje, tym nieodpowiedzialnym krokiem przekreślał całą swą przyszłą karierę.

Do swych intryg Cocceji wciągnął także Fryderyka II, który zaczął w listach do otoczenia wyrażać się o Barberinie nader obraźliwie. Padały takie sformułowania, jak „uwodzicielska kreatura” (do grafa von Haake), „tak zwana prostytutka”, a nawet i gorsze. Kanclerz z kolei domagał się ekstradycji tej „osóbki”, ale uzyskał na razie „cachet volant” - pruska forma francuskich *lettres de cachet*” - dla swego syna, którego umieszczono pod surowym nadzorem wojskowym na zamku Atlandsberg. A przecież był on już wówczas tajnym radcą i nie podlegał rodzicielskiej władzy.

Barberina Campanini walczy o swoją miłość, śląc pełne oddania listy do króla i prosząc go o opiekę. Przyjmuje postawę głęboko skrzywdzonej kobiety, zmuszonej przeciwstawiać się znowie możliwym. Nie może pojąć, jakie popełniła przestępstwo, skoro nie tak dawno ojej przyjaźń zabiegali najwięksi. I oto jeden list sprawia, że stosunek Fryderyka II do dawnej faworyty ulega zmianie. W liście tym Barberina pisze, że według prawa jest pruską poddaną, nabyła bowiem przy Behrenstrasse dom - a zatem jest berlińską mieszkanką - i wkrótce spodziewa się wydać na świat... obywatela państwa pruskiego. List ten, pełen akcentów gorczy, podpisała jako Barberina Cocceji.

Król zaczyna zmieniać front, najwyraźniej mięknie, jakby zrobiły na nim wrażenie rozsypane w listach aluzje o niespełnionych; nadziejach i o tym, że każdy człowiek ma prawo do miłości. Próbuje nawet zwaśnione strony godzić, choć, zdaje się, z nikłym rezultatem. W każdym bądź razie nie ma już mowy o nazbyt surowych i poniżających restrykcjach. Dochodzi w ostateczności do tego, że nowej pruskiej poddanej oraz jej niepokornemu mężowi nakazano osiedlić się w Głogowie, a więc na nie tak dawno podbitym Śląsku.

Zawzięty kanclerz wyprosił u króla to zesłanie, gdyż nie chciał być narażony nawet na przypadkowe zetknięcie z synem, który zhańbił ród i nazwisko. Widać też, że zdobywczy Śląsk fryderycjańska administracja uważała za ziemię „minorum gentium” - niższego rodzaju, skoro eksmitowała do niej niewygodnych ludzi.

Piękna Barberina nie uważała tego zesłania za dopust boży i żyła w Głogowie ze swoim mężem nader szczęśliwie i przykładowie. Ciekawe, czy niedawna tancerka włoska zetknęła się bliżej z żywiołem polskim w tym mieście, które jeszcze w drugiej połowie XIX wieku miało swoją Dzielnicę Polską, usytuowaną na południe od klasztoru klarysek. Prawdopodobnie równocześnie z Barberina albo nieco później przybył do Głogowa proboszcz Andrzej de Francheville, były sekretarz Woltera. Może ożyły dawne wspomnienia?

W nowych warunkach Barberina okazała się osobą wyposażoną w prawdziwy instynkt społecznikowski - szczególnie po śmierci męża, który zostawił jej okazały majątek. Ujmowała ludzi dobrymi uczynkami, fundacjami użyteczności obywatelskiej. Założyła między innymi konwent dla szlacheckich dziewcząt, który cieszył się dobrą pedagogiczną sławą. W ogóle otaczała ją powszechna miłość. I to może zaważyło, że gdy nabyła pobliski Barszów, kolejny król pruski nadał jej tytuł hrabiny de Barschau. Umarła 7 czerwca 1799 roku właśnie w Barszowie. Na jej nagrobku wyryto napis: „Virtuti asylum” - miejsce schronienia cnoty.

**EUROPA STRACIŁA DLA MNIE SWÓJ UROK**

Izabela Czartoryska i diuk de Lauzun

Pytano pana de Lauzun, co by odpowiedział żonie, której nie widział od dziesięciu lat, gdyby mu doniosła, że jest w ciąży.

Zastanowił się i rzekł:

„Napisałbym jej: Jestem uszczęśliwiony, że niebo pobłogosławiło wreszcie nasz związek. Czuwaj nad swoim zdrowiem, przedłożę ci moje służby dziś wieczór „.

CHAMFORT

Wyjazd Izabeli Czartoryskiej do Anglii na początku 1772 roku nosił znamiona pośpiechu i purytanie, złośliwie podpatrujący życie kochliwej księżnej, twierdzili wręcz, że uciekała z płonącego kraju, do wzburzenia którego sama się również przyczyniła, chociaż o tym nie wiedziała. Tak mówili przeciwnicy klanu Czartoryskich, czyli „Familii”, tak mówił odłam zwolenników konfederacji barskiej, któremu obrzydł nagle koronowany Ciołek, czyli Stanisław August Poniatowski. Nad Polską zawisła groźba rozbiorów. W tym kierunku grawitował zawarty już 7 lutego 1772 układ między Rosją a Prusami.

W owym czasie jednak Izabelę Czartoryską bardziej pociągało życie światowej, rokokowej damy aniżeli perypetie bezwolnej Rzeczypospolitej. Powłokła zatem z sobą do Londynu swego zbankrutowanego politycznie kochanka, księcia Mikołaja Repnina, któremu na dworze carów zarzucano wywołanie w Polsce niekontrolowanych rozruchów. Pozbawiono go ambasadorstwa i przymuszono do opuszczenia Polski. Ci, którzy widzieli go już na syberyjskim zesłaniu, cieszyli się jednak przedwcześnie. Złudny ów triumf dokumentowała między innymi anonimowa „Apostrophe przy pożegnaniu Repnina”:

A za poselstwo sprawione tak ładnie

Życz mu, niech szyję złamawszy przepadnie

Lub cierpiąc żywy dozgonną niewolę,

Strzela po lasach syberyjskich sobole.

To jego urząd własny, to zabawa:

Niechaj z dzikimi zwierzęty przestawa,

W krajach się ciemnych tuła, skóry łupi,

Gdy w Polsce z ludźmi żyć nie umiał, głupi.

Za Repninem stał wówczas spowinowacony z nim potężny minister Katarzyny II, Nikita Panin, który go osłaniał, zaś wcześniej niewątpliwie ośmielał do takiego, a nie innego postępowania. Nic dziwnego więc, że Repnin, będąc ambasadorem, lekcewał polskie władze i pomiatał nie tylko rządem, ale nawet i królem.

Jak twierdzą wtajemniczeni, to właśnie Czartoryscy, chcąc po-1 zyskać w ambasadorze rzecznika swych dalekowzrocznych planów, wsunęli mu do łóżka piękną i młodą Izabelę, żonę generała ziem podolskich, Adama Kazimierza. I sądzić należy, że nie trzeba było jej zbytnio do tego nakłaniać. Repnin był bowiem mężczyzną władcym i nader przystojnym, poza tym naprawdę zapłonął do pięknej arystokratki namiętnością wielką i zaborczą. Nadobna Izabela nie szczędziła mu swoich łask, demonstrując aż nadto swoją z nim zażyłość, co wywoływało dezaprobatę warszawskiej ulicy. Natomiast w kręgach arystokratycznych wszelkiego rodzaju trójkąty, zakazane przygody i podniecające romanse były na porządku dziennym i nie wzbudzały większych emocji. Traktowano grę miłosną jak sport, a zarazem jak niekończący się temat plotek i spekulacji towarzyskich, a nawet politycznych.

Izabela Czartoryska, zanim stała się patriotyczną matroną, przyszłym wzorem matki-Polki, miała serce nader pojemne i - internacjonalne. Całe szczęście, że generał ziem podolskich posiadał komnaty przestronne, a odrzwia w nich szerokie, bo rosochaty wieniec rogów, który nosił niczym biblijny krzak ognisty, nie pozwoliłby mu się w nich pomieścić. Księżna Izabela - kobieta zalotna i rezolutna - miała przed i po Repninie kochanków bez liku.

Młodszą córkę Czartoryskich nazywano powszechnie Ciołkówną, sugerując, że była owocem romansu Izabeli z królem Stanisławem Augustem, zaś o starszym synu, Adamie

Jerzym, mówiono po prostu Repninowicz. Podobno księżę małżonek na wieść o powiciu mu tego syna, chciał z właściwą sobie stoicką pogodą przesłać koszyk do ambasady rosyjskiej. Przetrwiała do naszych czasów sentymentalna opowieść - przypomniał ją w 96 Stanisław Szenic - o wychowawcy księżnej Wirtemberskiej, pannie Cecylii Beydale, która zakochała się nieprzytomnie w synu Izabeli Czartoryskiej. Miłość była wzajemna. Niestety, do ślubu nie można było dopuścić, ponieważ zakochani okazali się rodzeństwem. Księżna - przymuszona dramatyczną sytuacją - musiała wyznać swym dzieciom tę trudną prawdę. Cecylia Beydale urodziła się bowiem ze związku Izabeli z Kazimierzem Rzewuskim.

Nie były to zresztą jedyne pozamałżeńskie dowody ognistości uczuć tej niezwyklej damy. Ku podobnemu przeznaczeniu miał ją skierować nowy sercowy dylemat, który powstał i rozwinął się właśnie w Londynie. Na razie jednak wszystko szło utartym torem.

Izabela z Flemingów Czartoryska składała w Anglii wizyty kurtuazyjne i towarzyskie w domach arystokratycznych - nie wyłączając rodziny królewskiej - i w ambasadach, spośród których najwyraźniej faworyzowała francuską. Snuł się za nią jak cień posepny Mikołaj Repnin, uchodzący za oficjalnego kochanka polskiej księżnej, która nawet nie przypuszczała, że jej adorator spełnia równocześnie bardzo ważną tajną misję polityczną. Caryca - za podszeptem Panina - dała swemu byłemu ambasadorowi szansę rehabilitacji: przykazano mu wybadać, czy państwa zachodnie nie zamierzają represjonować Rosji z powodu prowadzonej przez nią wojny z Turcją; polecono mu też oddziaływać szczególnie uspokajająco na sojuszniczą Anglię. W misji tej rola zakochanego wydatnie Kepninowi pomagała, podobnie jak i to, że powszechnie uchodził za Poszkodowanego przez despotyzm samodzierżawia.

W pewnym momencie mógł poczuć się nawet szczęśliwy: zapracował bowiem na opinię liberała i wyróżnionego kochanka. Pewny swej bogdanki nie przypuszczał nawet przez chwilę, że właśnie na londyńskim horyzoncie pojawi się zwycięski rywal, który raz na zawsze odsunie go od księżnej.

Także Izabela nie myślała o nowym romansie - przynajmniej nie w tym fatalnym roku; czuła za sobą krew konfederatów barskich, dochodziły ją echa walk, politycznych przetargów, wraz z którymi nadciągnęły chmury rozbiorowe. Zachowywanie pozorów przykładowego stadła małżeńskiego przynosiło niezły profit towarzyski. Jak zwykle podczas chwilowej rozłąki księżę pisywał do żony smutne listy, niewolne od patriotycznych trosk. Gdyż z całej „Famili” chyba właśnie w nim najwięcej było owej pozytywnej wrażliwości obywatelskiej. Kto wie, czy to nie w Anglii i kochliwą Izabelę zaczęły po raz pierwszy nawiedzać myśli o jej osobistych obowiązkach wobec nieszczęśliwej ojczyzny; może też wtedy coraz bardziej zaczął jej ciążyć rosyjski adorator, nad którym w kraju czyniono bezustanne sądy kapturowe, obwiniając go o stale nowe zbrodnie.

Generał ziem podolskich, księżę Adam Kazimierz, od pewnego czasu nosił się z zamiarami emigracyjnymi. Z troską prosił o radę swą małżonkę. Zachował się z tego okresu ciekawy list Izabeli, pochłoniętej zdawać by się mogło li tylko rozrywkami. Datowany jest 3 kwietnia 1772 roku: „...Pytasz mnie, drogi przyjacielu, czy sprawiłoby mi przyjemność sprzedanie wszystkiego u nas i osiedlenie się tutaj, we Francji lub gdziekolwiek indziej. Już ci mówiłam i powtarzam raz jeszcze, że jestem ogromnie przywiązana do Polski - może to kwestia uczucia albo przyzwyczajenia - tylko tam zawsze chciałabym żyć, gdyby istniał chociaż cień możliwości po temu. Jeżeli nieszczęścia i klęski zmuszą nas do opuszczenia ojczyzny, wtedy dopiero trzeba będzie się zdecydować na wybór kraju, zależnie od istniejących możliwości.

Przedstawię ci jeszcze jedną obiekcję; jesteś zbyt dobrym synem, zbyt czułym dla księcia ojca, abyś opuścił Polskę za jego życia - które może trwać bez cudów lat dziesięć lub więcej. Poza tym trzeba czasu, aby uporządkować sprawy i sprzedać dobra, które są tak poważne, że zbyt ni pośpiech może narazić tylko na wielkie straty; osądź więc, do czego by to doprowadziło. Pomyśl jeszcze, przyjacielu, jak ciężko byłoby nam opuścić krewnych,

przyjaciół i znajomych, szczerze przywiązanych do nas, na których możemy zawsze liczyć, aby zaczynać karierę od początku, jaka może nie odpowiadałaby naszym nadziejom i kazałaby żałować tego, cośmy opuścili bezpowrotnie. Tym bardziej że można jeszcze być pożytecznym u nas, dlaczegoż więc się tego wyrzekać? Jeżeli nie dla kraju w ogólności, to dla wielu naszych współziomków. To wielkie szczęście mieć po temu sposobność”. Tekst przytaczam za wstępem Jadwigi Bujańskiej do książki o Czartoryskiej „Dylichanssem przez Śląsk”.

Izabela mówiła o ogromnym przywiązaniu do Polski, ale stwierdzenie to miało wówczas inny sens i wymiar niż pojęcia dzisiejsze. Dla niej ojczyzna materializowała się przede wszystkim w majątkach własnych i posiadłościach rodzinnych, w określonych - i jakże czasem swobodnych - układach towarzyskich, w możliwości utożsamiania się z epoką, którą tak doskonale portretowali Francois Boucher i Jean Honore Fragonard. Księżna Izabela pozostanie zalotną i lekkomyślną damą rokoka jeszcze dobrych kilka lat. Nawet pierwszy rozbiór nie wpłynął na zmianę jej stylu życia. Dlatego też, kiedy wreszcie zaczęła angażować się niezwykle emocjonalnie w sprawy narodowe, nie wierzono w szczerą jej poczynań. Nie chciał dać temu wiary nawet Franciszek Zabłocki, należący przecież do dworu generała ziem podolskich. Świadczy o tym napisana wówczas złośliwa wierszowana zagadka:

Zona niegodna; matka jaka taka;  
We wszystkim zmienna, lecz w zemście jednaka,  
W chlubną przebrana postać patriotki,  
Braci, ojczyznę przez swe jątrzy plotki.

A przecież w tym czasie Izabela Czartoryska była już ogarnięta - jak sama później przyznała - „gorączką narodowości” i „przesadną miłością ojczyzny” („fievre de Narodowości cet amour peutetre exagere de mon Pays”).

Życie tej wielkiej damy to dwa odmienne, wręcz przeciwstawne rozdziały. Podobnie jak rezydencje, które stworzyła na modłę swoich fascynacji estetycznych: Powązki i Puławy.

Pierwsza - tak bardzo sławiona przez Stanisława Trembeckiego, wzniesiona na wzór Trianonu Marii Antoniny - wiązała się z rokokową młodością i lekkomyślnością księżnej. Druga, której bardem był Franciszek Dionizy Kniaźnin, stała się synonimem Polski niepodległej i azylem dla patriotycznych pamiątek. Tam osiedliła się jakby zupełnie inna indywidualność kobieca. Puławy urządziła Izabela pochłonięta już całkowicie „fievre de Narodowości”.

Pierwsza podróż do Anglii należy jeszcze do okresu powązkowych sielanek, mitycznych zabaw i gorących uczuć. Po błoniach i ogrodach tej arystokratycznej wioski snuły się - podobnie jak po Trianon - zapatrzone w siebie, niepomne otaczających je realiów starogreckie pary pasterskie. Czas odmierzany był rytmem miłości. Ażeby ożywić ten arkadyjski pejzaż, potrzebni byli gospodarze, a C, choć lubili często podróżować i podpatrywać świat, nie zaniedbywali tego zakątki.

20 grudnia 1772 w londyńskich salonach milady Harrington Izabela Czartoryska spotkała młodego, wytwornego Francuza którego ambasador de Guines przedstawił jej jako diuka de Lauzun. Należał on do starego arystokratycznego rodu, który już w XI wieku obrósł sławą i dostatkiem. Przodkowie diuka wpisywali się do historii Francji głównie orężem, ale nie tylko.

Nazwisko młodego dandysa brzmiało właściwie Armand-Louis de Gontaut de Biron. To Ludwik XV nazwał go diukiem de Lauzun - od jednej z jego rodzinnych posiadłości - dla odróżnienia od stryja marszałka i ojca dworaka, pozostającego w nader zażyłych stosunkach z Wersalem, człowieka bliskiego pani de Pompadour. Do swego rodowego nazwiska powróci Lauzun po śmierci stryja i ojca, zaś w okresie rewolucji francuskiej zwać się będzie zwyczajnie obywatelem Bironem. Do Anglii przybył, by wytchnąć po podbojach miłosnych i rozeznąć się nieco w służbie dyplomatycznej. Liczył zaledwie lat dwadzieścia pięć - urodził



się 3 kwietnia 1747 - lecz już opromieniony był żołnierską sławą, zdobytą w kampanii korsykańskiej. Król odznaczył go osobiście Krzyżem Świętego Ludwika.

Nie wiemy, czy polska księżna od razu zwróciła uwagę na tego wyznawcę - a jak chcą niektórzy - prawodawcę „libertinage romanesque”. Chyba tak, ponieważ de Lauzun był pięknym mężczyzną - do tego sławnym kochankiem - a jego szarmanckość i rycerskość wobec dam zjednywały mu coraz to nowe wielbicielki. Patrzyła nań więc z zaciekawieniem, raczej bez cienia myśli o jakiejś „liason amoureuse” i to nie tylko dlatego, że Replin osaczał ją nader szczelnie swoją adoracją. Wystarczał jej w tym czasie dystyngowany flirt z ambasadorem Francji, hrabią de Guinesem który złościł kogo należało i dawał jej możliwość sprawdzenia na obczyźnie siły oddziaływania własnych wdzięków.

Natomiast uwodzicielski Armand-Louis - chociaż myślami zapewne był nadal w Paryżu - od razu zwrócił uwagę na Izabelę. W swoich później spisanych pamiętnikach powie z uznaniem: „Na pokoje wkroczyła dama lepiej ubrana i uczesana, niż bywają zazwyczaj Angielki. Zapytałem o nią, powiedziano mi, że jest to Polka, księżna Czartoryska. Średniego wzrostu, za to wspaniałej kibici, mająca najpiękniejsze oczy, najpiękniejsze włosy, najpiękniejsze zęby, śliczne stopki i będąc cery wielce śniadej, acz nieświeżej i zeszpeconej przez ospę, łagodnością w sposobie bycia i ruchami o niezrównanym wprost wdzięku pani Czartoryska udowadniała, że nie będąc wcale ładną, można być osobą uroczą”.

W następnych zdaniach pamiętnika znajdujemy słów kilka o Replinie - i to w pochwalnej tonacji. Lauzun kończy swoje pierwsze wrażenia z tego spotkania następującą uwagą: „Pani Czartoryska zdała mi się wesoła, zalotna i miła, lecz gdyby mi ktoś wówczas powiedział, że będzie miała tak duży wpływ na resztę mego życia, mocno by mnie tym zadziwił”.

Poszczególne fragmenty pamiętnika Lauzuna pomieszczam w tłumaczeniu Stefana Mallera.

Po pierwszym zetknięciu przyszli kochankowie rozeszli się - każde w swoją stronę. Lauzun zaczął uganiać się za najmłodszą córką pani Harland, Marianną, i musiał wykazywać nie lada przebiegłość, by ustawicznie wyprowadzać w pole rodziców młodzietki wybranki. A gdy wszystko się wydało i wywieziono Mariannę w odległe miejsce, piękny Armand-Louis przypomniał sobie o tajemniczej Polce.

Izabela w tym czasie też nie próżnowała. Bardzo dyskretnie i w wielkiej tajemnicy przed Replinem starała się wywiedzieć możliwie wszystkiego o podbojach miłosnych młodego diuka, szczególnie zaś o jego angielskich wyczynach. Pchała ją do tego kobieca ciekawość. Równocześnie księżna na pozór okazywała pomoc lady Craven, która cierpiała piekielną zazdrość ze strony męża o okazywane jej nachalne względy francuskiego ambasadora. Podejmowane przez Izabelę mediacje nastrajały do niej wrogo de Guinesa, który zapragnął się na niej zemścić... W każdym bądź razie tak sądził Lauzun i przekazując listownie tę hiobową wieść księżnie, starał się zarazem wderzeć w jej łaski, wzbudzić zainteresowanie własną osobą. Naiwny, nie wiedział jeszcze wówczas, że intrygująca Polka miała też z ambasadorem swoje „tajemnice”.

Księżna wprawdzie czyniła gorączkowe przygotowania do wyjazdu na drugą stronę kanału La Manche do Spa - modnego i słynnego uzdrowiska, położonego u podnóży Ardenów - ale jakby wyczekiwała na gest pięknego Armanda. Intuicja jej nie zawiodła. Zresztą sama przed sobą musiała przyznać, że wraz z upływem czasu o diuku myślała coraz częściej. Skwapliwie też, i jakże ciepło, odpowiedziała na jego list: „Nic bardziej nie mogło mnie zadziwić niżli to, co przeczytałam. Ale co mnie nie dziwi i nie zadziwi nigdy, to szczerść i wrażliwość Pańskiej duszy. Dzielą nas nieprzewyciężone przeszkody, ale przysięgam Panu, że osoba pana de Guines w ogóle nie wchodzi w grę. Nie powinnam i nie mogę mieć kochanka. Pan jednak wzbudza mą sympatię, która będzie trwała równie długo, jak trwać będzie moje życie. Gdziekolwiek nas losy rzuca, żądam, by mnie Pan informował o kolejach swego życia: moja czuła przyjaźń daje mi do tego prawo”...

Pierwszy list i od razu najprawdziwsze wyznanie miłosne. Księżna wyjeżdża, ale kobieca dusza intuicyjnie zgaduje, że ten słynny uwodziciel już został przykuty do jej rydwanu. Powiada mu, że nie może jechać razem do Dover, ale wie, że jeśli zechce, Armand konno - albo i pieszo - rzuci się w pław przez kanał. Kusiła go intymnym spotkaniem, ale przedziwne trudności bądź też roztargnienie stale przeszkadzały zbliżeniu.

Lauzun płonął żarem nowej namiętności. Piętrzące się przeszkody tylko potęgowały niecierpliwość jego serca. Oliwy do ognia dolewał zarozumiały pan de Guines, starając się przekonać zalotnika, że piękna Polka kocha zupełnie kogo innego... Dawał przy tym niedwuznacznie do zrozumienia, że to on właśnie jest tym szczęśliwym wybranцем. Że coś tam, w istocie, musiało być między nimi, świadczy fakt, iż Izabela „ofiarowała mu swój portret tudzież wszelkie inne dowody, jakie kobieta dać może”. Nie bez powodu Repnin wściekał się i robił o francuskiego ambasadora coraz częstsze sceny zazdrości.

Nie ma dymu bez ognia, więc Lauzun popada w głęboką rozterkę. Na dodatek księżna wyjechała do Dover, nie powiadamiając go o tym. Popędzi za nią na koniu, ale wycofa się w ostatniej chwili, gdy dowie się, że połączyła się już z dziećmi i z dworem. Nie chce jej kompromitować, powraca więc do Londynu, gdzie będzie gościem rodziny królewskiej, a nawet samego króla. Odczeka jeszcze miesiąc, a kiedy uzna, że bez większych podejrzeń może udać się do Spa, opuści Anglię, jakby zostawiał za sobą požogę.

W modnym uzdrowisku rozpoczyna się przedziwna gra miłosna. Księżna w obecności Repnina przyjmuje Armanda chłodno, demonstrując wyjątkowe przywiązanie do swego rosyjskiego adoratora, a kiedy zostaną z diukiem we dwoje, z przekorną sympatią mówi o Guinesie. Armand-Louis zrazu cierpi, ale rychło rozpoznaje tę grę. Szybko podejmuje wyzwanie i teraz okazuje się, że z kolei on jest gorąco i namiętnie zajęty paniami de Saint-Léger - matką i córką - pochodzącymi z Irlandii. Jeździ konno i tańczy z nimi do upadłego, otacza je serdeczną opieką, demonstruje czułość.

Zainscenizowana sytuacja przynosi błogosławione skutki - również i te, że uśpiona zostaje czujność nie tylko księcia małżonka, który połączył się z rodziną, ale i samego Repnina.

Kiedy jednak na deptaku w Spa pojawił się hetman Ksawery Branicki, który także rościł sobie prawo do wdzięków pięknej Izabeli, gdy spotkały go z jej strony chłody, a nawet wzgarda i zaczął na nią nieparlamentarnie wygadywać - de Lauzun, nie bacząc na pozory, gotów był go rozsiekać. Całe szczęście, że ten gwałtowny spór załagodziła w odpowiednim momencie lady Spencer, bo międzynarodowy skandal towarzyski wisiał w powietrzu. Branicki zrozumiał, że nic tu po nim i że jego czas jeszcze nie nadszedł.

Gra miłosna toczy się nadal. Po wyścigach konnych, które wygrał jeden z wierzchowców diuka, de Lauzun ostentacyjnie wręczył cenną nagrodę pannie Saint-Léger. Natychmiast po tym wydarzeniu księżna zachorowała i przez wiele dni nie opuszczała łóżka. Nadszedł czas refleksji. Incydent z Branickim oraz choroba zbliżyły kochanków do siebie; oboje mieli już najwyraźniej dosyć zachowywania pozorów i narzuconego sobie dystansu.

I oto Czartoryscy postanawiają opuścić uzdrowisko i udać się przez Brukselę do Antwerpii, gdzie książę Adam Kazimierz zamierza zakupić galerię obrazów. W przeddzień wyjazdu u Lauzuna zjawia się niespodziewanie Repnin, który w imieniu księstwa prosi zdumionego Francuza o towarzyszenie im w tej podróży. Od siebie dodaje, że Izabela jest nadal cierpiąca i potrzebuje opiekuńczego ciepła, którego on sam nie może jej zapewnić, ponieważ w ważnych i niecierpiących zwłoki sprawach musi udać się do Paryża. Los nie mógł być dla diuka łaskawszy. Po raz pierwszy nie musi się wpraszać ani zabiegać o pozory. Opiekunem kochanej kobiety zostaje jakby z urzędu.

Drogę z Brukseli do Antwerpii pokonują kochankowie małym faetonem Lauzuna, którym w Spa Izabela lubiła powozić osobiście. Nadchodzi godzina zwierzeń. Czartoryska - o rok starsza od Lauzuna - wdzięcznie opowiada dzieje swojego życia. Nie pomija też tematu Repnina: „Caryca... poleciła księciu Repninowi uwięzić Czartoryskich i skonfiskować ich

dobra, zapowiedziawszy, że życiem swym za to odpowiada. Gdyby księżę Repnin, dając dowód wielkoduszności i odwagi, nie odmówił jej posłuszeństwa, moja rodzina byłaby zgubiona. Uznałam, że takie uczucie nie może pozostać bez nagrody”.

W opowieściach tych Repnin urasta nieomal do roli męża opatrnościowego Rzeczypospolitej, który z miłości do pięknej Polki ryzykuje karierą i majątkiem. Jedną ma tylko wadę: jest ogromnie samolubny. Ów brzydki rys charakteru ujawnił się ze szczególną mocą w Anglii. I jeszcze te manifestacyjne sceny zazdrości. Uroczą Polka najwyraźniej daje do zrozumienia, iż rachunki z rosyjskim kochankiem zostały wyrównane. A teraz ogarnia ją przemożne uczucie do rycerskiego Francuza. Jednak nie może mu się oddać, ponieważ nie ma prawa do jego zaufania.

- Czyż może je pan pokładać w osobie, która zdradziła księcia Repnina i której spodobał się pan de Guines? - Tu Izabela przemieniła się w posąg smutku.

Tym wyznaniem Lauzun został podbity zupełnie. Pada jej do stóp, że aż zachybotał faeton. Tej dzielnej Polki, tak finezyjnie walczącej w łóżku o dobro swego kraju, nie może utracić. Gotów jest zmierzyć się z losem.

W Antwerpii księżę małżonek nie zastaje już obiecanej galerii obrazów - ktoś kupił ją wcześniej - lecz od razu nabiera ochoty na lnną, równie interesującą - w Amsterdamie.

Teraz lądem i morzem kochankowie podążają za księciem. Piękny Armand stale jest przy Izabeli. W powozie - pod osłoną nocy ich ręce spotykają się śmieiej, choć księżna nadal tonie w smutku i bezgłośnych łzach. Na statku, gdy inne osoby w obawie przed chorobą morską trzymały się kurczowo pokładu, Armand czyta jej w kabinie „Ofiary miłosne” Dorata, powieść, w której odnajdują swoje własne losy.

Po Amsterdamie kolejnym miejscem postoju jest Haga. Tu nastąpi pierwsza próba trwałości dla młodego, rozwijającego się uczucia. Francuskim diukiem zainteresowała się w sposób zaborczy żona ambasadora Hiszpanii - „rosła, silna, żarliwa, a gorąca Peruwianka”, pani de Lachernéria. Czartoryską jakby trafiła zatruta strzała: zachorowała nagle, wydawało się, że śmiertelnie. Zaniepokojony Lauzun cucił ją kilka godzin. Wreszcie uniosły się powieki, odsłaniając najpiękniejsze oczy świata. Umierająca wydała westchnienie:

- Jestem zadowolona, że umieram w ramionach człowieka, którego kocham, nie mając sobie nic do zarzucenia.

Cios był celny i Armand-Louis pełen skruchy zaczął biegać po medykach, szukając skutecznej pomocy. Rosła Peruwianka zniknęła z horyzontu. Wreszcie ukochana powraca do zdrowia i nie ma słów wdzięczności dla czułego i jakże troskliwego opiekuna. Postanawiają, że jak tylko będzie to możliwe bez szkody dla zdrowia, chora - w towarzystwie Armanda - opuści Holandię i powróci do Brukseli.

Z kolei swoją rundę rozpoczyna Czartoryska. Z niewinną miną informuje nagle Lauzuna, że oczekuje przyjazdu bratanka polskiego króla, młodziutkiego Stasia Poniatowskiego. Jest elokwentna, najwyraźniej podniecona. Francuski adorator widział swego czasu w Londynie tego urodziwego księcia, za którym szalał cały arystokratyczny babiniec. Czuje jak krew zaczyna uderzać mu do głowy. Próbuje zatem dać do zrozumienia, że nie będzie mu na rękę obecność osoby postronnej.

Przyjazdu jednak nie dało się już odwołać. Zresztą niby dlaczego? Pewnego wieczoru podczas przedstawienia teatralnego lokaj zaanonsował szeptem przyjazd królewskiego bratanka. Izabela poderwała się i natychmiast opuściła teatr, nie mówiąc ani słowa. Armand poczuł się zdradzony. Po kilku chwilach z kolei on wyskoczył z łoża i popędził jak oszalały do swego zajazdu. Tylko księżę Adam Kazimierz zachował stoicki spokój i wygodnie rozparty z zainteresowaniem obejrzał sztukę do końca.

Lauzun tymczasem każe sposobić powóz i posyła po najbardziej ręczne konie. Służba w pośpiechu pakuje kufry.

- Pojadę do Włoch - postanawia Armand - i tam ukoję ból zdradzonego kochanka.

Damska runda kończy się pomyślnie. Nie należało sprawy zbytnio przeciągać, i to z powodu siedemnastoletniego Stasia. W odpowiedniej chwili w zajeździe diuka zjawiała się księżna.

- Cóż to ma oznaczać? Dokąd pan się wybiera?

- Umrzeć z dala od pani - odpowiada z rozpaczą Armand. - Uciec przed nieszczęściem jeszcze większym niżli pani brak.

- Nie pojmuję, proszę mi wytłumaczyć o co chodzi. Jest pan niezwykle wzburzony. Czy sądzi pan, że mogę żyć, widząc pana w takim stanie?

O młodziutkim i urodziwym Stasiu Poniatowskim nie było już mowy. Natomiast udano się do Amsterdamu, gdzie w zasłoniętej gondoli kochankowie tulili się czule i wymieniali pocałunki. Romansowy Armand-Louis sądził, że już przełamał wszelkie uprzedzenia najdroższej, że zostanie jej autentycznym kochankiem. W sypialni Izabeli spotkał go jednak srogi zawód. Powie:

- Ważyłem się na wiele i wkrótce zostałem ukarany.

Nastąpiło ponowne ochłodzenie, ale wyobraźni nie dało się już powstrzymać. Czas pracował dla cierpliwego diuka. Po Amsterdamie znów Haga i Bruksela, aż wreszcie Czartoryscy dotarli do Paryża. Tam czekał na nich rozwścieczony Repnin, który najwidoczniej wszystkie swoje tajemne misje miał już za sobą. Z trudem tłumił nagromadzoną furię: księżna z podróży po Niderlandach nie przesłała mu nawet zwyczajowych pozdrowień.

Rozpaczliwie próbuje separować zakochanych, staje się nawet natarczywy w dochodzeniu swoich dawnych praw. Wreszcie, zjawiając się niespodziewanie w hotelu de Chartres - paryskiej przystani Czartoryskich - zastaje kochanków w sytuacji nader intymnej. Następnego dnia de Lauzun otrzymuje bilecik następującej treści: „Znany jest Panu mój szacunek i moja nienawiść, brońmy przeto dobra, którego nie możemy dzielić. Jeden z nas musi zginąć z ręki drugiego. Z całym zaufaniem pozostawiam Panu wybór czasu, miejsca i broni. Mikołaj Wasiljewicz Repnin”.

Do pojedynku nie doszło, ponieważ rywale - po dłuższych rozważaniach - doszli do przekonania, że czynem tym skompromitowaliby księżnę. Incydent ten jednakże niejako zmusił Izabelę do kapitulacji. Zapamiętano datę: 5 listopada 1773. Księżna, przyjmując w swoich apartamentach Lauzuna, zabroniła wstępu do siebie wszystkim - nawet Repninowi. No i dokonało się! Po prawie jedenastu miesiącach zalotów Izabela oddała się Armandowi, a Później oznajmiła:

- Stało się - rzekła - nie masz już granic mych szaleństw, nie będzie ich również w nieszczęściu. Proszę stąd wyjść.

Następnego dnia rankiem Lauzun zastał kochankę nieprzytomną, bo mocno podtruta. Zrozpaczony wypił resztkę mikstury [odeszliby oboje z tego świata niczym Romeo i Julia, gdyby trucizna okazała się nieco mocniejsza.]

Czegoś podobnego diuk Armand w swoich licznych podbojach miłosnych nigdy nie zaznał. Nie wiedział zatem, co czynić. Na ogół w takich momentach na scenie życia pojawia się współmałżonek, który dotąd przebywał w głębokim cieniu. Tak stało się i tym razem. Pani de Lauzun niemal za rękę zaprowadziła męża do Fontainebleau, gdzie zobowiązano go do pełnienia służby w gwardyjskim pułku królewskim.

Długo tam nie posiedział, bo tłumiona miłość Izabeli w końcu eksplodowała. Ogłuszony nieszczęściem Armand otrzymał list od księżnej, w którym obiecywała już niczym niezmacone szczęście we dwoje. Pierwsze zdania brzmiały: „O Przyjacielu mój, Kochanku mój Ty, którego ubóstwiam, Ty, do którego płyną wszystkie uczucia mego serca”.

Romeo i Julia przeżyli swoją śmierć, więc postanowili odtąd kochać się namiętnie i z oddaniem. Książę Repnin zrozumiał, w jakim znalazł się położeniu... W cień francuskich galerii malarskich wycofał się również dyskretny książę małżonek. Kochankowie przeżywali

najszczęśliwsze chwile. Lauzun zajmował się nie tylko Izabelą, ale także jej dziećmi. Posiadała ich wówczas troje: Teresę, która w 1780 miała tragicznie spłonąć w warszawskim pałacu Czartoryskich, Marię, późniejszą księżną Wirtemberską, autorkę słynnego romansu sentymentalnego „Malwina albo domyślność serca”, oraz trzyletniego Adama Jerzego, który po powstaniu listopadowym został przez część społeczeństwa polskiego uznany za niekoronowanego króla polskiego, przyszłego głównego lokatora słynnego Hotelu Lambert.

Po kilku miesiącach szczęścia Izabeli i jej dzieciom kończył się zagraniczny pobyt. Czekał na nich kraj. Ponieważ z powodu interesów Czartoryski musiał jeszcze jakiś czas pozostać w Paryżu, Lauzun postanowił „dyskretnie” odprowadzić kochankę aż do Warszawy. Napisze po latach: „Podróż była urocza, a księżna z każdym dniem bardziej czuła i miła”.

W odległości dwu mil od polskiej stolicy nastąpiło pożegnanie i tu Izabela postanowiła wyznać kochankowi nader ważną dla nich tajemnicę. Oddajmy głos pamiętnikowi: „Pragnę pozostawić ci najdroższą, najlepszą część siebie samej: jestem w ciąży, a nie żyłam z mężem od chwili, gdy tobie się oddałam”.

Armand-Louis de Lauzun przeżył wielki szok. Zanim przyszedł do siebie, Czartoryskiej już nie było. Zagarnął ją do Warszawy teść i znajomi, którzy wyjechali księżnej naprzeciw. De Lauzun wraca do Paryża w głębokiej zadumie. Zatrzyma się na dłużej jedynie we Wrocławiu, gdzie będzie czekał na listy od ukochanej. We Frankfurcie nad Menem dowie się o śmierci Ludwika XV. Nie pospieszy jednak powitać nowego króla... Żyje jedynie myślą o Warszawie. W Szampanii pełni niemrawo służbę w swoim pułku, którego jest dowódcą, snując coraz to nowe projekty wyprawy do Polski. Ostatecznie pod pretekstem poratowania zdrowia prosi o trzy tygodnie urlopu, które zamierza spędzić na wsi.

Nie tracąc czasu - bez służących - rusza w największej tajemnicy na wschód. W ciągu dwudziestu jeden dni dotrze do Warszawy, spędzi tam jakiś czas i wróci do Francji. Wysiłek i poświęcenie zaiste niezwykle. Księżna ukryła kochankę w swojej posiadłości na Powązkach. I chociaż był tylko dwudniowym gościem („dwa razy po dobie”), został panującym tam przepychem olśniony. Uszczęśliwiona Izabela, zamykając go w ramionach, powiedziała, że była pewna jego szybkiego powrotu. I poetycznie: „Przydałeś nowego uroku tej samotni”.

Diuk de Lauzun - jak wielu Francuzów - do tej pory sądził, że przywilej na przepych - poza Francją - ma może jeszcze jedynie Italia. Tymczasem książę Adam Kazimierz - człowiek niezmiernie bogaty - prowadził dwór niczym udzielny władca. W jego państwie można było obejrzeć nie tylko malownicze wojsko kozackie, ale i egzotyczne zwierzęta, by wspomnieć o słynnych dromaderach.

W podobnym stylu toczyło się też życie księżnej małżonki. Z jej to kaprysu zrodziły się Powązki, wspaniałe „fetes champetres”. Lauzun był zachwycony, ale nie opisał tej „samotni”. Uczynili to za niego inni, a wśród nich Wiliam Coxe, guwerner młodego lorda Pembroke, gdy w 1778 przybył do Warszawy: „Położone są niemal na równinie, tu i ówdzie trafia się łagodna pochyłość, stwarzając miłe urozmaicenie. Posiadłość ta urządzona jest w stylu angielskim, z przepyszną mieszaniną trawników i lasu, przez teren przepływa rzeka, tak że spacerować można albo lasem, albo wzdłuż brzegów rzeki. Dom stojący na lekkim wzniesieniu ma wygląd chaty zbudowanej na wzór chłopskiej... Oprócz głównego budynku, który zajmuje księżna wraz z księciem, znajdują się tu jeszcze dla dzieci i służby oddzielne domki, z których każdy ma własne ogrodzenie i swój niewielki ogródek... Inne budynki, takie jak altany, pawilony, ruiny i wiejskie szopy, rozsiane 4 po całej posiadłości. Stajnie wzniesiono na wzór częściowo zburzonego amfiteatru. Kilka romantycznych mostków skleconych z najzupełniej surowego materiału... podkreśla sielankowość scenerii”.

Największym zaskoczeniem dla zwiedzających były wnętrza bogate, wspaniałe, przy tym stylowo urządzone.

De Lauzun ledwo się po Powązkach rozejrzał i już musiał wracać do swoich żołnierzy. Uspokojony dobrym stanem zdrowia Izabeli snuł optymistyczne plany na przyszłość.

Pomyślał, że mógłby z powodzeniem ubiegać się o stanowisko ambasadora Francji przy polskim dworze. Ledwo też przybył do pułku, zaczął ze wszech stron ściągać książki na temat Polski, Prus i Rosji. Na ich podstawie sporządził pełen erudycji memoriał, który później przesłał Czartoryskiemu, a ten z kolei tak nim pokierował, że dokument ów dotarł do władz carskich.

Izabela w czułych listach pochwała zamiar kochanka, podtrzymując go w tych dyplomatycznych staraniach. Lecz oto powstała obawa, że misternie układany plan może zostać zniweczony w zarodku. Książę Adam Kazimierz dowiedział się bowiem o zakonspirowanej wizycie Lauzuna u Izabeli. A tego zdradzonemu małżonkowi było już za wiele, ponieważ owego pobytu nie usprawiedliwiał żaden najbliższy nawet powód. I do tego ta konspiracja a swoją drogą cóż to była za miłość, która kazała wytwornemu kawalerowi kursować w najwyższym zapale i pośpiechu między Paryżem a stolicą Polski - to otwartym powozem, to zwyczajnie w siodle.

Mimo gniewu Czartoryskiego niewzruszony w swych uczuciach i postanowieniach Armand-Louis jeszcze tego samego roku, pod koniec września znów wyruszył nad Wisłę, by asystować przy narodzinach swego dziecka. Tego od rokokowych kochanków wymagał styl i porodowy obyczaj. Ukryty w szafie dusznej od sukien, ustawionej tuż za łóżkiem położowym, w komnacie Pałacu Błękitnego przy ulicy Senatorskiej, pełen niepokoju o swoją miłość, przesiedział francuski diuk aż trzydzieści sześć godzin. Napisze później: „Poród był bardzo bolesny... Słyszałem jej krzyki i za każdym razem wydawało mi się, że wydaje z siebie ostatnie tchnienie”. Wreszcie skończyła się męka i mógł zobaczyć dziecko. Prawdopodobnie był nim późniejszy Konstanty Adam Czartoryski.

Czas już był najwyższy opuścić pałac. Z polecenia księżnej Armand zatrzymał się na dłuższy pobyt u zaufanej rodziny Dembowskich, której dom znajdował się o cztery mile od Warszawy. Tam też księżna wyjawiała Armandowi, że przyznała się „do wszystkiego” swemu małżonkowi. Dobrotliwy Adam Kazimierz uznał dziecko za swoje, jednak zobowiązał Izabelę pod przysięgą, że nigdy więcej nie zobaczy prawdziwego ojca swego dziecka. Książę długo urazy nie chował i kochankowie dobrze wiedzieli, że po pewnym czasie będzie mógł na Lauzuna spoglądać bez specjalnej niechęci.

Ustalono jednakże, iż diuk jak najspieszniej wyjedzie z Polski, by pojawić się ostentacyjnie na dworach w Dreźnie i w Berlinie, dopiero, kiedy stanie się o nim głośno w tych stolicach, wypłynie ponownie w Warszawie, ale już jako dyplomata do specjalnych poruczeń, który tajemniczo negocjuje ważne układy.

Początkowo Armand-Louis traktował tę mistyfikację bardzo serio - szczególnie nad Sprewą. Studiował pilnie administrację wojskową i cywilną państwa pruskiego. Napisał na ten temat szereg memoriałów, które przesłał do francuskiego ministra wojny, hrabiego de Mury, oraz do ministra spraw zagranicznych, hrabiego de Vergennes. I wszystko potoczyłoby się jak należy, gdyby względy okazywali mu jedynie elektor saski i król pruski (ten ostatni prosił nawet Lauzuna, by „rozważył możliwość zostania posłem Francji przy jego dworze”). Cóż, kiedy diuk stał się obiektem zainteresowania wytwornych kobiet. Nawet małżonka drezdeńskiego pana zagięła na niego parol. To właśnie jej zaloty spowodowały, że znalazł się w Prusach wcześniej, aniżeli zamierzał pierwotnie. Natomiast w Berlinie dopadła go panna von Hatzfeld... Właściwie nie bardzo wiadomo, kto kogo dopadł. Z pewnością były aktywne zarówno jedna jak i druga strona.

Początkowo Czartoryska pisywała regularnie do swego adoratora. W pewnym momencie jednak - widocznie za sprawą donosów o sercowych perypetiach kochanka - korespondencja zaczęła zanikać, aż ustała zupełnie. Niedyskretni utrzymują, iż pani „na Powązkach” też nie była bez skazy; twierdzą nawet, że dopiero teraz sobie pofolgowała. W jej salonach na prawach wyjątkowych pojawił się stary-nowy adorator, mianowicie odtrącony w Spa hetman Ksawery Branicki. Nie stroniła także księżna od okazjonalnych flirtów, kokietyryjnych

weszań i krótkotrwałych przygód. Widocznie „bezbrzeżne” uczucie do ognistego cudzoziemca zaczęło stygnąć.

Piękny de Lauzun nie daje jednak za wygraną. Wbrew zakazowi Izabeli przybywa bez uprzedzenia do Warszawy. Ukrywa się w potężnym Marywilu, który stał na obecnym placu Teatralnym. Azylu udzielił mu tym razem rodak, baron de Rullecourt. Czartoryskiej nie było w stolicy, zażywała wiejskich wywczasów. Ale i po powrocie trzymała swego francuskiego adoratora na dystans.

Armand-Louis nie krzywdował sobie w Warszawie, choć starał się to robić dyskretnie. Nie mógł przecież trwać w bezczynności. byłoby to prawie sprzeniewierzeniem się dobrym obyczajom. Zresztą i piękne warszawianki miały tutaj coś do powiedzenia. Atmosfera podniecenia erotycznego, jaka wytworzyła się wokół sławnego diuka, nie sprzyjała porozumieniu kochanków.

Książę Adam Kazimierz, jakby chcąc Lauzunowi wynagrodzić oziębłość małżonki, złożył mu wizytę; informował go też o reperkusjach jego dyplomatycznych zabiegów. „Rezultatem naszego spotkania był memoriał, który wysłaliśmy - ja do Wersalu, on zaś do Moskwy. Było rzeczą niemożliwą, bym pozostawał w ukryciu aż do powrotu naszych kurierów. Złożyłem przeto moje uszanowanie na dworze i zacząłem wszędzie bywać”.

Na balu maskowym w operze stał się obiektem niewybrednych ataków Ksawerego Branickiego, którego wyzwiał na pojedynek i miał szczerą ochotę zabić. Do krwawego porachunku jednak nie doszło, bo w sprawę wdał się król Stanisław August. Przywołał do siebie Branickiego i przymusił do przeproszenia prominentnego Francuza w obecności licznej gromady ludzi.

Upokorzenie hetmana przywróciło Lauzuna do łask kapryśnej obecnie Izabeli. Niestety, tego samego dnia przybyli dyplomatyczni kurierzy z Paryża i z Moskwy. Minister Vergennes wzywał pilnie diuka do jak najrychlejszego stawienia się w Wersalu.

Ostatni wieczór spędził na Powązkach, gdzie długo tulił w ramionach przekorną, ale zawsze pożądaną Izabelę, jakby wiedział, że już nigdy więcej się nie zobaczą. Ponieważ czas miłości minął bezpowrotnie, nie było też już więcej mowy o nowym francuskim ambasadorze w Warszawie, którego memoriałami zachwycało się wiele europejskich dworów.

Armand Louis książę de Lauzun przeżył jeszcze wiele przygód miłosnych i romansów, miała go pokochać nawet królowa Francji, Maria Antonina - co wszakże jest raczej wątpliwe. Jednak Czartoryska wesola mu w krew. Chyba uważał ją za kobietę swego życia, gdyż po latach napisał: „Pani Czartoryskiej dostarczyłem dowodu, iż Europa straciła dla mnie swój urok”.

PS. Jeszcze kilka słów o późniejszych losach pary sławnych kochanków. Księstwo Czartoryscy, rozstawszy się z królem Stanisławem Augustem, zamieszkali w Puławach. Tam księżna Izabela z rokokowej damy przeobraziła się w apologetkę patriotycznych tradycji i pamiątek. Julian Ursyn Niemcewicz, który w tych czasach przebywał na dworze księcia Adama Kazimierza, zanotował w swoich pamiętnikach: „Księżna Czartoryska z największym staraniem pracą i gorliwością zbierała najdawniejsze pamiątki i starożytności polskie i by im godny dać przytułek, wybudowała Świątynię Sybilli na wzór tej, która trwa dotąd w Tivoli, niedaleko Rzymu. Później wzniosła Domek Gotycki, gdzie średnich wieków starożytności złożyła”. Pod urokiem tej krzątaczki narodowej, wielki pisarz stworzył w Puławach poematy: „Ranek”, „Południe”, „Wieczór”, „Noc”, dokumentujące to zacieśnione życie Izabeli, która „stała się synonimem szlacheckiego patriotyzmu. Koźmian później powie w wierszu: „Nie byliśmy bez ojczyzny, bo nam zostały Puławy”. Czartoryska umarła w 1835 roku, licząc blisko dziewięćdziesiąt lat.

Armand-Louis de Gontaut de Biron książę de Lauzun przez długie lata pozostał w służbie - miłości. W życiu publicznym natomiast zasłynął zrazu jako zwolennik arystokratycznego obozu reform, potem jako oficer walczący w Ameryce po stronie zbuntowanych kolonii. W

okresie rewolucji francuskiej obywatel Biron był generałem republikańskich armii. Mimo akceptacji nowego porządku został zgilotynowany w ostatnich dniach grudnia 1793 \ bądź też na początku następnego roku. W godzinie śmierci zachował się godnie. Podobno wychodząc z celi na szafot, miał powiedzieć do współwięźniów: „To koniec, moi panowie, ruszam w długą podróż”. Talleyrand powiedział o nim: „piękny, dzielny, wielkoduszny i błyskotliwy”.

## ROZTERKI MIŁOSNE POETYCKIEGO FAUSTA Johann Wolfgang Goethe i Maria Szymanowska

Roztrząsano w towarzystwie zagadnienie: Co jest milej, dawać czy przyjmować? Jedni twierdzili, że dawać; drudzy, że kiedy przyjaźń jest doskonała, rozkosz przyjmowania jest może równie delikatna a żywsza. Ktoś dowcipny, spytany o zdanie, rzekł: „Nie wiem, która z tych przyjemności jest większa, ale wolałbym przyjemność dawania; zdaje mi się bodaj, że jest trwalsza, ile że uważałem, iż pamięta się ją dłużej.

### CHAMFORT

Ostatnią wielką namiętnością Johanna Wolfganga Goethego była młodzianka Ulrike von Levetzow. Imię jej spłotło się w wyobraźni twórczej wielkiego niemieckiego poety z nazwiskiem Marii Szymanowskiej - znakomitej dziewiętnastowiecznej pianistki polskiej, czarującej swoim kunsztem artystycznym zarówno koncertową publiczność europejską, jak i wielkich ludzi tamtego czasu. Dwie te kobiety są bohaterkami głębokiego dramatu miłosnego, który rozegrał się u schyłku życia Goethego. Nigdy dotąd autor „Cierpień młodego Wertera” nie czuł się tak poniżony, tak wewnętrznie rozbity jak teraz, gdy oładnęła nim namiętność do młodej dziewczyny. Nagle w tej uczuciowej otchłani pojawiło się światło, przynosząc najpierw ukojenie, a później równowagę psychiczną. Tym światłem dobrych nadziei była Maria Szymanowska.

Dramat miłosny Goethego rozpoczął się latem 1820 w Mariańskich Łazienkach, dokąd poeta jeździł dla poratowania zdrowia. Sławny olimpijczyk emanował spokojem i dostojeństwem, ani mu w głowie były romansowe podchody. Liczył już sobie siedemdziesiąt dwa lata, ale nadal tworzył z młodzieńczą pasją i niecierpliwością: to próbował kończyć swe wielkie dzieła, to znów od nich odchodził, by zagłębiać się w materię filozoficzną drugiej części „Fausta”, przede wszystkim jednak porządkował rzecz o Wilhelmie Meistrze.

W roku 1820 ukaże się tom pierwszy tego wielkiego powieściowego cyklu, obejmujący lata wędrówek Wilhelma Meistra, czyli rzecz o rezygnacji („Wilhelm Meisters Wanderjahre oder die Entsagenden”). Goethe najwyraźniej pochłonięty był tym swoim bohaterem i wykorzystywał każdą nadarzącą się okazję, by o nim mówić.

Pewnego dnia na deptaku w Marienbadzie - jak wówczas nazywano Mariańskie Łaźnie - pojawia się siedemnastoletnia Ulryka von Levetzow - jeszcze na wpół dziecko - która przyjechała tu z matką, by pożegnać beztroskie, spędzone na pensji lata i spotkać się po raz pierwszy ze światem dorosłych, z ludźmi dobrze urodzonymi, stwarzającymi perspektywę właściwego mariażu. Ulryka jest wysmukłą, dobrze zbudowaną blondynką, ciekawą życia i ludzi. Z wyraźnym zainteresowaniem patrzy na Goethego, który znalazł się w kręgu znajomych jej matki; wprawdzie o geniuszu poety wie bardzo niewiele, ale nie bez dumy dostrzega powszechny szacunek otaczający ich znajomego.

Goethe z prawdziwym upodobaniem przygląda się Ulryce, najwyraźniej szuka jej towarzystwa, przynosi kwiaty, opowiada wiele i bardzo zajmująco - nawet o rzeczach trudnych. Przede wszystkim jednak pragnie przybliżyć jej duszę swego bohatera - Wilhelma Meistra. Cały czas traktuje Ulrykę jak córkę albo nawet ją wnuczkę. Ot, przemiły, mądry starszy pan, pełen rewerencji, nie-wolny od pedagogicznych skłonności, oraz jedna z wielu jego młodzianek czytelniczek.



W następnym roku Goethe znów spędza lato w Marienbadzie, w otoczeniu pani von Levetzow i jej trzech córek. Ulryka rozkwitła nad podziw, przeobrażając się z podlotka w urodziwą kobietę, poeta na pozór nie zmienił stosunku do swej młodej przyjaciółki, ale w poezji powstałej po rozstaniu pojawiają się tony świadczące o niespokojnym poruszeniu serca: „...i wreszcie łąza za łązą ciecze tłumiąc pożegnania wieczne.” Po nowym roku groźna, nieznana choroba zwala Goethego z nóg, najbliżsi obawiają się najgorszego. Wreszcie lekarze stawiają diagnozę i przystępują do intensywnego leczenia. Peter Eckermann w swoich „Rozmowach z Goethem” notuje 25 lutego 1823: „Jego lewa ręka jest opuchnięta, pojawiły się groźne zwiastuny opuchliny wodnej. Dopiero za kilka dni będzie wiadomo, co sądzić o końcowym wyniku choroby”.

Później poeta miał powiedzieć do Eckermanna: „W mojej osobie widzi pan człowieka zmartwychpowstałego”. Zdrowie wróci mu wraz z wiosennym słońcem. Z niecierpliwością czeka na lato, które znów zamierza spędzić w Marienbadzie. Los mu sprzyja, bo po przybyciu do kurortu otrzymuje mieszkanie w tym samym domu co Ulryka.

Ten do niedawna ciężko chory człowiek odzyskuje nagle sprężystość ruchów, niezwykłą aktywność towarzyską, staje się czynnym uczestnikiem wycieczek i tańczących wieczorków. Nie jest to już zmęczony życiem starzec, ale pełen ognia, żądny doznań i niezwykłych przeżyć mężczyzna. Niektórzy świadkowie przyznają, że wyglądał podobno zdumiewająco młodo.

Codziennie przychodził do pawilonu balneologicznego, gdzie kuracjusze wstępowali po swoją miarkę wody mineralnej, siadał na pięterku przy balustradzie, a gdy tylko postyszał głos Ulryki - bądź jej matki - chwycił kapelusz jak sztubak i przyłączał się do nich, stając się duszą towarzystwa. Nikt zresztą lepiej od niego nie potrafił prowadzić zajmujących rozmów.

Siedemdziesięcioczeroletni Goethe jest zakochany - jak może nigdy dotąd - w dziewiętnastoletniej dzierlatce; jest nią tak zauroczony, że myśli nawet o ślubie. Ogarnęło go uczucie tak gwałtowne, tak silne, że do swoich planów matrymonialnych udaje mu się przekonać nawet wielkiego księcia Weimaru, Karola Augusta. I oto dostojny władca, sam już w poważnym wieku, podejmuje się roli swata. Składa wizytę pani Levetzow i w imieniu Goethego prosi o rękę Ulryki; szalę młodości chce zrównoważyć pisarską sławą.

Wielkiemu księciu - tak jak królowi - podobno się nie odmawia. Może na to liczył autor „Fausta”. Matka Ulryki, przerażona różnicą wieku, daje Karolowi Augustowi odpowiedź wymijającą. I choć brak formalnej odmowy, Goethe rozumie, że nie pozostawiono mu cienia nadziei. Trzeba stłumić rozpacz albo pójść w ślady młodego Wertera. W domu przy Frauenplan w Weimarze syn poety, August, i jego żona, Otylia, mogą wreszcie odetchnąć z ulgą. Nie byli w stanie pogodzić się z myślą o dziewiętnastoletniej macosze.

Jak wyglądał Johann Wolfgang Goethe w tamtym czasie? Nieprzychylna poecie hrabina Tina Bruhl von Seifersdorf już dwadzieścia lat wcześniej pisała: „Goethego z trudnością poznałam, zrobił się nieforemnie gruby i wygląda raczej jak handlarz win z Frankfurtu”.

Do naszej opowieści bardziej przylega znacznie późniejsza relacja Johann Schopenhauer, która - jako młoda wdowa - osiedliła się w Weimarze i prowadziła salon kulturalny. W liście do syna Artura tak opisała gospodarza domu przy Frauenplan: „Oblicza bardziej pełnego wyrazu i bardziej żywego nie widziałam. Gdy mówi, staje się tą osobą, o której prowadzi dyskurs. Głos przypomina muzykę. Obecnie jest stary, ale kiedyś musiał być piękny niczym Apollo. Jest on najbardziej doskonałą istotą spośród mi znanych - także w wyglądzie zewnętrznym: postać wysoka i piękna, trzymająca się prosto, zawsze starannie ubrana w kolorach czarnym bądź ciemnoniebieskim; włosy starannie ufryzowane i przypudrowane stosownie do wieku oraz wspaniała twarz z dwojgiem jasnych, brunatnych oczu”...

Sławny poeta, któremu wizyty składają wielcy uczeni, artyści i królowie, który bezustannie spotyka się z hołdowniczymi wyrazami czci i uznania, czuje się upokorzony. Nic

nie może zrównoważyć młodości. Tylko jego literacki Faust potrafił cofnąć się w latach, urzeczony rozkwitającą kobiecością, Goethego osacza gorycz bezsilności. Werter i Faust - oto dwa wielkie symbole rozkojarzonej duszy. Z tych wewnętrznych zmagania, z tego gorzkiego monologu zrodzi się wstrząsająca „Trylogia namiętności” („Trilogie der Leidenschaft”). Życiem jest miłość. Tak było i tak zostanie po kres letejski. Goethe nawet odtrącony nie poczuł się starcem.

W tym samym czasie bawiła w Marienbadzie Maria Szymanowska, której w podróży artystycznej towarzyszyła równie piękna, mądra i inteligentna siostra, Kazimiera Wołowska. Jako że sława pianistyczna Szymanowskiej była już ugruntowana, urodziwe Polki rychło znalazły się w centrum zainteresowania gości uzdrowiska. Maria koncertuje w Marienbadzie i odbiera hołdy. Mamy prawo przypuszczać, że spośród znakomitych gości największe wrażenie wywarł na niej Goethe. Znała już wcześniej dzieła niemieckiego twórcy, lecz teraz ów poeta i myśliciel zaintrygował ją również jako mężczyzna.

On tymczasem krążył po innych orbitach. Choć jako wielki miłośnik i znawca muzyki spieszył na recitale Marii, wciąż jeszcze pozostawał pod urokiem nieobecnej Ulryki. Uroda innych kobiet nie poruszała jego wyobraźni. Dopiero gdy upora się ze swoim cierpieniem, kiedy odgrodzi się od swej nieszczęśliwej miłości pozornym chłodem urażonej dumy, nadejdzie czas świadomego obcowania z muzyką.

Goethe chce teraz pokazać światu, że nic się nie wydarzyło, że tajny radca weimarskiego dworu nie doznał żadnych upokorzeń. Wielka pianistka ma grać tylko dla niego. I tak się też stało. A Goethe, ulegając czarowi muzyki i talentowi artystki, spostrzega, że nad klawiaturą pochyla się piękna kobieta i że ta biegnie w swoim kunszcie pani, licząca wówczas nieco ponad trzydzieści lat, spogląda na niego z prawdziwym oddaniem.

Poeta poddaje się urokowi Marii. Zrazu jej przychylność schlebia urażonej, męskiej dumie, bo pianistka zaletami duszy i intelektu zdecydowanie góruje nad młodą Ulryką, dopiero później odezwie się w nim uczucie głębsze, przed którym nie stara się nawet bronić. A może świadomie pomaga swemu przeznaczeniu?

W jednym z listów, pisanych z Marienbadu, powiada: „Nagle spłynął na mnie pokój boży, który pogodził mnie z sobą samym i ze światem”. W innym dopowiada: „Tej uroczej kobiecie mam wiele do zawdzięczenia; dzięki tej znajomości i jej cudownemu talentowi odzyskałem sam siebie”. Do Schulza w Berlinie pisze 9 sierpnia 1823: „Pani Szymanowska, żeński Hummel (znany pianista niemiecki - przyp. B.L.), z tą swoją lekką gracją, niezwykle mi ostatnie moje dni umilała. Poza polskim urokiem stanął przede mną największy talent, jako tło lub też, jeśli Pan chce, na odwrót. Talent ten mógłby człowieka przygniść, gdyby jej wdzięk nie czynił go wybaczalnym”.

Już po powrocie z uzdrowiska opisywał ją podniośle weimarskiemu kanclerzowi, von Mullerowi: „...jest ona jak powietrze, taka płynna, taka wraz przytulna, taka wszechobecna, taka lekka i jakby bezcielesna”. Może o niej mówić bez końca.

Widać, że poeta poruszony został tą znajomością. Polska pianistka coraz bardziej wchodzi mu w krew. Pani von Levetzow zaraz po niefortunnych swatach weimarskiego księcia wyjechała z córkami do Karlsbadu. Wprawdzie cień Ulryki znikł z ulic uzdrowiska, ale na zawsze pozostał w jego twórczej pamięci. Młoda von Levetzow przeszła do literatury. Wraz z jej konterfektem Goethe nosi w sobie pełną cierpienia „Elegię”, która musi zostać wyśpiewana. Wyruszając powozem do Weimaru, rzuca na papier pierwsze dramatyczne frazy: „...jestem zagubiony w sobie, choć tak niedawno byłem kochankiem bogów”.

Rozpacz i zawód miłosny muszą być przelane na papier, ale nad niespełnionym uczuciem unosi się kojąca obecność Szymanowskiej; dlatego - być może - to świadectwo miłosnego wzburzenia kończy się pełną rezygnacji poetycką strofą. Równocześnie rodzi się wiersz na cześć nowej znajomej. Nosi on znamienity tytuł „Pojednanie” („Aussöhnung”) i wraz z „Elegią” znajdzie się w „Trylogii namiętności”.

Już z Weimaru Goethe śle zaproszenia przywołujące Marię Szymanowską do siebie, pragnie ją jak najszybciej zobaczyć. Chce przeżyć z nią chwile bardziej radosne, wolne od niedobrych wspomnień. Do jednego z listów dołącza wspomniane „Pojednanie” wraz z francuską parafrazą wiersza, a także swój portret z autografem.

Maria Szymanowska nie знаła niemieckiego, dlatego Goethe porozumiewał się z nią w języku francuskim. Pisał: „Vjoignant ’esperance de me rejouir bientót a Weimar de plus beau talent et de la plus interessante societe qu’ on puisse imaginer”.

Wielka pianistka w momencie poznania autora „Cierpień młodego Wertera” miała także za sobą poważny dramat osobisty. U progu prawdziwej kariery pianistycznej, mając lat dwadzieścia jeden, znana w Warszawie także z urody Maria Wołowska - bo takie było jej panięńskie nazwisko - wyszła za starszego o cztery lata obywatela ziemskiego, Józefa Szymanowskiego, który pod stolicą dzierżawił dobra otwockie.

Niestety, małżeństwo okazało się zupełnie nieudane, ponieważ oblubieniec - dosyć ograniczony hreczkosiej - nie miał w ogóle zrozumienia dla sztuki, a tym bardziej dla powołania artystycznego Marii. Chciał przymusić ją do bardzo przyziemnych czynności, trzymając w gospodarskim kieracie między oborą a stajnią. Potęgujące się między małżonkami dysonanse doprowadziły wreszcie do rozwodu, podczas którego charakter eksmałżonka objawił się w pełni: narzucił jej między innymi wychowanie trójki spłodzonych z nią dzieci. Maria przystała na wszystkie warunki, byle tylko uzyskać upragnioną wolność.

Pełna samozaparcia ćwiczyła przez dwa lata, zanim ponownie pokazała się na estradzie. Od pierwszego też występu zaczął się jej triumfalny pochód przez sale koncertowe Europy. Wśród wielbicieli talentu pianistki znaleźli się najwybitniejsi ludzie epoki. Poza Goethem i licznymi głowami koronowanymi należeli do nich: Chateaubriand, Benjamin Constant, Aleksander Humboldt, Jan i Jędrzej Śniadeccy, Nikołaj Karamzin, Kajetan Koźmian, Adam Mickiewicz, Thomas Moore, Julian Niemcewicz, Niccolo Paganini, Gioacchino Rossini, Carl Maria Weber...

Julian Ursyn Niemcewicz tak przedstawia jej portret z tamtych czasów: „Dość wysoka, o pięknie modelowanych kształtach, oczach błękitnych i przyjemnym uśmiechu, nadzwyczaj białej cerze przy ciemnozłocistych włosach, harmonijna w ruchach i wytworna, nadto bardzo dowcipna, wykształcona i towarzyska - już samym swym pojawieniem się wywierała duże wrażenie”. Taką ją też zobaczył niemiecki poeta.

Maria Szymanowska - wraz ze swoją siostrą Kazimierą - przybywa do Weimaru o wieczornej porze 23 października 823 roku. Nazajutrz ledwo świt przejdzie w dzień, zacznie krążyć wokół nich bezgranicznie szczęśliwy i ożywiony Goethe. Poeta szczyli się piękną Polką, pragnie, by ją podziwiali wszyscy - od księstwa i dworu po herbacianych gości rad czy ni Schopenhauerowej. Ani się spostrzeże, jak nader mocno zaangażuje się uczuciowo. Ale czyż nie kochał jej już wcześniej, skoro tak serdecznie przywoływał do Weimaru?

Pierwszy wieczór z polskimi gośćmi - spędzany w gronie najbliższych Goethego: jego rodziny oraz wypróbowanych dworskich i miejskich przyjaciół - przeciągnął się długo w noc. Kanclerz księstwa weimarskiego, Muller, który to spotkanie - jak i następne - opisał, uległ urokowi Marii całkowicie. Przede wszystkim niezatarte wrażenie zrobiły na nim jej oczy, które - jak mówił - mają w sobie „zarówno coś czarodziejskiego jak i dziecięcego, nie światło z nich idzie, lecz płomień”. Nie bez satysfakcji odnotuje, iż to, co mu przyjaciel niedawno ojej prawie bezcielesnej zwiewności donosił, sprawdziło się całkowicie.

Podczas spotkania czytano przede wszystkim wiersz poety dedykowany pani Szymanowskiej, potem zaś w salonie Junony słuchano jej gry na fortepianie Streichera, przy którym zasiadało tylu znakomitych pianistów.

Późnym wieczorem do domu przy Frauenplan przybyła zaferowana dama dworu, Karolina von Egloffstein, która lat temu kilka poznała Szymanowską jeszcze w Petersburgu; nie mogła zjawić się wcześniej, ponieważ towarzyszyła księżnej Weimaru do Gotha.

Zauważono przy okazji, że wnuk gospodarza - także Wolfgang - powinien już dawno spać, ale on wpatrzony w Szymanowską jak w obrazek, prosił, by nadal mógł przysłuchiwać się rozmowom, bo pani z Polski jest jeszcze piękniejsza niż posąg Junony w wielkim salonie.

Następnego dnia synowa Goethego, Otylia, która czyniła honory nieżyjącej już od paru lat pani domu, wydała przyjęcie (ein grossen Dejeuner) w Belwederze na wzgórzu. Do towarzystwa dołączyła także radczyni Schopenhauerowa - platoniczna wielbicielka wieszczka - która początkowo boczyła się na przyjazd pięknej Polki, wietrząc w niej - nie bez racji - groźną rywalkę.

Będzie także później wystawne śniadanie (Gabelfruhstick), które wyda pani Otylia w chińskim pawilonie. Rozmowy toczyły się wokół spraw polskich, wspomniano Warszawę, z 807 roku, gdy odżyła pod orłami napoleońskimi, dopytywano się o wspólnych znajomych. Wszystkich poruszyła opowieść Szymanowskiej o jej niewidomej siostrze, która poddała się trzem ciężkim operacjom, niestety bez pozytywnego rezultatu, a teraz po dwudziestu pięciu latach ma nadzieję, że dzięki magnetyzmowi odzyska wzrok. Z kolei kanclerz Muller zdumiał się niepomiarowo faktem, że sztuką można zarabiać - na przykład grą na fortepianie. Skomentuje to westchnieniem: „Niech Bóg uchowa jednak od tego każdą szlachetniejszą duszę”.

28 października odbył się w domu Goethego koncert, podczas którego Polka wykonała utwór arcyksięcia Ludwika Ferdynanda. Głównym przypochlebcą okazał się w tym momencie poeta, który owo dzieło - pomyślane początkowo jako kwartet - wniósł przyjaciółce, ponieważ zabiegał o względy dla niej u weimarskiego dworu. Wiedział, co czyni. Polską artystkę przyjęto w pałacu z honorami, zaproponowano jej koncert publiczny, została przedstawiona przybyłej do Weimaru wielkiej księżnej z Gotha, która - urzeczona grą i osobowością Polki - postanowiła pozostać w tym gościnnym mieście aż do jej odjazdu.

Muller tak pisze w liście (3 listopada 1823) do Julii von Egloffstein: „Wielka księżna z Gotha (od sześciu dni) jest jeszcze tu; i tak jedna po drugiej kolacja i jeden koncert po drugim” Powiada dalej, że wszyscy wkoło urzeczeni są pianistką - od ich wysokości po najniższą służkę. „W środę wieczorem udaje się do Berlina, a stamtąd do Paryża i Londynu - namawialiśmy ją, żeby po drodze zatrzymała się w Brunzshwiku i tam wystąpiła z koncertem”.

Johann Wolfgang Goethe powiedział po wyjeździe adorowanego gościa: „Dom mój był przez czternaście dni miejscem spotkań wszystkich przyjaciół muzyki, zwabionych wysoką jej sztuką i przemiłą naturą. Dwór i miasto żyły pod jej wpływem muzyką i radością”.

Serdeczne porozumienie między niemieckim poetą a polską pianistką staje się coraz bardziej intymne. Jednak uczucia swoje demonstruje Goethe z dyplomatycznym umiarem. Nawet podczas pożegnalnego bankietu, wznosząc toast na cześć swego gościa, będzie cyzelował piękne i mądre słowa: „Z czymkolwiek wielkim, pięknym i znaczącym spotykamy się w życiu, nie powinniśmy tego potem z zewnątrz tylko odtwarzać w pamięci i jak gdyby z powrotem pochwytywać, lecz raczej od początku musi się to wplatać w naszą duszę, jednoczyć z nią, wytwarzać w nas nowe, lepsze «ja», i tak jako siła wiecznie twórcza dalej w nas żyć i działać. Nie ma przeszłości, za którą należałoby tęsknić, istnieje tylko wieczyście Nowe, kształtujące się z rozszerzonych pierwiastków przeszłości, prawdziwa tęsknota musi być zawsze produktywna i tworzyć wciąż nowe i lepsze. Czyliśmy sami tego na sobie w tych dniach nie doświadczyli? Czyli nie czujemy się wszyscy przez to szlachetne zjawisko, które chce nas znowu opuścić, jak najgłębiej w sobie odświeżeni, polepszeni i rozszerzeni? Nie, nie zdoła nam ona ujsć, przeniknęła do naszej najwewnętrzniejszej jaźni, żyje w nas i z nami dalej, i cokolwiek by poczęła, ażeby uciec przede mną, już ją na zawsze w sobie zatrzymam”.

Przy pożegnaniu ulegnie poeta głębokiemu wzruszeniu, nie zapanuje nawet nad łzami. Poczucie się przedwcześnie opuszczony i daremnie będzie wypatrywał chwili ukojenia. Nic nie jest go w stanie pocieszyć - nawet towarzystwo ukochanego wnuka, który zresztą również podzielał jego smutek.

Oddajmy głos naocznemu świadkowi: „Gdy przyszedłem po południu do Goethego - wspomina Muller - zastałem go jeszcze z panią Szymanowską przy stole; właśnie co rozdzieliła była dla całej rodziny, nie wyłączając swego ulubieńca Wolfganga, bardzo miłe podarki pożegnalne, będące po części dziełem własnych jej rąk, a stary pan był w najdziwaczniejszym usposobieniu. Starał się być pogodny i wesoły, ale ze wszystkiego wyzierał głęboki smutek pożegnania. Po obiedzie chodził tu i tam, nie umiejąc sobie znaleźć miejsca, zniknął, przychodził i znowu wychodził... O piątej pani Szymanowska była zapowiedziana na audiencję pożegnalną u wielkiej księżnej; z powodu panującej na dworze żałoby, zjawiała się w całkowitej czerni, co jeszcze większe robiło wrażenie na Goethem. Powóz zajechał, a pani Szymanowska niepostrzeżenie zniknęła. Wówczas już, bez osłonek, wystąpiły na jaw uczucia ludzkie u Goethego: zwrócił się do mnie, prosząc, ażebym sprawił, by ona raz jeszcze zjawiała się i nie odjeżdżała bez pożegnania.

W kilka godzin potem - ja i jego syn - wprowadziliśmy ją wraz z jej siostrą do niego.

- Odjeżdżam bogata i pocieszona przez pana - powiedziała. - Utwierdził pan we mnie wiarę w siebie samą, czuję się lepszą i godniejszą dlatego, że pan mnie szanuje. Nie mówmy nic o pożegnaniu ani o wdzięczności, oddajmy się raczej marzeniom o ponownym widzeniu. Gdybym była już starszą i mogła wnet spodziewać się wnuka, musiałby nazywać się Wolf, a pierwszym słowem, jakiego bym go nauczyła, byłoby pańskie drogie nazwisko, j - Comment vos compatriotes - odpowiedział Goethe - ont en tout de peine a chasser les loups de chez eux et vous voulez les g- ... reconduire?

Ale wszelkie wysiłki, by zdobyć się na humor, na nic się zdały i nie zdołały powstrzymać nagłego wylewu łez. Bez słowa wziął ją i jej siostrę w ramiona. Gdy szła długim szeregiem otwartych pokoi jego wzrok towarzyszył jej, póki nie zniknęła mu z oczu”.

W nocy - po wyjeździe polskiej pianistki z Weimaru - wielki poeta ciężko zaniemógł.

W Berlinie Maria Szymanowska odwiedziła kompozytora i wybitnego muzykologa, Karla Friedricha Zeltera, z którym autor „Fausta” zaprzyjaźnił się serdecznie w 1802 roku i od tego czasu wymieniał z nim uczone listy. Po wizycie pięknej Polki przejęty Zelter napisał do przyjaciela: „Sie ist rasend in Dich verliebt... (Ona jest w Tobie do szaleństwa zakochana)...

Swego czasu zastanawiano się nad wzajemnym stosunkiem Goethego i Szymanowskiej: „Przyjaźń wydaje się za blada, miłość za silna, romans za lekki. Zdaje się, że było w nim ze wszystkiego po trosze”.

## MIŁOŚĆ PO WŁOSKU

George Byron i Teresa Guiccioli

Lord Bolingbrocke dał Ludwikowi XIV wiele dowodów czułości w czasie jego niebezpiecznej choroby. Król, zdziwiony, rzekł:” Jestem tym bardziej wzruszony, ile że wy, Anglicy, nie lubicie królów”. „Najjaśniejszy Panie - odparł Bolingbrocke - jesteśmy jak owi mężowie, którzy nie kochając swoich żon, tym skwapliwiej nadskakują cudzym”.

### CHAMFORT

W weneckim salonie Mariny Benzony zobaczył Byron po raz pierwszy Teresę Guiccioli. Miała ona wówczas A I/ osiemnaście lat i zaledwie trzy dni temu została żoną sześćdziesięcioletniego właściciela ziemskiego, najzamożniejszego w okolicach Rawenny. Choć wcale nie była piękną klasyczną, niezwykła uroda Teresy - żywe spojrzenie niebieskich oczu, jasnobrunatne o rdzawym połysku włosy i wcale nie południowa karnacja - sprawiała, że porównywano ją do postaci z obrazów Tycjana.

Byron miał za sobą wiele niedobrych miłości: czuł się zmęczony atmosferą napięć i skandali, jakie wywoływały jego wywodzące się z ludu włoskie kochanki - szczególnie dwie

ostatnie: „podobna do antylopy” żona kupca, Marianna Segate, oraz czarnooka piekarka Margherita Cogni, o której poeta mówił, że jest jak piękne zwierzę.

To prawda, że zakochane w Byronie Włoszki niszczyły go dziką zazdrością, urządzały mu publiczne awantury, ale przecież z Marianną związana jest wenecka opowieść poetycka „Beppo” i w pewnym sensie czwarta pieśń „Childe Harolda”, zaś w czasie burzliwego romansu z Margherita powstała myśl napisania najsłynniejszego poematu satyrycznego o Don Juanie. „Potrzeba mi bohatera” - wołał i patrzył głęboko w oczy omdlewającej z miłości piekarce. Z czasem zaczęło go razić prostactwo kochanki, toteż któregoś dnia przywołał gondolierów i odesłał Margheritę mężowi.

Poeta postanawia zerwać z dotychczasowym, rozwiązłym życiem, by całkowicie poświęcić się literaturze. Dokonuje niewesołego obrachunku ostatnich lat. Wyszczuty z ojczyzostego kraju - po rozpadnięciu się nieszczęśliwego małżeństwa - opuścił Anglię 8 marca 86 roku. Miał wówczas dwadzieścia osiem lat. Osiadł początkowo w Szwajcarii, ale jeszcze w tym samym roku, uciekając przed historyczną miłością Jane Clairmont, która przyjechała za nim do Genewy, znalazł się w Wenecji. Zakochana Jane przywiozła ze sobą „do pomocy” męża swej przyrodniej siostry, znakomitego poetę, Percy Bysshe Shelleya, którego Byron wielce cenił, a nawet podziwiał. Nie stanął on jednak po jej stronie.

Zastanawiające, iż ze wszech stron osaczony Byron napisał nad jeziorem genewskim tak wiele: trzecią pieśń „Wędrówek Childe Harolda”, „Więźnia z Chillon”, „Sen”, „Śmierć Sheridana”, a poza tym zdążył nawet przymierzyć się do „Manfreda”. Należy przypuszczać, że na tę zadziwiającą aktywność twórczą miał swój dobroczynny wpływ niezwykle zdyscyplinowany Shelley.

Udając się do salonu Mariny Benzony, poeta miał prawo czuć się zmęczony, a nawet wewnętrznie wypalony; ogarnięty falą frustracji postanawia wręcz, że opuści Wenecję. Pojawił się wśród gości rozkojarzony, traktując tę wizytę niczym akt pożegnalny. Nie chce już nawiązywać nowych znajomości, chociaż zachęcano go II5 usilnie do poznania młodziankiej hrabiny Guiccioli. Za wszelką cenę pragnie uniknąć napięć i najdrobniejszych nawet powikłań, jakie mogłyby powstać przy okazji towarzyskich kontaktów.

Los jednak sprawił, że w pewnym momencie sławny poeta i młodzianka hrabina, która zaledwie rok temu opuściła klasztorne mury, stanęli naprzeciw siebie i trzeba było dokonać prezentacji. Teresa Guiccioli, która znużona chciała jak najszybciej pożegnać gwarny salon, przechodzi gwałtowną metamorfozę: oszołomiona melodyjnym głosem i urodą Byrona - jawił jej się niczym Apollo Belwederski - zapomina o nudzie, przedłuża zdawkową wymianę zdań i wychodzi z domu Benzony głęboko poruszona. Sprawił to „il nobile Inglese”.

Podobny wstrząs przeżył angielski poeta. Jak powiada Kazimierz Chłędowski: „Po dziekierce Marghericie kobieta młoda, wiotka, o żywym spojrzeniu zdawała mu się prawdziwym ideałem wdzięku”. Nie ma już mowy o literackim odosobnieniu. Kilka dni później, w kwietniu 1819, sprawy zaszły bardzo daleko. Już od chwili pierwszego spotkania lord Byron codziennie antyszambruje u hrabiostwa Guiccioli. Między jednym a drugim pałacem krążą liściki pełne wzajemnego uwielbienia.

Gdy wreszcie Teresa musi wrócić z mężem do Rawenny, gdzie stale mieszkają, nie potrafi pogodzić się z rozstaniem. Po rozłące z poetą trzy razy zemdlą z rozpacz. Odzyska równowagę dopiero po otrzymaniu listu, w którym ukochany zapewnia, że przybędzie do Rawenny w maju. A kursujące ustawicznie wyznania godne są Romea i Julii.

„Gdybyś wiedziała, jak wielka jest moja miłość do Ciebie, nigdy nie przyszłoby Ci do głowy, że mógłbym o Tobie zapomnieć choćby na jedną chwilę. Musisz mnie lepiej poznać. Może kiedyś przekonasz się, że chociaż nie jestem Ciebie godny, jednak naprawdę Cię kocham...

Jedyną moją przyjemnością jest myślenie o Tobie, ale sobie nie wyobrażam, żebym mógł teraz odwiedzić miejsca, w których byliśmy razem - zwłaszcza te najbardziej uświęcone naszą

miłością; chyba umarłbym z żalu... Najdroższa, życie moje stało się tak monotonne i smutne. Ani książki, ani muzyka, ani konie (to rzadkość w Wenecji - wiesz, że moje własne zostały na Lido), ani psy - nic mnie nie cieszy. Nie pociąga mnie towarzystwo kobiet, o towarzystwie mężczyzn nie ma co mówić, bo zawsze nimi gardziłem...

Miałem już nigdy nie kochać ani nie spodziewałem się dostąpić miłości. Ty rozbiłaś te wszystkie mocne postanowienia. Teraz cały do Ciebie należę, od Twojej woli zależy, czym będę - może człowiekiem szczęśliwym w Twojej miłości, ale już na zawsze pozbawionym spokoju”.

Pędzi do ukochanej, ale w Rawennie nie miłość czekała na Byrona. Teresa - powalona gwałtownym atakiem gorączki - wyrzucała krew ustami. Poeta otoczył ukochaną kobietę troskliwą opieką. Stary hrabia - wielki bon vivant uganiający się ustawicznie za aktoreczkami - patrzył na to przez palce: Byron - jak chcą niektórzy - za jego zgodą został cavalierem servante przy boku Teresy. Hrabia podobno chciał za to przyzwolenie wyłudzić od poety tysiąc funtów szterlingów, ale ten widocznie aż tak zakochany nie był.

Nie odpowiadała Byronowi pozycja oficjalnego przyjaciela domu i wpadał w gniew, gdy go tak traktowano. Kiedy namiętności opadną nieco, będzie nawet dworować z samego siebie w listach do przyjaciół. „Jestem funkcjonariuszem u hrabiny Guiccioli, ale tutaj moralność jest wszędzie ta sama. W Faenzy mieszka lord ze śpiewaczką opery, a w tym samym mieście jakiś książę neapolitański służy małżonce tamtejszego gonfaloniera” - pisze do Murraya.

Na razie temperatura uczuć nadal jest podniosła, a nawet patetyczna - choć kto tam wie, jak było naprawdę. Wreszcie Teresie wraca zdrowie, udaje się więc z kochankiem na grób Dantego do franciszkanów. Ten spacer to prawdziwe theatrum dla gawiedzi: hrabina spowita była w twarzową czerń, Byron natomiast paradował w angielskim mundurze wojskowym. Autorowi „Boskiej komedii” ostentacyjnie złożył w kaplicy własny tom wierszy. W nocy, uniesiony natchnieniem, skreślił wiersz „Prophecy of Dante” („Proroctwo Dantego”).

Z czasem, w miarę przedłużania pobytu w Rawennie, poeta otrząsa się z miłosnego odurzenia i zaczyna swoje uczucia kontrolować. Teresa jako kobieta podoba mu się nadal, i to nawet bardzo, ale o bezgranicznym oddaniu coraz trudniej mówić. Prowadzi jak gdyby podwójną grę: wobec kochanki nadal jest uważający, uprzedzająco grzeczny, ognisty w miłości, ale pozostawiony samemu sobie potrafi z obiektu westchnień dworować, dochodząc wręcz do sarkazmu. Na przykład w liście do swej ukochanej przyrodniej siostry, Augusty Leigh, pisze: „Piszę z Rawenny. Przybyłem tu dla hrabiny Guiccioli, dwudziestoletniej dziewczyny, zamężnej od jakiegoś roku z bardzo bogatym sześćdziesięcioletnim starcem. Ubiegłej zimy miałem z nią romans według dawnych dobrych obyczajów włoskich. Żle się czuła i w maju wezwała mnie tu; siedzę więc w Rawennie od dwóch miesięcy. Jest ładna, bardzo zalotna, niesamowicie próżna i ogromnie afektowna. Dosyć inteligentna, bez żadnych zasad moralnych, za to ma sporo wyobraźni i trochę namiętności. Dla nasycenia swojej próżności uparła się, aby mnie ściągnąć z Wenecji i udało jej się to, a skoro stała się głównym tematem tutejszych rozmów towarzyskich, bardzo to pomogło jej zdrowiu”.

W dalszej części kpi sobie z jej ciągot do jazdy konnej, „bo nie potrafi kierować wierzchowcem”, który - zdeorientowany - biegnie za jego ogierem niczym piesek i próbuje go ugryźć. Natomiast Teresa bez przerwy lekliwie krzyczy, denerwuje się, czepia siodła, uzdy, a na dodatek wygląda arcyśmiesznie w swoim wysokim kapeluszu i szafirowym stroju amazonki. Sprawia kłopot nie tylko Byronowi, który jest wybornym jeźdźcem, ale i dwom służącym, którzy potwornie się męczą, dokładając starań, by pani hrabina nie spadła z konia i nie podarła sobie sukienki.

Byron rozgląda się już za innymi pięknymi buziami. Podoba mu się przyjaciółka Teresy „imieniem Gertruda”, która nawet jest skora do grzechu, i to bardzo, ale ma potwornie

zazdrosnego męża, pilnującego swej podwłoki niczym diabeł duszy. Po prostu poślubiła zwykłego barbarzyńcę.

W cynicznym post scriptum Byron dopowiada: „Cały ten romans (z Teresą - przyp. B.L.) nie jest bynajmniej kosztowny - wszystko odbywa się wśród ludzi bogatych - ale bardzo kłopotliwy, bo dama despotyczna i wymagająca. Są jednak pewne nadzieje, że się pokłócimy”.

Nadzieje na rychłe rozstanie były jednak płonne. Teresa, dumna ze swojego ciciśbeo, robiła wszystko, ażeby Byron się jej nie wywinął. Chciała go mieć na własność i na zawsze. W sztuce zalotności osiągnęła poziom mistrzowski.

Wkrótce po manifestacji literackiej przy grobie Dantego, w połowie września udadzą się kochankowie do Wenecji, gdzie Byron urządzi damie swego serca willę La Mira. Spędzą w niej blisko dwa miesiące. To długie sam na sam ostudzi jeszcze bardziej zapalę miłosne poety. Teresa okazała się bardziej sentymentalna, niż przypuszczał, i wręcz pretensjonalna; literaturę znała wycinkowo, choć nader chętnie ferowała nieprzemyślane sądy o dziełach, których nie potrafiła dostatecznie zgłębić. Narzucała się także Byronowi jako muza, Beatrycze, i próbowała nawet ingerować w poszczególne pieśni „Don Juana”.

Początkowo poeta to i owo niby zmieniał, ale ta apodyktyczna pewność siebie młodej prowincjuszki irytowała go coraz bardziej. Przed bardem szkockim, Thomasem Moore’em, który odwiedził ich w La Mira, odegrał jeszcze rolę czulego kochanka. Na dobrą sprawę, cóż mu pozostało? Jak miał się zachować wobec człowieka, który przyjechał właśnie po to, by zobaczyć George’a Byrona zakochanego we włoskiej arystokratce? Ale wkrótce autor „Don Juana” napisze do przyjaciela ze smutkiem: „Jeżeli o mnie chodzi to po Twoim wyjeździe miałem żalowaną scenę”.

Dobrotliwy Thomas Moore po wizycie w La Mira skreślił entuzjastyczny portret Teresy Guiccioli, przedstawiając ją jako delikatną piękność o długich, falujących blond włosach, wielkich oczach i nader jasnej karnacji.

Natomiast konterfekt poety, tak często porównywanego do Apolla, zaczął się już zmieniać. Skłonność do tycia, z którą Byron walczył od dłuższego czasu w sposób bezwzględny, dała znać o sobie. A przecież jadł już tylko ryby i zieloną sałatę, mocno skraplaną octem; często rezygnował z normalnego obiadu, zastępując go szklanką herbaty i grzanką.

Mniemał, że tę ogarniającą organizm skłonność zdoła pokonać, pijąc mocne wina i stare koniaki. Tymczasem to one właśnie przydawały mu zbędnych kalorii. Ale tego Byron nie wiedział. Sądził, że tyje się jedząc tłuste kotlety i kapłony, zaś wszelkie płyny, spożywane z umiarem, oczyszczają organizm.

Poecie bardzo zależało na zachowaniu siły i sprężystości ciała. Należał do grona świętych pływaków, uprawiał boks, władał doskonale białą bronią, strzelał bezbłędnie, po mistrzowsku jeździł konno. Sport odgrywał ważną rolę w jego życiu.

Tymczasem, mimo narzuconej sobie diety, zaczął się coraz bardziej zaokrąglać; ze smutkiem zauważył, że jego piękne i bujne włosy tracą blask i zaczynają się gwałtownie przerzedzać - szczególnie nad czołem. Reżim dietetyczny zaostrzał więc jeszcze bardziej.

Na kobiety też zaczął patrzeć przez pryzmat ich stosunku do jedzenia; gdy tylko zauważył, że któraś ma prawdziwy apetyt i delektuje się potrawami, od razu tracił do niej serce, choćby nawet była najpiękniejsza. Teresa Guiccioli, która w ogóle nie zwracała uwagi na jedzenie i posilała się jak gdyby pod przymusem, wzbudzała jego autentyczny podziw. Kochał kobiety eteryczne.

Romans z Teresą zaczął jednak Byronowi wyraźnie ciążyć. Kiedy więc hrabia Guiccioli, nie otrzymawszy oczekiwanych funtów szterlingów, zjawił się w La Mira i zażądał natychmiastowego powrotu żony do Rawenny, poeta przełamał opór kochanki i nakłonił ją do tego. Znów świta mu myśl o wyjeździe z Włoch. Rozważa projekt osiedlenia się we Francji,



potem w Ameryce, ale z podjęciem ostatecznej decyzji zwleka. Mimo wszystko żał mu Italii, w której spotkało go tyle uznania i serdeczności.

Wśród tych rozterek dociera do niego list od ojca Teresy, Ruggiera Gamby, w którym stary hrabia błaga go o natychmiastowy przyjazd do Rawenny: Teresa ponownie zachorowała i tylko przybycie Byrona może ją z tej niemocy wyleczyć. Zrozpaczony ojciec zapewnia równocześnie, iż sugestię tę podziela również mąż Teresy Wszystko zaczyna się tak samo jak przed kilkoma miesiącami. I oto zamiast do Stanów Zjednoczonych poeta udaje się do... Rawenny - tym razem na dłużej.

Teraz już nikt nie ma wątpliwości, że kochankowie postanowili nie ukrywać swego związku. Szybkie ozdrowienie Teresy przyjęte zostało z odpowiednim komentarzem, a z końcem grudnia 1819 sławna para pokazała się oficjalnie na balu u markiza Cavalli. Znowu była czerń, choć rozjaśniona brylantami, znowu był galowy mundur.

W czerwcu 1820 Teresa uzyskała dekret separacyjny. Skazywał on Guicciolo na płacenie żonie stałej pensji, zwrot wszystkich dóbr do niej należących oraz ruchomości, między innymi drogocennej kolekcji klejnotów. Dekret ten też postanawiał, że hrabina ma wrócić do swej rodziny, zaś Byron może ją widywać tylko w ściśle określonych warunkach.

Od tej pory romans nabrał patyny, a uczucia kochanków uległy stonowaniu. Kto wie, czy Byron nie pozostał przy Teresie głównie ze względu na jej ojca i brata - wielkich włoskich patriotów. Autor „Don Juana” uchodził bowiem za rzecznika uciskanych narodów, szermierza wolności i niepodległości. Ten nietypowy Anglik kochał Napoleona, a nienawidził Wellingtona - pogromcy cesarza Francuzów, darzył ogromną sympatią republikańskie Stany Zjednoczone, głoszące hasła równości, wolności i braterstwa. We Włoszech - w dużej mierze uzależnionych od Austrii - zdecydowanie popierał wszelkie ruchy niepodległościowe i rewolucyjne. „Szlachetny Anglik, który miał zapatrywania wolnomyślne”. („Il nobile Inglese aveva opinioni libertine”).

Ojciec Teresy i jej brat, Piętro Gamba, wciągają Byrona do organizacji karbonaryjnej. Poeta wkrótce zostaje przywódcą jednej z trzech grup działających w Rawennie. W zespole posiada głównie robotników. A że jest człowiekiem majątnym, nie szczędzi pieniędzy ani na uzbrojenie oddziału, ani na inną działalność konspiracyjną. W tej spiskowej krzątaninie nie brak i akcentów polskich. W pamiętniku pod datą 30 stycznia 1820 przypomina taką scenę: „Omawialiśmy rozmaite ważne sprawy i sprawy ruchu. Te pomijam - jeśli do czegoś dojdzie, przemówią same za siebie. Potem mówiliśmy o Kościuszcze. Hrabia R.G. (ojciec Teresy - przyp. B.L.) powiedział mi, że w czasie kampanii włoskiej widział, jak polscy oficerowie płakali na samo wspomnienie tego nazwiska”.

Niestety, w tym włoskim ruchu wyzwoleniczym sam wybuch powstania, do którego przygotowywano się z tak wielkim animuszem, został storpedowany w sposób dziecinnie prosty - a dla nas - 20 wręcz śmieszny. Wystarczyło bowiem zarządzenie władz okupacyjnych, w którym mówiło się, „że wszystkie osoby posiadające ukrytą broń podlegają...”, ażeby w dwa dni później członkowie dowodzonej przez Byrona grupy podzucili mu do domu cały niedawno przez niego zakupiony, arsenał.

- Włosi zawsze upadali brakiem jedności, stanowczości i zdecydowania w działaniu - powie ze smutkiem i z gniewem.

Swoją uwagę i sympatię polityczną przeniesie teraz George Byron na Grecję, w której wola walki o niepodległość zaczęła zataczać coraz to szersze kręgi. Uwielbiana przez niego Hellada budziła się do wyzwoleniczego czynu.

Na razie musiał jednak opuścić Rawennę, bo dla hrabiów Gamba nie było już domu w rodzinnym mieście; nie mogli w nim dłużej pozostać. Przenoszą się zatem gromadnie do Pizy, Byron prowadzi tu teraz bardzo uregulowany tryb życia: wstaje o dziesiątej rano, między jedenastą a dwunastą spożywa śniadanie, potem udaje się na długą konną przejażdżkę, w trakcie której ćwiczy strzelanie z pistoletu; wieczorem idzie do pani Guiccioli i spędza z nią

czas do godziny jedenastej; około północy zasiada do pisania i pracuje co najmniej trzy godziny, choć bywa, że i znacznie dłużej. Ta intensywna praca twórcza wyczerpuje go najbardziej. Mozoli się niczym wyrobnik, a nie tak dawno jeszcze rymy same garnęły się do niego.

Plotkarze powiadali, że w tym czasie nie był też zbyt wierny tycjanowskiej Teresie, aczkolwiek starał się usilnie, by jego przelotnym romansom nie nadawano rozgłosu. A znalazły się w tej kolekcji miłosnej i damy z towarzystwa, i krewne sławnej ongiś piekarki. No cóż, zawsze ciągnęło go do ludu.

I jeszcze raz zmienia poeta miejsce zamieszkania. Z końcem września 1822 przenosi się wraz ze swą stałą kochanką do Genui, a właściwie do wioski Albaro, położonej tuż za bramami miasta. Nie wie ani nie przeczuwa, że zbliżają się ostatnie chwile jego życia. Dopisuje mu zdrowie, bawi się, nie stroniąc nawet od niezbyt wyszukanych rozrywek.

Zresztą zawsze tak się z Byronem dzieje, gdy na horyzoncie pojawia się nowa intrygująca kobieta. Wizytowała zaś go i komplementowała w tym czasie lady Blessington, która napisze później „Diariusz rozmów z lordem Byronem”. Kazimierz Chłędowski powie: „Piękna, rozumna, dowcipna, elegancka lady nadzwyczaj się podobała Byronowi i unieszczęśliwiała hrabinę Teresę, która widząc ją w towarzystwie poety, nie posiadała się z zazdrości”. Do zbliżenia jednak nie dojdzie.

Upłynie niewiele czasu, a Byron w towarzystwie Piotra Gamby znajdzie się na ziemi greckiej. Tam, u wybrzeży, zaatakuje go niezwykle groźna febra, która dokona dzieła zniszczenia od lat osłabionego atakami epileptycznymi organizmu. Szlachetny George nie zdąży na pole bitewne, by zginąć niczym heros. Umrze w smutku i przygnębieniu. I choć nie padł na polu chwały wśród walczących Greków, ci uznali go za rzecznika swej narodowej sprawy, a na wieść o jego zgonie ogłosili żałobę w całym kraju. Śmierć poety wstrząsnęła Europą. Stał się on synonimem piękna i wolności.

Ciało Byrona zawiózł Pietro Gamba do Anglii, ale ówczesne władze nie zezwoliły na pogrzebanie go w rodzinnym grobowcu w Newstead Abbey. Spoczął zatem w wiejskim kościółku w Hucknall, natomiast serce pozostawiono w mauzoleum w Missolongi, na ziemi greckiej, niedaleko miejsca, w którym zmarł.

Po śmierci kochanka Teresa Guiccioli zamieszkała w Genewie. Około 1848 roku wyszła powtórnie za mąż za francuskiego markiza de Boissy - równie starego jak ongiś jej pierwszy małżonek - i przeniosła się do Paryża. Prowadziła tam salon literacki, w którym chętnie bywali wielbicieli twórczości George'a Byrona. Czuli się też zobowiązani do napisania wspomnień o autorze „Don Juana”, jednakże ta dwutomowa praca nie zapewniła jej nieśmiertelności.

Pod koniec listopada 1829, na balu w rzymskim pałacu księcia Gagaryna, zobaczył Teresę Guiccioli druh Mickiewicza, towarzyski Edward Odyniec. Wyglądała świeżo, rumiana jak róża, otoczona rojem mężczyzn, do których uśmiechała się pogodnie. Nie bardzo przypadło to do gustu naszemu podróżnikowi, który najchętniej widziałby ją w nieustającej żałobie po wielkim kochanku. Dlatego spod jego pióra wyszły zgryźliwe słowa: „Sam też jej ubiór zgodny z tym humorem. Wygorsowana jak kielich lilii, na szyi miała kanak (naszyjnik - przyp. B.L.) brylantowy i takąż przepaskę we włosach. Przyszły mi na myśl słowa Childe Harolda:

Kochanki, żony płacz mnie nie wzruszy,  
Bo wiem, nim błysnie poranek,  
Z błękitnych oczu te łzy osuszy  
Nowy mąż, nowy kochanek”.

## ROMANSE I BALLADY

Adam Mickiewicz i Karolina Kowalska

Kawaler de Montbarey spędził jakiś czas na prowincji. Kiedy wrócił, przyjaciele ubolewali nad towarzystwem, w jakim musiał się obracać. „Mylicie się - odparł - dobre towarzystwo jest w tym mieście takie, jak wszędzie, a liche jest wyborne”.

#### CHAMFORT

Niedawny student Uniwersytetu Wileńskiego, Adam Mickiewicz, „wyznaczony na nauczyciela literatury, historii i prawa do szkoły powiatowej kowieńskiej”, pobiera z kasy uczelni pożyczkę w wysokości stu rubli srebrem i 22 września 1819 roku wyjeżdża do miejsca przeznaczenia. Następnego dnia rozgląda się już po Kownie i po swojej nowej stacji. Po latach bliski przyjaciel Adama, poeta Edward Odyniec, przypomni: „Mieszkanie jego w murach szkolnych, w rynku, składało się z jednej izby, z wąskim przedpokoikiem, w którym spał chłopak służący”.

Kowno wydaje mu się miastem pęsnym i prawdziwie prowincjonalnym. Niemen jest tutaj rzeką graniczną Królestwa - poecie brakuje zatem przestrzeni i intelektualnego formatu, żywej atmosfery uniwersyteckiej i filomackiej, dlatego przez cały czas pobytu pozostanie wychylony zachłannie w stronę Wilna. Tam rozkołysała się jego liryczna muza, tam pozostali jego świątli przyjaciele, radzi, że ich utalentowany druh znalazł swoje natchnienie „w pięknej, promienistej i najlepszej Marii”, którą zresztą, prześcigając się w rymach, wszyscy uwielbiali.

Maryla Wereszczakówna mieszkała w Tuhanowiczach i tam też popędzi Adam podczas wakacji - zanim poturla się bryką do Kowna - nie tyle by utrwalić w pamięci konterfekt ukochanej, lecz - a może nade wszystko - by dać do zrozumienia temu zasobnemu domowi, że nie jest poetą-lekkoduchem, ale człowiekiem solidnym, mającym w perspektywie poważną posadę nauczycielską. Wbrew pozorom bowiem Wereszczakowie, zacni i promieniści, jak ich nazywał Tomasz Zan, wiedzieli zawsze bezbłędnie, co się należy gołemu geniuszowi, a co dobrze sytuowanemu hrabiemu, takiemu jak Wawrzyniec Puttkamer, który - poza majątkiem - miał jeszcze wiele zalet charakteru i umysłu, a co ważniejsze - podobał się kobietom.

Mickiewicz był poetą romantycznym, a zatem musiał mieć duszę cierpiącą, musiała go zżerać tęsknota za ukochaną, kobietą wyidealizowaną, muzą; ale był także młodym, zdrowym mężczyzną, który lubił dobrze zjeść, a kiedy trzeba również i wypić jak należy - nie stroniąc przy tym bynajmniej od miłości spełnionej.

Rozglądał się więc w Kownie za obiektem westchnień i choć początkowo próbował ulokować swe afekta w żonie kolegi - nauczyciela fizyki, matematyki, przyrody i francuskiego - pani Nieławickiej, to w tym samym czasie, bo jeszcze we wrześniu, odkrył też salon doktorstwa Kowalskich. Piękna pani Karolina chyba od razu postanowiła zaprząć do rydwanu swych wielbicieli młodego człowieka, który z trudem adaptował się w nowym środowisku. Wraz z przybyszem przenikał do salonu podniecający powiew większego świata; obecność takiego gościa to zarazem szczypta snobizmu, bez której żaden prawdziwy salon nie mógł się obyć. Mickiewicz, zrazu zagubiony, potrzebował tkliwej pomocy i taką pomoc otrzymał. I oto ze zdumieniem spostrzegł, że w tym ponurym Kownie - które miało być dlań zesłaniem - może żyć aż tak piękna kobieta.

Karolina z Wagnerów Kowalska miała wówczas niespełna dwadzieścia pięć lat i była już matką dwu rezolutnych córek, Olei i Kamy. Odyniec, który ją poznał dopiero w 1823 roku - kiedy to zdecydował się wreszcie odwiedzić Mickiewicza - zapamiętał, że jej „postać, rysy, spojrzenie, uśmiech mogłyby służyć za model rzeźbiarzowi i malarzowi”.

Do stałych gości doktorstwa należeli między innymi Nieławiccy, Dobrowolscy, Chłopięcy z Romajń, Prozorowie z Wędziagoły, a także późniejszy rywal poety do wdzięków fertycznej Karoliny, szambelan Nartowski.

Stanisław Dobrowolski - prefekt szkoły kowieńskiej, o którym jedni mówili, że był skąpy jak Szkot, zaś inni, że był nader ludzki - ”ujęty osobistością Adama, powziął ku niemu afekt

prawdziwie ojcowski i już cię przykładał się niemało do osłodzenia mu pobytu w Kownie". Lubił jednak podworować sobie z romantycznego młodzieńca, drapującego się czasami w szaty bajronowskie. Odyniec dorzuca: „...znając niepraktyczność Adama w życiu codziennym, lubił żartować z niej po przyjacielsku, a przypisując to zwłaszcza poezji, na poezję też (równie żartem) wygadywał dziwosy” i „żarty z niej i poetów miał za ulubiony temat jowialnej, przyjacielskiej rozmowy...” Gdy chciał na przykład pobudzić dyskusyjne namietności, powiadał, zmrużywszy figlarne oczy, że poezja wiatr tylko zasiewa i zbiera. I już miał przeciwko sobie nie tylko Adama, lecz rozpłomienioną wewnętrznym ogniem Karolinę.

Zagładały do Kowalskich trzy panny marszałkówny Siwickie, niemłode już i niepiękne, „ale bardzo uczone, pobożne i przy tym biegle muzyczki”. Wspaniale koncertowały, uwielbiały muzykę Mickiewicza, a także i jego samego; jednej z nich poeta wpisał się nawet do sztambucha wierszem znanym pod tytułem „W imionniku M.S.”, a zaczynającym się od słów: „Jak wielorakie świecą na tym błoniu kwiaty”.

Ciągnęły, niestety, wszędzie za sobą tłustego i złego mopsa, który poczuł do Adama wielką abominację i „ciągle spod krzesła chciał go kąsać za nogi”. Do salonu należały także gadająca papuga oraz Olcia i Kama - zanim ich spać nie pokładzono. Maleństwa wszem i wobec oświadczały, że „dwóch tylko kochają”, to jest pana Adama i ich ulubionego buldoga Bauzera. Piesek ten zaś składał się cały z flegmatyczności i zacności.

Głowa domu, doktor Józef Kowalski, gustował w koniach i przepisywał okolicznym urzędnikom zmyślnie proszki hemoroidalne, jak plotkował o nim po latach filareta Stanisław Morawski autor wspaniałego tomu wspomnień - sam lekarz z zawodu, » także absolwent kowieńskiej szkoły, którą ukończył na kilka lat wcześniej nim Adam rozpoczął w niej studia.

Natomiast przyszły wieszcz pełnił w salonie wielorakie funkcje - także adoracyjne, ale głównie bardziej przyziemne; gdy nie zabawiał pań rozmową, lubił grać w kiksa, przy tym strasznie w kartach oszukiwał, co bardzo denerwowało i gniewało matkę zacnego doktora Józefa. Krzyczała na niego, krzyczała, ale gdy tylko pojawił się w domu, już go ciągnęła do stolika.

Adoracja pięknej Karoliny z dnia na dzień nabierała tempa: rzucane ukradkiem powłóczyście spojrzenia, drobne serdeczności przy serwowaniu kawy, przytrzymywanie o jedną sekundę dłużej drogiej dłoni. Rewanżem ze strony pani Karoliny była gotowość pośredniczenia w wymianie korespondencji między filomatami a Mickiewiczem.

Moment decydujący nastąpił 27 stycznia 820 podczas wycieczki saniami do oddalonego o milę od Kowna folwarku Charewicz. Mickiewicz siedział w łubiankach razem z panią Kowalską i przez pół drogi sam powoził. Choć do swojej piękności niewiele mówił, często „pod przekłętą kapelusz zazierał”. A kiedy zobaczył, jak przygotowywała kawę w przydrożnej karczmie, zrozumiał, iż wzięto go w jasyr.

W liście do Jana Czeczota powiedział: „Promionki mają wielką z ciepłikiem spójność; nigdy na mnie Kowalska nie zrobiła wielkiego wrażenia, aż do czasu, kiedy ją spostrzegłem dmuchającą na żar pod imbrykiem kawianym Rumieniec - a raczej żarzeniec zbyt na twarzy delikatnemu oku zdawałby się niesentymentalny, nie bardzo ujmujący, mnie zaś ukazał w jej osobie anioła, Wenerę etc, etc, słowem postanowiłem nie być u Kow. całe dwa miesiące”.

Mickiewicz pragnie jeszcze walczyć z uczuciem, ale idzie mu to opornie, bo wie, że spotkał się z wzajemnością. Na razie w postanowieniu pomaga mu choroba, która nagle zwała go z nóg, chociaż Bóg jeden wie, jakie w czasie jej trwania świadczone mu uprzejmości. Jeszcze zbytnych wyrzutów w stosunku do Maryli Wereszczakówny nie odczuwa. Także przyjaciele uważają ten romans prowincjonalny jedynie za awanturkę.

Jan Czeczot doradza niezbyt składnie: „Baw się tedy z nią, jeśli zabawa w książki znudzi cię...” Tymczasem ani z uczuciem, ani z twórczością igrać nie wolno. Za lekceważący stosunek do nich płaci się zawsze wysoką cenę. Młody poeta wie o tym doskonale, dlatego

„zabawy z książką” traktuje niczym posłannictwo. Z przejściem spoziera na powabne kształty Karoliny, lecz w swoim ciasnym i ponurym pokoiku mocuje się ze słowem.

W tym pozornie nudnym Kownie przyływ energii twórczej bywa płodny i zastanawiający. Powstają ballady: „Świtez”, „Rybka”, »Pani Twardowska”. Tłoczno od tej balladowości, bo już napierają „Tukaj”, „Lilie”, a pamiętać trzeba, że wcześniej - pod koniec grudnia ubiegłego roku - czytał przyjacielom pierwszą wersję „To lubię”. Przetłumaczył także (wspaniale) „Rękawiczkę” Fryderyka Schillera.

Mickiewicz był człowiekiem wysportowanym, w pływaniu nie miał sobie równego. W dzień zatem - o letniej i jesiennej porze - zmagął się zwycięsko z Niemnem. Natomiast nocą budził się w nim duch szekspirowski, godzinami przemierzał pobliską dolinę. Podczas tej włóczki przeżywał nierzadko mistyczne przygody. Pewnego razu zaczął mu się do nóg łasić pies, w którym rozpoznał swego ukochanego Kruka z lat wczesnego dzieciństwa. Pomyślał z dreszczykiem o Fauście Goethego, do którego przypętał się czarny pudel, będący Mefistofelem. Innym razem - o północy - wyrwał go z zadumy brzęk łańcuchów dochodzący z oddali, gdzie w świetle księżyca bielila się na horyzoncie potężna postać. Głęboko poruszony, podążył w tym kierunku, by zorientować się, że to nieludzki młynarz łańcuchami spętał swego konia.

O świcie nastrój balladowy pierzchał i wyłaniała się z tego czadu jakże realna i niepokojąco urodziwa pani Kowalska, która w końcu zwyciężała. Sprzymierzeńcem zakochanych jest zawsze maj. Adam zwierza się Jeżowskiemu, u którego prawdopodobnie mieszkał podczas grudniowej bytności w Wilnie: „Onedaj byliśmy na folwarku Dobrowolskiego. Była tam i Kowalska. Nie był to szpacjer, jak niegdyś, romansowy, wszakże do 50° na erotomierze dochodziło - i bawiło się mile”.

W lipcu pojechał poeta z panią Karoliną do Wilna, gdzie wpiery pod wpływem dziwnego impulsu zachował się wobec niej nietaktownie, po to chyba, by następnego dnia ją serdecznie przeprosić. Zobaczył nagle swoich braci i nie pożegnawszy się ze swoją współtowarzyszką, pobiegł do nich. Opamiętanie przyszło, być może, w nocnych godzinach. Rutkiewicz - jeden z filomackich przyjaciół Adama - który nie był świadkiem tej dziwnej sceny, ale o niej słyszał, z westchnieniem tak ją skomentował: „Co do mnie, może bym ją prędzej przeprosił, i tu zgadłeś, bo też mnie Pan Bóg czulszym dla kobiet, aniżeli zdolnym być literatem, a tym bardziej poetą uczynił”.

Częste wyjazdy pani Kowalskiej do Wilna miały związek z jej siostrą, która tam wyszła za mąż za miejscowego aptekarza Macewicza, mającego - jak się później okazało - powiązania z młodzieżą studiującą, i uchodzącego za rzetelnego polonusa. Kto wie, czy o Adamie Mickiewiczu i jego literackiej promocji nie usłyszała po raz pierwszy właśnie w tym domu? W siostrze też znajdzie oparcie gdy nastąpią aresztowania filomatów i filaretów, poprzedzające głośny proces, gehennę wileńskiej młodzieży i zesłania.

Nad romansiem kowieńskim przyszłego wieszczą unosi się bezustannie duch Maryli Wereszczakówny - przez przyjaciół uznanej za oficjalną, wielką miłość Mickiewicza i za źródło jego poetyckiego natchnienia. Podąży więc do niej na przelomie sierpnia i września, kierując się w stronę Tuhanowicz.

Oprócz ukochanej i jej brata, spotka się tam z trwającym na posterunku Wawrzyńcem Puttkamerem i listem „Adamo-Sternowskim” przywoła do gromady przezacnego Tomasza Zana, który następnie owo „życie prawdziwie wygodne” opisze w korespondencji do Pietraszkiewicza („...gruszki są, kawa jest, jabłka są, wino jest, przednie obiady są, herbata jest, konie są. Maryja jest”). Goście grają w szachy, układają triolety, śpiewają patriotycznego Niemcewicza, roztrzaskują prawidła promieniste...

Atoli Mickiewicz - jak chcą niektórzy historycy literatury - nie mógł się doczekać wyznania z ust Maryli: będę twoją albo niczyją Nic takiego nie nastąpiło. Wereszczakówna, rzekomo, wybrała nie podług serca. Ale skąd ta pewność. A nuż było odwrotnie? Przecież

hrabia Wawrzyniec był mężczyzną postawnym i wyraźnie przystojnym, starannie wykształconym - zarówno w naukach ścisłych jak i humanistycznych - i oświeconym, co udowodnił w swoim dalszym życiu, gospodarując i mieszając się udatnie w działania obywatelskie. Należał do panów ludzkich i humanitarnych.

Puttkamer bynajmniej nie lekcewał wschodzącej sławy poetyckiej kowieńskiego nauczyciela. Całym swoim postępowaniem udowodnił, że polubił także pozostałych filareckich kompanów. Do listu Mickiewicza zapraszającego Zana do Tuhanowicz dopisał się serdecznie i nawet wysmażył w miarę dowcipne triolety. Na polu miłości trzeba się jednak było rozsądzić. Zatem prawdopodobnie doszło do rozmowy między Puttkamerem a Mickiewiczem, który dobrowolnie zgodził się usunąć i ustąpić pola rywalowi. Łatwo powiedzieć: dobrowolnie

Poeta wyraźnie skwaśniał. Po przybyciu do Wilna - w przeddzień powrotu do szkolnych obowiązków - poróżnił się z Zanem i Czeczotem, a więc ze swoimi najlepszymi przyjaciółmi. Do Kowna wracał zdradzony, odarty z miłosnych złudzeń, chociaż gdzieś na dnie duszy pozostała nadzieja, że może Maryla...

Po początkowym przygnębieniu ogarnia go zapał literacki. W połowie listopada Malewski otrzymuje „Kurhanek Maryli”, czyli „Myśl ze śpiewu litewskiego”, na początku grudnia filomaci czytali już „Hymn na dzień Zwiastowania N.P.Maryi”, a w drodze do Wilna znajdował się także „Hymn do młodości” później „Oda” nazwany. A przecież w liście do Pietraszkiewicza zapowiada Mickiewicz przyjazd na wakacje zimowe z „Demostenem”, tragedią prawie klasyczną, nie mówiąc już o pomniejszych i okolicznościowych utworach.

W lutym 82 nadchodzi wieść o ślubie Maryli Wereszczakówny z hrabią Wawrzyńcem Puttkamerem. A więc wszystko odbyło się według reguł romantycznej ballady. Niespodzianek ze strony oblubienicy nie było. Poeta czekał na tę wiadomość i zachowywał spokój, udzielał się w Kownie towarzysko, a więc - jak informowała Malewskiego pani Kowalska - bywał na koncertach, maskaradach, w kasynie; twierdziła też, że znów lepiej wygląda, nie puściła tylko pary z ust na temat swojego salonu.

Poza rozrywką ciągnęło młodego kowieńskiego nauczyciela do jego ciasnego pokoiku, w którym przepadał na wiele godzin, kropiąc coraz to śmielsze wiersze; to właśnie wtedy rzucił na papier pierwszy szkic „Dziadów”. Siedział zatem wśród szpargałów, zatabaczony, i rozmawiał poprzez rymy z Marylą - raz przypoehlebnie, raz znowu gorzko, a nawet piętnująco. Wołał: słuchaj dziewczeczko Lecz ona go nie słuchała...

Pozostała mu piękna Karolina. Jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że wszyscy mu jej zazdroszczą. Nawet nieśmiały Franciszek Malewski, który przechodząc obok dziewcząt zamykał oczy, taki był lękliwy, i który sprzeciwiał się, by piękna doktorowa osobiście mu listy Adamowe doręczała, gdy ją przymuszony zobaczył, oniemiał z podziwu nad rozkwitłą urodą. Budzi się w Mickiewiczu łasy na białogłowy Litwin. Już się nie broni, lecz sam zaczyna zdobywać.

3 marca okoliczności sprawia, że kochankowie będą mieli dla siebie całą noc. Przeżycie musiało być wielkie, skoro poeta poczuł potrzebę zwierzeń. Za powiernika wybrał najbardziej wstydlwego i, jak sądził, dyskretnego Malewskiego. Tymczasem ten, poruszony do głębi nieskromnymi opisami Adama, rzecz całą opowiedział kolejnemu filaretowi, Jeżewskiemu dobrze zrobił, bo list Adama zaginął. Z „wygładzonej” relacji dowiadujemy się, że wszystko podczas tego spotkania kochanków „zostało wyczerpane, od swawoli do smutku - tchnienia były piekące (wyrażenie p. Kowalskiej) etc.etc. Ale wszystko najestetyczniej”. Jakże trudno opisać taką noc.

To zadziwiające, ale Mickiewicz wyznał przyjaciółom, że po tym wszystkim po raz pierwszy w życiu poczuł się prawdziwie szczęśliwy. Nie dała mu tego szczęścia uwielbiana i czczona Maryla, ale właśnie ta młoda mężatka, która nie żądała od niego hołdów poetyckich ani teatralnych gestów, po prostu chciała jego samego.

Wkrótce tenże sam Franciszek Malewski dowie się, że poeta reguluje stosunki z panią Kowalską „pod miarę i wagę”. To określenie nie miało jednak charakteru pejoratywnego.

Na horyzoncie kowieńskim pojawił się niestety ktoś, kto na ten tajemny związek miłosny patrzył argusowym okiem. Mąż oczywiście, jak to zwykle bywa, dowie się o wszystkim na końcu i chętnie uwierzy, iż jego żona żadnym romanssem się nie splamiła. Rywala, i to agresywnego, znalazł Mickiewicz w osobie szambelana dworu austriackiego, Nartowskiego, bawiącego w Kownie dla spraw spadkowych. Chciał on z tego kochania, widocznie, też i dla siebie coś uszczknąć, więc szantażował poetę zakamufLOWANYM słowem, co wprawiało Mickiewicza w stany nader gwałtowne. Plotkujący z Jeżowskim Malewski powiedział: „Adam kocha, i jest kochany... Nartowski jest rywalem i ciągle szpiegując zaloty Adamowe, przeskadzając jego szczęściu, swoje nieszczęście chciał ulżyć”.

W powietrzu zawisła awantura. Po trzech fatalnych dniach, w których poeta „żył (tylko) mocnym winem, tytuniem i gorzkim sercem”, Nartowski podczas gry w bostona u Kowalskich znowu się Adamowi naraził. Roztrzęsiony Mickiewicz najpierw dał szambelanowi w ucho, a gdy ten się po woskowanej podłodze potoczył, rzucił jeszcze zanim lichtarzem. Zrobił się hałas, rwetes, doktor Kowalski wpadł do salonu, rozbroił rywala i - przy okazji - ujrzał swoją magnifikę w zupełnie nowym świetle.

Gorszące sceny miały miejsce w pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych 1812, a w lany poniedziałek Mickiewicz miał już dwa wyzwania na pojedynki: pierwsze od dotkniętego męża za obrazę domu i drugie, oczywiście, od Nartowskiego za osobiste uszkodzenie. W tę trudną i krwawą sytuację wdała się ze swoją pragmatyczną filozofią piękna Karolina oraz podpuszczony przez nią prefekt Dobrowolski. Doprowadzili do tego, że „na koniec mąż przyszedł do Adama zapytując: »Czy kochasz moją żonę?« Adam zbył to jak należało, i zgoda na koniec stanęła. Nartowski, tchórz, mniej był straszny; sam napisał kartkę, podającą warunek ugody...”

Pojedynkiem przejęli się jedynie filomaccy komilitoni. Skoro tylko Adam doniósł, co go czeka, następnego dnia zjawili się w Kownie trzech Budrysów, czyli Jan Czczot, Tomasz Zan i Kazimierz Długi (Piasecki); Franciszkowi Malewskiemu ojciec, który był rektorem Uniwersytetu, nie zezwolił na ten wyjazd. „Wszystko zuchy, bić się w co chcesz, słowem więcej jak sekundanci, bo każdy wyzywałby i bił się...” Nie musieli stawać w szranki ani nawet wspierać Mickiewicza na udeptanej ziemi, bo rzecz krwawa już się rozmyła. Czczot powiedział: „Przybyliśmy tedy do Kowna i nasza kawalerska odwaga nie miała już gdzie się popisać, bo rzecz była skończona. A gdzie kobieta jest za sekundanta, tam się bez krwi obejdzie, a z czyjej stronie, przy tej bez wątpienia wygrana. Kowalska stanęła przy Adamie, Adam więc wygrał”.

Pojedynek ten spełnił się po latach w twórczości mistrza Adama. Powrócił do niego poeta pod koniec siódmej księgi „Pana Tadeusza”, kiedy zaczęła się burda kończąca się słynnym okrzykiem: „Hajże na Soplicę” W sam środek tej szlacheckiej awantury Mickiewicz wprowadził siebie oraz własnych niedoszłych sekundantów. Ubrał się w kontusz, a dobywszy szabelki jął krzesać łby swych przeciwników.

Mickiewicz stał z daleka: ni krzyczał, ni radził,  
Ale z miny poznano, że coś złego knuje;  
Więc do kordów, i hajże – On się rejteruje,  
Odcina się, już ranny; przyparty do płotów,  
Gdy mu skoczył na odsiecz Zan i trzech Czczotów,  
Zaczem rozjęto szlachtę. Ale w tym rozruchu  
Dwóch było ciętych w ręce, ktoś dostał po uchu.

Tak wspominał poeta na paryskim bruku, zżerany tęsknotą za rodzinnym krajem. Zresztą już wcześniej w Kownie również chwycił za pióro. Pod wpływem emocji i przeżyć miłosnych

powstał wspaniały wiersz liryczny zatytułowany „Żeglarz”, pod którym widnieje data: 7 kwietnia 1812: „O morze zjawisk Skąd ta noc i słońce”.

Karolina i Adam wymknęli się stróżom moralnym już pierwszego maja i w dolinie, w której poeta szukał kiedyś bajronicznego natchnienia, ponowili swoje miłosne śluby. Były wyznania w rodzaju: „bez naszego widywania nie mogę się obejść”, były „pokusy nieestetyczne”, którym przeszkodził upał. a może przede wszystkim kręcący się w pobliżu chłopi; planowano wspólne wakacje nad morzem, aż wreszcie „scena zakończyła się melancholicznie”.

Ponieważ przyjaciele zaczęli coraz częściej o wszystko zło w życiu Mickiewicza obwiniać panią Kowalską - którą najwyraźniej uważali za osobę wyrachowaną, a nawet niemoralną - poeta zaprzestał intymnych wynurzeń w swoich listach, nie chcąc narażać ukochanej na niesłuszną obmowę. Wyciszył wszelkie o niej wiadomości. Tylko tu i ówdzie mimochodem rzucone słowo świadczyło, że związek trwał i że Adam nauczył się swoją kowieńską przyjaciółkę cenić i szanować. W 1822 uzyskał roczny urlop rektorski. Fakt ten przyczynił się również do pewnego towarzyskiego rozluźnienia i wpłynął kojąco na podekscytowane umysły przyjaciół. Poeta mógł swobodniej oddać się pasji tworzenia.

A kiedy powrócił do zajęć gimnazjalnych i u progu kolejnego roku szkolnego złoży mu w Kownie wizytę tak lubiany Edward Odyniec, posłyszał od Adama zaraz pierwszego dnia: „Pani Kowalska To moja Opatrzność” Potem nastąpiła długa mowa o wspaniale gościnnym domu doktorstwa, do którego zresztą druha obiecał wprowadzić. Odyniec, może jako jedyny z przyjaciół poety, nie tylko zachwycił się Karoliną, ale i właściwie ją oceni, pielęgnując po latach dobrą pamięć o niej. Zauważył to, czego nikt z bliskiego otoczenia Mickiewicza nie chciał przyznać, że właśnie ta kobieta, która pierwsza dała szczęście Adamowi, kochała go szczerze, bezinteresownie i z oddaniem.

Tuż przed aresztowaniami i procesem filomatów i filaretów znajdzie się Mickiewicz z Karoliną nad obiecany jej ongiś Bałtykiem, gdzieś w Połędzie czy w Krantz? Niektórzy nawet uważali, że właśnie stamtąd policja zabrała go do więzienia w Wilnie. Stało się to jednak najprawdopodobniej w Kownie już po powrocie z wakacji morskich. Kto wie, czy poeta, który z ukochaną był nad Bałtykiem incognito, nie przerwał urlopu, obawiając się aresztowania tak daleko od miejsca pracy. Nie chciał po prostu, by dociekano, dlaczego policmajster jechał po niego aż do jakiejś Połagi.

Zanim to wydarzenie nastąpi Adam Mickiewicz wyda pierwszy tom poezji, który uczyni go głośnym, potem opublikuje drugi. Autor mógł poczuć się dumny i z talentu, i z szerokiego zainteresowania, jakie wywołał. Wkroczył do literatury pewnie i mocno zaakcentował w niej swoją obecność.

Tyle nad tymi wierszami unosiło się wywołanego przez Wereszczakównę czadu, że najbliżsi znowu zaczęli popychać Adama w jej kierunku; uważali bowiem, że to ona wywiera dobroczynny wpływ na jego muzę. Szeptano przy okazji, że Maryla i Wawrzyniec żyją ze sobą jak brat z siostrą. O święta naiwności Romantyczny poeta usiłuje dać wiarę tej bajeczce, ponieważ ośmiela go ona do pisania listów, do dedykowania jej utworów, a nawet całego zbioru. Czyni też próby spotkania się z nią, czym głęboko unieszczęśliwia panią Kowalską. Widocznie zdobył przychylną młodą hrabinę: Maryla najwyraźniej chce pozostać Adamową muzą. Dobrą czy złą, ale muzą. Zdobywa się nawet na pełne zazdrości gesty.

Nie uszło to uwadze Edwarda Odyńca, który po powrocie od Adama złożył wizytę Puttkamerom, przebywającym w Bolcienikach. Po powitaniach udał się z Marylą do gajku czytać „Dziady”. - Co za filut - powie o niej. A potem w liście do Czeczota przytoczy jakże wymowny dialog, który „po chwili obojętnej rozmowy” wywiązał się między nimi:

„Maryla: Pan Adam bardzo zmienny: w «To lubię» pierwaj było do Johalki. potem imię odmienił.

Ja: - Czy we wszystkich odmieniał?



Maryla się uśmiechnęła.

Maryla: - Panowie musieli się wesoło bawić w Kownie?

Ja: - Dosyć.

Maryla: - U p. Kowalskich często?

Ja: Nie bardzo.

Maryla: - Pan musiałeś przez wdzięczność za Romanie towarzyszyć p. Adamowi do p. Kowalskiej?

Ja: - Owszem, ja częściej bywałem.

Ledwie się mogłem nie śmiać: jaka zazdrosna”

Namiętności z czasem opadną. Poważny wpływ na dalsze losy kochanków będzie miał osławiony proces filomatów i filaretów, poprzedzony aresztowaniem wileńskiej młodzieży i jej przywódców. To prawda, że w nieformalnym Komitecie niesienia pomocy uwięzionym działały zarówno Maria Puttkamerowa, jak i Karolina Kowalska, ale tylko ta ostatnia będzie czekać wytrwale w Wilnie, aż Mickiewicz opuści więzienie, by go powitać i stworzyć mu warunki do życia na wolności. Chciała wynagrodzić kochanemu chwile odosobnienia i otoczyć go ciepłem przyjaźni. Karolina wykazała w tych trudnych dniach wiele odwagi. Nie lękała się ani obmowy, ani ewentualnych restrykcji. Czekwała na Adama z obiadem w domu swej siostry, żony aptekarza Macewicza. Tam też początkowo poeta zamieszkał, bo nie miał się gdzie podziąć, tam też ze łzami w oczach witali go znajomi i przyjaciele.

Większość polonistów twierdzi, że nie była to dobra miłość, bo zakazana i grzeszna. Sam Mickiewicz natomiast będzie do kowieńskich wspomnień powracał z radością i rozrzewnieniem. Dokumentuje to Edward Odyniec przypomnieniem rozmów, toczonych w Karlsbadzie w sierpniu 1829: „Adam kazał mi opowiadać z największymi szczegółami ostatnią bytność moją w Kownie w rok po jego wyjeździe...”

Mówiono prawie o wszystkich z salonu państwa Kowalskich i o wszystkich najbliższych Adamowi ludziach, między innymi o pannach Siwickich, a także o gadatliwej papudze, poczciwym psie Bauzerze, złośliwym mopsie, o koniach doktora...

„O jednej tylko Maryli jak dawniej zawsze, tak i teraz ani wzmianki nie było”.

## UNIESIENIA I NIENAWIŚĆ

George Sand i Alfred de Musset

Pan de Voltaire, będąc u pani du Chatelet, a nawet w jej sypialni, bawił się z dzieckiem, które trzymał na kolanach, późniejszym księdzem Mignon. Zaczął z nim gwarzyć i dawać mu nauki. „Moje dziecko rzekł - aby dawać sobie rady z ludźmi, trzeba mieć za sobą kobiety; aby mieć za sobą kobiety, trzeba je znać. Wiedz zatem, że wszystkie kobiety są fałszywe k...y”, „Jak to, wszystkie? Co pan plecie” - rzekła pani du Chatelet, wściekła.

„Droga pani - rzekł Voltaire - nie trzeba zwodzić małuczkich”.

CHAMFORT

Przedstawimy najpierw głównych bohaterów tego miłosnego dramatu, który komentowany był przez wiele artystycznych środowisk ówczesnej Europy. Ponieważ zainteresowani nie zabiegali specjalnie o dyskrecję, rozgrywał się on niejako publicznie. Nie sprzyjało to intymności ani skupieniu w momentach kryzysowych, pomagało tylko rozniecać namiętności i utwierdzać się w zranionej dumie; było wodą na młyn tych wszystkich kibiców literackich, którzy - przy okazji - chcieli poczuć się lepsi i zagarnąć z tego wysokiego płomienia trochę iskier dla własnej sławy.

ONA Aurora Dupin, urodzona w Paryżu 5 lipca 1804, córka oficera armii napoleońskiej i tancerki, po kądzieli pochodziła w prostej linii od słynnego marszałka saskiego - syna

Augusta II Mocnego i Aurory von Königsmark, na cześć której otrzymała imię. Wychowywała się u babki w pałacyku w Nohant, a następnie na pensji w klasztorze.

Po śmierci babki wstępuje w 1822 w związek małżeński z baronem Kazimierzem Dudevant. Urodzone w tym stadle dzieci otrzymały imiona: syn - Maurycy (na cześć wielkiego marszałka), córka - Solange. Wskutek niezgodności charakterów małżonkowie rozeszli się i w 1830 młoda baronowa Dudevant wyjechała z dziećmi do Paryża, postanawiając zarabiać na życie pracą własnych rąk. Chce być wolna i niezależna. Z wielką wytrwałością znosi wszelkie trudy i niewygody: mieszka w mansardzie na czwartym piętrze, żywi się za jednego franka dziennie, ubiera po męsku, bo taniej, bo taki ubiór nie zwraca uwagi paryskiego półświatka, próbuje zarabiać praniem i szyciem, ale idzie jej to opornie. Nie tak wyobrażała sobie niezależność, ale ani na moment nie myśli o zmianie powziętej decyzji. Odkrywa nagle, że jest nieprzeciętnie uparta i wbrew pozorom przedsiębiorcza.

Dopiero poznany później młody literat, Jules Sandeau, namówi ją do pisania. Z początku będą robić to wspólnie, co zresztą przyniesie rezultaty raczej mierne. Wydadzą nawet powieść „Róża i Śnieżka”, która nie zapewni im jednak ani rozgłosu, ani efektu finansowego. Wywoła natomiast gorzki rozczarowania. Spółka literacka weźmie w łeb.

Następną powieść - „Indianę” - Aurora napisze już sama, bez niczyjej pomocy. Stanie się ona prawdziwym wydarzeniem wydawniczym roku 1832. Młoda autorka nie chciała się ujawnić, być może obawiając się bezpośrednich ataków purytańskiej części społeczeństwa, przybrała więc pseudonim kojarzący się z nazwiskiem niedawnego przyjaciela. Wszystkie swoje prace sygnować będzie odtąd jako George Sand.

Oszłomiona sukcesem, który oprócz sławy zapewnił jej pewną niezależność finansową, postanawia kontynuować pisanie. Od tej pory, pracując regularnie i wytrwale, publikować będzie co kilka miesięcy nowe książki. Po „Indianie” pojawiają się kolejno: „Walentyna”...I.elia”...Iacques”...Andre”...Leon Leoni”... Umierając w 1876 pozostawi w dorobku osiemdziesiąt tomów prozy beletrystycznej, nie licząc esejów i dramatów.

„Indiana” ukazała się w momencie, gdy romantycy francuscy głośno intonowali hymn zwycięstwa nad klasykami. Książka Aurory ani formą, ani treścią nie przylegała do tej wrzawy, ale jako wyjątkowo oryginalna zwróciła na siebie powszechną uwagę. W pierwszych powieściach George Sand opowiadała się za namiętnością jako siłą oczyszczającą, poruszała problem kobiety nieznaną rozumienia w społeczeństwie, buntującej się przeciw skostniałym regułom i nakazom tradycyjnej moralności. W utworach George Sand jak w zwierciadle odbiło się jej własne życie.

Do bliskiej zażyłości z Jules Sandeau pisarka nigdy się nie przyznała, choć powszechnie ich o to posądzano. Zresztą i sam zainteresowany, Jules Sandeau, w powieści „Fernande” daje do zrozumienia, że byli kochankami i że rozeszli się za obustronną zgodą.

ON Alfred de Musset urodził się 1 grudnia 1810 w Paryżu. Pochodził ze starej szlacheckiej rodziny, w której od pokoleń pielęgnowano kult literatury. Młody poeta uczęszczał do znakomitego liceum im. Henryka IV. Podobno uczył się wybornie i zaliczony został do najświetniejszych wychowanków tego zakładu. W szkole zaprzyjaźnił się z księciem de Chartres, synem późniejszego króla Ludwika Filipa, i ten fakt tłumaczy nam jego początkową sympatię do rządów osławionej Monarchii Lipcowej. Po pewnym czasie stwierdził jednak, że „trwają one zbyt długo”. Dodajmy przy okazji, że nigdy tej znajomości nie wykorzystywał.

Bardziej ważką i stokroć cenniejszą przyjaźnią szkolną miała się okazać znajomość z Pawłem Foucher, który jako szwagier Wiktora Hugo - najślynniejszego wówczas poety francuskiego - wprowadził szkolnego kolegę do domu autora „Dzwonnika z Notre Dame”. Musset poznał tam czołówkę romantyków francuskich, tam też otwarły się przed nim drzwi do salonu Karola Nodier - krytyka, a zarazem teoretyka kierunku romantycznego we Francji.

Utalentowany, młody człowiek znalazł się w centrum artystycznej bohemy i literackich sporów. Szybko poznano się na jego błyskotliwym talencie i na jego... urodzie. Rozpieszczają go kobiety, towarzyszy mu rój nie zawsze najmądrzejszych pochlebców. Szybko też zaczyna prowadzić życie ponad stan.

Pierwszy tom jego wierszy „Opowieści hiszpańskie i włoskie” („Contes d’Espagne et d’Italie”, 830) wywoła poruszenie opinii literackiej i będzie, zwłaszcza przez romantyków i kręgi do nich zbliżone, szeroko komentowany. Młodzieńczy rozmach i wdzięk tych utworów podbił nade wszystko jednak spragnione własnego lirycznego głosu pokolenie rówieśników autora. Zbiór - oprócz drobnych wierszy - zawierał cztery większe opowieści poetyckie: „Don Paez”, „Kasztany z ognia”, „Portia”, „Mardoche”, które jakkolwiek przypominały w konwencji artystycznej „Beppa” Byrona, to jednak dzięki niepospolitemu talentowi autora zapisały się w historii literatury swą oryginalnością. Znacznie później - już po śmierci Musseta - zauważono, że ten najwybitniejszy poeta romantyczny Francji - pisał właściwie wbrew francuskiemu romantyzmowi. Szydł z jego taniej malowniczości, powielanych, byro-nicznych opisów, z potoków sztucznych łez. Krytycy znad Sekwany powiedzą: jedyny człowiek światowy wśród francuskich romantyków.

Alfred de Musset - mimo gorąco przyjętego debiutu - nie był nigdy zbyt kochany przez wielkich prawodawców romantyzmu; przeżyje nawet okres złośliwego przemilczania swego dorobku. Jednak wyznając swą miłość George Sand, należał jeszcze do poetów modnych. Określały go wówczas także „Poezje różne” (1813), „Widowisko w fotelu”, „Namouna” oraz słynny poemat „Rolla”(1833).

W roku swego debiutu książkowego zbulwersował opinię publiczną i zraził sobie niedawnych przyjaciół, publikując „Sekretne myśli Rafała, szlachcica francuskiego”, w których przeciwstawiał się mistycyzmowi Lamartine’a i orientalnym wizjom Wiktora Hugo. Ten lekkoduch i bawidamek opowiadał się za racjonalizmem i sensualizmem, choć nie inspirowało go do tego ani własne życie, ani najbliższe otoczenie.

Po opublikowaniu najbardziej charakterystycznego dla siebie poematu „Rolla” miał powiedzieć do swego brata Pawła, także pisarza: „Czuję, że jeszcze czegoś mi brak, sam nie wiem czego. Wielkiej miłości? Wielkiego nieszczęścia? Może jednego i drugiego”. Nawet nie przypuszczał, jak bliski był swego przeznaczenia, jak bardzo odmieni się jego życie, jak w ciągu krótkiej, gorącej nocy uczuć dojrzeje głos jego poezji.

ONI Zanim nadszedł dotkliwy ból, ogarnęła go nieznana dotąd namiętność. Tę potężną i burzliwą miłość zrodziło - jak chcą niektórzy - przeciwieństwo charakterów. George Sand uważano za sawantkę, która gorszyła wytworne towarzystwo męskim ubiorem, paleniem cygar i swobodnym obejściem, tak iż rzadko mówiono o jej kobiecości i powabach ciała. Takimi opiniami szermowali ludzie stojący od niej daleko, natomiast ci, którzy mieli szczęście zbliżyć się do niej, ulegali przemożnemu urokowi pisarki i z trudem się od niego wyzwali. Miała duszę i temperament przewodniczki.

Alfred de Musset odznaczał się wyjątkową urodą - o której zwykło się mówić: delikatna - i najwykwintniejszymi manierami. Któregoś dnia, przyglądając się z zaciekawieniem autorce „Indiany”, ze zdumieniem skonstatował, że stanęła na jego drodze kobieta nie tylko o wspaniałym charakterze, ale i niepokojącej urodzie. A przecież w uszach stale brzmiały mu słowa znajomych: toż to brzydula Wrażenia z tego spotkania, wryte głęboko w pamięć, tak kiedyś spisał: „Gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, ubrana była w suknie kobiece, a nie w owe mało eleganckie męskie stroje, które tak ją zniekształcały; zachowywała się również z kobiecym wdziękiem, który odziedziczyła po swojej prababce (córce marszałka saskiego - przyp. B.L.). Jej policzki zdobił jeszcze blask młodości, a jej wspaniałe oczy - pełne światła i błysków - które znalazły się w obramowaniu czarnych i gęstych splotów, oddziaływały w sposób czarujący i przenikały do istoty człowieczej duszy. Na jej czole kłębiły się w nieskończoność myśli. Mówiła mało, ale zdecydowanie”.

Inny poeta, Heinrich Heine, który ją także bacznie obserwował podczas pobytu w Paryżu, twierdził wręcz, że równa była z Wenus z Milo - tylko wykuta z czarnego marmuru, a to dlatego, że zobaczył ją w atlasowej, żałobnej sukni. Może i była w tej opinii odrobina szyderstwa, ale przecież sarkastyczny z natury Heine aż tak przewrotny nie był.

Jakaż zatem jawiła się swoim współczesnym ta niekonwencjonalna kobieta? To fakt, że olśniewającą pięknnością nie była i nawet broniła się przed takim pochlebstwem; mężczyźni urzekała zniewalającym charmem i nieprzeciętnym intelektem. Przecież wśród wielkich, którzy szukali z nią zbliżenia, znaleźli się - poza Mussetem - i inni artyści, tacy jak Fryderyk Chopin, Gustaw Flaubert czy Franciszek Liszt.

George Sand, zanim poznała autora „Roili”, marzyła przede wszystkim o prawdziwej, czyli doskonałej przyjaźni między kobietą a mężczyzną, przyjaźni nieskażonej namiętnością. Jednak młodszy o blisko siedem lat Musset oczarował ją nie tylko talentem literackim. Zakochała się w jego greckiej urodzie, w jasnych włosach na modłę byronowską trefionych, w wąskich, arystokratycznych dłoniach i w przekornych, często sarkastycznych, a tak pięknie modulowanych słowach.

Pisarka, która nie aprobowała nigdy rozwiązłego trybu życia, stanowiła przeciwieństwo Musseta. Alfred pił, szalał i tańczył aż do zapamiętania. Stale też był zakochany. Pani Sand nie tylko że nie wnikała w przeszłe życie swego kochanka, ale nawet patrzyła przez palce na jego bieżące przelotne flirty.

Musset zakochał się w niej bez pamięci. Z egzaltacją twierdził, że ogarnęła go idealna miłość i że znalazł pełnię szczęścia. Zapewniał, że poeta tylko wtedy potrafi zakochać się prawdziwie, gdy płomień kobiecego geniuszu sięgnie w głąb jego serca, gdy partnerka zdoła rozniecić w nim twórczy ogień, który z kolei znajdzie spełnienie w liryce.

Istotną cechą osobowości Musseta było to, że wszystko, co go bezpośrednio dotyczyło, stawało się literaturą, miłością, nawet rozwiązłością. Te wyznania spłyną mu z pióra w późniejszych latach, gdy będzie próbował oddalić ciężar swoich win. W pierwszym okresie znajomości z „Czarną Wenus” nie miał czasu na analizowanie stanów ducha, nie w głowie mu też była ekspiacja.

Wybitna powieściopisarka i podziwiany poeta pokochali się miłością bujną i niepodzielną. Ani Musset, ani George Sand - zawsze w tych sprawach ascetyczna i skrępowana - nie kryli swego szczęścia. Tę euforię mąciła im jedynie dociekliwość osób trzecich. Kochankowie postanowili więc po pewnym czasie schronić się pod niebo Italii. Wiosną 834 wyjechali do Wenecji.

Zmierzch rumieni Wenecję,  
Nieruchomieją łodzie  
Bez rybaków, bez latarń  
Odbitych w wodzie. (...)  
Któż pod niebem Italii  
Nie ulegnie płochości?  
Najpiękniejsze dni życia  
To dni miłości  
Niech zegar starych dożów  
Zlicza dobę po dobie;  
Długie, nudne godziny  
Odmierza sobie.  
A my liczymy całus  
Na twych ustach różanych;  
Ile było i będzie  
Wziętych, oddanych...  
A my liczymy twe wdzięki

I westchnienia, i błyski  
Łez przy słodkiej pieszczocie;  
Liczymy uściski (Tłum. Wisława Szymborska)

Taką to Wenecję chciał Musset zachować w pamięci. Taką, a potem jeszcze inną...

Po pierwszych uniesieniach na włoskiej ziemi, po wspólnych wycieczkach do muzeów, przejażdżkach gondolami zaczęły się ujawniać różnice temperamentów, przeradzające się w nieporozumienia, które z czasem przybierały na sile. Zakochani wynajęli apartamenty w luksusowym hotelu, prowadzili wystawne życie szczególnie Musset próbował zachować swój paryski styl. Kochał I chciał zapomnieć o przyziemności. Nie mógł zrozumieć Aurory która każdego dnia siadała przy sekretarzyku i pisała bez przerwy aż do godziny jedenastej w nocy; jeżeli jej się zdarzyło ukończyć wcześniej powieść bądź nowelę, natychmiast rozpoczynała nową Otwierała jeden z podręcznych kajetów i zamasyżycie wypisywała tytuł mającego się dopiero począć dzieła. Nie miała żadnych kłopotów z narracją, pomysłów natomiast setki.

Musset z przerażeniem patrzył na tę straszliwą systematyczność na ruch pióra przypominający sprawną maszynę. Wreszcie zaczął posadzać Aurorę o oschłość serca, a gdy delikatnie przypominała mu o prozie życia - na mej bowiem spoczywał główny ciężar finansowy - wykrzykiwał z wyrzutem: „Bądź trochę mniej dobra, ale okazuj mi za to więcej tkliwości”. Dla niego życie w Wenecji miało być festynem.

Ilekczo Aurora przystępowała do pracy, jej „ukochany Alfred” wymykał się, by zasiąść za biesiadnym stołem, gdzie królowało wino, a bywało że i piękne kobiety. Musset nie potrafił pisać w Wenecji i ten stan literackiej inercji dodatkowo go irytował. Między zakochanymi coraz częściej dochodziło do gwałtownych spięć które kończyły się pełnymi uniesień przeprosinami i nowymi deklaracjami miłosnymi.

Pewnego dnia poeta poważnie zapadł na zdrowiu. Zaczęła go trawić wyjątkowo silna gorączka. Aurora, która zawsze była opiekuńcza wobec najbliższych, z wielkim przejęciem spędzała dni i noce przy łóżku kochanka. Wreszcie miała go tylko dla siebie...

Gdy Musseta zaczęły opuszczać gorączkowe majaki, ujrzał przy swoim łożu młodego, przystojnego lekarza. Nieufny oskarżył Aurorę o wiarołomstwo. Trudno dziś ustalić, co naprawdę zobaczył, a co było owocem rozgorączkowanej fantazji. Na temat sławnego „weneckiego trójkąta” Sand-Musset-Pagello powstało wiele sensacyjnych hipotez.

Dla historyków, śledzących ten romans bez większych emocji, ciekawym dokumentem rozkwitu i uwiadu uczucia jest korespondencja kochanków („Correspondance entre George Sand et Alfred de Musset”, 1930).

Zazdrość i obrażona miłość własna popchnęły poetę do gwałtownego opuszczenia Wenecji. George Sand pozostała dłużej we Włoszech. Nie chciała przerywać pracy nad powieścią „Consuelo”, której główną bohaterką jest dziewczyna z ludu, Cyganka, „obdarzona wielkimi zaletami serca i umysłu”, zdolna do najbardziej wysublimowanych uczuć. W każdej powieści - choć jest ich tak wiele - autorka wyraźnie zostawia odpryski własnego serca.

Musset po przyjeździe do Paryża wszem i wobec demonstrował swoje rozgoryczenie. Wielu dawnych przyjaciół, którzy nie pochwalali jego związku z George Sand, wyszło teraz z cienia i witało Alfreda jak ocalonego od zagłady albo cudem przywróconego życiu. Jakby na potwierdzenie ich racji Mussetowi wraca natchnienie twórcze, wybucha prawdziwym gejzerem rymów. Czyżby oczekiwane „wielkie nieszczęście” dawało znać o sobie? Przy biesiadnym stole nie odstępował Alfreda kompania, kreuje go na błędnego rycerza miłości. Tymczasem wrażliwy poeta ugina się pod ciężarem prawdziwego cierpienia.

George Sand po powrocie do Francji próbuje naprawić ich związek, aranżuje spotkania, pisze bileciki, gotowa jest pójść do Canossy. Urażony poeta zaciął się i przez długi czas nie reagował. Któregoś dnia otrzymał lekką, pachnącą paczkę. Zaciekawiony nie odesłał jej, jak to zwykł był czynić w ostatnich dniach, lecz rozpakował. Przesyłka zawierała kruczoczarne włosy jego nieszczęśliwej kochanki, loki, które z taką namietnością pieścił. To Aurora obcięła

swoje podziwiane przez wszystkich włosy i złożyła je w darze nieprzejednanemu kochankowi. Ofiara została doceniona.

Wracasz, aniele, w moje noce rozgwieżdzone,  
Twoje oczy - niebiańskie, powieki - zamglone.  
Miłości, utracony mój skarbie największy  
Na wieki przepędzona - zdało się - wyklęta,  
Ze łzą w oku, łagodnie wracasz uśmiechnięta,  
Twój dobry uśmiech moje wezglowie upiększy.  
Dwa słowa twe sprawiły, że jestem świata królem;  
Połóż rękę na sercu, co wezbrało bólem;  
Niech serce moje pęknie pod ręką anioła  
Kochanek umierający przy bogdancie swojej  
Nie pił z czarniejszych oczu tak boskich upojeń  
I nigdy piękniejszego nie całował czoła. („Do George Sand”, tłum. Leopold Lewin)

Miłość wróciła, niestety na krótko. Wzajemne podejrzania dokonały swego niszczycielskiego dzieła. Każdy przyjazny gest wobec osób trzecich wywoływał odtąd prawdziwe burze zazdrości zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Nie było już w ich związku radości; stał się on studnią bez wzajemnych udręczeń.

Szybko też doszło do ponownego zerwania. Tym razem bez żadnej szansy na ewentualny nawrót uczucia. Dawni kochankowie posunęli się nawet do inwektyw. Padło dużo twardych i niepotrzebnych słów. Uniesienia miłosne zastąpiła żywiołowa nienawiść. Alfred de Musset opowiedział dzieje swej miłości w takich arcydziełach, jak „Cztery noce”, „List do Lamartine’a”, „Wspomnienie”, w ironicznej noweli „Dzieje białego kosa”, a także w spowiedzi dziecięcia wieku”.

George Sand - w powieści „Lelia”, zaś po śmierci poety - nastąpiła ona w 1857 roku - poświęciła swemu starym romansom książkę pod wymownym tytułem „Ona i on” („Elie et lui”, 1859), niedobrą i nie potwierdzającą jej przysłowiowej wielkoduszności. W obronie brata odpowiedział Paul de Musset powieścią dokumentalną, zatytułowaną „On i ona” („Lui et elle”).

George Sand przeżyła swego kochanka o blisko dwadzieścia lat. Zmarła w 1876 roku.

## ROMANS DYPLOMATYCZNY

Aleksander Walewski i Rachel Felix

I N. powiadał o życiu światowym: „Życie towarzyskie, to byłaby urocza rzecz, gdyby jeden człowiek obchodził cokolwiek drugiego „,

CHAMFORT

Syn Napoleona i Marii Walewskiej, trojga imion Aleksander Florian Józef, urodzony 4 maja 1810 w Walewicach, był - jak twierdzą współcześni - bardziej podobny do swego ojca aniżeli jego młodszy brat - król Rzymu zrodzony z legalnego związku. Wraz ze swą piękną matką bezustannie kursował tropami genialnego i wojowniczego rodzica, przenosząc się z kraju do kraju - był nawet na wygnANCzej Elbie - aż wreszcie wylądował w domu generała hrabiego d’Ornano, za którego Maria Walewska wyszła za mąż w 1816 roku, kiedy to cesarz Francuzów od dłuższego już czasu przebywał na wyspie Świętej Heleny. Małżeństwo Walewskiej nie było wyspekulowane, ale oparte na prawdziwej miłości; trwało jednak niestety bardzo krótko. Mając lat siedem Aleksander utracił matkę. Jej zgon prasa odnotowała w stylu towarzyskiej sensacji: umarła polska małżonka cesarza Napoleona, jako hrabina d’Ornano, licząc zaledwie trzydzieści jeden lat.

Po zakończeniu obrzędów pogrzebowych Aleksander opuszcza Paryż i pod opieką brata matki, Teodora Łączyńskiego - niedawnego generała napoleońskiego - wraca do Polski, do rodowej posiadłości wuja Kiernozi, gdzie będzie pobierał nauki wstępne u prywatnych preceptorów. Potem - po latach - napisze w pamiętniku: „Wuj Łączyński w każdej niemal rozmowie składał hołd pamięci swej siostry, toteż już od lat dziecinnych nauczyliśmy się pojmować doniosłość poniesionej przez nas straty. Opowiadał nam również o swej wojaczce, przy czym o cesarzu wyrażał się z podziwem i oddaniem... a my słuchaliśmy ze zrozumiałą, trudną do określenia ciekawością. Marzeniem wuja było zawsze zawieźć nas na wyspę Św. Heleny, ale czekał z tym, aż trochę podrośniemy...” (Marian Brandys „Kłopoty z panią Walewską”).

W dziesiątym roku życia Aleksander Walewski rozpoczął naukę w ekskluzywnej szkole w Szwajcarii, dokąd go wysłał wuj-opiekun. Edukacja trwała cztery lata i gdy w 1824 roku powrócił do kraju, otwarty się przed nim salony Warszawy, w których - nie bacząc na młody wiek - podejmowano go z niezwykle rewerencjami i to nie tylko ze względu na rezolucyjność, urodę i zadziwiająco wytworne obejście towarzyskie. Dla polskiej arystokracji był on przede wszystkim synem cesarza - tym bardziej że podobieństwo do Napoleona z każdym rokiem stawało się wyraźniejsze.

Tymczasem Aleksander nawet mimochodem, nawet delikatnym żartem - ani w Polsce, ani później w Paryżu czy Londynie - nie uczynił nigdy żadnej aluzji na temat swego pochodzenia. Każde, choćby najbardziej układne napomknięcie przecinał ostro bądź zbywał lodowatym chłodem. Jednakże panujący oraz arystokratyczna międzynarodówka wiedzieli swoje. Sam Napoleon nigdy nie zapominał o swym polskim synu; na dwa tygodnie przed śmiercią jeszcze uściślał ostatnią wolę, w której dobitnie i w sposób wyczerpujący zajmował się jego losem.

Potomka Bonapartego widział w Aleksandrze również wielki książę Konstanty, starając się go początkowo kupić pochlebstwami i lukratywnymi awansami, a gdy spotkał się z odmową, roztoczył nad nim ścisłą kontrolę. Właśnie policyjna nachalność stała się przyczyną, dla której Aleksander opuścił kraj nielegalnie: udał, że bardzo mu zależy na poznaniu Petersburga, a gdy tam się już znalazł, wsiadł w przebraniu na statek angielski i tyle go widziano. Z kursu zboczył i w 1827 pojawił się w Paryżu. Tu wzbudził jeszcze większą ciekawość.

Do Polski wrócił w grudniu 1830, po wybuchu powstania listopadowego. Podobno na drogę otrzymał od rządu francuskiego ważne zlecenie dyplomatyczne dla przywódców polskiej insurekcji. Przyjechał jednak nie w charakterze kuriera, ale jako żołnierz. Walczył też z ogromną brawurą. Dobił się stopnia kapitana, przez pewien czas pełnił funkcję adiutanta przy naczelnym wodzu, księciu Michale Radziwille, a za niebывałą odwagę i waleczność w bitwie pod Grochowem otrzymał Złoty Krzyż *Virtuti Militari*.

Wspominają o nim w pamiętnikach Mieroszewscy i Ludwik Jabłonowski, który zapamiętał, że młody Walewski przyszedł do powstania z własnym koniem. Wielką sympatią darzył go Julian Ursyn Niemcewicz, który po osiedleniu się Walewskiego w Paryżu będzie u niego częstym gościem.

Pod koniec wojny rząd powstańczy wysłał Aleksandra Walewskiego do Londynu. Zanim zdążył się rozejrzeć po angielskiej stolicy i przystąpić do wykonania powierzonego mu zlecenia, powstanie w Polsce upadło i dzielny, młody człowiek nie wrócił już do ojczyzny. Za miejsce stałego pobytu wybrał Francję, która przyjęła go z wielką serdecznością. Ze strony króla Ludwika Filipa zaczęły spotykać go uprzedzające grzeczności i zachęta do czynnego udziału w życiu państwowym.

I choć wcześniej także nie mógł narzekać, prawdziwa kariera polityczna zaczęła się dla niego za czasów Napoleona III. No cóż, obaj wiedzieli, że są kuzynami, chociaż o tym nie mówili, chyba że w cztery oczy. W latach 1849-1855 Aleksander był kolejno: ministrem pełnomocnym we Florencji, w Neapolu, potem ambasadorem w Madrycie i Londynie.

Następnie na pięć lat został członkiem senatu i ministrem spraw zagranicznych. W momencie niespodziewanej śmierci (w 1868) piastował stanowisko przewodniczącego Izby Deputowanych, przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego, był członkiem Akademii Sztuk Pięknych; zaliczał się do najbogatszych ludzi Francji.

Nas interesują przede wszystkim wcześniejsze lata Aleksandra Walewskiego. Jego ojciec wyraził życzenie, by został Francuzem i służył w wojsku. Z Polski przybył otoczony nimbem bohatera powstania listopadowego. Z łatwością zatem przyszło mu przywdziać ponownie żołnierską kurtkę. Od 1833 do 1837 pełni służbę wojskową, potem nagle opuszcza armię - nie wiadomo zresztą dlaczego - i zaczyna próbować swoich sił jako publicysta (wydawał nawet broszury polityczne) i krytyk literacki. Pisywał też z zapałem sztuki teatralne, wystawiane wprowadzie na scenach, ale bez większego powodzenia.

W tym właśnie okresie Aleksander Walewski poznał wielką aktorkę dramatyczną, Rachelę Felix, która w ciągu jednej nocy stała się objawieniem francuskiej Melpomeny. W krótkim czasie znajomość przekształciła się w pełen zapamiętania romans. Nie trwał on zbyt długo, zaś owocem tego związku było dziecko - Aleksander Antoni - które Walewski uznał, dając mu prawo do nazwiska i tytułu hrabiowskiego.

Z racji swoich zainteresowań literackich obracał się wówczas nasz bohater w kręgach bohemy, był częstym gościem salonów artystycznych. Przyjaźnił się blisko z wybitnymi krytykami: Julesem Janinem, z Soulié, a nade wszystko z Granierem de Cassagnac. Wszyscy oni tworzyli grono zapalonych wielbicieli niezwykłego talentu Racheli Felix, wszyscy też mniej lub bardziej otwarcie kochali się w niej i składali jej hołdy.

Jules Janin, który ją wylansował i uczynił sławną, opowiadał o pierwszym spotkaniu z tą aktorką. Zdarzyło się to w okresie wakacyjnym, podczas przysłowiowych paryskich „ogórków”, któregoś sierpniowego dnia 1837 roku. W tym czasie nawet światła ramp - jak mówił krytyk - były jakby zamglone. Wielki Paryż wyemigrował na wieś, do uzdrowisk nad morze, do zagranicznych wód i pensjonatów. Absolwentka szkoły teatralnej, Rachel Felix, debiutowała podczas dyplomowego pokazu.

Zmęczeni upałami nieliczni widzowie oklaskiwali młode adeptki sztuki scenicznej oszczędnie, grzecznościowo, współczująco. Tylko jednemu z nich - temu najważniejszemu - oczy rozbłyły, gdy na scenie pojawiła się młoda Rachel: był nim właśnie Jules Janin, który akurat tego popołudnia powrócił z uzdrowiska i z zawodowego przyzwyczajenia powędrował do teatru. Przygotowany do połknięcia każdego klasycznego nudziarstwa, nie oczekiwał rewelacji. Aliści stała się rzecz niezwykła, prawie niepojęta - doznał dreszczu emocji, co więcej - ogarnęło go wzruszenie.

Powiedział później, że uderzyło go już samo wejście Racheli; gdyż wszyscy wielcy aktorzy to mają do siebie, że ledwo wejda, przykuwają uwagę widza, choć jeszcze nie wypowiedzieli słowa ani nie zaakcentowali swej obecności gestem. A kiedy posłyszał głos aktorki, jakby weń piorun uderzył. Nie mógł się mylić: debiutowała wschodząca gwiazda

Nie upłynęło wiele czasu, a Paryż został oczarowany jej kunsztem, artystka stała się własnością ogółu. Podziwiała ją i uwielbiały zarówno doły, jak i najwytworniejsze kręgi, nie wyłączając elity intelektualnej. Sława Racheli szerzyła się niczym płomień - najpierw w kraju, potem w całej Europie.

Debiutowała w nader ciekawym okresie. Życie artystyczne Paryża dominowała walka romantyków z klasykami. Napór nowej, młodej literatury miał charakter żywiołowy, a jej eksponenci, skupieni wokół Nodiera, Wiktora Hugo, Lamartine'a, Teofila Gautiera i innych przywódców, nie przebierali w środkach. Atakowali klasyków - i to często w sposób niewybredny. Wydawać by się mogło, że w tym rozgardiaszu nie znajdzie się miejsca dla Racheli Felix, głęboko przejętej patetycznymi strofami Corneille'a, Racine'a czy intelektualnymi tekstami Woltera. Stało się przeciwnie - artystka tchnęła nowe życie w skostniałe klasyczne ramy. Romantycy uznali Rachelę za sprzymierzeńca.



Zanim do tego doszło, Janin i jego towarzysze nie szczędzili pióra, by we właściwym świetle zaprezentować jej dojrzewający raptownie talent. Wiedzieli, że doczekają się dnia przełomu.

Debiutem w słynnej Comedie Francaise w 1838 - wystąpiła jako Kamila w „Horacjuszach” Corneille’a - olśniła samego wybrednego Musseta. Największy poeta francuski tej epoki, szukający po rozejściu się z George Sand nowych podniet dla swej twórczości, dzięki niezwyklej sztuce aktorskiej Racheli zwrócił się z nową wiarą w stronę teatru. Młodziutka artystka zadziwiła go dojrzałą rozmową na temat dramatu, o którym mówiła nie tyle z wielkim znawstwem, co z ogromnym uczuciem i prawdziwą intuicją. Wyszedł od niej wzruszony.

W artykule „De la tragedie a propos des débuts de mademoiselle Rachel”, zamieszczonym 1 listopada 1838 na łamach „Revue des Deux Mondes”, Musset odda sprawiedliwość jej wielkiej sztuce. Powie między innymi: „Nie deklamuje, lecz mówi; pragnąc wzruszyć widza, nie stosuje ani konwencjonalnych gestów, ani gwałtownego krzyku, którego wszyscy dziś nadużywają; nie posługuje się zupełnie takimi pospolicymi, niemalże powszechnie obowiązującymi środkami jak nienaturalne kadencje wiersza. Aktorka wymawia je tak, żeby można je było zapamiętać, ale dla wydobycia jednego słowa poświęca nieraz dziesięć wierszy”.

Rozpoczął się młodej artystki triumfalny pochód do sławy. Narodziła się największa tragiczka naszej epoki - mówiono. Przy okazji opowiadano sobie anegdotę o jej pierwszej wizycie u króla Ludwika Filipa. Najjaśniejszy pan wypowiedział pod jej adresem kilka pochlebnych zdań, na co artystka miała odpowiedzieć: „Mój panie, jest pan zbyt łaskawy dla mnie”. A gdy ją pouczono, że do króla należy zwracać się używając słowa „majestat”, Rachelę miała zripostować z rozbijającą szczerością: „No cóż, moi państwo, przyzwyczajona jestem do obcowania tylko z teatralnymi królami”.

Z rozbawieniem opowiadano sobie to zdarzenie na wielu europejskich dworach w Londynie, Berlinie czy Petersburgu, szczególnie wtedy, gdy miała się na nich pojawić z okazji swoich występów. A przez jej garderobę, zabiegając o względy, przewijali się książęta, arystokraci i rzesze mieszczańskich nowobogackich.

Czarowała w rozmowie kadencją zdania, wystawiała się bowiem i na co dzień niezwykle starannie. Miała ogień w oczach, zaś w żyłach jakby ani jednej kropli krwi. Karnację jej przyrównywano do marmuru i alabastru. Czoło pozostawało zawsze gładkie, nawet gdy burza uczuć odbijała się w jej jasnobrazowych oczach. Poruszała się niewymuszenie, z niezwykłą gracją, jakby się urodziła w salonie.

Aleksandra Walewskiego poznała u Bernarda Graniera de Cassagnaca, wybitnego publicysty i historyka, naczelnego redaktora „Le Globe” i „L’Epoque”, a przy tym zagorzałego bonapartysty, późniejszego wielkiego zwolennika Napoleona III. Niedawno z jej powodu książę Noailles pojedynkował się z polskim hrabią Gurowskim. Podobno Rachelę skłaniała się w stronę sarmackiego arystokraty, ale ten - po niezbyt efektownej strzelaninie, jak głosiła fama - porwany został przez jakąś hiszpańską infantkę, która mu z głowy wybiła nie tylko aktorki, ale i teatr.

Aleksander hrabia Colonna Walewski stał się przeznaczeniem Racheli. Zapałała do niego szczerym afektem i prawdziwą namiętnością. Imponował jej i ogromnie pobudzał wyobraźnię. Tajemniczy, młody, urodziwy arystokrata, rozdarty między dwie ojczyzny, rodzony syn legendarnego już Napoleona, właściwie jedyny jego prawowity spadkobierca. Czyż mógł się z nim równać książę Ludwik Napoleon? Do tego wielki żołnierz i wielki dandys. Rachelę nie wiedziała jedynie, że Walewski jest człowiekiem może zanadto dbałym o swoją „cesarską” reputację. Dzieliło ich poza tym wiele innych barier.

Największą przeszkodę stanowiło pochodzenie wybitnej aktorki. Rachelę Felix urodziła się w biednej rodzinie żydowskiej 28 lutego 1812 w małej wiosce tuż nad granicą szwajcarską

po stronie francuskiej. Jej rodzice pochodzili z Alzacji i zajmowali się wędrownym rzemiosłem, pracując okazjonalnie.

Miała liczne rodzeństwo, z którym, śpiewając i tańcząc, występowała przed przygodną publicznością. Wędrownym wozem dotarli do Paryża i tam, w bocznej, ponurej uliczce, postyszał jej śpiew sam Aleksander Choron, o którym Fetis mówił, że jest najgruntowniej wykształconym teoretykiem muzycznym Francji, prowadził on w tym czasie własną, stołeczną szkołę, która kształciła - jak byśmy to dziś powiedzieli - talenty wokalne i estradowe.

I stała się rzecz możliwa tylko w baśni: Choron przygarnął zabiedzoną Rachelę i zaczął rozwijać jej uzdolnienia muzyczne i aktorskie. Po jego nagłej śmierci w 834 uzdolnioną dziewczynką zaopiekowali się znajomi zmarłego pedagoga, kierując ją w stronę teatru dramatycznego. Rachelę zresztą szybko się na to zdecydowała - po przeczytaniu jednego tomu Racine'a.

Z licznych późniejszych protektorów aktorka najchętniej wspominała Saint-Aulaire'a, który skierował ją do Faubourg Saint Germain, do szkoły założonej przez Napoleona I. Uczono w niej wytwornego savoir vivre'u, czyli jak dobrać słów, kiedy i gdzie milczeć, jak się ze smakiem ubierać i jak swobodnie poruszać. Zaznajamiano też z poezją, muzyką i sztuką, z modnymi kierunkami artystycznymi, uczono rysunku i pisania listów. Równocześnie była to szkoła tańca, jazdy konnej, a nawet gier towarzyskich. Niektórzy z przekąsem nazywali ją szkołą ogłady dla „maluczkich”.

Gdy aktorka dorobiła się sławy i pieniędzy, liczna rodzina dosłownie ją osaczyła. Kupiła więc swym bliskim obszerny dom, w którym bywała również sama, udzielając tam nawet wywiadów obcym korespondentom.

Aleksandra Walewskiego drażniła ta nachalna zażyłość i pazerność owych żydowskich prostaczków. Musiał go szczególnie denerwować ojciec Racheli - niedawny pachciarz, który tak chętnie wypowiadał się na temat swej genialnej córki. Łapał dziennikarzy za poły i przekonywał, że córka odziedziczyła talent po nim i że to on łożył na jej ekskluzywną edukację.

Rachelę podzielała obiekcje swego arystokratycznego wielbiciela, ale nie mogła z rodziną zerwać, gdyż zbyt mocno czuła się z nią związana.

Duży wpływ na to mieli żydowscy duchowni, których w domu Racheli nie brakowało nigdy i którzy najchętniej, podobnie jak ojciec aktorki, kontrolowaliby wszystkie jej poczynania. Ingerencje odnosiły skutek, ponieważ artystka była nie tylko bardzo religijna, ale i nastrojona mistycznie. Kochano ogromnie jej pieniądze, chociaż były grzeszne i z grzechu poczęte. Z czasem, w miarę upływu lat związku Racheli z rodziną i jej środowiskiem stawały się coraz silniejsze.

Zawsze wiedziała, że należy do innego świata, jakże różnego od tego, z którego pochodził i w którym obracał się jej ukochany, i kiedy przyszło dziecko, nie bez oporów - wbrew sobie i swej religii; - oddała je ojcu. Chciała widocznie, żeby syn stale przypominał Walewskiemu ich gorącą, prawdziwą miłość.

Po urodzeniu dziecka - a może nawet wcześniej - pojawiły się u Racheli pierwsze objawy choroby płucnej. Kto wie, czy nie za późno zaczęła się leczyć - początkowo w niemieckich uzdrowiskach, między innymi w Ems, a potem - gdy nie było widać znaczniejszej poprawy - w Egipcie. Groźna choroba jeszcze bardziej utwierdziła ją w decyzji, żeby syna wychowywać z dala od siebie. Rodzina nie protestowała, bo z horyzontu zniknął główny spadkobierca.

Aleksander Walewski po raz pierwszy ożenił się w 1813 w Anglii - zaraz po przybyciu do Londynu z pól bitewnych powstania listopadowego. Żoną jego została lady Katarzyna Karolina Montagu, córka Johna Montagu, hrabiego Sandwich. Zmarła trzy lata po ślubie.

Po raz drugi pomyślał o ożenku, gdy romans z wielką aktorką miał się ku końcowi. Z listów Zygmunta Krasińskiego dowiadujemy się, że Walewski wszczął starania o rękę Elizy

Branickiej w tym samym czasie co sam poeta. Szanse miał jednak minimalne - zarówno ze względu na swą powstańczą przeszłość jak i na wcześniejszą ucieczkę z Petersburga, czym obraził carski dwór. Zresztą stary Boreal - jak Krasiński nazywał ojca Elizy - należał do najbardziej wiernopoddanych wobec Moskwy polskich arystokratów i o konkurentach „bonapartowskich” do ręki córki ani chciał słuchać. Jak mógł, zresztą, do cara pójść z takim kandydatem?

Te konkury trwały na przełomie lat 1842-1843. Kilka miesięcy później, bo w lipcu 1843, Zygmunt Krasiński - w towarzystwie Delfiny Potockiej - ujrzał słynną Rachelę Felix na scenie teatru w Lyonie. Artystka występowała tam w roli Kamili w „Horacjuszach” Corneille’a. Obok Fedry była to jej najśłynniejsza, chętnie powtarzana kreacja.

Krasiński był w nastroju minorowym, bo towarzyszył kochance w pożegnalnej podróży do Paryża; niebawem będzie musiał udać się na swój ślub z Elizą Branicką do Drezna. Aktorce przyglądał się z prawdziwym przejęciem. Ale to nie jej występ go tak ekscytował: zauważył, że Rachel jest zadziwiająco podobna do Delfiny. Spostrzeżeniem tym nie wzbudził u dumnej kochanki zbytniego entuzjazmu. A miał to być komplement.

Aleksander Walewski ożenił się powtórnie w 1846 roku z margrabią Marią Ricci, wnuczką księcia Stanisława Poniatowskiego, starszego bratanka ostatniego króla polskiego. Pisał o niej później Kazimierz Chłędowski z przekąsem, że stała się drugą sławną panią Walewską. Dostrzegł paralele między matką Aleksandra a jego małżonką, między wielkim a małym Napoleonem oraz ich upodobaniami do kobiet.

W każdym bądź razie jest faktem, że druga żona hrabiego Aleksandra, prowadząca - jak mówią - dosyć swobodny tryb życia, zgodziła się, bez większych problemów, na wczesną adopcję syna Racheli i na przyjęcie go do swego domu. Widocznie jednak zastrzegła sobie, by młodzieńcy Aleksander Antoni nie kontaktował się nigdy więcej ze swoją rodzoną matką. W ten sposób życiorys jego uległ zasadniczej zmianie, a być może o swoim pochodzeniu chłopiec nigdy się nie dowiedział.

Przypuszczenie opieram między innymi na tym, że zarówno starszy hrabia Walewski, jak i młodszy, Aleksander Antoni, nie wzięli udziału w pogrzebie Racheli Felix, która zmarła 4 stycznia 1858. Do tego czasu widocznie - między ojcem a synem - nie doszło jeszcze do zwierzeń. A swoją drogą, czyżby przepaść między dawnymi kochankami rozwarła się aż tak głęboko?

Wielka aktorka wiedziała, że zbliża się koniec jej życia. Ale niszcząca jej organizm gruźlica wyzwoliła zarazem kolejną namiętność - z całą mocą zatraciła się w nowej miłości. Ten późny, gwałtowny związek z człowiekiem młodszym od siebie nie dał jej, niestety, szczęścia.

Pozostała zatem rodzina. W przeczuciu zbliżającej się śmierci i z myślą o licznych wielbicielach, którzy - jak słusznie sądziła - zechcą zjawić się tłumnie na jej pogrzebie, Rachelę wynajęła nader obszerne mieszkanie. Miało być lirycznie, cicho i nastrojowo. I dużo, bardzo dużo kwiatów.

Umarła w otoczeniu ogromnej, pomnożonej gwałtownie rodziny, wśród zawodzeń licznych żydowskich duchownych, odnoszących się do zmarłej z szacunkiem należnym prorokom i mesjaszom.

Jeden z najwybitniejszych polskich krytyków teatralnych XIX wieku, Stanisław Koźmian, powiedział w kilka lat po jej śmierci: „Jedną tylko w życiu widziałem artystkę dramatyczną genialną, była nią Rachel, a właśnie dlatego, że była genialną, nie dała się naśladować, nie mogła stworzyć i nie stworzyła też szkoły; boska jej sztuka opuściła ziemię wraz z nią”.

W Paryżu przez wiele lat po śmierci znakomitej artystki nie grano wielkich tragedii francuskich, bo uważano, że nie ma nikogo, kto by mógł jej dorównać.

Aleksander Walewski zmarł dziesięć lat później, 27 września 1868, wracając z długiej, dyplomatycznej podróży po krajach niemieckich. Zgon, którego przyczyną była apopleksja,

nastąpił w hotelu w Strasburgu. Liczył pięćdziesiąt osiem lat. Syn jego i Racheli Felix - Aleksander Antoni hrabia Colonna Walewski - podobnie jak ojciec pracował w dyplomacji.

## L'AMOUR DE VANITE

Zygmunt Krasiński i Delfina Potocka

I N... powiadał: „W kobietach jest dobre tylko to, co w nich jest najlepsze”.

Pytano kogoś, kto oddawał wysoką cześć kobietom, czy wiele ich miał. „Nie tyle, co gdybym je lekceważył” - odparł.

### CHAMFORT

Salony pałacu przy Krakowskim Przedmieściu, w których generał Wincenty Krasiński przyjmował swoich literackich przyjaciół, miały wystrój empirowy: pąsowe obicia ścian wieńczyły złocenia, liczne marmury, porfiry i kryształy nawiązywały przeważnie do francuskiego cesarstwa; na ich tle stare obrazy Murilla lub Cinellego prószły ciepłym światłem barw. Wszystko przenikała odurzająca woń kwiatów, z którą konkurował zapach perfum hrabiny Amelii Załuskiej - pierwszej egzaltowanej miłości późniejszego autora „Nie-Boskiej Komedii”. Być może, iż z należytą czcią eksponowano jeszcze zarówno obraz Verneta „Somosierra”, jak i marmurowe popiersie generała Wincentego, dłuta znanego rzeźbiarza ery napoleońskiej, Franciszka Józefa Bosiego. Chociaż z obrazem Verneta mogło być różnie... Generał zamówił to płótno, żeby zaprezentować siebie jako głównego bohatera tej brawurowej, kawaleryjskiej szarży. Doskonale wiemy, że nim nie był, bo w niej nie brał udziału. A co mogli sądzić o - tym współczesni, uczestnicy i świadkowie wojen napoleońskich?

W każdym bądź razie w salonie posągowała historia i ta dawna i ta bliższa - napoleońska. Zaklęta w przedmioty martwe nie podlegała zmianom. Wśród tych bibelotów, dzieł sztuki i empirowych ścian - błyszczał świeżością nowy herb z dewizą: „Męstwo i Lojalność”, nadany Krasińskiemu przez cesarza Francuzów wraz z tytułem hrabiowskim.

Natomiast goście, którzy zaludniali te salony, zmienili się w ciągu lat ustępując miejsca innym. Początkowo bohaterski generał podejmował na swoich „obiadach czwartkowych” wielkich luminarzy i patriotów. Bywali u niego Julian Ursyn Niemcewicz, Joachim Lelewel, Franciszek Morawski, Kajetan Koźmian, Ludwik Osiński... a także młody Antoni Edward Odyniec. Zastąpili ich wkrótce klakierzy, nieuczciwi gracze i szulerzy - w rodzaju Nosarzewskiego, Kickiego, Sumińskiego czy Karola Kossakowskiego - ponieważ metamorfozie uległ gospodarz: niedawny bohater jakby przekreślając pełną chwały przeszłość stał się bezkrytycznym podnóżkiem carskiego tronu.

Gdy jego niedawny komiliton, Niemcewicz, miał z jakiejś tam okazji mówić o nim dobrze - szczególnie w kontekście historycznym - zaczynał: „Wincenty Krasiński, dziś tak niegodnie wstawiony...” Kiedyś na uroczystym posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zwracając się do hrabiego, powiedział dobitnie: „Ile jest przykrem i bolesnem widzieć ziomka każącego dobrą sławę swego narodu...” Ostrego języka autora „Śpiewów historycznych” bała się cała - Warszawa. Ojcowski salon był dla Zygmunta Krasińskiego prawdziwą szkołą życia. Wchłaniał jego atmosferę mimowolnie. Szczególnie tę przedziwną moralną dwoistość. Wmawiał sobie, że ojciec nadal jest bohaterem i uosabia dawne cnoty, a przecież nie była to prawda; co więcej - generał wkrótce odrzuci wszystkie pozory i ukaże przerażającą twarz lojalisty. Tymczasem poeta uważał siebie za bezkompromisowego Polaka. Choć nie miał skrupułów, gdy korzystał z koneksji ojcowskich, nie mówiąc już o tym, iż dzięki rodzicowi nie dotknęły go żadne carskie szykany.

Prawdziwym życiem Zygmunta Krasińskiego miała jednak okazać się literatura - dopiero tworząc mógł sobie pozwolić na luksus niezależności i niezawisłości. To nic, że dla

szerokiego ogółu pozostał wielkim anonimem, bo albo nie podpisywał swoich utworów (między innymi bez nazwiska autora zostały ogłoszone jego najwybitniejsze dzieła, jak „Nie-Boska Komedia” i „Irydion”), albo krył się pod nazwiskiem swego przyjaciela, Konstantego Gaszyńskiego; raz nawet za tarczę posłużył mu nieżyjący już wówczas Juliusz Słowacki. Byle tylko nie narazić się cenzurze i nie znaleźć w dokumentacji carskiej ochrony.

I prawdziwy okazał się Krasiński tylko w swojej nieznannej ogółowi współczesnych twórczości. Natomiast jego życie codzienne stało się sztuką albo modelem dla sztuki. W tym świecie ułudy pisarz porusza się nad wyraz sprawnie. Tworzy legendę, chce ją uprawdopodobnić i przenieść poza grób. Pragnie zatem, by żadna przyziemność nie skaziła tego wspaniałego obrazu. Dlatego też i miłość musi być niezwykła, romantyczna i wszechogarniająca.

Pragnął, by przedmiot jego uczuć był literacką Beatrycze - przewodniczką po obszarach natchnienia i wzniosłości. Ponieważ równocześnie jednak potrafił być człowiekiem nader ziemskim, zatem kierował się przeważnie w stronę takiego ideału niewieściego, który chętnie zstępował z cokołu i zniżał się do adoratora.

Ten wystylizowany świat miały utrwalić przede wszystkim jego listy, które tysiącami kreślił do ukochanych kobiet i licznych przyjaciół, do ojca i osób najbliższych. Nawet wobec surowego rodziciela posługuje się stylem pełnym egzaltacji, starając się go przekonać do swojej romantycznej postawy, której zresztą pozostanie wierny aż do śmierci.

Generał Wincenty - dawno wyleczony z wszystkich mrzonek - potwornie zżymał się na te „dyrdymały”, tolerując je do pewnych granic - dopóki nie zagrażały jego ambitnym planom rodowym. Nie skąpił swojemu synowi i przekleństw, ale w gruncie rzeczy cóż miał począć, sikoro Zygmunt był jedynym synem, a on zgromadził nader znaczny majątek i po wieloletnich zabiegach otrzymał od cara łaskawe zezwolenie na utworzenie zasobnej ordynacji opinogórskiej.

Miałże zatem pozostać pierwszym i ostatnim ordynatem tego wymarzonego państewka? Po cóż więc z tak ogromnym wysiłkiem, rzucając na szalę swój honor, swoje dobre imię, budował wielkość rodu Krasińskich? Myśli o porażce w sporze ze swoim dziedzicem nawet nie dopuszczał. Zbyt dobrze znał swego syna, formował go przeciw, jak chciał. Ale też i nie cenił. Z lekceważeniem, a nawet z pogardą pisał o Zygmuncie do przyjaciółki, hrabiny Amelii Załuskiej, obiektu adoracji obu Krasińskich: „...dość powiem, że poeta”

Pogarda przemieniała się w złość, bo do świata synowskiej poezji ów szwależer i bohater spod Wagram dostępu nie miał. Zygmunt Krasiński uciekał więc od ojca i ojcowizny, od codziennego mnożenia majątku i antyszambrowania u petersburskiego ciemiężcy - chroniąc się w swojej Arkadii.

W tym wymarzonym świecie królować miała bezustannie miłość jako siła inspirująca oraz porządkująca życie. Od niej uzależniał wszelkie swoje działania twórcze i pozatwórcze, nawet gdyby okazała się bardziej fantazją niż rzeczywistością. Do Henrietty Willan pisał: „W tej epoce bardzo potrzebujemy miłości, a przez to słowo - miłość rozumiem wszystkie więzy, wszystkie myśli, które mogą powiązać dwie rozumiejące się dusze”. Jeszcze silniej wykląda swój program wobec Delfiny Potockiej: „Miłość wszystkiego końcem, celem, nie ma nic wyższego nad miłość na świecie”.

W historii literatury mówi się o czterech wielkich uczuciach Zygmunta Krasińskiego, pomijając związek małżeński z Elizą Branicką. Wszystkie one dziwne i wcale do siebie niepodobne.

Najbliższą dantejskiego ideału Beatrycze była Henrietta Willan; romans z młodziutką Angielką należał do niewinnych i dziś, po tylu latach, może być uznany za wielce uduchowiony. Młody arystokrata polski zawojował wprawdzie rezolutną córkę mieszczańskiego Albionu ognistymi deklaracjami i teatralnymi pozami (przyplątywał pod jej genewskie okna łodzią lub podjeżdżał konno obdarzając wybrankę bukietami kwiatów i

rymowanymi wyznaniem), ale do intymności ani do trwałego związku nie doszło. Henrietta, młodsza od swego adoratora, zbyt dosłownie potraktowała jego literackie wyznania: marząc o ślubie z egzotycznym hrabią, wróciła do rodziców i długo czekała na przyjazd oblubieńca. Czekwała daremnie.

Natomiast pozostałe kobiety, starsze od Krasińskiego, przewyższały go doświadczeniem w miłości. Każda miała już męża; na brak wielbicieli też nie mogły narzekać, bo co jedna to urodziwsza i należąca „do fashionu” - jak mawiał Krasiński - czyli modna, elegancka i wykwiwna.

Załuska trwała wobec niego w zasadach, dlatego o uszczknięciu cnoty nie mogło być mowy; nie chciała nawet zostać oficjalną mużką i powierniczką westchnień. Równocześnie jednak nie-mogła sobie pozwolić na afronty, zbyt wiele bowiem zawdzięczała rodzinie generała po ucieczce męża przed Sybirem; a poza tym - cóż tu wiele prawić - stokroć bardziej lubiła ojca aniżeli jego niewyrośniętego, poetyzującego synalka.

Sześćdziesiąt lat później, gdy sława pisarska Zygmunta Krasińskiego sięgała zenitu, a on sam już dawno znikł ze świata żywych, Amelia Załuska, indagowana o ten „romans” przez jedną z przyjaciółek, odpowiedziała z filozoficzną zadumą, jak przystało damie: „Mężczyźni nigdy nie mogą zrozumieć, że my się w nich nie kochamy, i nie mogą nam tego darować”.

Dzięki nad wyraz pięknej Joannie Bobrowej - żonie marszałka krzemienieckiego - poznał autor „Nie-Boskiej Komedi”, co to miłość nie tylko duchowa. („Wychylę kilka pucharów wesela, kilka pucharów bóleści, po ludzku kochać będę, po ludzku cierpieć, a potem siądę i napiszę, i to będzie dobrem”). Przeżycie było wielkie. Pod jego wpływem poeta gwałtownie dojrzewał. I choć Joanna obdarza go uczuciem gorącym, kochankowie nie mogą zapomnieć ani na chwilę o tym, że pani marszałkowa ma dzieci i musi dbać o opinię, której strażnikiem jest jej mąż. Stały kamuflaż zatruje kiedyś ten tak radosny początkowo romans. Nie wytrzymała napięcia przede wszystkim piękna Joanna, coraz częściej zalewająca się potokami łez; każde krzywe spojrzenie ze strony otoczenia doprowadzało ją do rozstroju nerwowego. Z czasem zaczęła się potęgować obawa o szczerłość afektów Zygmunta, o jego stałość. I nie myliło się kobiece serce. Ale bo też takie potoki żalu nie sprzyjają trwałości uczuć...

Zresztą do przedwczesnego zakończenia tej miłości przyczynił się także swoją brutalną ingerencją ojciec poety w obawie, że syn mógłby pomyśleć o małżeństwie, jako że Bobrowa w pewnym momencie zaczęła przebąkiwać o rozwodzie. Nie takiej żony pragnął generał dla swego jedynaka.

Złośliwa plotka i małość ludzka zniweczyły ten związek, skaziły uczucia kochanków odzierając je z romantyzmu. A przecież to właśnie pięknej Joannie dedykował poeta swe największe dzieła: „Nie-Boską Komedię”, „Irydion”, a także „Agaj Hana”. Wprawdzie zmienił swojej Beatrycze imię - może zresztą za jej zgodą - gdyż Joanna w dedykacjach ukryta została pod imieniem Marii. Wąskie grono znajomych nie potrzebowało snuć domysłów - wiedziało swoje.

W „Irydionie” posłanie zostało rozbudowane i mimowolnie może nosi stygmat pożegnalny: „Maryi na pamiątkę dni jedynych i zbiegłych”. Do tej dedykacji dołączony został także znamieny 68 wers z Dantego: „Tak głos znajomy wróci do niej po latach wielu”.

Być może z marszałkowa rozstawał się z ulgą, choć - jak przystało na romantycznego kochanka - w listach do przyjaciół rozsiewał za nią żale i tęsknoty. Najbardziej szczery był w liście do Gaszyńskiego: „Wiem, iż trudno kochać, kiedy miłość znikła z duszy; ale jeśli ta, którą kochałeś, ma prawo do twej wdzięczności, winienesz z nią postępować tak, jak gdybyś ją kochał”.

Westchnienia na pokaz były jednak tak namiętne, że zagubiony całkowicie w tej romansowej sytuacji ojciec postanowił ostro zabrać się za swego dziedzica. Roilo mu się początkowo małżeństwo Zygmunta z majątną Julią Potocką (sam poeta w pierwszym porwywie nawet pomyślał, że dobrze byłoby posiadać folwarki i wsie w Galicji, która cieszyła się

większą wolnością i mogła stać się alternatywą w stosunku do carskiego samodzierżawia), odszukuje zatem syna w Kissingen i żąda, by porzucił literackie mrzonki, a zajął się interesami. Wreszcie zdecydowanie przywołuje go do kraju, a gdy jednak po powrocie nadal kwili o swoich uczuciach i zobowiązaniach, pełen pasji wyrusza do Bobrów na Wołyń, by raz na zawsze uwolnić Zygmunta od amorów marszałkowej.

Przy okazji panowie Krasińscy rozglądają się w interesach, wizytują swoje włości i opinogórskie państwo (poeta w tym czasie zapędził się aż do swojej wsi kaszubskiej, Kleszczewko pod Gdańskiem, by złożyć przysięgę pruskiemu panu) a potem zgodnie podróżują do Włoch, aby tam, w Neapolu, spędzić Boże Narodzenie. Arystokracja polska nie tęskniła specjalnie za ośnieżoną choinką, wolała włoskie, cieplejsze krajobrazy w dzień wigilijny.

Niektórzy historycy literatury twierdzą, że poirytowany synem-nieudacznikiem generał wprowadził go z premedytacją do pałacu Galio - gdzie rezydowały panie Komarowe: matka z pięknymi córkami - ażeby mu do reszty wywietrzała z głowy płaczliwa Bobrowa. Komarowie byli sąsiadami Krasińskich na Podolu, generał posiadał tam Dunajowce, dlatego zaproszenie na Wigilię zostało przyjęte prawie jak od najbliższych osób.

Panie okazały się rzeczywiście wielce nadobne; największą jednak ciekawość budziła Delfina, od wielu lat żona Mieczysława Potockiego - najbogatszego w owych czasach polskiego magnata kresowego - obecnie pozostająca z nim w separacji. Bezustanne podróże, a także równie częste co głośnie romanse były jej głównym zajęciem. Najlepsze lata miała już jednak za sobą.

W arystokratycznych salonach Europy nadal komentowano jej głośnie związki - szczególnie z następcą tronu francuskiego, księciem Orleanu, oraz ze słynnym ówczesnym Don Juanem, za którego uchodził Charles de Flahaut - francuski generał i dyplomata. Mówiono zresztą o wielu innych, a wśród nich także o Fryderyku Chopinie, którego była pierwszą paryską miłością (w liście do rodziny z 83: „...spotkałem panią Potocką, którą, wiecie, jak kocham”). Iwaszkiewicz dopowie: „Mamy nadzieję, że pani Delfina go ośmieliła”.

I ta właśnie dama miała zostać największą namiętnością Zygmunta Krasińskiego. Ale czy istotnie poeta poznał ją dopiero w wieczór wigilijny 838 roku? Ferdynand Hoesick, który prześledził niejedyn romans w literaturze, sądzi, iż stało się to kilkadziesiąt dni wcześniej. Spróbujmy mu zawierzyć i podążmy za tokiem jego myśli.

Kiedy Krasińscy znaleźli się na terenie Szwajcarii, generał wyprzedził syna, podążając z pośpiechem do Wenecji, gdzie zaplanował dłuższy odpoczynek. Natomiast poeta zatrzymał się na wcześniejszy dłuższy popas we Fryburgu nad Saaną. Początek listopada tego roku był pogodny, sprzyjał samotnym spacerom, dlatego Zygmunt ledwie rozłokował się jako tako w pensjonacie, a może raczej w zajeździe, wyruszył na wieczorny spacer.

Duszę bajronowską ciągnęło do podmiejskiego lasku, który graniczył z malowniczym cmentarzem skąpanym w poświacie księżycy. Przechadzając się, zauważył wdzięczną postać kobiecą, która widocznie także szukała samotności - takiej w stylu epoki - i oddawała się wieczornej kontemplacji. Wszystko mogło mieć charakter bardziej powszedni - faktem jest jednak, że to właśnie mogiły i krzyże, i laszek czerniejący w mroku stanowiły tło dla pierwszego spotkania Delfiny Potockiej z Zygmuntem Krasińskim. Spotkania - być może przypadkowego, chociaż para turystów zatrzymała się pod tym samym dachem i już to mogło posłużyć za doskonały pretekst do nawiązania znajomości. Natomiast poeta był jedyny do inscenizowania zdarzeń na modłę szekspirowską.

Równy rok później napisze do swojej nowej Beatrycze: „Za chwilę noc będzie, za chwilę czekam na twoją postać; nie mogę tej pewności fantastycznej zrzucić z duszy, że ty mi się pokażesz o tej samej godzinie, o której temu rok pierwszy raz mi się ukazałaś; a było to, pamiętasz, w tym ślicznym lasku fryburskim, jak koniecznie żądałem zostać z Tobą...” I

jeszcze patetycznie dodał: „Nie rzucaj zasłony z krepy na miejsce, gdzieem tyle był szczęśliwy”.

Z tych słów wynika, że Krasiński od pierwszej chwili znalazł się pod urokiem tej niezwyklej - jak powiadał - damy fashionu. Dlatego dziwić muszą wysłane zaraz po przyjeździe do Wenecji listy, w których aż gęsto o jego uczuciu do pani Bobrowej, o szczęściu, jakie z nią kiedyś w tym mieście przeżywał. Delfiny nawet nie wzmiankował, skrywał na razie tę znajomość przed bliskimi. Widocznie czuł się w dosyć dwuznacznej sytuacji. Jakże mógł tak z dnia na dzień zerwać jedną miłość i rozpocząć drugą? Wpierw 70 musiało nastąpić dogorywanie nieszczęśliwego kochanka. Tym bardziej że wszyscy przyjaciele mieli obowiązek przeżywać razem z nim każdą jego miłość.

W podobnym stylu utrzymane są listy z Rzymu, gdzie Krasińskim wypadł przystanek w drodze do Neapolu. Znowu rozdzierające wspomnienia, jakie to niedawno było tu kochanie z Bobrową, jakie unosiły ich wspólne marzenia. Czyżby raz jeszcze chciał odegrać rolę ofiary ojca-tyrana? A przecież w głębi duszy z ulgą przyjął to uwolnienie od uciążliwej kochanki. Wiedział też, że wołyńska wizyta jego ojca musiała przypieczętować rozkład małżeństwa Bobrów, stawiając panią Joannę w nader trudnej sytuacji osobistej, nie mówiąc już o towarzyskiej. Nagle zawalił jej się świat cały.

Młodemu hrabiemu Zygmuntowi - wielkiemu obywatelowi Europy - mogło to być zupełnie obojętne. Natomiast nie wypadało, by akceptował to romantyczny kochanek, a tym bardziej człowiek, który otaczającą go rzeczywistość zakląć chciał w literacki Pomnik; nie mógł wreszcie przejść do porządku, ot tak sobie, nad kimś, kto użyczał mu natchnienia do „Nie-Boskiej” i „Irydiona”.

A może bronił się przed nowym uczuciem? Przyszło ono tak gwałtownie, że mógł poczuć się zaskoczony. Początkowo myślał - tak jak sobie skrycie życzył tego ojciec - jedynie o przygodzie z wielką damą. W nowej grze miłosnej chciał być jedynie chłodnym obserwatorem. Tymczasem ani się spostrzegł, jak już kochał, już budował w myśli nowe poematy, które dopominały się o nową muzę. Piękne oblicza Joanny i Delfiny jakby zlewały się razem. Pisząc z żalnością o przemijaniu, nie chciał, by temu procesowi Poddane zostało uczucie miłości: ono nie ginęło, ono po prostu reinkarnowało w postaci nowej kochanki.

W wigilię Bożego Narodzenia 1838 Zygmunt Krasiński wraz z ojcem zjawili się więc w salonie pani Honoraty Komarowej. Zygmunt i Delfina patrzą na siebie jak obcy ludzie, jakby zetknęli się ze sobą po raz pierwszy, jakby nie było Fryburga?

W liście do Sołtana, z 1 stycznia 1839, wystawia Zygmunt Delfinie opinię raczej niepochlebną. Ostatecznie powiada nawet: „Przez to, com powiedział, proszę Cię, nie rozumiej jednak, by cokolwiek innego od litości wiązało mnie do pani Delfiny. Ona mi tylko służy jakoby zwierciadło, w którym czasem widzę przechodzące widmo tej, którą tyle kochałem. Zrazu kłóciliśmy się okropnie, bo szyi me chciałem zgiąć przed jej zewnętrznym fashionem...”

Po pewnym czasie ton jego listów zaczyna ulegać zmianie. Krytyczną wyniosłość zastępuje litość (do Sołtana: „ale teraz to jest tak biedna, zewsząd napadnięta, w każdym punkcie zraniona kobieta, a zarazem harda w boleści, nie zebrząca nigdy politowania”), potem podziw, wreszcie miłość, chociaż przed przyjaciółmi mówi o uczuciu siostrzanym, braterskim. Opuszczając 4 lutego Neapol poeta już całkowicie identyfikuje się z ukochaną. Świadectwem - wiersz „Ledwom Cię poznał, już Cię żegnać muszę”:

Twoich katuszy Odbite widmo tak stoi nade mną  
W dzień każdy biały i w każdą noc ciemną,  
Żem twoją całkiem okryty żałobą,  
Przelał się w ciebie i przestał być sobą.

Pierwszy list wysłany do Delfiny po opuszczeniu Neapolu nosi datę: Roma, 8 lutego. Słowa skierowane do tej, która już chyba wówczas była jego kochanką, brzmią: „Co myślisz?”



Co czynisz? Jak się czujesz? Wszak ból zniknął z piersi, wszak już śpiewać możesz? Niech Bogdami raz jeszcze usłyszeć Wilhelma Telia z ust Twoich”.

Delfina Potocka odznaczała się nieprzeciętnym talentem śpiewaczym. Potrafiła oczarować swoimi występami tak wybitnych znawców, jak Chopin i Liszt. Egzaltowany Krasiński przyrównywał ją nawet do Melibranowej - najwybitniejszej śpiewaczki tamtych czasów. Delfina Potocka odważnie sięgała właśnie do jej repertuaru, między innymi do arii z oper Rossiniego.

Powróćmy jednak do cytowanego listu. „Dwa dni jechaliśmy, dwieśmy noce stali, trzeciego dnia, wczoraj dopiero nad wieczór do Rzymu przybyłem, napatrzwszy się do syta błot pontyńskich. A jednak ta z dróg najnudniejsza chyżo mi uleciała, bo te trzy dni były nieprzerwanym ciągiem jednej i tej samej myśli, żem wciąż myślał o Tobie i niezawodnie wciąż o Tobie. Wieczór ostatni tak przeszedł ponuro, tak był pełen niewoli, że dusza moja potrzebowała wolności, w nagrodę przymusów pożegnania wybiłem się na niepodległość wspomnień...”.

Ten list, który - jak widać - pochodzi od bardzo zakochanego, kończy się akcentem nader osobistym: „Jutro lat dwadzieścia siedem przeżyję na świecie, kiedyś muszę Ci opowiedzieć od początku to życie moje, złożone z pragnienia i niedopełnień, przebyte w wielkiej goryczy serca nad drugimi, w wielkiej pogardzie świata i jego lekkomyślności, w wielkiej nienawiści dla nieprzyjaciół, a w miłości bez granic dla tych, którzy cierpią dumę i natrząsanie się wrogów; nie zabieraj mi nadziei, choćby płonną była, że pośród tych ruin oprowadzać Cię będę”.

I tak oto zaczęła się wieloletnia korespondencja, która trwała prawie aż do śmierci poety. Zbigniew Sudolski - autor zarówno monografii, jak i opowieści biograficznej, poświęconych Zygmuntowi Krasińskiemu - przypuszcza, iż twórca „Nie-Boskiej” napisał do Delfiny Potockiej około pięciu tysięcy listów. Niestety, zaledwie jedna siódma przetrwała do naszych czasów; największe szkody w tej spuściźnie epistolograficznej poczyniła ostatnia wojna, zresztą także i spokrewnione z Krasińskimi rodziny już wcześniej wyeliminowały niektóre niestosowne - ich zdaniem - wyznania poety.

A przecież i to, co pozostało, tworzy dokument imponujący, jedyny w swoim rodzaju. Zbigniew Sudolski - podobnie jak przedwojenny wydawca - zamknął go w trzytomowej edycji (PIW 1975). We wstępie powiada: „Po dedykowanych Bobrowej dramatach: «Nie-Boska Komedia» i «Irydion», rodzi się bodaj największe arcydzieło poety, sui generis powieść romantyczna...” Sugeruje za Janem Kottem, że te niezwykle listy układają się w najwybitniejszy polski romans XIX wieku

Trzeba przyznać, że jest to stwierdzenie chwytnie i działające na wyobraźnię. A zalem romans pisany na raty? W odcinkach? Każda powieść - jak to w owym gatunku twórczym bywa - zbudowana jest z prawdy i zmyślenia. Kto wie, czy tego ostatniego czynnika nie znalazło się najwięcej. Podczas lektury bardzo szybko przekonujemy się, że w namiętnych deklaracjach i westchnieniach poety więcej jest poży i gry literackiej aniżeli prawdy. Romans, w którym nie brak wzniosłych i wielkich uniesień, tylko w lekturze wygląda pięknie, w istocie bowiem rzeczywistość bywa gorzka i smutna, czasami prawdziwie dramatyczna.

Stendhal, jako prawodawca uczuć epoki romantyzmu, rozróżnia cztery rodzaje miłości: l'amour-gout - czyli miłość epoki rokoka, znajdująca swoje odbicie w memoirach między innymi Crebillona, Lauzuna, Chamfrda, pani d'Epina, a zatem miłość dobrego smaku, literacka; l'amour passion - czyli miłość serdeczna, namiętna i prawdziwa, podobna do tej, jaką przeżywali Heloiza i Abelard; l'amour physique - czyli miłość fizyczna, seksualna, którą często - jak chce Stendhal - zaczynamy uprawiać w wieku szesnastu lat; oraz l'amour de vanite - czyli miłość próżna, przejawiająca się na przykład w dążeniu do podboju kobiety modnej, na podobnej zasadzie jak wtedy, kiedy chce się posiadać podziwianego rumaka albo dzieło sztuki. Stendhal dodaje, że łączy się ona bardzo często z pożądaniem, z miłością

fizyczną. W ten sposób wypełnia się nieco. A kiedy dojdzie jeszcze zażyła przyjaźń, związek ten zyskuje Wcałe trwale podstawy. „Umysły kochanków, szukających pożywki w literaturze - z niej czerpią wzory; próżność zadaje sobie wiele trudu, by wmówić zainteresowanym wielką namiętność”.

Związek uczuciowy Krasińskiego z Delfina to właśnie l'amour de vanite. Początkowo romantyczny autor nie posiada się ze szczęścia, że uległa mu wielka dama europejskich salonów. Imponuje mu poufałość z tą piękną, wysoką kobietą, tym bardziej że sam był niepozorny. Prawie od początku korespondencji Krasiński nadaje swojej ubóstwianej i jedynej zdrobnienie: nazywał ją z angielska „Dialy” lub z paryska „Didyszą” (Didiche), ona natomiast odwzajemnia mu się z francuska „Siżysiem” (od: Sigismond). Ta infantylność miała nieustannie podtrzymywać atmosferę poufałości.

Zadziwia w tej korespondencji i to, że Krasiński pisze do niej po polsku, natomiast Didysza prawie wyłącznie po francusku. Poeta błagają, by się przekonała do języka ojczystego: „Pisz zawsze parę kartek do mnie po polsku, proszę Cię, proszę usilnie, droga Dyszo moja” (20 lipca 84). A kiedy Delfina czyni zadość jego prośbom, kochanek zabawia się z kolei w dobrotliwego pedagoga, poprawiając jej błędy i osładzając korektę pochlebstwami.

Jarosław Iwaszkiewicz w swojej popularnej monografii o Fryderyku Chopinie przytacza w całości polski list Delfiny do wielkiego muzyka. I trzeba przyznać, że jest on pod każdym względem poprawny. Pochodzi wprawdzie z 1849 roku, kiedy Fryderyk był już śmiertelnie chory i kiedy zbliżała się już dziesiąta rocznica wysiłków pedagogicznych Siżysia, jak widać - skutecznych. Trzeba bowiem wiedzieć, że Delfina odebrała w młodości wychowanie kosmopolityczne. Dorobkiewiczowski dom Komarów snobizował się na cudzoziemszczyznę - panował w nim wszechwładnie język francuski, ubóstwiano styl angielski, pogardzano wszystkim, co swojskie i rodzime. Ale skierowany do Chopina polski list Delfiny ma atmosferę słowiańską. Dominuje w nim smutek przemijania oraz współczucie dla ciężko chorego artysty, zawiera też znamienne wyznanie: „Jakoś i mnie nie poszczęściło się na świecie... Au total żywot ten jest ogromnym dysonansem”.

Czyżby refleksje nad własnym żywotem zaczęły się u wielkiej damy wraz z wiekiem dojrzałym? A może nieco wcześniej - kiedy dojrzałość zaczęła gubić urodę? Poznając Krasińskiego miała już trzydzieści dwa lata, które u ówczesnych kobiet, nawet światowych, znaczyły bardzo wiele. Okazało się jednak, że zainteresowanie jej osobą - również w latach późniejszych - było nadal pokaźne i gdy tylko przyzwałała, gęstniał rój wielbicieli. Poza krótkimi chwilami ascezy, ochota brylowania nie opuszczała jej aż do lat siedemdziesięciu. Z zadziwiającą skutecznością ukrywała też datę swego urodzenia. Nie znamy jej zresztą i dziś. Nadal nie ma pewności, czy urodziła się w 1807, czy - jak chcą niektórzy - 1805 roku?

Romans z Delfina został przez Zygmunta wystylizowany patetycznie od samego początku. Mogło to budzić podejrzenie, że zamiast prawdziwych uczuć będzie w nim spora doza demonstracyjnych gestów. Delfina zresztą wcale nie dążyła do rozwodu ze swoim mężem-multimilionerem, który - bywało - że przeganiał ją po pokojach, nie oszczędzając razów bilardowym kijem. Wypłacana corocznie kwota stu tysięcy pozwalała na prowadzenie wystawnego życia na poziomie najbogatszych domów (dla porównania pani Joanna Bobrowa musiała zadowolić się sumą piętnastu tysięcy).

Jednak nie tylko pieniądze decydowały o niechęci Delfiny do ostatecznego zerwania z mężem, bo przecież i później, gdy rozejście stało się faktem, nie uszczuplono jej dochodów z kasy Potockich. Chodziło również o pozycję społeczną. Jako małżonka polskiego magnata korzystała z dużej swobody obyczajowej, stał za nią autorytet moralny męża - to nic, że czysto werbalny, ale właśnie do pozorów przywiązywano w tej epoce wagę ogromną - natomiast status rozwódki znacznie osłabiał pozycję w arystokratycznym salonie.

Żywiołem Delfiny Potockiej było bowiem nie zaciszne życie domowe, ale nieustanne akcentowanie swojej obecności w świecie i to w świecie tej górnej warstwy dziesięciu tysięcy. Okazało się potem, że jak długo dopisywało jej zdrowie i uroda - nawet ta podtrzymywana kosmetykami - tak długo nie rezygnowała ani z wielbicieli, ani z podniecających romansów i miłostek. Jednak jej przywiązanie dalekie było od wierności. Miał się o tym przekonać nadto boleśnie autor „Irydiona”. Sceny zazdrości zaczęły się prawie nazajutrz po wyjeździe Krasińskich z Neapolu.

Zakochany Zygmunt nie dotarł jeszcze z ojcem do Rzymu, gdy uwielbiana Działy wkroczyła triumfalnie do Palazzo Reale, gdzie na wieczorze urządzonym przez królową neapolitańską, śpiewała w duecie z przystojnym infantem, wypróbując na nim swoje uwodzicielskie sztuczki. Poetę opętała zazdrość, bo gdzieś tam w podświadomości miał zakodowane, że królom się nie odmawia... „Aleś się, Mościa Pani, w świecie neapolitańskim nie pomału rozhułała: z infantami śpiewasz, spajasz z tonów plecionkę w pierścien dźwięków głos swój z królewskimi”.

W życiu uczuciowym poety coś się odmieniło i to w sposób zasadniczy. Do tej pory on dyktował warunki swoim ukochanym kobietom, podczas gdy one zabiegały o jego stałość. Może teraz, gdy została Urażona jego duma, przypomniał sobie pewne zdarzenia z niedawnego romansu z Bobrową? Wystarczy zestawić pisane przez niego listy, ażeby odtworzyć dwoistość jego poczynań i dwuznaczność miłosnych wyznań.

Wywołajmy na przykład niedawny rok 836 i tę chwilę, kiedy w Rzymie spotkał się z Juliuszem Słowackim. Udając się do ogrodu pełnego róż i cyprysów, zasadzonych na ruinach dawnego pałacu „cesarzów rzymskich”, czyli willi Mills, gdzie odbywały się wieczorne rozmowy poetów, szybko kończył jeszcze listy, w których donosił o swojej miłosnej męce, spowodowanej przejściami z panią Bobrową. W głowie nic tylko „memento mori” i inne ponure myśli, które „wstrząsają od stóp do głowy i od mózgu do serca”. W podobnym tonie utrzymany był także list do Gaszyńskiego, datowany 22 maja 1836. Tymczasem dzień wcześniej Juliusz Słowacki donosił swej matce o tym, jak to z zabawnym Zygmuntem „latali niczym wariaty po willach włoskich”, uganiając się przez cały dzień za jakąś panią baronową von Richthoffen („...mąż Niemiec, żona Polka, bardzo miła osóbką, wiele gadająca, z rodzaju naszych przymilających się i zwinnych kobietek warszawskich”) i jak to wreszcie ją dopadli w ogrodzie Borghesich, gdzie zostali jej przedstawieni. Słowacki był nieco rozczarowany tym „ideałem utworzonym w imaginacji” Krasińskiego, ale i tak o chwilach z nim spędzonych powie: „kawalerskie, biegające i cygara pałace życie”.

Nieco później, bo w początkach sierpnia, autor „Nie-Boskiej” będzie się leczył w Graeffenbergu, gdzie obiektem jego westchnień zostanie Adelaida Reichenbach, z którą zaliczy niejedną wędrowkę księżycową porą. Ferdynand Hoesick skomentował ten fakt: „Gdybyż o tym wiedziała pani Bobrowa”

Ci, którzy zbyt serio traktowali wzniosłe i egzaltowane wyznania poety zawarte w jego listach, doznawali często przykrych rozczarowań. Bo tak na co dzień - o ile nie chorował (a niestety zdrowia był lichego), nie tworzył, bądź nie oddawał się lekturze dzieł filozoficznych - był człowiekiem pogodnym, wesołym, czasami nawet przesadnie wesołym. Na początku 837 roku, kiedy w salonach nadal krążyły plotki na temat jego nieustającej adoracji Bobrowej, Sołtan donosił, że Krasiński - już po Graeffenbergu - przebywając w Wiedniu „często po dziesięć razy na dzień wpadał do księżny (Marii z Granowskich Lubomirskiej z Litwy - przyp. B.L.) zawsze wesół, skaczący, dużo mówiący, bez żenady rzucający się na kanapie z nogami, słowem, jak we własnym domu; ruchawy był nadzwyczaj i księżna nieograniczenie była dla niego pobłażliwa i rada z niego każdej chwili...”

Zerwanie z Joanną Bobrową, i to w sposób wielce jej uwłaczający, zbulwersowało bliskich przyjaciół poety zasypywanych dotąd listami, w których aż roilo się od deklaracji miłosnych autora do pięknej marszałkowej. Natomiast nagłe objęcie funkcji adoratora Delfiny

Potockiej wywołało wprost falę oburzenia. Zbytńio zawierzyli jego słowu pisanemu. Nic dziwnego, że dostało mu się od starego żołnierza Sołtana i od uwielbiającego go Danielewicza. Najsurowiej jednak obszedł się z poetą Edward Jaroszyński - człowiek niezwykle prawy, który - do żywego oburzony postępowaniem przyjaciela - zerwał z nim wszelkie stosunki. Obawiając się podobnej reakcji ze strony Gaszyńskiego, przestał Krasieński po prostu do niego pisywać - chociaż akurat ten bliski mu człowiek traktował wszelkie jego uniesienia we właściwych wymiarach.

W przetargach historyków literatury na temat, która z wielkich miłości - Bobrowa czy Potocka - wywarła większy wpływ na autora „Nie-Boskiej Komedii”, wygrywała na ogół Didysza - chyba ze względu na większy światowy mir.

Obie kobiety były piękne - jedna szatynka, a druga blondynka - obie o bujnych włosach i białej, alabastrowej cerze, obie o ciemnych rzęsach i brwiach, i prawie regularnych rysach. Tyle że pierwsza, matka dzieciom, posiadająca kochającego męża, autentycznie przeżywała dramat zdrady małżeńskiej, gdyż zdawała sobie sprawę, iż nie ma żadnych szans, by zostać żoną poety; gubiła się więc we łzach i zatruchiwała spotkania lamentami.

Druga - światowa dama, wyzwolona od dawna z ograniczających ją więzów małżeńskich - podobnych obiekcji nie miała nigdy: to ona dyktowała prawa swoim adoratorom dobierając ich sobie niezwykle starannie. Zawsze też wiedziała, kiedy przerwać uciążliwy romans albo jak się z niego wywikłać, zachowując pozory nie uwłaczające jej towarzyskiej pozycji. Szybko pojęła zasady gry miłosnej obowiązującej w salonach arystokratycznych zachodu i nigdy ich nie łamała. Chyba że odnosiło się to do ludzi niższego stanu, do którego zaliczano także artystów. Związki z nimi były może bardziej swobodne, ale i tak stwarzała pozory, że ustawicznie musi się bronić przed nachalną adoracją: kiedyś - być może nieopatrznie - okazała im przychylność, mając tak wiele zrozumienia dla sztuki...

Jeżeli stary generał Krasieński istotnie ułatwił synowi poznanie z tą słynną salonową lwicą, to z pewnością dobrze wiedział, co czyni. Miał się o tym rychło przekonać kochliwy poeta. Nowy jego romans ograniczono z żelazną konsekwencją, choć Komarowie i tak uważali, że doszło do zbytnej konfidencji. Zresztą nie krępowali się nawet z okazywaniem pocie jawnej niechęci. Ilekroć zatem zjawiał się w willi Honoraty Komarowej, nieodmiennie „wbijał się w frak” i wkładał cylinder na głowę, chcąc zasugerować strojem, że składa wizytę oficjalną, więc nie wypada mu pokazać zimnej łopatki. W tym towarzystwie nie mógł sobie pozwolić na jakąkolwiek swobodę, nie mówiąc już o fikaniu nóżkami na kanapie, jak to czynił u księżnej Lubomirskiej, a z pewnością również i w innych salonach.

Romans z Delfiną Mieczysławową Potocką jeszcze na dobre się nie rozwinął, gdy „poeta ruin” spostrzegł, że nie będzie jedyny w jej sercu. Na nic zdały się początkowe łyzy, na nic rozpaczliwe zaklęcia i listy aż kipiące od namiętnej adoracji. Po pewnym czasie jak gdyby przywykł, jakby pogodził się z tą sytuacją.

Nie mógł zresztą za wiele żądać, bo i sam nie miał zbyt wiele do zaoferowania. Jego swobodę życiową ciągle limitował ojciec. Nadchodził czas obywatelskiej stabilizacji - na horyzoncie rysował się związek małżeński z panną, która mogła przydać większego splendoru domowi drugiego ordynata opinogórskiego.

Niech nas nie zmylą owe nieprzychylnne demonstracje przeciwko rzekomo narzuconemu mariażowi z piękną Elizą Branicką, które spotykamy w jego listach. Poeta prowadził nadal wielką literacką mistyfikację. Nie Branicycy bowiem zabiegali o ten związek. Wręcz przeciwnie. O ile odpowiadała im pozycja materialna jedynaka generała Wincentego, którego rozległe dobra powiększyły się jeszcze po powstaniu listopadowym o znaczne majątki na Litwie, łaskawie mu darowane przez cara Mikołaja „za lojalność”, o tyle nie odpowiadała im literacka profesja narzeczonego i jego podejrzanе koneksje towarzyskie wśród emigrantów.

Stary Boreal - jak poeta nazywał ojca Elizy - postawił szereg warunków, by małżeństwo mogło dojść do skutku. Informuje nas o nich osobiście autor „Nie-Boskiej” w liście do

Delfiny. Branicki zarzuca mu też rzekome powiązania z sekretnymi, nieprawomyślnymi stowarzyszeniami emigracyjnymi, że dobrze się o nim wyrażają Towiański i Mickiewicz, że wreszcie jest słabego zdrowia i nadto ostentacyjnie adoruje Mieczysława Potocką.

Natomiast przyszła panna młoda, jako dama dworu, musiała uzyskać zgodę na ślub od Mikołaja I. Car nie wniósł sprzeciwu. Wierzył w Branickich, a może jeszcze bardziej w byłego generała gwardii napoleońskiej. Krasieńscy z pokorą wysłuchali zarzutów, skrętnie się z nich tłumacząc.

Upłynie jednak kilka lat, zanim ten ślub zostanie sfinalizowany przed ołtarzem w dreźnieńskiej kaplicy królewskiej - 26 lipca 1843 roku.

Po zbliżeniu się do Delfiny poeta miał nadzieję, że to ona zostanie tą właściwą Beatrycze, która siłą swej miłości otworzy przed nim jeszcze wspanialsze perspektywy twórcze. To, co do tej pory stworzył, wydało mu się nagle kalekie i niepełne.

„Ale zarysowywał się już, już dźwięczał pierwszymi tonami - jak powiada Juliusz Kleiner - poemat szczęścia budowanego przez rzeczywistość miłosnego upojenia i przez fikcje filozoficznych konstrukcji, snów patrioty o przyszłej Polsce”. Delfina zatem miała ogniskować i dać ujście wszystkim jego ambicjom - zarówno artystycznym jak i intelektualnym. Pełen był wielkich nadziei. Posługując się logiką heglowską, uważa, że skoro ustawił Słowackiego jako antytezę Mickiewicza, jemu powinna przypaść synteza. Chciał po Mickiewiczu i Słowackim objąć już nie tylko jeden kierunek, „lecz pełną całość życia”.

W pierwszym okresie znajomości z Krasieńskim Potocka nie była akurat przez nikogo adorowana. Była wolna, a po ostatnich romansach pozostał w niej nawet pewien osad goryczy. I w tym momencie pojawił się Krasieński, który - jak to u niego bywało w zwyczaju - oddał się Delfinie bez reszty. Podobna egzaltacja musiała zaskoczyć nawet tak wytrawną jak ona znawczynię sztuki miłości.

Zaraz po Wielkanocnych Świątach (839) spotykają się w Alba-no, gdzie przeżywają prawdziwe chwile szczęścia. Potem Didysza wraca do Neapolu, dokąd - w krótkim odstępie czasu - podąży za nią euforyczny Siżyś. Nie od razu będzie niepokoił Komarów w ich pałacyku; dopiero po powrocie z Sycylii, dokąd udał się z Kazimierzem i Jerzym Lubomirskimi, „wbije się” we frak, unikając jednakże jak ognia spotkań oficjalnych.

Natomiast z Delfina widuje się ciągle: jeżdżą konno po nadmorskich plażach, wypływają łódką w morze („Niech czółno i morze... w twojej pamięci zostaną na zawsze”). Potem pospieszy na spotkanie z ojcem, który niestrudzenie pracuje nad przyszłością małżeńską syna. Zygmunt i tym razem się spóźnił, a kiedy wreszcie doszedł ojca w Dreźnie, poirytowany generał był już jedną nogą w dyliżansie do kraju. Zgniewany nonszalancją jedynaka polecił mu podążyć za sobą, wstrzymując jednocześnie wszelkie finansowe dotacje.

Poeta, choć żył na kredyt, nie przestał krążyć wokół Didyszy. Do kraju nie pojechał. Twierdził, że do małżeństwa pozostawało sporo czasu. Ojciec ugiął się w końcu przed tą argumentacją i kasę otworzył.

Spotkań z kochanką było wiele. Najbardziej znaczące dla ich miłości - a także dla twórczości poety - będą: blisko dwumiesięczny pobyt we Fryburgu, potem znowu Neapol, a w następnym roku (od 5 sierpnia) maleńkie miasteczko włoskie Varenna, położone nad jeziorem Como „koło śnieżnych granitów Alp”. Tam mieszkali razem w willi Melzo.

Gdyby dopisać jeszcze-do tych spotkań późniejszy pobyt w Rzymie, wyliczylibyśmy prawie wszystkie miejsca, w których Krasieński doznał pełni szczęścia ze swoją Didyszą. Z tym że w Varennie nastąpiło chyba apogeum ich wzajemnych stosunków. Później nieraz chciał powtórzyć te chwile i namawiał swoją przyjaciółkę na Varennę, ale takie uniesienie i taka Varenna zdarzają się tylko raz.

Trochę mało tych nieskażonych zazdrością chwil, jak na romans trwający blisko dwadzieścia lat. Szczęście wkrótce przeplatać się będzie z goryczą. Coraz częściej zajęciem poety staną się krucjaty, mające chronić ukochaną przed naporem adoratorów. Nieraz narazi

się na śmieszność, a nawet na upokorzenia. Już w liście z 5 stycznia 1840 przestrzega lekkomyślną kochankę przed włoskim księciem San Teodoro - który może i naruszył cnotę Didyszy - że tenże niecny człowiek rozpowiada o swoich miłościach. Kończy dramatycznie: „Cóż się zostaje, co stanowi całość San Teodora? Ciało i tytuł księżęcy...”

Słyszymy dalej o Meffray'u, którego zazdrosny Krasiński nazywa Straszynem. Krótco przed własnym ślubem chce ustrzec swą kochankę przed przyrodnim bratem hrabiego Flahaut, słynnym uwodzicielem Souza-Betelho; natomiast już po ślubie - przed generałem Michałem Mycielskim, którego znał jeszcze z rodzinnego domu, a może nawet przed swoim serdecznym druhem, Jerzym Lubomirskim, bo i on krzątał się wokół Delfiny, sądząc widocznie, że żonaty poeta powinien pilnować domowego ogniska. Głośno wreszcie było o ponownym związku Potockiej z Chopinem, który wówczas zadedykował jej „Koncert f-moll” („a M-me la Comtesse”). Najboleśniej jednak odczuł autor „Irydiona” związek Delfiny ze znanym malarzem francuskim, Paulem Delaroche. Wraz z latami hrabina jakby już mniej dbała o pozory - dlatego też coraz więcej dawała powodów do niewybrednych plotek.

A przecież był jeszcze w perspektywie pojedynek - na całe szczęście niedoszły. W okresie kiedy poeta występował w roli narzeczonego Branickiej, dowiedział się nagle, że książę Feliks Lichnowski bąknął w Wiedniu coś nieprzychylnego o Delfinie. W pierwszym porywie gniewu Krasiński postanowił go wyzwać na pojedynek. Gonił za nim, ale szczęśliwym trafem go nie dopędził. Lichnowski bowiem, sławny obieżyświat doskonale władający bronią - notabene także ubiegający się o rękę pięknej Elizy Branickiej - nie dałby z pewnością naszemu Irydionowi żadnych szans. Mogła powtórzyć się tragedia Puszkina. Ale mimo woli nasuwa się tu podejrzenie: którego to właściwie Lichnowskiego ścigał Krasiński - kochanka pięknych i sławnych kobiet epoki (wkrótce głośny stanie się jego romans z arcyksiężną Dorotą żagańską - córką ostatniego księcia Kurlandii) czy swego konkurenta do ręki Branickiej?

Bo wbrew pozorom hrabia Zygmunt, który w listach skarżył się na swą dołę przymuszanego do matrymonium, potrafił wcale mocno zżymać się na konkurentów. Trudno mu było czasem utrzymać narzuconą sobie sztuczną obojętność. Kiedy Aleksander Branicki, brat narzeczonej, zaczął opowiadać o innych ubiegających się o rękę siostry - jak hrabia Jan Zamoyski, hrabia Stefan Potocki, hrabia Colonna-Walewski (syn Napoleona i pani Walewskiej) oraz książę Montfort, czyli synowiec cesarza Francuzów, Hieronim Napoleon Karol Bonaparte - autor „Nie-Boskiej” zawołał: „Słuchaj, po tom przybył do Rzymu, by wiedzieć, czy siostra Twoja chce mojej figury lub nie chce”. Przy okazji odezwał się w nim „patriota”: „Jeżeli mogę się jej przydać na co, by za Montforta nie poszła, to jestem na jej usługi”.

Piękna Eliza, która do konkurów Krasińskiego odnosiła się bez specjalnego entuzjazmu, w decydującej chwili wskazała właśnie na niego. A to dlatego, że stworzony był, jak powiedziała, „z fruttow di mare” - miała na myśli mięczaki. Kobięca intuicja odpowiedziała jej, że z nim najłatwiej sobie poradzi i, gdy przymknie oczy na jego literackie pozy, znajdzie towarzysza życia szlachetnego i troskliwego. I miała rację.

W listach do przyjaciół poeta przedstawiał swój ślub niczym jakiś horror, jakby go pakowano żywcem do grobu. Do Lubomirskiego pisał: „Powiadam Ci, zabito, zarżnięto mnie - i co komu z tego przyjdzie? - Uciekam, jak mogę od tej kobiety, powtarzam jej, że jej nie kocham słowem i spojrzeniem, i czynem sto razy na dzień”.

A oto, co młoda małżonka pisała do matki z wiodącej z Drezna do Opinogóry podróży poślubnej: „Zygmunt, który nie może znieść żadnej mej skargi, tłumaczy mi codziennie, że wkrótce przyjedziesz i że spędzimy jeszcze wszyscy razem piękne chwile w Opinogórze... Jestem ciągle w tym samym podziwie dla niezwyklej aktywności Zygmunta - kieruje przyjaciółmi, szuka i wybiera pokoje, zadaje sobie tyle trudu, by wszystko było jak najlepiej,

w końcu jestem pewna, że nie ma przewodnika, którego można by z nim porównać. Zaczynam go uważać za człowieka wszechstronnego”.

Musiało przeważać coś osobliwie miłego i serdecznego w charakterze Zygmunta Krasińskiego - szczególnie w jego podejściu do kobiet - że tak bardzo potrafił je sobie zjednywać. Sam był postury niepozornej, drobny raczej, wcześniej postarzały i chorowity. Jego kuzyn, Czapski, który widział go wkrótce po ślubie, tak go opisał: „Zygmunt był statury miernej, bardzo podobny do portretów księcia Józefa Poniatowskiego. Wczesna siwizna, której ślady i wąsy nosiły, czerwoność chorobliwa twarzy, nabrzmiałe powieki i oczy krwią zabiegłe dawały mu pozór, jakby już miał lat przeszło czterdzieści”.

Ksiądz Piotr Semenenko, który czuł do poety wyraźną awersję, w 1839 pisał: „Mazur, maleńki, twarz okrągła, rumiana, niezdrowa wszakże, oczy błyszczące, czarne, sam żywy...”

Widać, że autor „Nie-Boskiej” adonidem nie był. A przecież fascynował kobiety. I to kobiety nieprzeciętne, o wybitnej urodzie - a taką była również jego żona. Znajdowały w nim wielkie upodobanie nawet te, o których względy nie zabiegał. Atutami jego były znanie geniuszu, wybitna inteligencja i arystokratyczne pochodzenie. Z pewnością jednak najbardziej ujmowała je płynna i dowcipna konwersacja („Mówił pięknie, z żywością i uczuciem...”), niezwykła wręcz opiekuńczość i czułość w stosunkach z ukochanymi. A trzeba pamiętać, że musiał ustawicznie walczyć z licznymi dolegliwościami, a nawet poważnymi chorobami. W pewnym momencie groziła mu zupełna ślepotą i gruźlica, noszona we krwi po matce.

Przy kobietach ten niepozorny człowiek rozkwitał, okazywał się bohaterski, tryskał pomysłami towarzyskimi, ubiegał życzenia. A jak potrafił mówić o miłości, o uczuciach, o braterstwie dusz... Kobieta może oprzeć się mężczyźnie nawet niezwykle urodziwemu, ale nigdy elokwentnemu, nigdy złotoustemu

Ten drobny ciałem, ale wielki duchem człowiek odczuwał widocznie potrzebę sprawdzania się przez związki z wybitnie pięknymi i nieprzeciętnymi kochankami. Nazywał je swoimi przewodniczkami po obszarach natchnienia, nie mógł pisać, nie mając przy boku - na wzór Dantego - swojej Beatrice Portinari.

W tym kontekście związek Zygmunta Krasińskiego z Joanną Bobrową należy do najlepszego okresu; kto wie, czy nie była to jedyna prawdziwa miłość poety - namiętność nieograniczona żadnymi spekulacjami - zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Nieprzypadkowo z nazwiskiem tej kobiety wiążą się jego najważniejsze dokonania literackie. Dlatego kiedy zniweczył to uczucie słabością swego charakteru, nie mógł pozostać sam - bez Beatrycze. Ów nagły i gorący afekt do Delfiny Potockiej posiada wszelkie znamiona determinacji.

I znowu był szczęśliwy. Znowu duch wizjonerski zaczął go wypełniać. Na jak długo jednak? W pewnym momencie musiał chyba zdać sobie sprawę, że to niedobra miłość i że stała się ona jego klęską. Niektórzy uważają, iż świadomość klęski nadeszła zbyt późno, bo u schyłku życia, kiedy Krasiński całkowicie załamał się zdrowotnie. Prawdopodobnie poeta o tym, że przegrał, wiedział znacznie wcześniej. Nie chciał tylko kapitulować przed samym sobą. W obawie, że już nie będzie zdolny zjednać dla swej twórczości, która znalazła się na niebezpiecznym zakręcie, nowej Beatrycze, skazał siebie na starzejącą się Didyszę.

Wielu historyków literatury bardzo pozytywnie ocenia ten związek. Zachwyca ich ów romans w listach, stanowiących zadziwiający dokument epoki. Ta lawina listów przytłacza. Niekończący się korowód słów, jakby poeta chciał codziennie zakrzyczeć swoją pomyłkę, jakby codziennie od nowa musiał przekonywać się, że bezgranicznie kocha Diałę, że tylko dla niego została ona przez Boga stworzona. Autor „Nie-Boskiej” miotał się między ułudą a rzeczywistością; spalała się jego namiętność, popielał jego talent.

Nigdy Delfina nie zdobyła się na podobną manifestację uczuć. Przeciwnie - gdy minęły pierwsze porywy, chłodno, by nie powiedzieć - z wyrachowaniem podchodziła do swojego związku z poetą. Musiała dobrze wiedzieć, że z jego strony to nie mistyfikacja, skoro

korespondencję systematycznie składała, pragnąc ocalić ją dla potomności. Nic dziwnego - był to przecież pomnik wzniesiony na jej cześć.

Zakochany poeta początkowo wierzy, że Delfina zechce porzucić dotychczasowe życie i ze zrozumieniem przyjmie na siebie rolę kapłanki natchnienia, którą obowiązuje przecież westalska wierność. Wypełniony szczęściem pragnie unieśmiertelnić uwielbianą kobietę. Spacerując kiedyś samotnie nad morzem w Mola di Gaeta, doznał nagłego olśnienia. Opowiedział swój zamysł w liście z 20 marca 1840 roku: „Chcę zapisać tu więc coś, co by zostało po mnie jak ślad myśli, gdybym tej myśli nie wykonawszy umarł. Słuchaj, Diale, poszedłem, przestawszy pisać z rana, pomiędzy góry. Długom chodził, myśląc o Tobie, wyglądając Ciebie. Pogoda zaczęła błyskać kawałkami błękitu po niebie, stąd lepsza w mej duszy otucha, stąd jakieś serca rozweselenie. W dzikim ustroniu, wśród obłamanych głazów usiadłem w ciepłych promieniach słońca, pod nogami morze, Capri i Ischia przed okiem, za wysuwającym się przylądkiem Neapol i dusza duszy mojej, Ty

Otóż kiedy tak siedzę, nagle uderzyła na mnie dawno nie dokonana żądza, żądza snów moich młodocianych, żądza nieśmiertelności Ale już nie dla mnie osobno, nie dla mnie tylko - żądza, byś Ty była nieśmiertelna w pamięci ludzi, potrzeba konieczna, bym ja Cię wyrwał spośród znikomych i znaną postawił przed ludźmi na wieki, tak jak Beatrice Dante, tak jak Laurę Petrarkę”

Gdy tak siedział na kamieniu i słońce go ogrzało: „Nagle z tymi promieniami spadła i w moje piersi myśl głęboka, pomysł na dal, pomysł szerokiego dzieła sztuki, kędy Ty masz być królową... Już tego poematu jest część jedna, sama nic nieznacząca, dopiero ważna, kiedy pierwszą część i trzecią, ostatnią, za towarzyszkę dostanie. Ta część, która jest, a sama niewiele znaczy, zowie się «Nie-Boska komedia»,,.

Zanim przystąpi do zamierzonego, wiekopomnego przedsięwzięcia, z którego tylko częściowo się wywiąże, osobiste szczęście podpowie mu inny temat. Kochankowie, myśląc wszystkie argusowe oczy, spotkali się 2 października 84 we wspomnianej już wcześniej Varennie. Rymy same cisną się pocie pod pióro. Marzy mu się poemat, który będzie pokłonem złożonym Diale.

W samotności zamysł pisarski przechodzi różne przeobrażenia. W liście z 2 stycznia 1842 donosi: „Od kiedym Cię porzucił, pracuję nad czymś, czego ty wielką częścią jesteś, nad czymś, co powinno kiedyś.

„W harmonijnych zwrotek rymie  
Ludziom podać siostry imię,  
By tu jeszcze ich imiona,  
Gdy on umrze, ona skona –  
Nad ich grobu sennym głazem,  
Jak za życia - brzmiały razem”

W pierwszym porywie Zygmunt Krasiński miał chyba zamiar stworzyć poemat o miłości. Brak doświadczenia literackiego w tym gatunku twórczym chciał wyrównać wylewnym oddaniem nastrojów, gwałtowną namiętnością. Miał już nawet dla tego dzieła tytuł. Powie: „Ideał Varenny będzie to poemacik, w którym przekuję Cię na posąg greckiej bogini”.

Niestety, zakochany poeta szybko przekonał się, że uczucie prawdziwego szczęścia jest krótkotrwałe, zaś nadzieje na dozgonne porozumienie miłosne wielce wątpliwe, chociaż tej myśli, akurat, nie chciał do siebie dopuścić. Od niedobrych nastrojów ucieka więc do literatury. Krasiński czuje niedosyt tworzenia. I oto pierwotny zamysł ulega modyfikacji. Na związek miłosny padnie głęboki cień patriotycznej troski. Jeszcze raz ojczyzna, od której, podróżując, bezustannie uciekał, upomni się o jego pióro. Podobnie jak inni wielcy myśliciele romantyczni, pragnie snuć twórcze rozważania o narodzie, który utracił niepodległość, o sensie jego cierpienie, wreszcie o przewodniej roli tego narodu na drodze „ku przemianie ostatecznej i powszechnej”.



„Ideal Varenny przemieni się w poemat „Przedświt” (ukazał się w 1843 roku), który w przeddzień wybuchu powstania styczniowego stanie się nieomal biblią Polaków stających do walki z caratem. Nie ma w tym utworze nic takiego, czego by już wcześniej nie wyraził Mickiewicz w III części „Dziadów” czy w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego”, ale wierszowane „hasła” Krasińskiego były jak wystrzały: „Prawem naszym - Zmartwychwstanie” - „Kto w poświęceń zmarł godzinie, Ten się przelał w drugich tylko”. Najbardziej podniecająco brzmiało jednak wyznanie wieszczki: „Zgińcie me pieśni - wstańcie, czyni moje”

Obecność Delfiny i w tym poemacie jest bardzo wyraźna, choć wraz z powstaniem tego utworu kończy się jej inspiracyjna rola. Co więcej - po napisaniu „Psalmów przyszłości” muza Zygmunta Krasińskiego milknie. Ostatnie dziesięć lat życia - zmarł 23 lutego 1859 w Paryżu - nie liczą się zbyt w dorobku twórczym poety. Nieporozumienia między kochankami narastały. Potęgowały się głównie z powodu Didyszy, która - prowadząc swobodny tryb życia - uparcie, choć na odległość, chciała trwać przy swoim mężu. Ażeby zerwać proces rozwodowy podejmowała rozliczne i pokrętne działania, używając do swych machinacji nawet Krasińskiego, który w tej smutnej sprawie interweniował - zresztą bez większego rezultatu - u namiestnika Paskiewicza. Poniżające i uwalczające dobremu imieniu posługi, nie wpływały korzystnie na stan poety. Potocki pod koniec 1843 roku wygrywa proces rozwodowy w drugiej instancji. Doprowadza to Delfinę do wściekłości. Pod adresem Krasińskiego padają twarde, niesprawiedliwe słowa. Gorącą adorację wiernego wielbiciela nazywa „głupią egzaltacją”. Wielka dama straciła na krótką chwilę styl, odsłaniając swoje prawdziwe oblicze.

Autor „Nie-Boskiej” nadal nie może wyobrazić sobie twórczego aktu bez inspiracji Beatrycze. Nieszczęśliwiec czepia się kurczowo przegranej sprawy. Jakże często rani przy tym Bogu ducha winną małżonkę. Z powodu Didyszy spóźnia się na urodziny pierwszego syna. Drugie dziecko rodzi mu żona w willi, która graniczy z domem Delfiny. Didysza wynajętą posesję opuści wprawdzie tuż przed rozwiązaniem, ale jej obecność będzie się unosiła i nad tymi narodzinami.

To wplątywanie kochanki do intymnych spraw swego małżeństwa jest najbardziej przykre w ówczesnych poczynaniach Zygmunta Krasińskiego. Ustawicznie potrzebujący muzy, godził się nawet na gorzkniejącą i kapryśną Beatrycze-Delfinę. Wolał taką niż żadną. Chociaż pod koniec życia zaświtała mu, być może, myśl, że tę rolę mogła była spełnić w pewnym momencie jego małżonka, Eliza, adorowana także przez wielkich artystów, książąt i koronowane głowy. Romantyczny i ekscentryczny król bawarski, Ludwik, napisał nawet na jej cześć wierszyk, w którym mowa o piękności Polek i o tym, że małżonka polskiego poety równa jest królowym („Gdyby Polonia koronowała, jak ongiś, szlachetne kobiety, byłabyś królową, ale ty jesteś nią także i dziś”).

Poeta postanowił jednak dochować wierności swemu cierpieniu, a może - przeznaczeniu; pisał:

Jeszcze kielich mojej doli  
Wiele kropel ma,  
Muszę cierpieć, pić powoli,  
Wypić aż do dna.

Potocka przeżyła autora „Przedświtu” o kilkanaście lat. Umarła na raka w Paryżu w 1877 roku. Na wspaniałym marmurowym grobowcu, który znajduje się w Montmorency, właśnie ten gorzki wiersz kazała umieścić jako własne przesłanie.

W KLESZCZACH DWUZNACZNOŚCI  
Władysław Syrokomla i Helena Majewska

N... powiadał, że „zobowiązać, oddać usługę nie wkładając w to całej możliwej delikatności, to niemal stracony trud. Kto tego zaniedba, nie zyska nigdy serca, a o zdobycie serca właśnie idzie. Tacy niezręczni dobroczyńcy podobni są do generała, który zdobywa miasto pozwalając garnizonowi wycofać się do fortecy i tym samym czyni swą zdobycz niemal daremną „.

CHAMFORT

W nastroju przygnębienia opuszczał swoją wiejską samotnię w Załuczu Władysław Syrokomla, przenosząc się pod koniec 1852 roku do Wilna. I choć dorobił się poetyckiej sławy, która całkowicie przyćmiła jego prawdziwe nazwisko: Ludwik Kondratowicz - podróżował z pustym mieszkaniem i z rozpaczą w sercu; niczym litewski ojciec zadumionych pogrzebał w ciągu tygodnia troje swych dzieci. Może właśnie ta tragedia stała się przyczyną, że ów największy obok Reja domator w literaturze polskiej tak zasadniczo zmienił dotychczasowy tryb życia. Nie będzie już rankiem wychodził nad rzeczkę, w cień olbrzymiej wierzby, pod którą kroił zawsze „z seciną rymów”, nie będzie w przygodnym handelku posilał się „kielichem gorzały i kawałkiem wędzonki”. Zapuści korzenie w mieście; stanie się lirnikiem „światowym”.

Wprawdzie po kilku miesiącach weźmie dzierżawę na Borejkwoszczyźnie, ale że dotyka ona prawie rogatek Wilna, więc i tak będzie częściej zaabsorbowany swoimi literackimi sprawami w mieście niż uprawą roli, pozostawiając troskę o folwark żonie i rodzinie. Zawsze też dobędzie więcej grosza ze słowa aniżeli z gospodarstwa, którego plony nie zapewnią nawet bardzo ubogiej egzystencji.

Możliwe, że poeta już w nowej wiejskiej przystani przeprowadził ostatni retusz swego najgłośniejszego poematu o Janie Dęborogu, wydanego (nakładem Bolesława Maurycego Wolffa w Petersburgu) właśnie w roku objęcia Borejkwoszczyzny. Była to przecież stylizowana autobiografia - zawierająca nie tylko fabularyzowane wyznania i krytyczne przemyślenia, ale także swoistą ekspiację czy może próbę oczyszczenia się z zarzutu gnuśności w minionych latach.

Życie nabrało tempa. Wypadki do Wilna zaczęły się wydłużać, przybierać bardziej zorganizowany charakter, w dniu 29 listopada 1853 doszło do spotkania z redaktorem „Gazety Warszawskiej”, Antonim Lesznowskim, który - w zamian za obietnicę współpracy - otworzył Syrokomli przyzwoity kredyt finansowy.

Pod koniec tego samego roku rodzi mu się syn, Kazimierz, i zdarzenie to decydująco wpływa na poprawę nastrojów poety. Pod względem literackim był to także rok udany, chociaż nie obfity. Powstały wówczas takie gawędy poetyckie, jak „Niepiśmienny” i „Pan Marek”, nie licząc przekładów (Béranger) i dalszej pracy nad historią literatury polskiej.

Poeta od dłuższego czasu cierpiał na chorobę płucną, ale znosił ją mężnie. Kiedy mijały miesiące kryzysowe, te jesienno-zimowe, ożywiał się w sposób widoczny. Stan ten potęgowała stale wzrastająca sława literacka - a z czasem - i sfera intymnych przeżyć.

Nadszedł bowiem okres, kiedy Syrokomla zaczął przebywać na widowni i w garderobach miejscowego teatru dłużej, aniżeli tego wymagały pisarskie interesy: współpraca z Moniuszką przy tłumaczeniu libretta czy debaty nad konstrukcją powstającej sztuki „Chatka w lesie”.

Główną przyczyną była Emilia Markowska - czołowa natenczas artystka Wilna. J.T.S. Jasiński napisze o niej: „Od pierwszego występu zyskała pochwały publiczne. Role kobiet z silną wolą i zadziwiającą energią, z charakterem nieugiętym, mniej dostępnym do uczuć tkliwych są wyłączną sferą jej talentu”. Feliks Fornalczyk - wybitny znawca życia i twórczości naszego poety - powiada w swojej nader interesującej książce „Hardy lirnik wioskowy”, że „Syrokomla miał wobec niej niejaki zobowiązania już w początkach 1857 roku. Zamieszkanie poety w Wilnie zbiegło się z tym właśnie faktem. Markowska

występowała wówczas w teatrze wileńskim i - jak przekazała tradycja - uchodziła za przyjaciółkę Kazimierza Paszkowskiego, u którego Syrokomla był w tym okresie lokatorem”.

Romans Syrokomli z Markowską rozpoczął się być może jeszcze wcześniej. Artystka, która kreowała główne role tragiczne - królową w „Hamlecie” Szekspira czy Elżbietę w „Marii Stuart” Schillera - urzekała głosem, postawą i urodą. Poeta, starając się pozyskać ją dla własnej twórczości, zaczął Markowską adorować i zadurzył się w niej po uszy. Niewiele poza tym wiemy o ich związku.

Natomiast już wcześniej, bo od 1853 roku wyobraźnią Syrokomli zawładnęła inna aktorka, która miała stać się jego ostatnią wielką miłością. Należy przypuszczać, że początkowo było to uwielbienie platoniczne, dopiero później, gdy coraz częściej zaczęły nadarzać się sprzyjające okazje, uczucie przybrało odmienny charakter. Zwyciężyła pokusa.

Kronika wydarzeń była następująca.

Od 1853 roku Władysław Syrokomla stał się częstym gościem w wileńskim domu Adama Honorego Kirkora - archeologa, wydawcy, redaktora i recenzenta teatralnego - z którym łączyły go rozliczne interesy literackie; między innymi zabiegali wspólnie o powołanie do życia nowego tygodnika literackiego i organizowali wokół niego środowisko twórcze.

Żoną Kirkora była Helena Petronela Majewska - absolwentka warszawskiej szkoły dramatycznej. W latach 1843-1846 występowała na scenie wileńskiej, gdzie początkowo grała role chłopięce, naiwne i liryczne, między innymi Józefka („Niedorostek”), Pazia („Henryk II” Aleksandra Dumasa-ojca), a później także amantki: Julię w „Romeo i Julii” czy główną postać w „Pannie de Belle Isle”. Ciemnowłosa, raczej niewysoka, ale kształtna i urodziwa.

90 dzięki swobodnej grze, nienagannej dykcji i powabowi stała się szybko ulubienicą publiczności. Prasa pisała: „wyróżnia się wielką naturalnością, spokojem i cieniowaniem głosu, który jest dźwięczny”. W 1845 lub 1846 poślubiła Kirkora i na dwanaście lat opuściła scenę.

Poeta zaangażował się w stosunek uczuciowy, który stawiał go w bardzo dwuznacznej sytuacji. Chciał się z owego fatalnego kręgu wywikłać, ale nie potrafił i zamiast skończyć udrękę dramatycznym słowem „pogardzam” - wykrzykiwał tylko: „a ja kocham, ja kocham nad świat, nad siebie, nad wszystko”

Apogeum miłosnego uniesienia - przynajmniej ze strony Syrokomli - nastąpiło prawdopodobnie między grudniem 1856 a początkiem maja roku następnego - w tym czasie bowiem mąż Heleny często przebywał w Petersburgu, zabiegając o zgodę na wydawanie wspomnianego tygodnika. Odyseja biurokratyczna zdawała się nie mieć końca.

Helena od pewnego momentu zdecydowanie parła do rozwodu, choć wcale nie z powodu rozdartego serca. Dla niej romans z poetą był już skończony. Naiwnie zakochanego Syrokomlę musiało ogarnąć przeogromne zdumienie, gdy się dowiedział, że Kirkorowa pragnie także i z nim wziąć rozbrat. Owszem, mogą utrzymywać ze sobą luźne kontakty, ale będą one i tak wielce utrudnione, gdyż podjęła decyzję opuszczenia Wilna i zaangażowania się do teatru w dalekim Krakowie. Z więzów małżeńskich wyzwalała się nie dla kochanka, ale dla osobistej kariery i sławy.

Ponieważ jednak miała dwunastoletnią przerwę w działalności aktorskiej, chciała, by poeta-wielbiciel pomógł jej zdobyć - na początek - przychylność krakowskiej prasy i ludzi sceny, a potem i wybredną publiczność podwawelskiego grodu.

Pełen zgryzoty Syrokomla pisze listy polecające do Jana Chęcińskiego w Warszawie i Aleksandra Szukiewicza - redaktora krakowskiego „Czasu”. Temu ostatniemu ofiarowuje przyjaźń i współpracę, byleby tylko ułatwić „występ pannie Majewskiej”, jako że Helena po rozwodzie wróciła do swego panieńskiego nazwiska i pod nim już pozostała w historii polskiej sceny.

Zakochany poeta najprawdopodobniej odprowadził swoją uwielbianą do Kowna. Żegnał ją ze ściśniętym gardłem, czuł się opuszczony i zraniony. Rzeczywiście - dla Heleny Majewskiej przestał prawie istnieć. Po sprawiedliwości wypada dodać, że zresztą nigdy nie okazywała poecie nadmiernego uczucia, traktując go zawsze jakby trochę na dystans, a po wyjeździe z Wilna żyła już wyłącznie Krakowem i swoimi scenicznymi ambicjami.

Dlaczego zatem rozpałała miłosny ogień w sercu Syrokomli? Trudno dociec. Może zaczęło się od zwyczajnej kobiecej przekory, może chciała odbić sławnego pisarza święcącej triumfy sceniczne Markowskiej? A potem znudzonej do cna życiem, które prowadziła u boku zajętego tylko archeologią i edytorstwem Kirkora. zamarzył się powrót do fascynującego świata teatru.

Niestety, minęło sporo lat od jej ostatniego występu na scenie. Zapomniano o niej w światku aktorskim, dlatego potrzebowała wiarygodnego protektora. Uznany autor „Urodzonego Jana Dębora” był wówczas jedną z najbardziej popularnych postaci polskiej literatury i to we wszystkich zaborach.

Nie można wszakże w całym tym romansie, a zwłaszcza nagłym zerwaniu widzieć tylko wyrachowania ze strony artystki. Helena mogła przecież dojść do wniosku, że nie wolno jej ryzykować rozbicia rodziny poety - człowieka sławnego, bacznie obserwowanego przez wszystkich. Skandal nie sprzyjał żadnej ze stron. Ucieczka we dwoje nie wchodziła w rachubę. Kto wie, może oboje liczyli, że żyjąc z dala od siebie, ocalą łączące ich uczucia.

Podczas gdy Majewska szukała swojej szansy na drugim krańcu Polski, małomiasteczkowa plotka coraz dotkliwiej dokuczała niefortunemu kochankowi. Nagle wszystko zaczęło obracać się przeciwko niemu. Żerem dla domysłów stało się opublikowanie poematu „Stella Fornarina”, w którym Syrokomla dał obraz miłosnego związku Rafaela z piękną piekarką, prawdziwą muzą malarza i wielką jego radością. Tę fikcję literacką, która od dawna żyła w umyśle autora, uznano za wyznanie, za spowiedź z jego wielce grzesznego romansu.

Syrokomla tęskni, a równocześnie dusi się w gęstej od pomówień atmosferze. W liście do Jana Chęcińskiego z 4 marca 1858, zwierza się, jak bardzo chciałby się wyrwać - chociaż na jakiś czas - z tego nieprzyjaznego kręgu: „...póki się zdobędę na wyjazd, to tu umrę ze zgrzyot. Potrzebuję odświeżenia się i moralnego zmartwychwstania. Oderwać się od prac, które mi nie są po sercu, a które dla chleba rzemieślniczego muszę, odetchnąć waszym towarzystwem, posiedzieć w Krakowie, zwiedzić dalsze strony...” Przy okazji wypomni przyjacielowi, że nie pogratulował mu sukcesu scenicznego, jaki odniósł jego dramat o Kasprze Karlińskim. Gdyby nie pocięchy literackie, sytuacja psychiczna pisarza byłaby stokroć trudniejsza.

Od pierwszych miesięcy 1858 roku Syrokomla układa plan włości artystyczno-literackiej, podróży, która ma go zaprowadzić w ramiona kochanki. Pilnie też nasłuchuje wieści z Krakowa. Czuje się odpowiedzialny za sceniczny los Heleny, której nie może i nie chce zapomnieć. Prawie równocześnie z listem od Majewskiej otrzymuje egzemplarz krakowskiego „Czasu”, w którym Leon Chrzanowski zamieścił recenzję z jej pierwszego występu pod Wawelem.

Poetę uraziły niektóre sformułowania krytyka. Nie mógł pogodzić się na przykład z faktem, że Chrzanowski zarzucał Helenie „nieregularność rysów”. Przecież on „te rysy od lat pięciu” nosił w żywej pamięci i nic takiego nie dostrzegł.

Syrokomla okazał się w tym przypadku przewrażliwiony. „Przytyki” recenzenta miały intencje jak najbardziej pozytywne. Krytyk powiadał: oceniam ją dobrze nie za piękną buzię, bo przecież ma „nieregularne rysy”, ale za kunszt aktorski.

Majewska pozyskała sobie miejscową prasę od pierwszego pojawienia się - 5 lutego 1858 - na krakowskiej scenie. U publiczności cieszyła się powodzeniem jeszcze większym, graniczącym z uwielbieniem. Grała przeważnie główne role w dramatach, między innymi

Amelię w „Mazepie”, Tysbe w „Angelo Malipieri”, postaci tytułowe w „Adriannie Lecouvreur”, „Esmeraldzie”, „Jadwidze” A. Przędzieckiego. Rychło stała się czołową artystką sceny krakowskiej. W oparach pochwał i uznania obraz poety zacierał się coraz bardziej, choć on sam nadal był jej potrzebny, jako architekt scenicznej sławy.

Tymczasem stęskniony Syrokomla kończy gorączkowe przygotowania do podróży. Musi jeszcze zaopatrzyć rodzinę - zostawia więc honorarium za „Szkolne czasy Dębora”, które na odjeźdny podpisał do druku. A potem, 27 maja 1858, wyrusza w drogę, której pierwszy etap z Wilna do Kowna odbywa popospolitą żydowską budą, upiętą z rogoży i płótna. W nogach trzyma mały tobołek podróżny, a w nim „odzież, bielizna, pugilares do notat - oto wszystko...”

W Warszawie - nim wejdzie do pociągu - dowie się, że krakowski teatr pod dykcją Juliusza Pfeiffera wystąpi najpierw gościnnie w Poznaniu, a potem uda się do Lwowa. Poetę od dawna pociągał zachód Polski. Marzył o takiej podróży. Zapewne zwierzał się z tych myśli, spotykając się przy kielichu z warszawskimi przyjaciółmi. Spoza wszystkiego co w tej podróży zobaczył - zza pejzażu Śląska, zza wież Gniezna i Kruszwicy, znad spokojnego lustra Gopła - wyrzy później i ukochana twarz jego Heleny.

Nadchodzi wreszcie czas, że poeta staje na warszawskim peronie przed dymiącym parowozem. Mając w pamięci niedawne peregrynacje żydowską furmanką, odda hołd postępowi cywilizacyjnemu: Oto oku Litwina nieznanemu dziwa: Karmiona żarem węgla wre lokomotywa, Czarnymi kłęby dymu i pary wybucha, Jakby miała w swym wnętrzu piekielnego ducha. To najwyższa potęga na poziomym świecie, Dziewiętnastego wieku wypieszczone dziecię...

Syrokomla w swoim wierszowany reportażu, zatytułowanym „Wrażenia pielgrzyma”, część I „Z Litwy do Wielkopolski” - skrętnie odnotowywał wrażenia, jakie wywierały na nim mijane miasta. Częstochowa ze swoim klasztorem rozbudziła niepokoje duszy - a może i wyrzuty sumienia. Próbował pokryć swoje zmieszanie religijną refleksją, ale spisane wiersze zabrzmiały niezamierzenie dwuznacznie. Powiedział bowiem:

Albo ci w twoim domu zły sąsiad zaszkodzi,  
Albo ciężka choroba wniwdzie ci do chaty,  
Znajdziesz na Jasnej Górze skarbiec łask bogaty.

Skoro tylko wjechał na śląską ziemię, usiłował odczytywać słowiańskie nazwy, zatarte niemiecką fonetyką i ortografią. Z jakąż lubością zapisał w notatniku katolickie pozdrowienia wchodzącego do wagonu Ślązaka: „Niech będzie pochwalony” Potem „błysnęły wieżycyce Wrocławia”, gdzie prawdopodobnie nocował. Drugiego czerwca był już w Poznaniu. To właśnie tutaj - po długim niewidzeniu - miał się spotkać z ukochaną Heleną. Porzucił wszystko i wszystkich dla wołania serca. Jakże daleko odbiegł od swojej serdecznej Litwy. Na myśl o tym zaczęła go osaczać obcość. Łudził się jednak nadzieją, że wszystkie lęki prowincjusza wynagrodzi mu miłość.

Nie chcąc być rozpoznany, wyszukał początkowo skromną stancję na uboczu: najpierw był to hotel „Berliński” - „przy przecięciu ulic Fryderykowskiej i Wilhelmowskiej” - następnie pokój u niemieckiego stolarza przy ulicy Młyńskiej. Poeta niezbyt starannie dbał o swoje incognito, więc jego pobyt w Poznaniu stał się wkrótce publiczną tajemnicą. Znajomi poznańskiej pisarki, Bibiany Moraczewskiej, bez większych zachodów „wyłowili” pisarza z ukrycia i wciągnęli go w polskie środowisko artystyczne i intelektualne miasta. Moraczewska też - przenikliwa, a zarazem towarzysko zaborcza - nie bez odrobiny złośliwości przekaże potomnym portret Syrokomli na poznańskim bruku: „Mimo... nieurody - bo mały, krótkich rysów, coś z miny pisarza stodołnego, przy tym milczący prawie, nieśmiałość w obejściu posunięta aż do niezgrabności - zrobił dość miłe wrażenie na mnie...”

Tego stodołnego pisarza Wielkopolska zatrzymała u siebie kilka tygodni. W miarę jak dni mijały, jego pobyt stawał się coraz bardziej oficjalny, a nawet prowokujący do patriotycznych

manifestacji. Natomiast teatr Pfeiffera nie cieszył się zbyt dużą popularnością. Widownia świeciła pustkami. Dopiero gdy kierownictwo zdecydowało się wystawić sztukę Syrokomli, „Chatka w lesie”, ludzie zaczęli wypełniać salę.

Premiera, podczas której - ku zgorszeniu władz pruskich - odegrano „Mazurka Dąbrowskiego”, odbyła się 0 czerwca. Poprzedzona została uroczystym obiadem w sali recepcyjnej hotelu „Bazar”, wydanym na cześć litewskiego autora. Wzięło w nim udział kilkudziesięciu najwybitniejszych Wielkopolan, między innymi Adolf Malczewski, Józef Sułdrzyński, Seweryn Mielżyński, Ludwik Gąsiorowski, Hipolit Cegielski oraz literaci: Andrzej Edward Koźmian, Bibiana Moraczewska, Paulina Wilkońska.

Poetę uznano rychło duszą towarzystwa. Podejmowano go wszędzie niezwykle serdecznie, gospodarze prześcigali się w gościnności. Natomiast sprawy sercowe od samego początku, czyli od pierwszego po latach spotkania z Majewską układały się nie najlepiej. Z każdym dniem między poetą a aktorką rosła oschłość. Syrokomla zanim jeszcze przystał na całkowitą dekonspirację spędzał całe dni w teatrze Pfeiffera, co wywołało prawdziwą falę plotek, szczególnie w kręgach artystycznych.

Początkowo Helena starała się być miłą, a nawet kochającą, lecz z czasem manifestacyjna adoracja zaczęła jej dotkliwie doskwierać. Jeła więc dystansować się od kochanka, umykać przed nim, unikać spotkań, wręcz demonstrować frustrację. A kiedy odtracony Syrokomla zaczął przedkładać rozmowy przy kielichu z nowymi przyjaciółmi nad samotne dni i noce, wpadła w histeryczną nerwowość.

Poeta swoim przyjazdem do Poznania przyspieszył ostateczne zerwanie. Niewiele zresztą zostało z gorącej niegdyś miłości. Przede wszystkim nie było jej już w sercu Heleny pragnącej wywikłać się z całej sprawy bez rozgłosu i większych osobistych kłopotów. Inaczej przeżywał to Syrokomla, który przecież przyjechał po to, by potwierdzić swoje uczucia i zyskać nadzieje na przyszłość.

Majewska w pewnym momencie traci opanowanie. Podczas przedstawienia „Żółkiewskiego pod Cecora” rani się prowokacyjnie sztyletem. Wydarzenie to opisał dość szyderczo Andrzej Edward Koźmian w liście do rodziny: „Doskonale więc padła, zemdląca i pierwszy raz w życiu wybornie zagrała”.

Syrokomla, głęboko wstrząśnięty i zaniepokojony, z trudem tai rozpacz. Jeszcze się łudzi, jeszcze nie chce przystać na przegraną. W końcu musi się jednak wycofać i patrzeć, jak teatr krakowski opuszcza Poznań. Po kilku tygodniach popędzi znowu pod Wawel i jest to akt prawdziwie desperacki. Cóż mógł jeszcze osiągnąć po demonstracji braku uczuć w Poznaniu?

Podróż odbyła się pod fatalnymi auspicjami. W Krakowie nie zastał ani Heleny, ani teatru, który wyjechał na występy do Lwowa. Ruszył więc za nimi, ale wieść o śmiertelnej chorobie ojca kazała mu przerwać tę bezsensowną pogoń za utraconym szczęściem.

W końcu sierpnia zjechał do Wilna. Ojca już nie zastał przy życiu; ciężko nad tym bolał. Najbliższej jesieni otrzymał od Majewskiej list, który ten trudny i gorzki romans zakończył definitywnie.

Pogarszające się gwałtownie zdrowie zaczęło mu uniemożliwiać udział w życiu towarzyskim, a co gorsza, w imprezach patriotycznych i obywatelskich. Umarł w godzinę po podyktowaniu ostatniego listu do Kraszewskiego, 5 września 862, mając zaledwie 39 lat. A jeszcze wierzył w przezwyciężenie choroby: „Drogi Józefie - com obiecał, to ściśle dotrzymuję. Słodką nadzieją, że w pełnym zdrowiu sztandar pracy rozwinę... z głodu nie zginę, ale co widzę przed sobą? czarną przyszłość”. Autor „Starej baśni” pisał później: „Pogrzeb był wspaniały z tysiącem ludu w orszaku, z bijącymi sercami młodzieży, z laurem na żółtej skroni, z mogiłą usypaną dłoni gorących natłokiem; nie brakło mu nic, nawet rozgłosnej obelgi rzuconej na trumnę...”

Helena Majewska przeżyła swego adoratora aż o trzydzieści osiem lat. W roku 860, będąc u szczytu powodzenia, wycofała się nagle ze sceny i zamieszkała w Warszawie, gdzie wzięła udział w przygotowaniach do powstania styczniowego. Była później agentką i kurierką Rządu Narodowego, zaś od listopada 863 - łączniczką Romualda Traugutta. Aresztowana w kwietniu następnego roku, skazana została na osiem lat ciężkich robót na Syberii. Po amnistiach w 867 przeniosła się do Irkucka i tam poślubiła zesłańca z Mohylewuszczyzny, Antoniego Pióro-Dębińskiego. Umarła 5 stycznia 1900 w Witebsku.

## ŁASKAWA PANI

Cesarz Franciszek Józef i Katarzyna Schratt

Pewien człowiek spędzał od trzydziestu lat wszystkie wieczory u pani de...; wśród tego owdowiał, sądzono, że się ożeni z tamtą, i zachęcano go do tego. Odmówił:

„Nie wiedziałbym - rzekł - gdzie spędzać wieczory”.

CHAMFORT

Szare, urzędnicze życie cesarza Franciszka Józefa rozświetliły dwie zadziwiające miłości. Nie dały mu one jednak pełni szczęścia - głównie z jego winy: nie był zdolny do przeżyć wielkich i bezkompromisowych, zatrzymywał się zawsze w pół drogi - nawet gdy chodziło o zadania państwowe i dalekosiężne plany polityczne. A przecież los obdarzył go bardzo szczerze. Mając osiemnaście lat został cesarzem wielkiego mocarstwa, poddani przyjmowali go z zaufaniem i nadzieją, mógł korzystać z doświadczeń tak znakomitego wodza jak feldmarszałek Radetzky czy tak wybitnych polityków, jak Metternich i Schwarzenberg, mógł wreszcie rozwijać talenty według własnej woli. Czas także był niezwykle. Europa - wstrząśnięta rewolucyjnymi ruchami Wiosny Ludów - domagała się zmian zasadniczych i czekała na generalne porządki. Dawała szanse ludziom nowym i zdecydowanym, umiejącym myśleć perspektywicznie.

Młody Franciszek Józef żadnej z tych szans właściwie nie wykorzystał. W pewnym momencie wydawało się, że siłą motoryczną, która pobudzi go do niezwykle czynów, będzie miłość - gorąca i impulsywna, łamiąca rygory i konwenanse. W piątym roku władzy - 7 sierpnia 853 - w uzdrowisku Ischl, gdzie rodzina cesarska najchętniej spędzała letnie wakacje - przedstawiono młodemu austriackiemu władcy dwie bawarskie księżniczki, jego bliskie krewne, jako kandydatki na małżonki: dziewiętnastoletnią Helenę, zwaną Nene (późniejszą hrabinę Taxis), oraz szesnastoletnią Elżbietę, zwaną Sissi. Apodyktyczna matka cesarza, arcyksiężna Zofia, wywierająca na syna znaczny, choć rzadko pozytywny wpływ, myślała o związaniu go ze stateczną, starszą panną. Do roli tej przygotowywano Nene od dłuższego już czasu.

Młody władca zakochał się jednak od pierwszego wejrzenia w niezwykle pięknej i romantycznej Sissi. Nie dał dostępu perswazjom o czasowym namyśle, o tym, co lepsze byłoby dla tronu. Postępując jakby w gorączce, przełamał wolę matki i wszelkie bariery etykiety. Już trzeciego dnia ogłoszono zaręczyny Franciszka Józefa z Elżbietą Bawarską. Świadkowie tamtej chwili zgodnie podkreślali, że sprawiał wrażenie „śmiertelnie zakochanego” i że „promieniał szczęściem, którego do tej pory nie zaznał”.

Najbardziej zaskoczona była jednak sama wybranka - mimo młodego wieku zadziwiająco niezależna w myśleniu i postępowaniu - której nie marzyła się cesarska korona. Jechała do Ischl popatrzeć na zalotne kontredanse Nene z wiedeńskim kuzynem. Tymczasem Franciszek Józef - dorodny mężczyzna opromieniony nimbem władzy i nadziejami, które z jego panowaniem wiązano - ujął jej dziewczęce serce.

W pierwszym porywie Sissi wydawało się, że spotkała bratnią i romantyczną duszę, że zespoleni w miłości przejdą przez życie szczęśliwie. Podniecona otaczającą ją atmosferą powtarzała: „Jakże mogę go nie kochać... Ach, gdyby jeszcze nie był cesarzem”.

Franzi - jak go zdrobniale nazywali bliscy - najchętniej nie odstępowałby ani na chwilę swej kuzynki. Bliskie pokrewieństwo - matki narzeczeńskiej pary były siostrami - nie miało żadnego znaczenia dla zakochanych, ani dla łączących się rodów i ich dynastycznych interesów. Nie zważając na niecierpliwość oblubieńca, umawiające się strony zdecydowały o ośmiomiesięcznym okresie narzeczeńskim. Za tym zwyczajowym terminem przemawiał również młody wiek Sissi: trzeba było czasu, by przygotować przyszłą cesarzową do pełnienia niełatwych dworskich obowiązków.

Szczęśliwe dni w Ischl trwały bardzo krótko. Cesarz musiał spieszyć do Ołomuńca na spotkanie z carem i królem Prus. Bałkański kocioł znowu znalazł się w fazie wrzenia. Przed wyjazdem -3 sierpnia - Franzi odprowadził ukochaną aż do Salzburga, a do Mikołaja I wysłał list odbiegający treścią od rutynowej poczty dyplomatycznej: „Z nadmiaru radości, Drogi, Kochany Przyjacielu, spieszę powiadomić Cię o moim szczęściu. Mówię - o moim szczęściu, bo jestem przekonany, że moja naręczona posiada wszystkie cnoty oraz przymioty ducha i serca, ażeby uczynić mnie szczęśliwym”.

Jeżeli jednak car sądził, że pod wpływem tej euforii Franciszek Józef ustąpi mu pola na Półwyspie Bałkańskim, to się grubo mylił. Miłość braterska - miłością braterską, a polityka Habsburgów - polityką niezmiennych pryncypiów w tym rejonie świata, który uważali za swoją strefę wpływów.

Ale nim młody władca powróci do wielkiej polityki, zakochany naręczony będzie tęsknił i użalał się na swój los. Ustawiczna potrzeba zwierzeń podyktowała mu „na wsiadnym” takie oto słowa: „Nie mogę się doczekać chwili, gdy będzie mi wolno udać się do Possenhofen, by ponownie zobaczyć Sissi, o której bezustannie myśleć muszę”.

Upragniony dzień nadszedł dopiero 0 października. Ale i wówczas zakochani rzadko byli sami. Osaczył ich od razu wielki świat, bo pan młody znajdował się w pierwszym szeregu panujących i często wpływał na losy i kondycję licznych narodów. Franciszek z dumą zauważa, że przyszła cesarzowa nie zmarnowała czasu. Z zadowoleniem pisze z Monachium: „Biednej Sissi został przedstawiony cały korpus dyplomatyczny, przy czym w sposób szarmancki obesłał cerwie, z wszystkimi mówiąc”.

Miesiące dzielące Franciszka Józefa od ślubu wydłużały się, za to wydarzenia polityczne galopowały zadziwiająco szybko. Na Bałkanach czuć było proch bitewny. Dla cesarza Austrii zbliżający się ślub stanowił wystarczający pretekst, by zwodzić sprzymierzeńców i nie deklarować się jednoznacznie.

W czasie Bożego Narodzenia zjawia się w Monachium i wręcza naręczonej swój portret naturalnej wielkości; paraduje na nim w mundurze cesarskich ułanów. Elżbieta odwdzięcza się kontrefektem o dużych wartościach artystycznych, znanym później jako „Księżniczka na koniu”.

W kwietniu następnego roku dochodzi wreszcie do ślubu. Potężny orszak panny młodej wyruszył ze stolicy Bawarii, kierując się powoli w stronę Wiednia. Niecierpliwy oblubieniec popędził naręczoną naprzeciw do Linzu i tam ją powitał. Następnie pogalopował do Nussdorfu, by na brzegu Dunaju oczekiwać wraz z całą artystokratyczną Austrią przybycia parowca wiozącego Elżbietę z rodziną i dworem. Podczas podróży piękna Sissi, stojąc na kapitańskim mostku, rozglądała się ciekawie po swojej nowej ojczyźnie, po swoim państwie. Statek nie zdążył dobrze dobić do brzegu, nie utwierdzono jeszcze trapu, gdy cesarz przebiegł na bord, a następnie na kapitański mostek i chwycił w ramiona zażenowaną księżniczkę. Ten gest młodego władcy wywołał niebywały entuzjazm tłumu oblepiającego gęsto zbocze Leopoldsbergu.



Podczas uroczystości ślubnych Franciszek Józef w sposób młodzieńczy demonstrował euforyczną miłość do swojej wybranki. A dla niej na tych męczących raczej ceremoniach skończyła się właściwie cała radość z przybycia do Wiednia.

Od pierwszego powszedniego dnia bowiem rozpoczęła się „musztra” młodej władczyni w imię habsburskiej racji stanu i dla jej rzekomego dobra. W roli surowego preceptora wystąpiła zgryźliwa arcyksiężna Zofia, której własne pożycie małżeńskie ułożyło się - nie bez jej winy - w pasmo niekończących się nieporozumień. Dlatego też mąż, arcyksiążę Franciszek Karol, starał się przebywać z dala od swej magnifiki, a gdy jego niedorozwinięty brat, cesarz Ferdynand I, musiał abdykować, sam - bez oporów a nawet z ochotą - w 1848 roku zrzekł się prawa do tronu na rzecz swego najstarszego syna.

Zaraz po nocy poślubnej zaczęło się pouczanie Sissi. Młoda cesarzowa ze zdziwieniem zauważyła, że owe restrykcje nie były wolne od złośliwości; mało tego - matka męża, a jej ciotka, chcąc podkreślić swoją rolę w wiedeńskim pałacu, przyjęła w stosunku do synowej ton rozkazujący. Odnosiła się też lekceważąco do zamiłowań siostrzenicy - szczególnie do jej fascynacji humanistycznych i artystycznych - i nie tolerowała jakiegokolwiek swobody w etykiecie dworskiej.

Konflikt, w którym Franzi zupełnie się zagubił, ciągle narastał. Po urodzeniu przez Sissi drugiej córki między synową i jej świekrą doszło do bardzo przykrej wymiany zdań, i to przy osobach trzecich. W rezultacie - Elżbietę odseparowano nawet od wychowywania własnych dzieci. Nie uzyskała też wpływu na syna i następcę tronu, Rudolfa, który urodził się 2 sierpnia 1858, mimo że w tym czasie jej pozycja na dworze już znacznie wzrosła.

Początkowo Sissi - która, gdy tylko mogła, uciekała z wiedeńskiego pałacu - pisywała do matki męża krótkie liściki zaczynające się od słów „Kochana Ciociu”, a kończące: „Twoja oddana siostrzenica Sissi”. Potem korespondencja stała się oficjalna. Pisała: „Kochana Teściowo” oraz „Pani oddana synowa Eliza”. Doszło do tego, że cesarzowa, zamiast mieszkać w Hofburgu, starała się przebywać bądź w Schönbrunn, bądź w Laxenburgu, dokąd zresztą chciała się nawet przenieść na stałe. Życie w ciągłym napięciu zaczęło rujnować jej system nerwowy; pojawiły się pierwsze objawy depresji i melancholii, o których później będzie tak głośno.

Największym rozczarowaniem Elżbiety okazał się sam mąż. Piękna, niezależna i romantyczna księżniczka bawarska, której dorodny i porywczy w miłości Franciszek Józef wydawał się zrazu herosem - zauważyła nazbyt szybko, że w zderzeniu z pospolitą codziennością ukochany jej gwałtownie zmalał i zszarzał.

Sissi kochała subtelną poezję - w szczególności liryki Heinego którego wręcz uwielbiała; studiowała kulturę antyczną oraz język starogrecki, podziwiała i stale czytała „Iliadę”, a gdy tylko mogła, odwiedzała wykopaliska archeologiczne - szczególnie w basenie Morza Śródziemnego.

W ogóle była ciekawa świata i przepadała za podróżami, których nigdy nie miała dosyć. Pasjonowała się jazdą konną i wędrowkami pieszymi. Wyjątkowo obmawiane, bo i odbywane po wielekroć, stały się jej wycieczki górskie w pobliżu Ischl. Wilhelm I Niemiecki nazywał je z przekąsem „jewaltouren”, wielce siłowymi wyczynami. W tych wyprawach towarzyszyła jej później najmłodsza córka, ukochana Waleria - jedyne dziecko, które pozwolono Elżbiecie wychować według własnych upodobań.

Małżonek dla odmiany nie miał żadnych humanistycznych zainteresowań. Nie pociągała go muzyka, książek nie czytał w ogóle, literaturę poznawał przede wszystkim poprzez teatr, chociaż i tutaj wolał drugorzędną, pogodną twórczość mieszczańską. Wprawdzie przejawiał nieprzeciętne zdolności językowe, ale umiejętności te wykorzystywał głównie w swojej działalności politycznej i administracyjnej. Franciszek Józef był przede wszystkim urzędnikiem - pilnym, drobiazgowym Beamtrem, który o szóstej rano zasiadał za biurkiem - niezależnie od miejsca i okoliczności.

Miał jedną wielką namiętność: polowanie Jego biografowie obliczyli, że w życiu zastrzelił pięćdziesiąt tysięcy większych zwierząt. Tylko niezwykle łowy na rzadkiego zwierza mogły zmienić rytm dnia cesarza, rozluźnić jego sztywny regulamin. Dla niego prawdziwą poezją było polowanie w puszczy: eine Jagdwildniss, wuste Gegend, wo sich viel Wild aufhalt...

Elżbieta nie miała najmniejszego zrozumienia dla takiej krwawej masakry, nie podzielała też przyjemności męża, jaką odczuwał wertując w wolnych chwilach swoją podręczną „książkę” - album myśliwskich sukcesów.

Sissi nie od razu chciała zrezygnować z romantycznej aureoli wokół swego kochanka. Przez długi czas w tym myśliwym i urzędniku próbowała doszukiwać się swego Franzi z owych szczęśliwych dni w Bad Ischl. Budziła otuchę każda niekonwencjonalna serdeczność. Ale rozczarowania przeważały.

Nadzieje jakby jeszcze raz odżyły, kiedy cesarzowa uległa złudzeniu, że zobaczy męża w roli zwycięskiego wodza podczas kampanii włoskiej w 1859 roku. Konfrontacja miała przynieść same sukcesy i triumfy. Skoro z makaroniarzami mógł sobie poradzić osiemdziesięcioletni, sklerotyczny feldmarszałek Radetzky - na dodatek w owym zrewolucjonizowanym 848 roku - to cóż dopiero on, Franciszek Józef, któremu tak świetnie układało się wszystko podczas manewrów. Ciągnął więc cesarz na wojnę z wieńcem laurowym w tornistrze.

Sissi wykazywała zrozumiałe podniecenie. Nastąpiła wymiana refleksyjnych listów. Jednak meldunków ze zwycięstw nie było. Nadeszło najgorsze...

Po klęsce pod Solferino Elżbieta otrzymała bardzo smutny list: „A zatem musiałem dać rozkaz do odwrotu... Pogalopowałem... w okrutnej nawałnicy do Veleggio, skąd pojechałem do Villafranca. Tam spędziłem straszliwy wieczór... Taka to smutna opowieść pewnego okropnego dnia, podczas którego wiele dokonano, ale szczęście nie uśmiechało się do nas. Wzbogaciłem się o liczne doświadczenia i poznałem uczucie pobitego generała. Trudne następstwa naszego nieszczęścia dopiero nadejdą, ale mam nadzieję w Bogu i nie mogę sobie zarzucić żadnej winy i żadnego błędnego rozkazu”. Przegrana we Włoskich „manewrach”, jak tę kampanię przed jej rozpoczęciem nazywali cesarscy schlebiacze, rozwiąła raz na zawsze wodzowskie ambicje Franciszka Józefa.

Pod koniec 1860 roku - ponownie z powodu dzieci - doszło do zasadniczych kontrowersji między Elżbietą a Zofią. Ponieważ Franzi, klucząc, opowiedział się po stronie matki, zdesperowana Sissi postanowiła opuścić Austrię. Zimę spędziła na Maderze.

Cesarz, choć coraz bardziej nie rozumiał małżonki, kochał ją nadal. Chwilami nie mógł pozbyć się uczucia winy, że to on zubożył jej pełne polotu życie. Gdyby jednak miał się ustosunkować do zainteresowań Sissi, powiedziałby bez namysłu: - Schwarmerei Urojenie, marzenie.

A przecież, gdy wyjechała tak nagle, nie mógł pozbyć się niepokoju. Nie chce więc czekać na wieści dochodzące normalną drogą. Specjalni kurierzy kursują między Hofburgiem a Maderą. W lutym 1861 roku hrabia Louis Rechberg donosi: „Cesarzowa jest straszliwie przygnębiona moralnie, prawie że w melancholii... Czasami na cały dzień zamyka się w swoim pokoju i płacze”.

Wkrótce przygnębienie mija. Po pięciu miesiącach Elżbieta opuszcza Maderę i ląduje w Kadyksie. Potem szlak podróży prowadzi ją na wyspę Korfu, którą się niepomrotnie zachwyca. Wybuduje tu później willę, będąc w niej chętnym i częstym gościem.

Absencja cesarzowej na dworze zaczyna się przedłużać, co wywołuje komentarze w całej Europie. Franciszek Józef, niepokojąc się o swą „księżycową” małżonkę, nieporadnie monituje. Jednak dopiero gdy napomknie o fali plotek - cesarzowa nagle pojawi się w Wiedniu.

Elżbieta wraca, ale między cesarską parą coś się raz na zawsze kończy. Zerwanej nici porozumienia nigdy już nie dało się związać.

Powitanie wypadło jednak wzruszająco serdecznie, nie zmaciła go poza ani ceremonialność. Nie było też nawet cienia wyrzutu. Uszczęśliwiony Franzi odkrył nagle, że najbardziej odpowiada mu Laxenburg i pociągnął tam za żoną - o czym ona zawsze skrycie marzyła.

Tak, ale Elżbieta nigdy już nie zmieni stylu życia. Nawet po śmierci arcyksiężnej Zofii, która nastąpiła w 1872 roku. Przepych cesarskiego dworu i adorację podwładnych zastąpią jej podróże i wędrówki. Franciszek Józef ubolewał nad zmianą, która zaszła w ich pożyciu, ale nikt nie usłyszał od niego słowa skargi, a tym bardziej krytyki - wypowiedzianej choćby żartem, choćby mimochodem. Ujawniła się piękna cecha charakteru tego władcy - wielkoduszość.

Portret Sissj, zawieszony nad jego biurkiem jeszcze przed ślubem, pozostał na swoim miejscu aż do ostatnich chwil życia cesarza. Zresztą podobiznami żony będzie się teraz otaczał jakby manifestacyjnie - w każdym miejscu, w którym lubił lub musiał przebywać. Jakże często mu jej brakowało - także podczas oficjalnych wystąpień, szczególnie na Węgrzech, gdzie cieszyła się niekłamaną popularnością. Cesarzowa bowiem, która mówiła biegle po węgiersku, od momentu wstąpienia na tron demonstrowała przyjaźń do tego narodu i, w przeciwieństwie do swego małżonka, lubiła kiedyś przebywać w Budapeszcie, a w szczególności w Ofen.

Miłość Elżbiety do Franciszka Józefa przeszła metamorfozę, ale pozostała w cesarzowej na zawsze. Objawiała się teraz bardziej przyjaźnią aniżeli namiętnością. Elżbieta była mężowi wdzięczna za dobroć i wyrozumiałość, a także za to, że nie przymuszał jej do dworskiej służby, że nie żywił niechęci do jej inności i - jak chcieli niektórzy - do jej licznych ekstrawagancji. Odplącała mu się lojalnością. Kiedy trzeba było, zawsze stawała wiernie u jego boku. Mógł na nią liczyć. Dlatego też, gdy w życiu cesarza pojawi się inna kobieta, Sissi zachowa spokój. Poczuje się może nie tyle dotknięta, ile zdumiona. Co więcej - zrobi wszystko, by ten związek osłonić własnym autorytetem: niech wygląda na zwyczajną przyjaźń, jakich wiele.

Franciszek Józef musiał przyznać, że i tym razem został moralnie pokonany przez tę drobną księżniczkę bawarską. I chociaż nie miał dosyć sił, aby odejść od swej przyjaciółki, objawiał niekłamaną podziw dla żony i jej charakteru. Może oczekiwał od niej słowa, które położyłoby kres tej pozamałżeńskiej miłostce. Słowa tego jednak nie usłyszał. Nigdy. Sissi, odchodząc od niego, stała się tak nierealna, jakby ją wyniesiono na ołtarz - bliska, ale daleka, swoja, ale nieosiągalna. Natomiast starzejący się cesarz odczuł nagle potrzebę bardzo zwyczajnego, by nie powiedzieć przyziemnego, ciepła żywej, czulej kobiety.

Trudno dzisiaj ustalić, kiedy i jak doszło do zbliżenia między cesarzem a aktorką Burgtheater, Marią Katarzyną Schratt. Tego kłopotliwego dla dworu i cesarskiej rodziny związku nikt nie dokumentował. Początkowo uważano go za krótkotrwały kaprys monarchy, sądząc, że ta osoba, a właściwie „łaskawa pani” - jak ją zaczęto nazywać - wypełniwszy „swoją misję” po duchowym oddaleniu się Sissi, zniknie niepostrzeżenie z pałacowego horyzontu. Ot, zwykła szara mysz. Łudzono się powszechnie, że Elżbieta, która obchodziła już srebrne gody małżeńskie, zechce upomnieć się o swoje prawa i zdecydowanie wkroczy na powrót do Hofburga. Czyżby pamiętano tutaj inne żony i matki cesarzy?

Panią Schratt najwyraźniej traktowano jako „tymczasową damę”, puszczając co jakiś czas w obieg plotkę o zakończeniu romansu. Nic z tego. Dziwny związek - wstrząsany lekkimi burzami - trwał. Okazał się przy tym solidniejszy od niejednego zalegalizowanego stadła, gdyż istniał trzydzieści lat i przerwała go właściwie dopiero śmierć Franciszka Józefa.

Z czasem przyzwyczajono się do aktorki jak do stałego cesarskiego rekwizytu. Mogła nieraz irytować i bywało, że istotnie irytowała. Do politycznych i dworskich intryg nie miała jednak ani talentu, ani szczęśliwej ręki. Franciszek Józef nie traktował też poważnie jej

propozycji personalnych, a rewelacje pałacowe puszczał mimo uszu, delikatnie sobie z nich dworując. Ktoś wreszcie powiedział: lepsza ta, niż gdyby miała zastąpić ją inna, bardziej wyrafinowana.

Późniejsze pokolenie, mające już za sobą doświadczenia republiki, zaczęły Katarzynę idealizować. Czasami nadmiernie. Na fali powrotów do belle époque i tworzenia sentymentalnych legend o niektórych jej bohaterach sugerowano, że był to związek duchowy, wyprany z cech liaison amoureuse. Jeszcze inni, jak Egon Caesar Conte Corti i Hans Sokol, autorzy wielkiej trzytomowej monografii „Kaiser Franz Joseph”, starali się wmówić czytelnikom, że to nieszczęsna małżonka cesarza - z dobroci serca - podsunęła mu Katharin do towarzystwa. Powiadają: „Jednak Elżbieta wyczuwa, czego brak jej małżonkowi, które go, mimo zewnętrznej obcości, gorąco kocha: towarzystwa człowieka, potrafiącego - w sposób delikatny i z należnym majestatowi szacunkiem - mówić o rzeczach wprost i bez osłonek - jednak nie o sprawach polityki i wojskowości i nie po to, by obrażać, ośmieszać, by się kiedykolwiek zapomnieć, ale współczująco i bez natręctwa. Kierując się kobiecym instynktem pomyślała cesarzowa o aktorce, Katarzynie Schratt, zamężnej Kiss von Ittebe”.

Mistyfikacyjne zabiegi, którym poddano dzieje tego związku nie ominęły też korespondencji cesarza z panią Schratt. Wydane w 1949 roku listy, które przygotował do druku historyk Jean de Bourgoing („Briefe Kaiser Franz Joseph an Frau Katharina Schratt”) ukazały się w formie ogromnie okaleczonej: rzadko który list jest w całości, brak początków inwokacyjnych - może były zbyt intymne? - brak fragmentów końcowych, ciągle wielokropki, czasami z zapisu ocalały pojedyncze zdania. Ale i tak spreparowane teksty stanowią ciekawą lekturę, tym bardziej że surowy cenzor przegapi mimochodem jakieś wcale pikantne i o jednoznacznej wymowie zdanie.

No cóż, listy te przekazał wiedeńskiemu wydawcy żyjący jeszcze wówczas syn Katarzyny Schratt, pan Legationsrat Anton Kiss de Ittebe, który - należy przypuszczać - miał na uwadze utrwalenie istniejącej legendy. W tym duchu utrzymane są także komentarze wydawcy. Ale i tak trzeba tę publikację uznać za wyjątkową, ponieważ listom tym groziła całkowita zagłada.

Adresatka przez całe swoje długie życie - umarła w 1940 roku, licząc osiemdziesiąt siedem lat - zachowywała niespotykaną wręcz dyskreję. Wszelkie propozycje spisania bądź podyktowania wspomnień odrzucała zdecydowanie, bez chwili namysłu. Miłość do dostojnego adoratora pozostała jej wyłączną, intymną własnością, z którą chciała widocznie zejść do grobu. Aż dziw bierze, że nie zniszczyła wcześniej tego okazałego pakietu listów. Być może, iż wraz z upływem czasu stawały się dla sędziwej właścicielki pamiątkami coraz to droższymi, jedynymi już świadkami jej dawnego, pełnego blasku i świetności życia. Dlatego stojąc nad grobem może nie miała dość sił, by się przemóc i dokonać dzieła zniszczenia.

Zachowane listy są wruszającym dokumentem gorącego przywiązania cesarza do zwyczajnej, mieszczańskiej córki. I do tego aktorki. Jeszcze niedawno ludzi tej profesji nie wolno było chować w poświęconej ziemi. Dumny Habsburg, który dopuszczał do swego otoczenia jedynie tych arystokratów, którzy mogli wykazać się co najmniej szesnastoma tarczami herbowymi - ośmioma po mieczu i ośmioma po kądzieli - zakochał się w kimś bez nazwiska. On - który każdy związek zawarty nie z księżną czy księciem krwi uważał za morgantyczny, zaś tych, którzy go wbrew jego woli zawierali potrafił nawet wykluczyć ze społeczności rodowej i przymusić do zmiany nazwiska I oto ów surowy i nieprzejednany strażnik praw i zasad dynastycznych utkwiał w mieszczańskich papuciach na całe trzydzieści lat.

Któryż to Habsburg nie miał przelotnych flirtów, a nawet romansów z aktorkami czy pięknymi mieszczkami? Dobrze to przecież robiło na „rozgrzanie” zastałej, arystokratycznej krwi, a także na wyzwolenie namiętności. Nie dochodziło jednak w tych miłostkach do

zbytniego spoufalenia i z reguły trwały bardzo krótko. Tymczasem Franciszek Józef pobił w tym względzie wszelkie rekordy.

Maria Katharina Schratt urodziła się 3 września 1853 w Baden pod Wiedniem. Ojciec jej, Anton, należał do sfery kupieckiej i handlował „towarami krótkimi”, zaś matka, Katharina Wallner, pochodziła z rodziny rzemieślniczej. To przykładne małżeństwo miało trzech synów - Antona, Heinricha i Rudolfa, którzy spełnili oczekiwania rodziców, wybierając stateczne zawody - oraz jedną córkę, późniejszą przyjaciółkę cesarza. Niestety, żeńska latorośl wyrosła się, marząc od najmłodszych lat o karierze aktorskiej.

Po licznych perturbacjach - a nawet dramatach - ojciec pozwolił córce na studia teatralne w Kierschnersche Theater - Akademii przy Canovagasse w Wiedniu. Wykładowcą był tam słynny recytator, Alexander Strakosch. W swoich wspomnieniach z lat młodości, drukowanych na łamach prasy wiedeńskiej, Katarzyna powie: „Mieszkaliśmy w Baden, gdzie mój ojciec miał dom. W szkole zawarłam znajomość z córką aktorki, z którą rozmawiałam o moich scenicznych skłonnościach. Pewnego dnia obiecała zabrać 209 mnie ze sobą do tego nieznanego, lecz jakże ubóstwanego teatru”.

Pierwsza wizyta i od razu skromny debiut sceniczny małej Kasi Widocznie koleżanka musiała sporo mówić swej matce o jej talencie, bo gdy zjawiły się za kulisami - a tam głowiono się właśnie nad nagłym zastępstwem - skierowano opiekunkę Schratt na widownię, zaś dziewczynkę zatrzymano w garderobie. Wystawiano bajkę dla dzieci i w niej miała wystąpić Katarzyna. Z ogromnym pośpiechem uczono ją na pamięć kilku zdań, pokazywano ruchy i gesty. „Gdy nadeszła chwila, by się zaprezentować, podprowadzono mnie na scenę, a ja wywiązałam się ze swej roli ku zadowoleniu całej publiczności - z wyjątkiem jednego jedynego pana, który bezpośrednio po moim pojawieniu się prawie bezszelestnie opuścił widownię. Tym panem był nie kto inny, tylko mój ojciec...”

Pani Schratt pochodziła z prowincji, co wcale nie pomagało w karierze. Nie miała koneksji, więc musiała polegać jedynie na własnym talencie. Upłynęło sporo czasu, zanim zadomowiła się w słynnym Burgtheatre i pozyskała Wiedeń. Znacznie łatwiej przyszły zagraniczne laury.

W czasie, gdy zainteresował się nią cesarz, Katarzyna już od blisko sześciu lat była żoną zdeklasowanego i biednego jak mysz kościelna węgierskiego szlachcica, Mikołaja Kiss von Ittebe oraz matką jego syna, Antona. Na scenie występowała pod panięmskim nazwiskiem i nie inaczej nazywało ją otoczenie Franciszka Józefa Budził nawet pewne zdziwienie fakt, że aktorka, której pożycie małżeńskie szybko się popsulo, nigdy nie wystąpiła o rozwód. Podobnie zresztą jak i jej małżonek. Zadowolili się separacją którą cesarz pilnie kontrolował, wymyślając dla pana Mikołaja Kiss von Ittebe wcale odległe placówki dyplomatyczne. Pozostawał on bowiem w służbie zagranicznej - wpiery w randze wicekonsula a następnie konsula. Nie komu innemu, lecz własnej małżonce mógł skromny szlachcic zawdzięczać ten zaszczytny awans. Placówki konsularne znajdowały się kolejno w Tunisie, w Buenos Aires w Barcelonie i, ostatnia, w Algierze, gdzie prawdopodobnie zmarł na atak serca w 1909 roku.

Jeszcze więcej uwagi poświęcił możny protektor synowi Katarzyny Schratt; interesował się jego postępami w nauce, śledził pierwsze i późniejsze kroki zawodowe. Wyzaczył mu' zresztą również karierę dyplomatyczną. W 9 roku nadał mu ~ ad personam - węgierską baronię. Na marginesie warto wspomnieć że Anton Kiss von Ittebe - jeszcze przed uzyskaniem tytułu barona - przebywał w Warszawie jako delegat ministerstwa spraw zagranicznych w randze poselskiego radcy stanu (Legationsrat).

Katarzyna Schratt rozpoczęła karierę sceniczną w sposób niekonwencjonalny. Zaraz po szkole opuściła Wiedeń i udała się do Berlina, gdzie z wielkim powodzeniem występowała przez okrągły rok na scenie Hoftheater. Powróciła do Austrii w momencie, gdy cała monarchia żyła dwoma niebłahymi przecie wydarzeniami: wystawą światową i dwudziestopięcioletnim panowania Franciszka Józefa.

Wiedeński debiut teatralny pani Schratt wypadł 24 marca 1873 roku. Wystąpiła w roli tytułowej w sztuce Heinricha von Kleista „Das Katchen von Heilbronn” („Kasia z Heilbronn”), w której odniosła wręcz sensacyjny sukces. Publiczność i prasę ogarnął entuzjazm, który przygaszony został dopiero słynnym majowym krachem na giełdzie.

Niemniejszym uznaniem cieszyła się jej kolejna kreacja (również Katarzyny) w komedii Szekspira „Poskromienie złośnicy”. Ten właśnie spektakl oglądał cesarz wraz z najbliższą rodziną. Aktorka nie wywarła jednak na nim większego wrażenia ani jako artystka, ani jako kobieta. Wkrótce - wskutek giełdowej klęski, która dotknęła również teatr - pani Schratt opuściła ponownie Austrię, udając się tym razem do Petersburga, gdzie zdobyła spore uznanie publiczności. Po uzdrowieniu kryzysu powróciła na scenę do Wiednia, wówczas też - 25 sierpnia 1879 - wyszła za mąż. I jeszcze raz wyjechała za granicę, angażując się do Teatru Niemieckiego w Nowym Jorku. Nie wiadomo, czy to ciekawość świata kazała jej tak daleko peregrynować, czy też był to efekt pierwszych poważnych rozdzwiewków małżeńskich, ponieważ mąż - jak później wyznała - okazał się niepoprawnym lekkoduchem.

Do ojczyzny powróciła na stałe w 1883 roku. W pamiętniku córki Sissi, arcyksiężnej Marii Walerii, pojawił się pod datą 27 listopada następujący zapis: „W Burgtheater nowa, nazwiskiem Schratt, gra Lorlę. Jest przepiękna, ale nie tak kochana jak Wessely”.

I w tymże roku 1883 cesarz i aktorka po „raz pierwszy stanęli twarzą w twarz. Ale do romantycznego spotkania nadal było daleko. Katarzyna poprosiła Franciszka Józefa o osobistą audiencję. I uzyskała ją. Czy można to uznać za wyróżnienie? Z pewnością nie Stanisław Grodziski w swojej monografii „Franciszek Józef I” powiada: „Aby być przyjętym przez cesarza, należało się tylko w jego kancelarii zapisać, nawet bez obowiązku bliższego podawania celu audiencji, przy czym można to było zrobić też i drogą korespondencyjną. Każdy, bez względu na swoje stanowisko społeczne, narodowość, rodzaj sprawy, zostawał przez cesarza przyjęty po doczekaniu się swojej kolejki”.

Katarzyna Schratt w imieniu rodziny męża wniosła prośbę o zwrot skonfiskowanych po 1848 roku dóbr na Węgrzech. Ich dziad, generał Ernst Kiss von Ittebe, przystał do rewolucji antyce-sarskiej, po zdławieniu której został stracony. Cesarz Franciszek Józef petycję grzecznie przyjął, ale prośbę odrzucił. Także kilka lat później, gdy już znajdował się w bardziej zażytych stosunkach z aktorką, pozostał wobec tej sprawy niewzruszony; nie przystał nawet na częściową rekompensatę pieniężną. Zastaniał się nieprzejednanym stanowiskiem rządu, w szczególności zaś premiera Tiszy. Prawdopodobnie rzecz miała się tak, iż nie było co restytuować. Majątek poszedł na spłatę ogromnych długów generała, który w życiu codziennym był nieprzeciętnym szafawcą. Poza tym cesarz nie mógł zapomnieć, że ów Ittebe należał do najniebezpieczniejszych buntowników, którzy proklamowali detronizację Habsburgów na Węgrzech. Sejm w Debreczynie śnił mu się po nocach: detronizacja jego rodu i całkowite odłączenie Węgier od Austrii. Tego nie mogły przesłonić nawet piękne oczy Katarzyny Schratt.

Do kolejnego spotkania doszło dwa lata później podczas dorocznego balu przemysłowców. Była to impreza wyjątkowo znacząca i Franciszek Józef starał się zawsze w niej uczestniczyć. Do występów artystycznych na tych balach zapraszano tylko aktorów „Burgu”; w tym roku wyróżniono Katarzynę Schratt. Po popisach cesarz podszedł do aktorki i wyjątkowo długo z nią rozmawiał. Uznano to powszechnie za akt niezwyklej łaski monarszej.

Katarzyna potrafiła ująć go swobodą, otwartością i kobiecą kokieterią, dając odczuć, że zobaczyła w nim nie tyle cesarza, co przystojnego mężczyznę. Franciszek Józef, który bezskutecznie bronił się przed nadchodzącą starością, poczuł się usatysfakcjonowany, jakby wróciła mu młodość. Przypisał ten sukces towarzyski swojemu żelaznemu zdrowiu, które pielęgnował w sposób konsekwentny, ale i spartański. Należał do ludzi wysportowanych - stale pływał, jeździł konno, ćwiczył mięśnie. Dama dworu cesarzowej, hrabina Maria Festetics, zanotowała w „Tagebuchu”: „Dla Franciszka Józefa, tego silnego, zdrowego

człowieka, który - żeby odpukać - nigdy nie był chory, istnieje tylko życie i śmierć. Gdy ktoś zachoruje, ogarnia go bezbrzeżne zdumienie, zaś śmierć w łóżku po powolnym konaniu, jest dla niego czymś zaskakującym i przerażającym”.

Z pewnością spotkaniu na balu przemysłowców zawdzięczała Katarzyna zaproszenie do Ołomuńca, gdzie 25 i 26 sierpnia 1885 odbył się uroczysty zjazd trzech cesarzy - Rosji, Niemiec i Austrii - dla podtrzymania trójprzymierza. Zespół najwybitniejszych artystów scen wiedeńskich zobowiązany został do uświetnienia tej politycznej fety, która - podobnie jak odbyta rok wcześniej w Skierniewicach - potwierdziła tylko pogłębiające się rozbieżności. W drodze wyjątkowej łaski aktorzy opery i dramatu zaproszeni zostali przez cesarza na wspólny five z głowami koronowanymi i towarzyszącymi im osobami. Tę pokazową herbatkę prasa rojalistyczna opisała w bardzo podniosłym tonie. Małomówny car, Aleksander III, wyróżnił rozmową tylko Katarzynę Schratt, którą pamiętał z jej występów w Petersburgu. Innych uczestników zespołu artystycznego w ogóle nie dostrzegął.

Z jeszcze większą rezerwą odniósł się do nich Bismarck, który zastępował chorego cesarza niemieckiego. Nie w smak mu były tego typu konwersacje; bez reszty zaprzętał go los dopiero co zjednoczonej Bułgarii: zaakceptować to nowe państwo czy je pogрузić? Kocioł bałkański znowu kipiał, a on należał do głównych jego palaczy.

Franciszek Józef, który do arcybiskupiego pałacu w Ołomuńcu przybył w towarzystwie cesarzowej i następcy tronu, wykazał najwięcej taktu i towarzyskiej ogłady. Uwadze prasy nie uszło i to, że również tym razem zbliżył się do pani Schratt, gdy tylko car zaczął objawiać oznaki znużenia. Zdaje się, że „starszy pan z Hofburga” znajdował się już pod wyraźnym urokiem tej kobiety.

Nie bardzo wiadomo, co działo się między cesarzem a aktorką w czasie od spotkania w Ołomuńcu do maja roku następnego. W każdym bądź razie ni stąd, ni zowąd nadworny malarz Franciszka Józefa, Heinrich von Angeli, otrzymał polecenie sportretowania Kathariny Schratt. Aktorka zaczęła zatem pozować artyście w jego atelier. Mecenas żywo interesował się postępowaniem prac i gdy uznał, że obraz jest na ukończeniu, Angeli otrzymał 20 maja 1886 następujący bilecik: „Z polecenia cesarzowej chciałbym przed południem, o godzinie pierwszej, przybyć do Pańskiego atelier w celu przyjrzenia się obrazowi Pani Schratt, który maluje Pan z polecenia Jej Wysokości. Upraszam jedynie o linijkę wiadomości, czy właśnie o tej godzinie mogę przybyć. Franciszek Józef”.

Monarcha lubił małe mistyfikacje. Najchętniej wmówiłby artyście, że to cesarzowa nie może się obejść bez konterfektu Katarzyny. Biedna Elżbieta, która prawie nie żyła Wiedniem, a tym bardziej atmosferą miejscowej bohemy, posłużyć mu miała za tarczę. Dla niej to było bez znaczenia. Franciszek wmówił więc Sisei, że powinna udać się z nim do pracowni artysty. Cesarzowa się waha, ale w końcu ulega delikatnym i zenującym ją perswazjom. Angeli w kilka godzin po pierwszym bileciku otrzymuje drugi, tym razem w tonie oznajmującym: „Schónbrunn, 20 maja. Cesarzowa w moim towarzystwie przybędzie do Pańskiego atelier jutro o wpół do pierwszej”.

Heinrich Angeli nie potrafił albo może po prostu nie chciał uprzedzić pani Schratt o wizycie dostojnych gości. Aktorka, gdy się o tych odwiedzinach dowiedziała, wpadła w popłoch i przerażenie. W pierwszym odruchu poderwała się gwałtownie z krzesła i rzuciła w stronę drzwi. Malarza kosztowało wiele wysiłków, by ją skłonić do pozostania w pracowni. Należy przypuszczać, że artysta zdążył się już rozeznac w powikłanych intencjach cesarza. A nastroje, jakie tego dnia panowały w atelier nadwornego malarza, opisał w swoich wspomnieniach uczeń Angelego, Karl Theodor von Blaas.

Trzy dni później pani Schratt otrzymała od cesarza pierwszy list, do którego dołączony był cenny pierścień ze szmaragdami. Pismo rozpoczynające trzydziestoletnią korespondencję brzmiało następująco: „Łaskawa Pani, proszę, by załączona pamiątka została przyjęta przez Panią jako symbol mego serdecznego podziękowania za to, że podporządkowała się trudowi

pozowania do obrazu Angelego. Raz jeszcze muszę powtórzyć, że nie ośmieliłbym się prosić o tę ofiarę i dlatego moja radość z tego drogiego poświęcenia jest tym większa. Pani oddany wielbiciel”.

Następny list nosi datę 6 czerwca. Cesarz sposobi się do wakacji i chciałby bardzo, żeby bliska jego sercu osoba znalazła się gdzieś nie opodal. Powszechnie było wiadomo, że Franciszek Józef od wczesnej młodości udawał się niezmiennie latem do Bad Ischl; z prawdziwym więc zadowoleniem posłyszał podczas seansu plastycznego u Angelego, że pani Schratt nosi się z zamiarem wyjazdu na wypoczynek do St. Wolfgang, a zatem w pobliże jego letniska.

„...chciałbym dokładnie wiedzieć, kiedy opuści Pani Wiedeń oraz gdzie w St. Wolfgang Panią odnajdę?” Jako człowiek praktyczny i dociekliwy prosi o odpowiedź na następujące pytania: „Jak nazywa się ten dom albo willa? Jak długo idzie się pieszo z Wolfgang do niego? Czy przybędzie tam Pani już na początku czerwca albo dopiero później?”

List ten musiał podzielać na wyobraźnię adresatki. Podniecona domyśla się, że cesarz dąży do nawiązania z nią bliższych kontaktów. W którym kierunku może rozwinąć się ta znajomość? Czego potrzebuje monarcha: kochanki czy powiernicy? W tle pozostaje tajemnicza cesarzowa, która może Katarzynie wyznaczyć taką lub inną rolę. Gorzej, gdyby monarchini wyszła z cienia i z izolacji...

Katarzyna Schratt nie od razu przystaje na złożoną jej propozycję. Musi najpierw przejrzeć tę grę - jak dalece jest ona dla niej bezpieczna. Przypomni sobie zatem nagle, że powinna w czerwcu odbyć w Karlsbadzie kurację, o którą ongiś tak bardzo zabiegała. A więc dopiero po niej...

Zawiedziony cesarz snuje się po parku w Ischl, pracuje z takim samym zapałem jak w Wiedniu i liczy czas dzielący go od przyjazdu aktorki. Liczy bardzo skrupulatnie. W tym samym dniu, w 24 którym Katarzyna pojawi się w Frauenstein, miejscowości położonej tuż obok St. Wolfgang, otrzyma niecierpliwe pismo od Franciszka Józefa. Ogarnięty przemożną chęcią spotkania donosi: „Ponieważ na podstawie ostatniego listu Pani domniemywam, że już dzisiaj dotrze Pani do Frauenstein, ośmielał się meldować, że - jeśli nie ma Pani nic przeciw temu - przybędę pojutrze o dziewiątej, mniej więcej o wpół do dziewiątej rano. Tę niesłychanie wczesną godzinę, gdy chodzi o składanie damie wizyt, może da się usprawiedliwić tym, że wiem, jak wczas Pani wstaje nieraz i że o tej porze moje interesy nie mają szans zatrzymania mnie na miejscu. Wyjadę o siódmej rano do Wolfgang, a stamtąd - rozpytując się - podążę pieszo, aż odnajdę Frauenstein”. Musiał to być wcale malowniczy obrazek: cesarz indagujący przechodniów o drogę...

Wyprawy do Frauenstein stają się dla monarchy uciążliwe i to nie ze względu na fizyczną kondycję, której mu nigdy nie brakowało, ani z powodu uprzykrzonej służby bezpieczeństwa - za dużo czasu kradnie mu po prostu biurko z niemającą nigdy stertą spraw wagi państwowej. Jest przecie urzędnikiem niesłychanie sumiennym i nawet miłość nie może mu przeszkodzić w rzetelnym wypełnianiu codziennych obowiązków administracyjnych. Z kolei żał mu każdego dnia, kiedy nie może zobaczyć się z Katarzyną. Nakłoni zatem aktorkę, by na jakiś czas zamieszkała w Ischl. Prawdopodobnie sam znalazł, położoną nie opodal jego rezydencji, willę „Felicitas”, która wkrótce stanie się letnią przystanią „łaskawej pani”.

Po wyjeździe Katarzyny do Wiednia zakochany Franciszek Józef będzie kontemlował przeżyte chwile. Ten dojrzały mężczyzna przeobrazi się znowu w sentymentalnego marzyciela. Przewędruje nieraz kawał drogi, by choć z oddali poszukać wzrokiem owego skrzyżowania w St. Wolfgang, na którym zegnał kończącą wakacje Katarzynę, List z 4 października pełen jest tęsknoty i uniesień. Franciszek pragnie też podzielić się z coraz bliższą mu adresatką romantycznymi nastrojami. Oto na kilka godzin przed napisaniem listu wspinał się na szczyt góry Jainzen, aby między kłębiącymi się mgłami spoglądać w stronę St. Wolfgang, gdzie jeszcze tak niedawno mieszkała ona, Katarzyna. Musi jej o tym powiedzieć.



Od tej korespondencji rozpoczynają się też częste i serdeczne przypisy pod adresem Toniego - syna aktorki.

Tego lata, od niepamiętnych czasów, poczuł się Franciszek Józef znowu prywatną osobą - nie skrępowaną ceremoniałem i rygorami służby bezpieczeństwa. Przestał go krępować gorset dworskiego *savoir vivre*'u, nie ścigały go plotki. Tak mu się przynajmniej wydawało. Wiedział, że po powrocie do Wiednia spotkania z panią Schratt się skończą. Pozostanie mu jedynie wspomnienie o „niezapomnianych godzinach w Frauenstein i w «Felicitas»,„

Więzień Hofburga - jak siebie nieraz żartobliwie określał - musiał przejawić sporo inwencji, by zbliżyć się do ukochanej na odległość spojrzenia. Stał się pilnym bywalcem teatru, a właściwie tych przedstawień, w których występowała Katarzyna. Czasami udawało mu się zobaczyć ją z daleka w kościele podczas oficjalnych nabożeństw.

Większe możliwości dawał jednak teatr. Słysząc było głos, którego tak bardzo mu brakowało, można było także pochwycić spojrzenie. Obserwowana przez Iorgnon postać jawiła się na wyciągnięcie ręki, Cieszyły go wszystkie jej wcielenia - nawet te, w niezbyt wybrednych farsach, w których występowała w ubraniach męskich: raz jako marynarz („Szach królowi” - H.A. Schaufferta), innym razem jako kadet... Delikatnie jednak napomyka w liście że woli ją oglądać w damskich toaletach, a najbardziej w wyróżnianej przez niego roli Claire we „Właścicielu kapelusza” Georges’a Oh-net. Najwięcej wzruszeń wywołało jednak wznowienie utworu Charlotty Birch-Pfeiffer „Wieś i miasto”, w którym - jak twierdził - zobaczył Katarzynę na scenie po raz pierwszy - w roli Lorli. („I jak wdzięcznie i pięknie została przemyślana i jak wzruszająco oddała Pani tę postać. Waleria pod koniec płakała bezustannie - tak była przejęta”).

Katarzyna Schratt natomiast najbardziej lubiła rolę Lucy w farsie Paillerona „Świat, na którym się nudzimy”. Odpowiadała jej w tym utworze zmienność nastrojów oraz wyczuwalny antykonserwatyzm. Zawsze chciała uchodzić za kobietę nowoczesną, zwolenniczkę postępu, zaś jej entuzjazm dla wszelkich nowinek technicznych wprawi nieraz dostojnego kochanka w prawdziwe zakłopotanie.

Na razie największym zmartwieniem Franciszka Józefa było zorganizowanie intymnego, w pełni zakonspirowanego spotkania. Przy przejeździe przez miasto albo podczas uroczystości czy parad nieszcześnie adorator uważnie przepatrywał tłum, poszukując czerwonej parasolki artystki. Wyczekiwał też z niecierpliwością innych okazji: może zdarzy się bal obywatelski, na którym wypada być, może ktoś pomyśli o akcji charytatywnej? A kiedy już znalazł I się wśród wirujących par, opuszczała go cała odwaga - nie śmiał podejść do Katarzyny ani jej do siebie przywołać. Lęk przed obmową zupełnie go paraliżował. W jednym z listów pisze ze smutkiem: „Już pięć miesięcy minęło od chwili, gdy pożegnaliśmy się na skrzyżowaniu dróg w Wolfgang”. Co robić? Chciałby przyspieszyć miesiące urlopowe. „Przynajmniej z Pani linijek wnoszę, że powzięła Pani zamiar ponownego przyjazdu do Ischl względnie w jego pobliże; ta decyzja daje powody do wielkiej radości”. Radość ożywi jego inicjatywę.

Zdecyduje się wreszcie aranżować „przypadkowe” spotkania na promenadzie w Schönbrunn i to niejako na oczach wszystkich. Pierwsza udana przechadzka daje mu wiele do myślenia i wyzwala dawno nie demonstrowaną przedsiębiorczość. Ponieważ absorbujące zajęcia państwowe nie pozwalają mu uczestniczyć w tych promenadach zbyt często, pragnie wyeliminować przypadkowość spotkań, a już broń Boże, odbywać spacerów bez widzenia Katarzyny. „Z powodu moich interesów nie mogę codziennie wyjeżdżać, może zechce Pani dopomóc mojemu szczęściu, by je utwierdzić, pisząc (zawsze) kilka linijek o dniu, w którym ma zamiar udać się do Schönbrunn”.

Wraz z rozwojem uczucia wzrośnie cesarska ciekawość tego wszystkiego, czym żyje i otacza się Katarzyna, domaga się więc od niej coraz to dłuższych i bardziej szczegółowych listów.

Franciszek Józef staje się bardziej pewny siebie nie tylko w zalotach, ale także wobec swej rodziny, dworu, a nawet plotkarskiego miasta. Cesarzowa zachowuje lojalność, jej niczym nie zmałowany spokój onieśmiela donosicieli. Podczas promenadowych spotkań uprzejmie odpowiada na uniżone, etykietalne ukłony aktorki. Elżbieta nie wychodzi z cienia. Wygląda na to, że Franzi ciągle jeszcze nie utracił jej zaufania. A może przemawiała milczeniem? To przecież Heine powiedział w pięknym wierszu do Mouche:

Bezgłośny dialog, weń trudno wierzyć,  
Jak w delikatny cień milczącej mowy...

Wkrótce otoczenie przywykło do tego, że gdy majestat odpoczywał w Schönbrunn, pani Schrott mieszkała w willi w pobliskim Hitzingu, a gdy para cesarska znalazła się w Lainz, gdzie Sissi posiadała bliski sercu pałacyk, w tej samej miejscowości pojawiała się „łaskawa pani”, która otrzymywała tam luksusowe schronisko. Dla niej zarezerwowana została też wspomniana willa „Felicitas” w Bad Ischl.

Znalazł się w końcu azyl i w samym Wiedniu - dom przy cichej Gloriettegasse. Cesarz miał teraz dokąd uciec ze swego pałacu. I co ważniejsze - znalazł tam także swoje mieszczańskie gniazdko. Jeżeli myślał o wiedeńskiej Gemütlichkeit, to właśnie tam ją odnajdywał. W listach pojawiają się często bardzo znamienne zwroty w rodzaju: „tęsknię bardziej, niż to u mnie w zwyczaju za kochaną, cichą Gloriette Gasse” (list z Gódolló), „dziękuję za Pani dobroć i wyrozumiałość w tym pięknym okresie Gloriette Gasse i willi w Lainz” (list z Gastein), „gdybyśmy mogli w tej chwili znaleźć się razem w tym kochanym pokoju przy Gloriette Gasse, to znaczy ja dzięki Pani dobroci leżałbym we wspianym fotelu i paplilibyśmy 27 wspólnie, co za rozkosz” (list z Ofen).

Kazimierz Chłędowski w swoich „Pamiętnikach”, relacjonując wiedeńskie lata, także wspomina o tych miejscach spotkań: „Gdy na przykład w lecie cesarz mieszka w Schönbrunnie, zawsze idzie z rana do pani Schrott, która ma willę w Hietzing, blisko cesarskiego ogrodu, na kawę, a później chodzą oboje po schönbrunskim parku. To samo, jeśli w Lainz mieszka, wstępuje do niej na śniadanie i dopiero stamtąd jedzie do Wiednia”.

Z biegiem miesięcy i lat rozwinęły się obszary zażyłości. Cesarz jako kochanek obawia się przede wszystkim śmieszności. Nie może zapomnieć, że jest od Katarzyny starszy o dwadzieścia trzy lata. Od samego początku znajomości ustawia się w roli przyjaciela. Nawet nie opiekuna talentu, ale przyjaciela. W listach oraz w obecności osób trzecich zwraca się do swej wybranej bardzo oficjalnie. Podkreśla częstokroć, że nie chce narażać na szwank jej dobrego imienia.

Przyjdzie czas, że pozycję pani Schrott zacznie komentować nie tylko wiedeńska ulica, ale i obce dwory. Także dziennikarze z ciekawością podpatrują jej życie. Cytowany Kazimierz Chłędowski powie: „O łaski pani Schrott oczywiście wszyscy się starają; ambasadorowie bywają u niej, panujący przesyłają jej prezenty. Ferdynand bułgarski, kiedy jeszcze się starał o względy austriackiego dworu, ofiarował pani Schrott bardzo piękne kosztowności”. Taka sytuacja wytworzyła się oczywiście później.

Proces wzajemnego zbliżenia się kochanków pełen był zahamowań. Cesarza nieraz trapiły wyrzuty sumienia, jednak uczucie do Katarzyny silniejsze było od tej udręki.

W pewnym momencie miłość ta pogłębi jego stany depresyjne - będzie to szczególnie widoczne po samobójczej śmierci jedyne go syna oraz po zamordowaniu Sissi przez obłąkanego terrorystę. Jako człowiek religijny szukał winy w sobie, jako cesarz - nie miał sobie nic do zarzucenia; nie zgadzał się z sugestią kapelana, jakoby karząca ręka Pana skierowała się w jego stronę. A może to tylko ślepy los zadrwił z niego?

Jego jedyny syn, z którym wiązał największe nadzieje, wierząc, że prędzej czy później w utalentowanym, choć ekstrawaganckim następcy tronu odezwie się jego krew, w godzinie śmierci jakby zapomniał o ojcu. Zanim w Meyerlingu pociągnął za cyngiel rewolweru, napisał listy pożegnalne: do matki, do żony Stefanii, do siostry Walerii, do wielu przyjaciół,

nawet do kamerdynera Loschka, tylko nie do swego rodziciela. Ten cios należał do najokrutniejszych. Milczenie syna, w chwili gdy rozliczał się ze swoim młodym życiem, cesarz musiał odczytać jako oskarżenie pryncypiów politycznych i moralnych.

W tych tragicznych dla siebie i dla monarchii dniach Franciszek Józef wiele przemyślał. Wiedział, że ta śmierć zmieni w sposób zdecydowany hierarchię dworu. Ileż nadziei i ważkich planów obróciło się wniwecz i nie będzie można ich odbudować. Z jaką przykrością oswajał się z myślą, że jego następcą zostanie syn nieulubianego brata, Karola Ludwika. A do tego ten cały Franciszek Ferdynand - człowiek bez wyrazu i odrobiny polotu - wplątany był w romans z podstarzałą, zwyczajną hrabianką, Zofią Chotek, której tak daleko do dworskich sfer. I do tej czeskiej szlachcianki mieliby kiedyś poddani mówić „wasza cesarska wysokość”?

Ta jedna noc sprawiła, że samotność cesarza stała się jeszcze większa. W tej trudnej chwili osoba Katarzyny mogła mu się jawić jako jedyna przystań spokoju.

W nocy z 29 na 30 stycznia 1889 wypełnił się tragiczny los arcyksięcia Rudolfa, a już 2 lutego aktorka otrzymała niezwykle ważny list od Franciszka Józefa, ważny dla ich porozumienia, dla stabilizacji uczuć. „Tak pomyślałem o Pani, żeby i po mojej śmierci mogła Pani pozostać bez trosk”. Napisanie tych słów zaledwie w kilka dni po odprowadzeniu następcy tronu do nekropolii Habsburgów, która mieściła się w klasztorze Kapucynów, miało swoją głęboką wymowę. Cesarz w tej smutnej chwili jakby pragnął tylko myśleć o swojej miłości. Odczuwał potrzebę zmanifestowania tego. Dlatego też po raz pierwszy list do Schrott kończył się słowami: „...z uczuciem tkliwej miłości i przyjaźni”. Akcent położony został na przymiotnik: tkliwy.

To prawda, że po jakimś czasie - głównie za sprawą złych i wścibskich ludzi - powróci uczucie przygnębienia. Wzmaga się huśtawka nastrojów. Bywają dni, kiedy kochankowie odczuwają lęk przed niekontrolowaną namiętnością, ale jej nawroty są jeszcze gwałtowniejsze. „Powiada Pani, że będzie się starała opanowywać, także i ja będę się starał, aczkolwiek nie przyjdzie mi to łatwo”.

Jak dalece naprawdę zapominali się w miłości, trudno dociec dzisiaj. Oficjalnie stwierdzali, że nic poza przyjaźnią między nimi nie było.

Korespondencja też niewiele dopowiada. Te strzępy listów Franciszka Józefa, które udostępnił Bourgoing, podniecają tylko wyobraźnię czytelników. A lud wiedział swoje. Nie na darmo po tragicznej śmierci cesarzowej powszechnie mówiono o zalegalizowaniu związku małżeńskiego cesarza z Katarzyną.

Obecna właścicielka willi „Felicitas” w Bad Ischl, pani Martha Piech, także wie swoje. W dawnej sypialni „łaskawej pani” wskazuje ukryte drzwi, za którymi znajduje się pokój, gdzie długo po śmierci Franciszka Józefa stało twarde, żołnierskie łóżko bliźniaczo podobne do tego, które do dziś oglądać można w Hofburgu. Na pytanie, czy istniało coś więcej między kochankami aniżeli porozumienie dusz pani Piech odpowiada jednoznacznie: „Nasz cesarz był przecież prawdziwym mężczyzną”.

Zachował się dosyć znamienity list monarchy z 1891 roku, który wraz z kilkoma innymi trafił do zbiorów rodziny panującego. Podobno kiedyś znajdował się w posiadaniu Sissi, co mu dodaje osobliwego smaczk. „Jest to mój list ostatni przed wyęsknionym, ostatecznie realizowanym widzeniem się wzajemnym. Ponieważ dziewiętnastego mniej więcej o godzinie szóstej rano przybywam do Schönbrunn, pozwolę sobie zjawić się przy Gloriette Strasse o godzinie ósmej lub nieco później, mając nadzieję, zgodnie z wymogami owej porannej pory, zastać Panią nareszcie znowu w łóżku, co mi Pani pół na pół przyobiecała...”

O erotycznej sprawności i aktywności sędziwego, bo osiemdziesięcioletniego cesarza opowie później pewna wiedeńska masażystka, która w ostatnich trzech latach życia Franciszka Józefa miała za zadanie przywracać sprężystość jego znużonym mięśniom. Po drugiej wojnie światowej opublikowano jej dość śmiało wyznania i trzeba mieć do nich

zdecydowanie krytyczny stosunek. Z pewnością więcej w nich niezdrowej sensacji oraz złego smaku aniżeli prawdy, ale w jednym z przewrotną opisywaczką można się zgodzić, że monarcha pozostał mężczyzną do końca.

Zbytняя intymność, jaka wytworzyła się między Franciszkiem Józefem a Katarzyną Schrott, wprawiała w irytację najmłodszą córkę cesarza, arcyksiężnę Walerię. Uważała ona, iż romans ten trwa za długo i jest zbyt prymitywny - a w momencie gdy stawał się zbyt jawny - upokarzał cesarzową, jej ukochaną matkę. Niejedną gorzką uwagę na ten temat wchłonął pamiętnik księżniczki.

Waleria była owym jedynym dzieckiem, które Sissi pozwolono wychować według własnej woli i dlatego przywiązała się do niej szczególnie mocno. Z kolei miłość córki do matki graniczyła wprost z uwielbieniem. Gdy podrosła, stała się zapaloną towarzyszką górskich wędrowek Elżbiety. Dzięki jej „inności” cała rodzina ją wyróżniała i prawdziwie kochała.

Także Franciszek Józef przez całe życie okazywał jej wyjątkowe przywiązanie. Po śmierci Rudolfa przelał wszystką miłość ojcowską właśnie na nią i na jej potomstwo. Należy w tym momencie dopowiedzieć, że ta cesarska córka wyszła za mąż za Franciszka Salvatora Habsburga - przedstawiciela tego samego co ona rodu, tylko z linii tokańskiej. Natomiast jej wnuk, arcyksiążę Markus Salvator, jest obecnie właścicielem pałacyku cesarskiego w Bad Ischl.

Początkowo Walerię bawiła słabość ojca do popularnej aktoreczki mającej niewiele więcej lat niż jej starsza siostra.

W pierwszym okresie znajomości Waleria chodziła z ojcem do teatru „na Schrott”, popłakując sobie od czasu do czasu w trakcie sentymentalnych dramatów, co najwyraźniej sprawiało przyjemność Franciszkowi Józefowi, bo te łzy wyciskała Kasia swoją grą. Kiedyś Waleria przyjemnie go zaskoczyła, ofiarowując okazały zestaw zdjęć aktorki, które odkryła w „Atelier-Adele”. Uradowany cesarz znalazł się przy okazji w nielada kłopotcie: co z nimi zrobić, gdzie je eksponować? Ostatecznie stanęło na tym, że znajdą miejsce w willi „Hermes”, którą swego czasu wybudował dla Sissi na terenie zwierzyńca w Lianz.

Sympatia arcyksiężniczki dla artystki stygnie w momencie, gdy jej wpływy zaczynają zataczać coraz szersze kręgi. Franciszek Józef zaniedbał towarzystwo dworskie na korzyść aktorki, nie zawsze przy tym właściwie rozdzielając łaski. Tak przynajmniej sądziła Waleria. Nie zamierzała nikomu ustępować miejsca przy ojcu, a najmniej tej szarej myszy, jakby przewidując, że i w jej stronę wyciągnie ona swoje pazurki.

Jak długo żyła matka, która nie życzyła sobie nawet cienia skandalu i traktowała aktorkę niczym dalekiego i niezbyt mile widzianego krewnego z prowincji, arcyksiężna robiła dobrą minę do złej gry. Nieprzerwanie jednak spiskowała z ochmistrem dworu, księciem Rudolfem Liechtensteinem.

Nadszedł brzemienny w skutkach dzień 0 września 1898 roku. Bawiąca w Genewie cesarzowa Elżbieta opuszcza o wpół do drugiej hotel „Beau Rivage” i udaje się w towarzystwie damy dworu, hrabiny Sztaray, na statek, który ma ją zawieźć do uzdrowiska Caux. Nagle na pustym nabrzeżu pojawia się młody mężczyzna, biegnie w stronę zdumionych kobiet i zniecacka zadaje Elżbiecie cios cienkim pilnikiem w okolicę serca. Cesarzowa pada. Kiedy dama dworu przy pomocy przygodnego dorożkarza podnosi ją, Elżbieta nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego, co się stało i pyta zdumiona:

- Czego właściwie chciał ten człowiek?

Rusza dalej w kierunku statku, ale po krótkiej chwili - ogarnięta nagłą słabością - osuwa się na ziemię. Umierając, pyta jeszcze:

- Co się właściwie stało?

Mordercą okazał się robotnik budowlany, Luigi Lucheni. Na wieść o tragedii Katarzyna Schratt przerywa urlop w górach i z najwyższym pośpiechem przybywa do Wiednia. Długo spaceruje z przygnębionym Franciszkiem Józefem po strzeżonych alejkach w Schönbrunn. Wielu ludzi odczyta jej gest jako samarytański, jako chęć niesienia pomocy. Tylko nie Waleria, która obecnie zdecydowana jest przerwać ten ośmieszający cesarza romans. Przyjmie zatem w stosunku do aktorki postawę wyniosłą, a nawet arogancką. Sądzi, iż w ten sposób wyrówna część krzywd wyrządzonych matce, która umierała w osamotnieniu.

Pierwsza próba odseparowania cesarza od kochanki odbyła się podczas jego pobytu w Budapeszcie. Wygląda na to, że ktoś celowo postanowił wywołać u niego wyrzuty sumienia, przypominając świeżo poniesioną stratę - zmarłą małżonkę.

W miesiąc po pogrzebie Elżbiety Franciszek Józef był już w Ofen, ze zwyczajową doroczną wizytą na Węgrzech. Wstępne oficjalności zaczyna traktować bardzo pośpiesznie. Gdy pozostanie sam, uda się do pokojów cesarzowej, które - podobnie jak jego własne - znajdują się również na pierwszym piętrze pałacyku. Zdumiony stwierdzi, że wszystko przygotowano tutaj na jej przyjazd. Każdy przedmiot, który lubiła mieć pod ręką, znajduje się na swoim miejscu: rozłożona garderoba, rozliczne drobiazgi codziennego użytku, nawet waga, na której codziennie kontrolowała ciężar swego wiotkiego ciała, no i oczywiście książki...

Podczas obiadu cesarza zaczyna nagle obsługiwać Seitz - cukiernik Sissi - który tego dotychczas nigdy nie robił. Franciszek Józef czuje się przytłoczony obecnością zmarłej żony. Przejdzie raz jeszcze przez amfiladę pokoi, stanie na balkonie, który dopiero co na jej życzenie zbudowano, i spojrzy na rozpościerającą się, okoloną Dunajem, malowniczą panoramę Pesztu. Po raz pierwszy ogląda miasto oczami Elżbiety. Tak bardzo je lubiła. Zupełnie przeciwnie niż on. Nawet w tej chwili musi tłumić narastającą niechęć.

Postanawia otrząsnąć się z dławiącej obecności Sissi i ucieka do Gódólló na polowanie. Tym razem namiętność do łowów nie daje mu zadowolenia. Po flintę sięgnie jeszcze nieraz, ale więcej będzie ugania się po lesie i ostępach aniżeli trofeów. Nie w smak mu te wyprawy, jak i rozmowy z miejscowymi prominentami. A zmarły Rudolf tak dążył do przywdziania węgierskiej korony. Podobno nawet kochał tych Madziarów. Miał to z pewnością po swojej matce. Teraz już oboje nie żyją. W cesarzu coraz silniej odzywa się tęsknota za Wiedniem. I za przyjaciółką. Na Węgrzech pozostanie do końca listopada.

Stolica upomniała się o swego pana. 2 grudnia monarchia austro-węgierska zacznie bowiem żyć pięćdziesiątą rocznicą wstąpienia na tron Franciszka Józefa. W oficjalnych wystąpieniach cesarz utożsamiał się ze swoimi licznymi narodami, aczkolwiek nie wszystkie darzył jednakową sympatią. Ta rocznica w szczególności przymuszała go do bezustannych oficjalnych wystąpień. Nie będzie miał czasu dla siebie, ale życie nauczyło go wytrwałości. Pani Schratt pozostaje więc nadal odgradzona od dworu, zdana na dosyć nieregularny kontakt osobisty i listowny.

Po obchodach jubileuszowych zaczynają się na dworze spekulacje matrymonialne, które wielce drażnią aktorkę. Jedni swatają blisko siedemdziesięcioletniego Franciszka Józefa z czterdziestotrzyletnią arcyksiężną Marią Teresą - wdową po jego bracie Karolu Ludwiku, a równocześnie macochą Ferdynanda, który już zagarnął podstawowe atrybuty następcy tronu; inni - a przewodzi im Waleria - rają siostrę zmarłej cesarzowej, hrabinę Trani.

Rachunki prowadzono bez gospodarza, ponieważ Franciszek Józef pozostawał głuchy na podobne propozycje. Arcychrześcijański monarcha nawet przez chwilę nie pomyślał o nowym mariażu. Zresztą wiedział, że daremnie by szukał w swoim otoczeniu wielkodusznej małżonki. Pod tym względem Sissi była jedyna.

Podrażniona i zagrożona w swych ambicjach Katarzyna Schratt, która nigdy nie miała zbyt dobrych doradców, postanawia przejść do natarcia. W zaciętrzewieniu traci poczucie realizmu. Zwraca się nagle do cesarza z żądaniem, by nadał jej nowo ustanowione

odznaczenie - Order Elżbiety I klasy. Franciszek Józef odmawia tłumacząc delikatnie, że dekoracja wywołałaby falę złośliwych i ośmieszających komentarzy. Rozczarowana Schratt daje upust swej irytacji. Majestat cesarski nigdy tak nie ucierpiał. Kochanek wszystko zniósł pokornie, ale orderu nie przyznał.

Arogancja aktorki wzmagą się. W miarę skromna zaczyna teraz zachowywać się w stosunku do cesarskiego otoczenia wyzywająco, zaś od rodziny panującego domaga się szacunku należnego księżniczkom krwi. W swym zapamiętaniu upokorzyła ukochaną córkę cesarza - Walerię. Zresztą nie po raz pierwszy i ostatni.

Któregoś dnia przypomni mianowicie Franciszkowi Józefowi, że zmarła cesarzowa obiecała kiedyś - rzekomo w 1899 roku - wyjednać jej audiencję u arcyksiężnej Walerii. Monarcha przełamuje opory córki, która ostatecznie wysłała Katarzynie grzeczne zaproszenie, tymczasem aktorka, tylko na to czekając, odpowiada wyniośle, że z bliżej nieokreślonych powodów wizyty złożyć nie może. W świecie arystokratycznym zawrzało.

I jeszcze jedna przykra sprawa - tym razem na terenie teatru. Artystka prawie od samego początku próbowała wykorzystać znajomość z cesarzem dla swej scenicznej kariery. Franciszek Józef nie uznawał jakichkolwiek protekcji, stąd każde takie działanie wprowadzało go w ogromne zakłopotanie. Uważał, że uczucia nie należy zakłócać interesownymi postulatami. Czasami ulegał, ale zawsze z tego powodu cierpiał.

Tym razem żądanie miało charakter natarczywy. A rzecz miała się tak: nowy dyrektor Burgtheater, dr Paul Schlechter, który przybył nad Dunaj z Berlina, zmienił w zasadniczy sposób profil wiedeńskiej sceny, podnosząc wydatnie jej artystyczną rangę. Przede wszystkim dążył do wprowadzenia ambitnego repertuaru współczesnego, nawiązując do najnowszych dokonań europejskiego dramatu, między innymi takich autorów jak Ibsen czy Gerhard Hauptmann.

Niestety, przybyły z Berlina kierownik sceny nie obsadzał Katarzyny w sztukach „nowej fali”. Aktorka miała już wówczas pewną skazę manieryczną, nabytą w farsach. Usterki dykcyjne mogły wydawać się miłe w codziennej konwersacji - gorzej, gdy słyszało się je w utworach klasycznych.

Tymczasem ambicją Schratt było występowanie w dramatach Ibsena i Hauptmanna, chociaż bohaterki tych sztuk niewiele miały wspólnego z jej aktorskim emplotem. Nie potrafiła tego zrozumieć. Uważała się za kobietę nowoczesną i za gorliwą wyznawczynię postępu. Któż zatem, jeżeli nie ona, był bardziej predestynowany do występowania w tych awangardowych utworach?

Obrażona na kierownictwo teatru, domagała się coraz to nowych urlopów, które bezustannie prolongowała. Zaczęła też demonstracyjnie podróżować i przyjmować hołdy. Niektórzy twierdzili, że pragnie naśladować cesarzową, mimo że - w odróżnieniu od monarchini - nie skłaniał jej do tego żaden wewnętrzny nakaz. Poruszała się po Europie bez konkretnego celu. Choć może istniał jeden: Monte Carlo - dokąd Katarzyna, z wypiekami na twarzy, podążać będzie coraz częściej, by grać i... przegrywać. Cesarz nie uznawał gier hazardowych i gorąco pragnął ją o tym przekonać.

I oto nadszedł czas, gdy należało z aktorką odnowić kontrakt sceniczny. Dyrektor Schlechter nie tylko nie obiecał jej ról w sztukach modnych autorów, ale domagał się od niej bezwzględного przestrzegania dyscypliny pracy. Urażona Katarzyna złożyła wymówienie, wiedząc, że trafi ono na biurko cesarza, ponieważ teatr pozostawał pod jego osobistą pieczęcią i z jego szkatuły był dotowany. Miała zatem nadzieję na triumfalny powrót do „Burgu”. Tymczasem monarcha z największym spokojem podpisał zgodę na rezygnację. Oczekiwanego telefonu do Schlechterera nie wykonał i reprimendy mu nie udzielił. Gorycz Schratt graniczyła z histerią.

Kto wie, czy cesarzowi zależało na otrzeźwieniu aktorki, czy raczej na faktycznym wycofaniu bliskiej mu osoby ze środowiska teatralnego, gdyż chciał zachować ją wyłącznie

dla siebie.. Katarzyna nie przyjęła żadnych tłumaczeń. Kochankowie mówią ze sobą dwoma różnymi językami.

„Sposób, w jaki mnie Pani wczoraj opuściła, budzi we mnie, niestety, wątpliwość, czy Pani mnie jeszcze kocha. Jeżeli jednak odrobina uczucia pozostała - relikw starożytności - to proszę sobie uzmysłowić, jak straszną musi być dla mnie ta niewiadoma; nie do zniesienia jest brak wiadomości od Pani. Proszę więc dać mi jakiś znak, który pozwoli zachować nadzieję, że wszystko będzie dobrze, że po pewnym - miejmy nadzieję - niezbyt długim czasie zobaczymy się znowu u mnie albo u Pani w mieszkaniu. Niech Bóg Panią osłania i kieruje Ją w stronę łagodności i pojednania. Moje uczucia dla Pani pozostaną zawsze takie same...”

Cesarz następnie ubolewa, że się uniósł i zbyt perorował, ale bo też nie chciała w ogóle go słuchać, odrzucała z góry wszelką argumentację, mającą ich wspólne dobro na uwadze; nie poza uporem, porywczym i niesłusznym oskarżeniem nie potrafiła mu przeciwstawić.

Katastrofa zawisła w powietrzu. Przeciwnicy tej przyjaźni mogą triumfować i otwierać zwycięskiego szampana. Wydaje się, że powstałe między kochankami nieporozumienia są zbyt głębokie, żeby można było o nich zapomnieć.

Katarzyna wyjeżdża. Osamotniony Franciszek Józef topi osobistą gorycz w pracy. Z solidnością obowiązkowego urzędnika spełnia swoje powinności monarchy - zarówno administracyjne jak i reprezentacyjne. Staje się jeszcze bardziej ruchliwy. Dzieli dobę między relaksowy Schönbrunn i pracowity Hofburg. Wymiana listów między kochankami prawie ustaje. W obawie przed histerią cesarz nie domaga się już długich epistoł; w którymś liście powie: wystarczą mi informacje w skrócie telegraficznym.

Monarcha czuł się słusznie urażony i choć nadal kochał, utrzymując Katarzynę na dystans chciał sprawić, aby uzmysłowiła sobie chociażby cień własnej winy. Wypełniał go smutek i żal, a mimo to w swoich listach zachowywał spokój i rozagę, dwornie nadmieniał o dawnych, miłych chwilach, które przeżyli, relacjonował - jak to było w jego zwyczaju - niezwykle drobiazgowo i w miarę dowcipnie swoje obowiązki oraz niezmiennie zapewniał obrażoną kochankę o swoich do niej uczuciach. Ten spokój podszyty był jednak chłodem.

Po pewnym czasie aktorka spostrzega, że proces wzajemnego oddalania się postępuje, że chyba przeciągnęła strunę i że kochany Franzi tylko do pewnego momentu jest kochany i „bezbrzeżnie” oddany. Prosi zatem, by pozwolił jej przyjechać do Godolló, gdzie dorocznym zwyczajem bawi jako król węgierski. Monarcha grzecznie odmawia, zasłaniając się obowiązkami państwowymi.

Dotknięta do żywego artystka rozważa, jak ma postąpić. W ubiegłym roku po podobnym afroncie pojechała w porze letniej do Ischl po to, żeby w przeddzień przyjazdu cesarza udać się ostentacyjnie do Kissingen, zostawiając służbie wiadomość, że tam czekają na nią kąpiele. Posłużyła się przy okazji żądłem zazdrości, dzięki któremu miała nadzieję, że jeszcze bardziej podekscytuje swojego krnąbrnego kochanka.

Otóż w trudnych dla siebie chwilach, niby to mimochodem, przywołuje na widownię niejakiego pana Felixa Weinerja, który od dłuższego czasu, jeżdżąc za nią po całej Europie, prześladowuje ją swoimi amorami i miłosnymi deklaracjami. Franciszek Józef w listach do swej przyjaciółki nazywał go Jungling (młodzieniec) i czasami rzeczywiście zdradzał jakby lekkie zaniepokojenie, ale przeważnie bawiły go perypetie tego dosyć pospolitego adoratora, tym bardziej że tajny policmajster „przepatrywał” od czasu do czasu otoczenie artystki. A trudno, by sama Katarzyna nie wiedziała też o tych praktykach.

Przykrym zawodem dla cesarza okazała się - nieobecność kochanej kobiety w porze urlopowej w Bad Ischl. Dla pełnego odprężenia potrzebna mu była jej bliskość, towarzystwo pani Schratt wpływało dobroczynnie, a nawet kojąco na jego samopoczucie, na jego skołataną nerwy. Kiedy Franciszek Józef dowie się o demonstracyjnej ucieczce przyjaciółki do Kissingen, wie już dobrze, co to oznacza. A że jest człowiekiem rycerskim, respektuje

warunki gry małej złośnicy i potrafi zdobyć się na pełen troskliwości list: „Może napisze Pani do mnie czasami krótkie słowa i powie, jak się Pani powodzi, w jakim jest nastroju i czy letnisko w Kissingen nie wydaje się zbyt niemiłe; czy Pani jeździ na rowerze i czy Jungling... podążył za Panią... Wczorajszego ranka pozostałem w domu, ponieważ istotny sens mojej porannej promenady odpadł...”

Tylko w jednym list ten okazał się nieco inny; dotychczas kochający Franzi zawsze przypominał miejsca, w których przeżywali razem dobre chwile - teraz przewodniczką miała zostać niedawno zamordowana Sissi: „Jakże chętnie przybyłbym do Pani, ażeby w jej towarzystwie odwiedzić miejsca, które nasza droga Nieobecna bardzo kochała...”

Tego roku Katarzyna Schratt tak postąpić nie może. W ogóle sytuacja ułożyła się dla niej fatalnie. Franciszek Józef będzie obchodził w Ischl - jak to było w zwyczaju - swoje urodziny. Tylko że tym razem będą to już urodziny siedemdziesiąte. Do pałacyku zjechała wyłącznie najbliższa rodzina oraz - na specjalne życzenie jubilata - jeden, ale wyjątkowo bliski mu duchowo i oddany, choć obcy człowiek, mianowicie generał broni Fryderyk Beck. Jak mogła zmieścić się w tym towarzystwie artystka, która nie tylko demonstracyjnie odsunęła się od cesarza, ale i zraziła do siebie całą jego rodzinę?

A jednak Katarzyna do Ischl przyjeżdża. Arcyksiężna Waleria zanotowała w swoim pamiętniku wyniośle: „Dziwnym trafem pojawiła się w Ischl także pani Schratt”. Wyrażna to złośliwość, ponieważ obecność Katarzyny w tej miejscowości obrosła już legendą, a jej spacer z monarchą podpatrywało pół świata. A może Waleria pragnęła dać do zrozumienia, że przyjaciółkę ojca można już wykreślić z cesarskiego otoczenia?

Tymczasem, gdy Franciszkowi Józefowi doniesiono, że w „Felicitas” zamieszkała znana mu dobrze lokatorka, nie potrafi się powstrzymać - koniecznie chce ją zobaczyć. Rodzina chłodno kwituje jednak tego rodzaju sugestie. Przed Waleria cesarz zaczyna tłumaczyć się jak sztubak; podobno miał nawet łzy w oczach, gdy mówił, że idzie do „Felicitas” po raz ostatni. „Abschied auf Nimmerwiedersehen”. Pożegnanie na zawsze.

Co chciał tą wizytą osiągnąć? Myślał chyba o pojednaniu. Chwila była ku temu sposobna. Podniosły nastrój okrągłych urodzin mógł za jednym zamachem przekreślić wszystkie nieporozumienia. Ileż to razy przy takiej okazji Katarzyna obdarowywała go różnymi drobiazgami, które przechowywał jak relikwie: a to etui do cygar, a to terminarzyk biurowy z napisem „Dieu vous garde”, a to jej fotografia z naklejoną koniczynką; dwa lata temu dostał breloczek do zegarka, który wyobrażał anioła oraz kałamarz „przynoszący szczęście”.

Stęskniony Franzi oczekiwał serdeczności, a może nawet czułości. W willi „Felicitas” spotkał go srogi zawód. Katarzyna pozostała nadal rozdrażniona. Powodem był chłód cesarskiej rodziny. A przecież nie tak dawno, bo w maju w Karlsbadzie otaczał ją rój dostojnych panów, między innymi księżę Eulenburg, ambasador rosyjski, hrabia Kapnist, a nawet cesarska wtyczka - Emil Freiherr von Chertek. Dopiero trzeba jej było przyjechać do ukochanego monarchy, by się przekonać, że dla rodziny Najjaśniejszego pozostaje nadal nicością...

Rozmowa nie należała do przyjemnych. Franciszek Józef odszedł ze spuszczoną głową i uczuciem pustki w sercu. W liście z 30 sierpnia napisze: „Przed dwudziestoma czterema godzinami opuściłem bliskich, udając się w ostatnią drogę do Pani - mój gorąco Kochany Aniele. A potem kiedy Pani zniknęła spotkałem kominiarza, który stał przy kuźni. Uważa Pani, że to oznaka szczęścia? Może istotnie przyniesie mi szczęście, a szczęściem tym byłoby ponowne zobaczenie Pani. Ogarniającego mnie nastroju nie potrafię opisać, ponieważ jest to ponad moje siły, tak wielki owładnął mną smutek. Także Pani powinna się uspokoić i wreszcie rozpoznać”.

W Ischl krążył wokół aktorki także Jiingling, który jednak gonił resztkami finansów. Dowiedział się o tym cesarz, ponieważ nieszczęsny adorator przypadkowo zwrócił się z prośbą o pożyczkę do Beyerla, jego zaufanego policmajstra w cywilu.



Po dramatycznej rozmowie, jaka odbyła się w „Felicitas”, Katarzyna Schratt w pośpiechu opuszcza Ischl, udając się do Bad Gastein. Już z Schönbrunn - 5 września - Franciszek Józef z pewną satysfakcją doniósł jej o przygodzie Beyerla z Jiinglingiem, który usiłował naciągać go na forszę. Jednakże plotki, którą mu starsza córka, Gisele, przyniosła, jakoby artystka „podjęła decyzję opuszczenia Wiednia na dłuższy okres, a kto wie, czy nie na zawsze” - nie potraktował poważnie.

Tymczasem przebywające w Bad Gastein międzynarodowe, wytworne towarzystwo gorliwie tę wiadomość kolportowało. Listy cesarza są spokojne, ale tchną coraz częściej chłodem. Trudno doczytać się w nich owego dramatu, jaki rozegrał się w dniu jego urodzin i spowodował drugie, grożące ostatecznym rozstaniem, przesilenie w stosunkach między nim a Katarzyną. Píše je człowiek, który zaczyna godzić się ze swoją osobistą klęską.

Kryzys między kochankami tłumaczono w Wiedniu nieco inaczej, bardziej sensacyjnie. Dał temu wyraz w swoich pamiętnikach Kazimierz Chłędowski. Przytoczmy jego zapis, jako odbicie ówczesnej napiętej i gorącej atmosfery plotkarskiej tamtych dni: „7 września 1900. W zeszłym tygodniu cesarz rozstał się z panią Katarzyną Schratt; tego się nigdy nie spodziewałem. Rzecz miała się tak. Od dawna arcyksiężna Waleria i ochmistrz dworu, książe Rudolf Liechtenstein, w połączeniu naturalnie z wieloma wpływowymi osobistościami nad tym pracowali, aby zerwać ten stosunek. Schratt wraz z generalnym dyrektorem Landerbanku, Palmerem, wzięli formalnie cesarza w jego wolnych godzinach w arendę; cesarz wszystkie wolne chwile u niej przepędzał i tam miał stałą partię pikietą ze Schrattową, z Palmerem i hofratem Schulzem, także Żydem, który wskutek tego bardzo szybko w urzędzie zrobił karierę. Schulz, człowiek bardzo dowcipny i sprytny, zabawiał oczywiście towarzystwo, a Palmer, gładki, zręczny, umiał cesarza w swe sidła uwikłać. Raziło to wszystkich, że cesarz prywatnie wyłącznie prawie w tym żydowskim żyje towarzystwie, a arystokracja austriacka niemało była tym rozgoryczona... Schrattową, w połączeniu z Palmerem, starała się nawet w ostatnich latach mieć wpływ polityczny i w protegowaniu różnorodnych osobistości na cesarza, przeciw czemu cesarz dawniej bardzo się bronił. Ostatnimi czasy uwzięła się, aby koniecznie wysadzić dyrektora teatru burgowego, berlińczyka Schlenthera, czemu się cesarz sprzeciwiał idąc za zdaniem Liechtensteina i barona Plapparta, intendenta cesarskich teatrów. Obecnie, po wakacjach, Schrattowa znowu cesarza w tej mierze zaczęła molestować. Cesarz stanowczo na to odpowiedział „nie”, na co Schrattowa odrzekła, że w takim razie musi z Burgu wystąpić i z Wiednia wyjechać. Cesarzowi to podobno niesłychanie było przykrym i miał łzy w oczach, że się ze swą przyjaciółką rozstać musi, ale pozostał przy swym postanowieniu. Zwycięstwo więc Walerii po długoletniej kampanii najzupełniejsze. Schrattowa wyjechała na razie do Zell am See, później do Paryża, cesarz dał jej milion guldenów jako odprawę, biedy więc cierpieć nie będzie. Liechtenstein zaś już poprzednio powiedział Palmerowi, aby wobec cesarza wstrzymywał się od politycznych uwag i krytykowania w rządzie będących osobistości. W ten sposób, daj Boże. żeby na zawsze, w łeb wzięła żydowska kamaryla”.

Stary plotkarz Chłędowski wklei nawet do swego wiedeńskiego pamiętnika ogłoszenie z gazety „Neue Presse”, w którym rzekomo Franciszek Józef w sposób zawoalowany przywoływał swoją ukochaną Katarzynę do powrotu nad Dunaj. Wycięty inserat jest następującej treści: „Kathi kehre zurtich. Alles geordnet zu Deinem unglücklichen, verlassenen Franzi”. (Kasiu, wszystko w porządku, wracaj do Twego nieszczęśliwego, opuszczonego Franka).

Być może, iż jakiś dworski kawalarz albo zgoła dziennikarz-przechera dał do gazety powyższe ogłoszenie, by zabawić Wiedeń kosztem kochliwego Franciszka Józefa. Powstała w ten sposób dość sympatyczna anegdota, która jednak całkowicie mija się z prawdą. Cesarz bowiem na bieżąco był informowany, gdzie pani Schratt przebywa i co porabia.

Zresztą Katarzyna nie ośmieliłaby się opuszczać Wiednia bez poinformowania monarchy o celu podróży i jej przebiegu - do czego została kiedyś raz na zawsze zobligowana. Jeżeli informacja docierała do pałacu z opóźnieniem, Franciszek Józef gniewał się nie na żarty.

Katarzyna dobrze wiedziała, że nie może przeciągać struny. Raz na zawsze przestała być osobą prywatną. Zapowiedziała zatem - korespondencyjnie - „podróż orientálną”, pytając przy okazji niewinnie: dlaczego między nimi wszystko się tak okrutnie popsło.

Monarcha odpowiedział z godnością: „To pytanie należy skierować do Pani, ponieważ to Pani chciała, żeby tak się stało, jak się stało”. I dodaje refleksyjnie: „Mój nastrój to bezbrzeżny smutek w beznadziejnej samotności; w ostatnich czasach daje znać o sobie coraz częściej starość, jestem bardzo znużony...”

Upływ czasu łagodzi zadrażnienia, wygładza zranione ambicje, zaś przedłużające się odosobnienie podsyca tęsknotę za kochaną osobą. Stanowczo zawsze więcej ich łączyło, niż dzieliło. Ich miłość nie była uczuciem wyspekulowanym, chociaż każde inaczej pojmowało namiętność i przywiązanie. Cesarz dałby wiele, żeby Katarzyna zechciała przyjąć go takim, jakim był, i nie starała się komplikować związku nierozsądnymi żądaniami i niestosownym postępowaniem. Ale chyba zbyt wiele żądał. Potrafił sporo zrozumieć, a nawet wybaczyć, nie umiał tylko zmienić swego postępowania.

W końcu od Franciszka Józefa wyszły pierwsze gesty pojednawcze. Tliło się w nim to uczucie do Katarzyny i odżywało w najmniej odpowiednich chwilach. Znaczącą, by nie powiedzieć: zasadniczą rolę w tym kryzysowym czasie odegrało przywiązanie. Cesarz nie mógł się pogodzić z zupełnym brakiem kontaktów, tęsknił za rozmowami z rezolutną aktorką, za jej plotkami, herbatą, ciastkami, za tarokiem i bamboszami, za tą zwyczajnością jej domu i uczuciem nieskrępowania.

Również i Katarzyna się zreflektowała. Wiele przemyślała i wiele zrozumiała. Odezwie się w niej wreszcie lepsza strona charakteru. Jej cesarski kochanek wzruszył się ogromnie, gdy w dzień imienin, które skromnie obchodził w październiku, otrzymał od przyjaciółki wielki kosz kwiatów oraz bukiet purpurowych róż. Do życzeń dołączona była butelka łagodnego koniaku, który chętnie pijał do kawy, gdy ogarniał go dobry nastrój.

Kochana Katarzyna znajdowała się daleko, ale przecież pamiętała o nim, co więcej - tą rozrzewniającą przesyłką pragnęła z pewnością zatrzeć niemiłe wrażenie po „ostatecznym” pożegnaniu w Ischl. Dziękując pani Schratt gorąco, monarcha pisał między innymi: „Moje myśli są bezustannie przy Pani, zaś w ostatnich czasach wyjątkowo często jawi mi się Pani w snach”.

Ów dzień imienin można uznać za przesilenie w stosunkach między kochankami. Listy powoli zaczęły tchnąć dawną atmosferą. Powróciły intymne zwierzenia, a także szczegółowe relacje z oficjalnych spotkań i z codziennych zajęć, z rozmów z wybitnymi osobistościami i artystami. Zdarzały się też drobne gesty pod adresem aktorki („By pójść do tego kiedyś tak kochanego Burgtheatre, nie jestem w stanie się nakłonić”), były słowa tęsknoty i oczekiwania, nawet i informacje o dobrym samopoczuciu („Wczoraj, po długim okresie czasu, znowu jeździłem konno w szkole hiszpańskiej, poszło całkiem dobrze...”).

Po przeszło pięciomiesięcznej podróży wytęskniona Katarzyna pojawiła się wreszcie w Wiedniu. Jeszcze się trochę boczyła, ale to raczej na pokaz, w rzeczywistości poddała się całkowicie woli cesarza i kochanka. Franciszek Józef wiedział o tym najlepiej. Nie protestował nawet przeciw temu, że jego przyjaciółka jeszcze przez pewien czas utrzymywała dotychczasowy styl życia - musiała przecież zachować twarz wobec środowiska artystycznego. Stała się nawet bardziej ruchliwa: wyjeżdża, to znowu wraca. Wydaje się, że podróże weszły jej w krew. Choć zapewne to tylko substytut teatru: wszędzie, gdzie się pojawia, budzi - jak na scenie - powszechne zainteresowanie.

Starzejący się z godnością pierwszy mieszkaniec Burgu cierpliwie adresował listy to do Berlina, to do Kolonii, to do Frankfurtu, to do Puerto Cruz i... Bóg jeden wie dokąd jeszcze? Wysyłał je z miejsc stałego urzędowania, z manewrów, z podróży inspekcyjnych... Któregoś dnia pani Schratt otrzymała nawet list pisany w Cieszynie.

Pojednanie kochanków stało się faktem. I znowu powróciła Gloriettegasse: „20 czerwca 1901 otrzymane wczoraj wieczorem powiadomienie zezwalające na odwiedzenie Pani czyni mnie szczęśliwym i jeżeli nie ma Pani nic przeciw temu... przybędę dzisiaj na ulicę Gloriette o godzinie szóstej po południu”. Znowu podjęte zostały letnie wizyty w „Felicitas”: „Ischl, 7 sierpnia 1901 Jeżeli Pani pozwoli, przybędę rano kwadrans po siódmej do «Felicitas» i to powozem, bo wszystkie mostki nad Ischl zniknęły. Właściwie jest to zbyt wczesna godzina, zważywszy, że po podróży powinna Pani wypocząć, ale muszę o wpół do dziewiątej przyjąć gratulacje od mojej rodziny... Pomyślałem jednakże, iż kiedyś była Pani tak dobra i oczekiwała mnie tego dnia o tak wczesnej porze; wspaniale, gdyby Pani życzenia należały do pierwszych”. Znowu powrócił Hietzing... Wszystko potoczyło się dawnym trybem - z tym tylko, że spotkania kochanków odbywały się już bez specjalnego kamuflażu, prawie na oczach wszystkich. Samotny i nie najmłodszy już władca mógł sobie na taki luksus pozwolić. Jego życie intymne stało się własnością powszechną.

Nadeszła też chwila, kiedy Katarzyna Schratt znowu pokazała się na scenie, choć tym razem „jedynie” w „Deutsches Volkstheater”; 7 października wystąpiła w roli tytułowej sztuki Franza Schönthana „Maria Theresia”.

I tak już ich życie osobiste potoczy się bez większych emocji. Z biegiem lat - wraz z wiekiem monarchy - namiętność ustąpi miejsca przyjaźni. Cesarzowi, który pełnić będzie obowiązki głowy państwa do swoich ostatnich dni, starczy też czasu na bardziej intensywne życie prywatne. Katarzyna i Franciszek Józef coraz bardziej zaczną przypominać stare małżeństwo.

Romans rozplynie się w końcu w listach, których strumień także 23 zacznie z czasem wysychać. Starszy pan śledzić jednak nadal będzie pilnie wszelkie fascynacje i wystąpienia publiczne swej ciągle ruchliwej i przedsiębiorczej kochanki. Pochwali więc ostrożność przy kupowaniu pałacu gdzieś w okolicach Salzburga, ale będzie prosił, by zatrzymała willę przy Gloriettegasse. Mniej się natomiast przejmie przeprowadzką Katarzyny - w 1905 roku - ze starego mieszkania przy Elisabethstrasse na Kartnerring 4. W miejscu tym zresztą pozostała już do końca życia.

Cesarz pokręci trochę nosem, gdy Katarzyna kupi w 1907 auto, i będzie przestrzegał przed wypadkiem; natomiast nigdy nie pogodzi się z jej namiętnością do gry w ruletkę. Po pewnej dyskretnej „interwencji finansowej” (także w 1907) powie: „Niech Pani w przyszłości gra ostrożnie i nie stara się przy pomocy wysokiej gry odzyskać sum przegranych”. Ale pieniędzy nie będzie jednak nadal jej żałował.

Prześladowany myślami o swym rychłym zgonie, 3 listopada 1911 roku nakaze generalnemu dyrektorowi zarządu prywatnego majątku wypłacić Katarzynie Schratt dwa i pół miliona koron austriackich prawdziwie królewskiej renty.

Złe samopoczucie po kilku miesiącach minie i cesarz znowu wróci do sprawnego urzędowania. Zadziwiał witalnością i uporem w pracy. Bardzo powoli ustępuje miejsca Ferdynandowi: nie ma po prostu doń zaufania. Choć jego starość coraz wyraźniej rzuca się w oczy, niewiele to jeszcze oznacza. Król angielski - któremu stosunkowo dawno, bo podczas jego kuracji w Karlsbadzie, Franciszek Józef jawił się jako stojący nad grobem człowiek - umiera. Natomiast monarcha austriacki trwa na posterunku.

W kontaktach z Katarzyną, gdy nie mogą być bezpośrednie, telefon coraz częściej zastępuje listy. Ubywa słów na papierze. Wystarczają obecnie bileciki, zaś resztę dopowiada się w umówionym miejscu. Po tygodniach depresji cesarz zawsze doznaje przypływu energii - szczególnie widocznego latem. Wtedy też kontakty z Katarzyną stają się częstsze.

W Ischl ceremonia spotkań prawie się nie zmienia. W „Felicitas” na dostojnego gościa czeka zawsze kawa oraz ciasto drożdżowe z cynamonem i rodzynkami, zwane Guglhupf, za którym wręcz przepada. Nawet po osiemdziesiątce Franciszek Józef będzie się „przekradał” do swej damy serca - niezależnie od pogody. Że czasami posłuży mu do tego „przekradania” powóz, to już inna sprawa.

Oto jeden z ostatnich listów do Katarzyny Schratt: „9 czerwca 1913. Najdroższa Przyjaciółko, tylko kilka linijek, ażeby Panią powitać z okazji przyjazdu do «Felicitas» i z całego serca podziękować, że mimo zimna i złej pogody przybyła Pani, by mnie pocieszyć i rozweselić. Równocześnie pytam, czy jutro - w myśl utartego zwyczaju - wolno mi będzie zjawić się o siódmej rano. Brak odpowiedzi będę uważał za przyzwolenie i, zależnie od pogody, powiadomię telefonicznie, czy przybędę pieszo czy też powozem. W pierwszym przypadku proszę kazać odryglować małą furteczkę. W radosnym podnieceniu na oczekiwane z utęsknieniem spotkanie - Panią najtkliwiej kochający Franciszek Józef”.

Ostatni list do pani Schratt napisał cesarz w 1915 roku. Był to bilet, którym dziękował za nadesłane kwiaty i życzenia imieninowe.

Wojna całkowicie pochłonęła starego władcę. Długie życie zbliżało się do końca. Po raz ostatni Katarzyna rozmawiała z nim 9 listopada 96 roku, w dniu imienin zmarłej cesarzowej. Nikt nie przypuszczał, że za niespełna trzy dni przestanie bić serce Franciszka Józefa.

Tę smutną wiadomość przekazał aktorze księżę Montenuovo. Pospieszyła do pałacu, zabierając ze sobą dwie białe róże. W pokoju zmarłego, gdzie zgromadziła się cała cesarska rodzina, na Katarzynę nie zwrócił nikt uwagi. Znowu poczuła się w tym środowisku obco, jako osoba ledwie tolerowana. Stała w tyle w obawie, żeby jej nie wyproszono. W pewnej chwili nowy następca tronu, a właściwie już cesarz, Karol, podszedł do niej, podał jej ramię i podprowadził do łóża zmarłego.

Katarzyna, bez słowa, położyła swojemu Franzi dwie białe róże na piersi.

## MIŁOŚĆ DO MILENY

Franz Kafka i Milena Jesenska

N... powiadał mi: „Osiągnąłem to, iż znajduję wszystkie przyjemności w samym sobie, to znaczy jedynie w grze swojej inteligencji. Natura pomieściła w mózgu człowieka mały gruczoł, który pełni rolę zwierciadła: oglądamy w nim, lepiej lub gorzej, w dużym lub małym formacie, wszystkie przedmioty świata, a nawet produkty własnej myśli. Jest to latarnia magiczna, której człowiek jest właścicielem; przed nią przesuwają się sceny, których on jest aktorem i widzem. To jest właściwie człowiek; tam mieści się jego królestwo; wszystko inne jest mu obce”.

### CHAMFORT

Zobaczył ją po raz pierwszy jesienią 1919 roku w pewnej praskiej kawiarni, gdzie bywał przygodnie ze swoimi literackimi i artystycznymi przyjaciółmi. Z pewnością zamienili kilka słów, bo towarzyszyli jej - jak zwykle w Pradze - dobrze mu znajomi: pisarz Franz Werfel albo poeta Paul Kornfeld, a może i jeden, i drugi, lub dla odmiany któryś z ważnych redaktorów liberalnego dziennika „Tribuna”, do którego przysyłała coniedzielne felietony i korespondencje z Wiednia.

Milena Jesenska, głośna czeska wolnomyślicielka i dziennikarka, musiała zrobić na Franzu Kafce - czułym na urodę kobietą i wbrew pozorom wcale kochliwym - wrażenie, które pograżyło w głębokim cieniu wszystkie jego dotychczasowe miłości. Niektórzy biografowie wielkiego pisarza uważają wprawdzie, że wcale jej nie zauważył. Ale to nieprawda

Kiedy na początku 1920 roku nawiązała się między nimi dramatyczna wymiana listów, Franz Kafka napisał owe źle zrozumiane słowa: „Przychodzi mi na myśl, że nie mogę właściwie w żadnym określonym szczególe przypomnieć sobie twarzy Pani. Tylko jak Pani potem odchodziła między kawiarnianymi stolikami, Pani postać, Pani suknię, to jeszcze widzę”.

Było w tym oczywiście wiele kokieterii, chociaż pisarz spoglądał na ludzi zawsze jakby wycinkowo. Później, po wielu już miesiącach znajomości - głównie korespondencyjnej - z pewną irytacją zakochanego wyznał wręcz: „Ale jakże Twój mąż może wierzyć, że ja do Ciebie nie pisuję i nie chcę Cię widywać, gdy Cię raz ujrzałem”. (Cytaty z listów w przekładzie Feliksa Konopki).

Milena należała do wyróżniających się postaci: wielka, skandalizująca dama, podziwiana i obmawiana, niczym magnes ściągała na siebie spojrzenia - i to nie tylko mężczyzn. Dziennikarka, Hana Sklibova, która zobaczyła ją w 1924 roku - kilka tygodni po śmierci Kafki - do późnych lat zapamiętała pierwsze z nią spotkanie. Zwierzała się: „Powróciłam właśnie z Londynu i szef «Narodni Listov» (jedno z najbardziej znaczących czasopism ówczesnej Pragi - przyp. B.L.) zaprosił mnie w celu nawiązania współpracy. Milena była obecna przy rozmowie i muszę powiedzieć, że zrobiła na mnie wręcz imponujące wrażenie. Ubrana z pełną elegancją, nosiła krótko przystrzyżone włosy, a przy tym - dowcipna i pogodna. Wydawało mi się, że przyniosła ze sobą do Pragi ową zadziwiającą mieszanekę wiedeńskiego charme'u i dekadentkiej lekkomyślności. Nie uchodziłam przecież za żadnego kopciucha, ale Milena - to był właśnie ten wielki świat”.

Kafka z pewnością zobaczył ją właśnie taką. Podczas tego rodzaju zaskakujących spotkań rzuca się w oczy nie tyle twarz, ile sylwetka i styl towarzyski nowo poznanej osoby. Milena posiadała właśnie ów wielki dar przykuwania ludzkiej uwagi, a przy tym pełna była swobody i naturalności. Zanim pisarz ochłonął z pierwszego wrażenia, już odchodziła. „Pani postać, Pani suknię, to jeszcze widzę”.

Niczym zjawa z innego świata pojawiła się w ów jesienny dzień przed pisarzem, który od dłuższego czasu wyplątywał się ze swoich nieudanych narzeczeństw - najpierw z Felice Bauer, a później z Julią Wohryzek. Ta wiedeńsko-praska dama mówi miłe rzeczy, podziwia jego mało popularną twórczość, co więcej - gotowa jest tłumaczyć ją na język czeski. Prezentuje wyrozumiałość i szyk środowiska, które pociąga i zarazem odstrasza. Teraz zdecydowanie bardziej pociąga. Czyż w takiej sytuacji można obnosić się ze strapieniem prowincjonalnego narzeczonego?

Milena, jak mało kto z jej otoczenia, poznała się od razu na wielkim talencie Kafki - co więcej: domyśliła się chyba już podczas pierwszego spotkania, że pisanie, twórczość to całe jego życie - tragiczne i głęboko nieszczęśliwe. Z pewnością nie traktowała jeszcze wówczas autora „Procesu” jako kogoś, z kim mogłaby się dzielić myślami, nie mówiąc już o intymnych zwierzeniach czy braterstwie dusz. Łączyło ich duchowe powinowactwo w odczuwaniu literatury, poza tym byli sobie obcy.

Dla Kafki decydujące było zawsze pierwsze wrażenie - zrazu przelotne, rozrastało się później w pełen ekspresji obraz. Zadziwiające - jego wieloletnia przyjaciółka, Felice Bauer, którą tak gorliwie rajono mu za żonę, że czasami próbował wmawiać sobie z determinacją: „kocham ją i poślubię na wieczność”, przy pierwszym spotkaniu miała jedynie: „kościstą, pustą twarz, która pustkę obnosiła”. (Zapis w „Dziennikach”). Ich wzajemny stosunek został również zdeterminowany przez pierwsze wrażenie. Co jakiś czas pisarz próbował rewidować swe uczucia. Widocznie sądził, że powoli twarz przyjaciółki wypełni się treścią, że owieje ją promień natchnienia albo że przynajmniej zniknie pustka tego oblicza.

Pannę Felice Bauer żegnał ostatecznie w „Cafe Paris” w towarzystwie Maksa Broda, nie mówiąc zresztą ani słowa na jej temat. Ale Bród musiał tam być koniecznie, ponieważ to w domu Maksa poznał Kafka tę swoją narzeczoną. Zaczął się drugi dzień świąt Bożego

Narodzenia 97 roku; przy kawiarnianym stoliku Kafka perorował na temat „Zmartwychwstania” Lwa Tołstoja: „Odkupienia nie można opisać, można je tylko przeżyć”. Felice była już gdzieś daleko.

Jedna miłość wypaliła się w mieszczańskim Cafe: a w którym pojawiła się iskra nowego uczucia? Czy stało się to w kawiarni literatów i artystów „Arco” przy ulicy Hyberneskiej, ulubionym lokalu Mileny? Po wielu miesiącach, pewnej niedzieli stęskniony i nieszczęśliwy Franz Kafka napisał jej w liście: „Idę do kawiarni «Arco», w której już od wielu lat nie byłem, aby znaleźć kogoś, kto Ciebie zna”.

Niech nas zwrot: „od wielu lat nie byłem” - nie myli. Bowiem czas - nie tylko literacki - u wielkiego Franza jest bardziej płynny niż otaczająca go rzeczywistość: „wczoraj” - może znaczyć i sto lat g temu. W okresie potęgującego się uczucia do Mileny czas jakby przestawał istnieć.

Korespondencja, która rozwinęła się między Franzem Kafką a Mileną Jesenską - odczytywana obecnie przez biografów jak niezwykła, bo kontrowersyjna księga miłości - wzięła także swój początek w Pradze; rozpoczęła się w przeddzień wyjazdu pisarza do sanatorium w Meranie, gdzie postanowi wreszcie leczyć swoje bardzo już chore płuca.

„Napisałem do Pani kartkę z Pragi, a potem jeszcze z Meranu. Odpowiedzi nie otrzymałem żadnej” - zaniepokojony brakiem rezonansu przynagła swą piękną czytelniczkę. Niesłusznie zresztą, bo nazbyt powolna dla niecierpliwego, osamotnionego pacjenta poczta gromadzi listy - stąd przerwy, a potem większe przesyłki.

Początkowo obojgu marzy się nie tyle przygoda miłosna, co intelektualna. Jednak ten swoisty roman poetique już wkrótce zaczął obfitować w spięcia natury emocjonalnej.

Kiedy się poznali, Milena Jesenską nie miała jeszcze dwudziestu czterech lat (urodziła się 0 sierpnia 1896), natomiast Kafka (rocznik 1883) był od niej starszy o lat trzynaście. Sterany chorobą znajdował się w okresie pełnej dojrzałości intelektualnej i pisarskiej. Miał już za sobą szokujące czytelników opowiadania (między innymi tom „Lekarz wiejski”), powieści „Ameryka” i słynny „Proces”, pękaty brulion „Dzienników” oraz kilkadziesiąt stron liczący „List do ojca”. W zamyśle kształtowała się już bardzo wyrazista wizja „Zamku”.

Jest to także okres wzbierającej fali głębokiego osamotnienia, wywoływanej kompleksami na tle własnego pochodzenia oraz niemożnością porozumienia się z ojcem. Za tym wszystkim czaił się lęk o uciekające życie, zaciskała się obręcz śmiertelnej choroby.

Kafka urodził się w Pradze „w rodzinie przez język i kulturę niemieckiej, a przez tradycje i religię żydowskiej” - powiada Zbigniew Bieńkowski. Nie bez wpływu na jego osobowość była także mieszczańska zachowawczość oraz bezkrytyczny kult tradycji i hierarchii, z czym się bezskutecznie zmagał.

Ojciec pisarza, Hermann, wyrósł z biedy, lecz dzięki niezwykłemu samozaparciu dorobił się kamienicy i sklepu na starym praskim rynku. Z czasem zdobył godziwą pozycję. Do tego był silny, rośli i zdrowy. Ze swoim jedynym synem - miał poza tym jeszcze trzy córki - wiązał początkowo wielkie nadzieje, upatrując w nim kontynuatora swego kupieckiego dzieła.

Tymczasem Franz jakby pochodził z innego gniazda - wiecznie zamyślony i zamknięty w sobie - był tak szczupły (mimo słusznego wzrostu nie udało mu się nigdy przekroczyć wagi pięćdziesięciu pięciu kilogramów), że na pływalni brano go za chłopca, choć wiele lat temu zdobył doktorat z prawa. W rodzinie matki jeden Lówe był poetą i chyba tymi sokami karmił się ten myślący chłopak, który miał stać się jednym z największych pisarzy dwudziestego wieku. Od urodzenia też musiał nosić w sobie groźną chorobę, która objawiła się krwotokiem już w 97 roku.

W domu panował dostatek, ale Franz nigdy nie potrafił z niego korzystać. Był nad wyraz mało wymagającym jaroszem. Nie interesował się ani kamienicą, ani sklepem. Z kolei potężnemu, silnemu ojcu nie imponował żaden dyplom uniwersytecki - także ten zdobyty

przez syna. Ciągłe tyranizował i karmił Franza - oczywiście dla jego dobra - nie zważając ani na mijające lata, ani na pozycję zawodową i towarzyską syna. Surowym postępowaniem i brutalną postawą przesłonił przyszłemu pisarzowi horyzont życia. We wspomnianym „Liście do ojca” Franz Kafka powiada, że widzi go rozciągniętego na mapie świata, podczas gdy sam daremnie szuka na globie miejsca wolnego od obecności rodzica. Tam właśnie pragnie się schronić.

Ten werbalny protest był tylko literaturą. Trzeba sobie bowiem uzmysłwić, że na rok 99 przypada powszechne powstanie młodych przeciwko światu ojców. „List” podzielił los wielu innych tekstów Kafki - został schowany głęboko do szuflady. Adresatem okazać się miała potomność.

Franz Kafka, który od momentu ukończenia studiów przez całe swoje dorosłe życie pracował i zarabiał nienajgorzej - najpierw w praskiej filii „Assicurazioni Generali”, a potem w Zakładzie Ubezpieczeń - czynił ustawicznie nieśmiałe starania, by się wyzwolić spod władzy ojca i wkroczyć na drogę samodzielności. Jak zahipnotyzowany kręcił się jednak wokół rodzinnego domu. Półkroki wszakże dawały tylko złudzenie swobody.

Bywały chwile, że chciał też zerwać ze swoim środowiskiem. „Jaki tam ze mnie Żyd - powiadał - nic z nimi nie mam wspólnego. Są Żydzi zachodni, a ja z nich jestem najbardziej zachodni”.

Poirytowany swoimi współziomkami, strofował Milenę, że zbyt dobrze myśli o Żydach, podczas gdy on czasami chciałby ich wszystkich zamknąć w szufladzie bieliźniarki. Oczywiście razem ze sobą. Mówił tak, bo zawsze był gotów do samobiczowania. Próbował się uwolnić, choć wiedział, że nigdy nie uda mu się uciec od ojca ani opuścić swego środowiska. Dlatego w tajemnicy uczył się hebrajskiego. Nadejdzie czas, że spróbuje identyfikować się z ruchem syjonistycznym, gdy zacznie dotkliwie odczuwać brak ojczyzny, której nigdzie nie umiał znaleźć. Ale i te przedsięwzięcia zakończą się fiaskiem.

Milena Jesenska imponowała Kafce nie tylko urodą i obyciem wielkiej damy. Podziwiał ją za to, że potrafiła wyzwolić się od drobnomieszczańskich konwenansów i odejść od rodziny. A przecież miała podobnie surowy, obrosły tradycjami dom i wielce nie-tolerancyjnego ojca - powszechnie szanowanego profesora medycyny praskiego uniwersytetu. Jej rodzina powoływała się na długi, bo sięgający szesnastego wieku rodowód. To samo nazwisko nosił przecież rektor uniwersytetu - jeden z przywódców powstania antyhabsburskiego - który po bitwie pod Białą Górą w 1620 roku stracony został publicznie wraz z grupą dwudziestu siedmiu czeskich panów. Zginął zamordowany w wyjątkowo barbarzyński sposób..

Tam właśnie, pod Białą Górą, Czesi utracili wolność. Odrodził ich wiek dziewiętnasty, a pierwsza wojna światowa przywróciła im niepodległość. Wielkim heroldem ruchu wolnościowego był ojciec Mileny, Jan Jesensky, którego patriotyzm był tak silny, że czasami ocierał się o szowinizm. Radość z odzyskanej państwowości powodowała, że nietrudno było tę granicę naruszyć bądź przekroczyć.

Milena od najmłodszych lat nie chciała się identyfikować ze swą znakomitą rodziną. Kafka powie w „Dziennikach”, że jest „wolna od strachu”. Życie nauczyło ją samodzielności, a ciotka - znana pisarka dla dzieci i młodzieży, Rużena Jesenska, która po przedwczesnej śmierci matki dziewczynki, starała się Milenę wychowywać nie potrafiła znaleźć z nią wspólnego języka. Dziecko uważano za krnąbrne i pedagogicznie trudne. Milena nie cierpiała więzów, zawsze chciała być niezależną obywatelką świata, mimo że równocześnie - choć po swojemu - gorąco kochała swą czeską ojczyznę.

Tacy byli ci ówczesni młodzi twórcy prasy, orientujący się zarówno na Paryż, jak i na Moskwę - światowi, ale nie kosmopolityczni.

Milena chodziła do szacownego gimnazjum, którego patronką była Minerwa-Atena, bogini, mądrości zrodzona z głowy Zeusa.

Szkołę zdominowało wówczas grono feministek, wysoce wykształconych dam, które nadawały także ton życiu towarzyskiemu Pragi. Jesenska wraz ze swoją przyjaciółką, Stanisławą Jilovską, należała do zagorzałych wyznawczyń swoich profesorek. Bulwersowały własne rodziny głośnym opowiadaniem się za wolną miłością, ubóstwiały Oscara Wilde'a - więc posądzono je o lesbizm i safizm - demonstrowały na rzecz równouprawnienia kobiet, sympatyzowały z ruchem angielskich sufrażystek.

Podobno Milena brała morfinę, niektórzy - jak Hana Sklibova - powiadają, że aż do 1936 roku. Jednak w korespondencji z Kafką o narkotyku tym nie ma w ogóle mowy. Nie potwierdzają tego żadne inne źródła, dotyczące jej późniejszego życia. A przypisywano jej wszystko, co tylko miało posmak skandalu - łącznie z próbami kradzieży i przerywaniem ciąży.

Pewnego razu profesor z córką wyjechali na wakacje do Czeskiego Lasu, gdzie zamieszkali w eleganckim hotelu. I tam ojciec z przerażeniem odkrył, że Milena sypia z niemieckim literatem, Ernstem Polakiem - człowiekiem, którego nie darzył szacunkiem, przeciwnie, uważał za hochsztaplera i lekkoducha.

Polak był wykształcony, posiadał dużą wiedzę encyklopedyczną, zajmował się literaturą i filozofią. Sposobem bycia przypominał Stanisława Przybyszewskiego, starając się zawsze wytworzyć koło siebie aurę demoniczności. Kochał się krótko, bezceremonialnie też zmieniał damy swego serca.

Jan Jesensky, pragnąc uchronić córkę przed rozczarowaniem, zamyka ją w słynnym veleslavinskim zakładzie leczniczym pod Pragą (1917). Milena kocha się nadal w Polaka i gdy tylko kończy się jej przymusowe odosobnienie, podąża za nim do Wiednia. Tam wstępuje z nim w związek małżeński. Ojciec zrywa z córką wszelkie kontakty, a ponieważ Polak jest Żydem - w sferach artystycznych pomawia się profesora o antysemityzm. Czas okazał jednak, że niechęć profesora do zięcia była w pełni uzasadniona.

Kiedy Milena nawiąże kontakt listowny z Kafką, jej małżeństwo znajduje się już w kompletnym rozkładzie. Kocha nadal swego „wszechwiedzącego Polaka” - jak go niektórzy zgryźliwie nazywają - walczy o niego, mimo że on od dawna zdradza publicznie. A może jej działaniem nie kieruje już poryw serca, lecz urażona duma?

Profesor Jesensky mocno przeżywa gorycz ojcowskiej porażki. Po pewnym czasie, gdy już wiadomo, że małżeństwo jest nieudane, przywołuje do siebie jedyną córkę. Milena uważa jednak, że nie ma powrotu do świata Jesenskich. Zerwała z nim przecież wcale nie z powodu Polaka. Pozostanie sobą - a więc i ekscentryczną damą - aż do męczeńskiej śmierci w obozie koncentracyjnym. Jednak ból zadany ojcu tkwi w niej cierniem przez całe życie. Kochała go wszak najgoręcej ze wszystkich na świecie - poza córką Jana oczywiście. Dlatego też gdy w roku 926 wyda (u liczącego się w Pradze edytora, Topica) swój tom zatytułowany „Droga do prostoty”, zadedykuje go właśnie jemu: „Ukochanemu ojcu”.

Już w pierwszym liście do Mileny wyczuwa się u Franza Kafki wielkie zaangażowanie emocjonalne. To nie była zdawkowa korespondencja. Oboje byli sobą naprawdę zaintrygowani. Motywem, który ich do siebie zbliży, będzie cierpienie.

Milena skarży się na płuca. Niepokoi ją krew, która nagle pojawiła się w czasie kaszlu. Kafka próbuje rozproszyć jej obawy nieporadnym opowiadaniem o sobie: oto po pierwszym krwotoku w pałacu Schonbornów pewne rezolutne dziewczę, które mu posługiwało, rzekło: „pane doktore, s vami to dlouho ne potrva”. Stało się to trzy lata temu, a on nadal żyje, mało tego - choroba przyniosła mu „więcej dobrego niż złego”.

Cierpienie może stać się ważnym elementem w procesie wzajemnego poznawania i wyzwalać uczuć - ludzi łączą zainteresowania literackie, dążenie do intelektualnego przeniknięcia świata, fascynuje talent, ale podstawową ich cechą wspólną jest cierpienie. Dla Mileny i Franza stało się ono jak gdyby hasłem wywoławczym. Przecież w miłości na plan pierwszy wysuwa się zawsze troska o kochaną osobę.



„Raz ja pytam, czy jesteś chora i potem Ty piszesz o tym; raz ja chcę umrzeć, a potem Ty; to znów ja chcę płakać przed Tobą jak mały chłopiec, a potem Ty przede mną jak mała dziewczynka. I raz, i dziesięć, i tysiąc razy, i nieustannie chcę być przy Tobie, a Ty mówisz to samo”.

Kafka w listach do Mileny pisze jednak głównie o sobie; obnaża się aż do zatracenia, kreśląc swój portret zbyt czarną kreską, a jednocześnie zapewnia, że stała się dla niego wszystkim, odkryła przed nim jedyną i prawdziwą miłość. Słowo „jedyna” nie pada, bo należy do innej poetyki. Pod piórem Kafki każde wyznanie zyskuje wymiar ostateczny: „Ja nie miałbym nic, nawet nazwiska, bo i nazwisko moje Ci oddałem”.

Upłynie jednak pewien czas, zanim te słowa padną. Na razie pisarz walczy o swoje nagle rozbudzone uczucie. Największym atutem ma się okazać jego życiowe nieprzystosowanie. Sprawa ta, o dziwo, wyjątkowo silnie porusza Milenę. Jej horyzont uczuciowy wciąż jeszcze przesłania niewierny mąż. Skarży się więc na swoją dwuznaczną sytuację życiową, na coraz większe osamotnienie i narastające kłopoty - także finansowe.

Kafka, który był chłodnym obserwatorem praskiego środowiska artystycznego, oceniał Polaka bardzo krytycznie, choć - jak zwykle tę swoją opinię taił. Ilekroć o nim myśli, zawsze widzi go w kawiarni obnoszącego swoją wielkość, zimnego i wyniosłego, co chwilę odrywającego od stolika do niemiłkącego telefonu. Rozbawiony notuje z przekąsem: „Widocznie zamiast spać, ktoś siedział przy aparacie, dumął z głową na oparciu fotela i zrywał się od czasu do czasu, aby zatelefonować”.

Kafka leczy płuca w Meranie i pociesza nieszczęśliwą Milenę, choć sam jest równie nieszczęśliwy. Z każdym kolejnym listem widać, jak z deklaracji na wyrost rodzi się gorące uczucie. Swoją szansę na zbliżenie będzie upatrywał - o ułomności natury ludzkiej - także w owych kawiarnianych zwyczajach męża Mileny. Szerzy się wieść, jakoby Polak posiadał moc hipnotyczną, która przyciąga do niego tabuny amatek silnych, erotycznych doznań.

Na listy Kafki Milena odpowiada po czesku. Najwyraźniej zdaje się podniecona tą literacką znajomością. Pisze bardzo dobrze po niemiecku, ale kiedy pragnie być sobą, formułuje myśli w języku ojczystym. Pisarz czyta jej listy z przejęciem. Do tej pory w czeskim znał tylko „jedną muzykę słowa, muzykę Bożeny Nemcovej, tutaj jest inna muzyka, ale pokrewna tamtej w swym zdecydowaniu, namiętności, wdzięku, a przede wszystkim w jasnovidzącej mądrości”.

Kreśląc te słowa, Franz Kafka jest już bardzo zakochany. Pragnie znów zobaczyć Milenę. Niewiele pisze o swojej samotni w Meranie, do której zwabia towarzyskie wróble, natomiast bez przerwy przywołuje ukochaną do siebie. Może przyjechałaby do Czech, dokąd i on powróci? A „może nawet Meran byłby odpowiedni”?

Zachwycony jej imieniem powiada: jest „cudowne w swej barwie i postaci jak kobieta, którą w ramionach wynosi ze świata, z ognia, nie wiem zresztą skąd, a ona tuli się dobrowolnie i ufnie”.

Dążąc do zbliżenia proponuje, by mówili sobie po imieniu. Gdy do tego dojdzie, dla Mileny przestanie istnieć Franz, a narodzi się swojski Franek, ten „kochany człowiek”, który w otaczającym go bezwzględny świat jest całkowicie bezbronny.

Im bardziej oddala się od niej „wszechwiedzący Polak”, tym bliższy staje się jej Kafka. Teraz z kolei ona będzie dążyć do spotkania. A ponieważ należy do ludzi czynu - jej propozycje są zbyt impulsywne dla Kafki. Kochany Franek nadal zasypuje ją miłosnymi deklaracjami, ale zaczyna się jakby „jakać”. Nagle ujawniają się między nimi różnice, które mogą ich w przeszłości podzielić.

„Ja jestem na jakże niebezpiecznej drodze, Mileno. Pani stoi mocno przy drzewie - młoda, piękna. Promienie Pani oczu nędzę tego świata w pył strącają”. W pewnym momencie krzyczy nawet: „Ja nie chcę (Mileno, niech mi Pani pomoże. Niech Pani więcej zrozumie niż mówię), ja nie chcę (to nie jest jękanie się) jechać do Wiednia, bo duchowo nie

wytrzymałbym tego wysiłku. Jestem chory psychicznie. Choroba płuc jest tylko wystąpieniem z brzegu choroby psychicznej”.

Nagle uzmysławia sobie, że jest od niej starszy niemal o ludzkie życie, że jest prawie siwy, że jest Żydem, a ona o Żydach - łącznie z nim - ma zbyt dobre mniemanie. Samooskarżenia mieszają się ze słowami zachwytu dla niej. Czyżby Kafka, który wiele nasłuchiwał się o temperamencie córki profesora Jesenskigo, obawiał się zbliżenia cielesnego? A może chciał, żeby miłość jego spalała się w słowach? Przecież słowo było dla niego wszystkim, całym światem. Pełen kompleksów powiedział kiedyś do Maksa Broda, że głębia przeżycia seksualnego została przed nim zamknięta. Człowiek jednak żyje po to, żeby się codziennie sprawdzać, codziennie budzić do nowych zadań, które nie zostaną wypełnione albo tylko w minimalnej części. Ogarnia go tak charakterystyczna dla niego inercja.

Wydaje mu się, że od pewnego momentu w listach Mileny zapanowała atmosfera podniecenia erotycznego; są nie tyle do czytania, ile do rozpościerania, by następnie składać na nich twarz i zatracać do cna rozsądek. Do najpiękniejszych listów zalicza te, o których napisze: „potwierdzasz mój strach, starając się równocześnie wytłumaczyć, że niepotrzebnie się lękam”.

Milena posiada wrodzony takt i dużo cierpliwości - stara się w swoim sumieniu rozsądzić, co w wyznaniach Franka należy do literatury, a co do konfesjonatu miłości; darzy go szacunkiem i podziwia jego talent pisarski. Szuka do niego drogi, chce zgłębić ten pełen kompleksów umysł... Przed autorem „Procesu” otwierała się niezwykła kobieta - z bogatym życiem wewnętrznym, uszlachetnionym przez cierpienie, indywidualność nieprzeciętna i twórcza, jakby stworzona do wielkiej miłości albo do wielkiej przygody intelektualnej.

Ostatniego czerwca bądź pierwszego lipca pisarz w drodze z Meranu do Pragi zatrzymuje się w Wiedniu. Korespondencyjni kochankowie będą mieli dla siebie całe cztery dni. Kafka zaliczy je do najszczęśliwszych w swoim życiu. Milena powie później w liście do Maksa Broda, że przy jej boku całkowicie rozwiązał się jego ustawiczny lęk.

Do pierwszego spotkania doszło od razu na peronie („mała bogini wyszła z kina”). Potem pisarz zainstalował się w hotelu - przypuszczalnie przy Dworcu Franciszka Józefa. W późniejszych listach, po przyjeździe do Pragi, niewiele nam powie o tych szczęśliwych dniach. Spaceruje za miasto do Wienerwaldu („las i wiatr w Twoich rękawach i rzut oka na Wiedeń” i okrzyk pełen zachwytu: „Mileno, jak dobrze jest przy Tobie”), przytuleni w trawie („krótka cielesna bliskość”), spaceruje po Kartnerstrasse, wspólne posiłki w ulubionym przez Milenę „Białym Kogucie”, a potem marzenia o wspólnej chatce.

Najpiękniejsza jednak była pożegnalna niedziela, choć sam Kafka o rozstaniu jeszcze nie myślał. Milena oszałamia go niezwykłą kreacją, potem wyprawiają się we dwoje w lesne ustronie („twarz Twoja nade mną w lesie i twarz Twoja pode mną w lesie i spoczywanie na Twojej niemal obnażonej piersi”). I oto po powrocie do miasta następuje nagłe pożegnanie. Dlaczego? Może pisarz buntuje się, może broni się na swój sposób. O godzinie siódmej wieczorem wsiada w pociąg do Pragi.

O atmosferze tamtych dni powie nam więcej Milena. W liście do Maksa Broda, jakby tłumacząc się przed lawiną zarzutów, z pasją relacjonuje: „Wyciągałam go na wzgórze pod Wiedniem, biegłam przodem, ponieważ on szedł powoli, stapał ciężko za mną; gdy zamykam oczy, widzę jeszcze jego białą koszulę i opaloną szyję i jak on się wysiła. Biegał przez cały dzień, pod górę i w dół, maszerował w słońcu, i ani razu nie zakasłał, jadł strasznie dużo i spał jak suseł, był po prostu zdrow i jego choroba była dla nas w tych dniach jakby drobnym przeziębieniem tylko”.

Piątego lipca Kafka jest już w pracy. Najchętniej jednak wróciłby natychmiast do Wiednia. „Jeżeli można zginać od nadmiaru szczęścia, to stanie się to moim udziałem”. Nic nie jest ważne - ani biuro, ani dom - tylko to, co dotyczy wiedeńskich wspomnień. Telegramy i listy płyną bez przerwy na linii Praga-Wiedeń i Wiedeń-Praga. Kafka pisze do ukochanej

czasami po kilka listów dziennie. Przesiaduje w biurze ponad godziny urzędowania, bo w każdej chwili może nadejść nagła wiadomość od Mileny; gdyby go nie zastała, byłby to dla niego koniec świata.

Maks Bród, który mu czasami w tych oczekiwaniach towarzyszył, z ledwo skrywaną niechęcią odnosił się do tego nowego związku. Kafka zaś, darząc przyjaciela ogromnym zaufaniem, zwierzał się mu z radością i euforycznym uniesieniem. Bród tej radości nie podzielał, uważał owo zauroczenie pisarza za zabójcze dla jego zdrowia. Nie wierzył także z pewnością w szczerość Mileny. Początkowo Kafka nie dostrzegał zmrożonej twarzy przyjaciela ani jego rezerwy. A może po prostu nie chciał tego widzieć? Żył przecież w innym, tak odległym świecie.

Natomiast dla otoczenia pozostawał jakby niezmienny, ważył słowa i skrzętnie wypełniał swoje biurowe obowiązki. Nawet najbliżsi nie przypuszczali, jak bardzo się zmienił, z jakim ładunkiem szczęścia poruszał się wśród nich. Młody pisarz, Gustav Janouch, późniejszy jego Eckermann, który właśnie wówczas poznał autora „Procesu” i odwiedzał go czasami kilka razy w tygodniu, nie dowiedział się nigdy, w jakim niezwykłym stanie ducha znajdował się jego uwielbiany rozmówca. Nie przypuszczał nawet, że siedzący naprzeciw Kafka pisał na rozłożonym akcie nie supliki służbowe, ale listy miłosne. Pewnego razu, a było to po drugim spotkaniu kochanków, opisując swej dziewczynie niezwykle zwyczajne konduktorów, przerwał relację następującą uwagą: „poeta przyszedł do biura, aby mnie ze sobą zabrać, niech czeka, aż skończę z konduktorem”.

Ulubionym zajęciem pisarza będzie bieganie po „Tribunę”, bądź inną gazetę, gdy przypuszczał, że może tam znaleźć artykuł Mileny. I choć gdzie indziej pisywała nieregularnie, to w „Tribunie” miał prawo co niedzielę oczekiwać jej felietonu. Przyjmował te publikacje prawie jak listy do siebie, analizując każde słowo.

Nie miał dość pochwał dla plastyczności, żywości i lekkości stylu. Zanudzał Broda swoją euforią i czytywał mu - nie zważając na reakcję przyjaciela - przydługie nieraz elaboraty Mileny. Wydawało mu się, że wyziera z nich sam Theodor Fontane - jego ulubiony pisarz, którego reporterskie relacje tak go pasjonowały.

Wkrótce jednak radosne podniecenie zostanie zmaćone, znowu odezwie się nieodłączny, tkwiący w nim niepokój: to, co do niedawna wydawało się proste i jednoznaczne, zaczyna się gmatwać, stawać przeszkodą nie do sforsowania.

Milena nalega, by przyjechał do Wiednia. Powinni połączyć się na zawsze. Kochany Franek wycofuje się nagle, przerażony nie na żarty. „Jeszcze raz o podróży do Wiednia. Najgorzej jest, gdy piszesz o tym poważnie, wtedy podłoga zaczyna się chwiać pod mną i czekam tylko, kiedy mnie przewróci”.

Na dodatek to wielkie uczucie zaczynają mącić interwencje nieprzyjaznych im osób. Nawet Maks Bród - a może należałoby powiedzieć: przede wszystkim Maks Bród - w imię ratowania przyjaciela poczuwa się do obowiązku studzenia jego zapałów. Najwyraźniej nie lubi Mileny i jej temperamentu. Ani on, ani rodzina pisarza nigdy by tego związku nie zaakceptowali. Dla nich najbardziej odpowiednią partnerką była Felice Bauer, małżeństwo z nią miało zapewnić Franzowi szczęśliwą przyszłość i uwolnić go od groźnej choroby, której źródła upatrywano w nieuregulowanym trybie życia.

Ta dobrze ułożona i zasobna mieszczańska panna, przygotowana przez rodzinę do sterylnej szczęścia, miała dużo cierpliwości i ogromną chęć połączenia się z nieśmiałym jurystą, który wprawdzie pisał dziwaczne opowiadania, ale był głównym spadkobiercą okazałej kupieckiej fortuny. Kafka męczył się tym narzeczeństwem bardzo długo. Bał się ciasnego, mieszczańskiego kaftana, którego symbolem były wykładane co wieczór na łoża małżeńskie nocne koszule rodziców. Przede wszystkim jednak bał się charakteru swej narzeczonej. Pochodzącą z Berlina Felice nazywał bowiem żydowsko-pruską krzyżówką. A gorszej

krzyżówki nie był w stanie sobie wyobrazić. Chociaż mógł przypuszczać, że Felice z pewnością stworzyłaby mu dom. Ale czy o taki dom mu chodziło?

Spośród kobiet Kafki Maks Bród zaakceptował jeszcze tylko, pochodzącą z Polski Żydówkę, młodzieńką Dorę Dymant, która zamieszkała z pisarzem w ostatnich miesiącach jego życia. Lecz w tym przedziwnym związku Kafka był nie tyle kochankiem, co ojcem.

Natomiast nie potrafił Bród wybaczyć Julii Wohryzek tego, że zaręczyła się z Franzem zaledwie w kilka miesięcy po ostatecznym zerwaniu z Felice Bauer. Uważał to co najmniej za nietakt. Kiedy po latach będzie portretował swego sławnego już przyjaciela, prawie przemilczy w jego życiu Julię, natomiast związek z Mileną skwituje dopiero po 950 roku w specjalnie dopisanym rozdziale. Relacja miała charakter epilogu, ażeby, broń Boże, Milena nie przesłoniła portretu Felice Bauer. Bród, jakby zapomniał o tych czasach, gdy Milena, walcząc o „kochanego Franka”, odwoływała się także do niego i zabiegała o jego przychyłność.

Maks Brod był też w posiadaniu ośmiu jakże ważnych, adresowanych do niego listów Mileny. Opublikował je po raz pierwszy właśnie dopiero w owym „epilogu” do monografii autora „Zamku” (954). Widać przemógł w sobie wreszcie tę zadawnioną niechęć, kiedy dowiedział się o bohaterskiej postawie Mileny podczas hitlerowskiej okupacji oraz o jej męczeńskiej śmierci - 7 maja 1944 - w obozie koncentracyjnym.

Że musiał odegrać jakąś mroczną rolę w po wiedeńskim okresie kochanków, świadczy pełen gorczy i boleści okrzyk, jaki wyrwał się Kafce w jednym z listów do Mileny: „Niech nikt, nawet najlepszy nie wtrąca się między nas”. Potem we śnie pisarz dokonał morderstwa. Lecz ofiarą jego rozpaczliwego czynu padł nie ojciec - chociaż we śnie krzychał wściekły: „Jeśli ktoś wymówi imię Milena w złej intencji, na przykład ojciec (mój ojciec), zamorduję też jego lub siebie” - ale ktoś bliski. Tak bliski jak Brod.

Kafka nie chciał początkowo mieszać się do nieporozumień między Maksem a Mileną („Do walki między Tobą a Maksem nie mieszam się”), ale później ten najlepszy przyjaciel będzie dla niego ciężarem. Aż do ostatecznego - pełnego liryzmu i smutku - rozejścia się kochanków, a właściwie aż do śmierci.

Konflikt między Maksem a Kafką - aczkolwiek tonowany - narastał. Cień nieufności padł na tę serdeczną przyjaźń. Widać to wyraźnie także w listach Kafki do Mileny po ich drugim spotkaniu, które nastąpiło w miejscowości Gmünd, położonej na granicy Austrii z Czechosłowacją.

Nagle też - i to w sposób nader brutalny - ingerować zaczęli małżonkowie Mileny, wspomniany wcześniej Ernst Polak. Jak długo małżonka okazywała mu miłość i wielką uległość - czyściła mu nawet buty - tak długo starał się ją lekceważyć, a nawet upokorzyć. Bród, który dobrze znał tego „wszechwiedzącego” literata, powiada: „Polak utrzymywał jednocześnie intymne stosunki z bardzo piękną, ale i intelektualnie nieciekawą kobietą w Wiedniu, która, nawiasem mówiąc, związana czy też zamężna była z kim innym. Polak ostentacyjnie robił, co mu się podobało, nie liczył się zupełnie z uczuciami Mileny, która zapewne cierpiała wiele z powodu takiego postępowania, ale, jak się zdaje, zarazem udrukę tę polubiła”.

Trudno dzisiaj nam rozsądzić, co rzeczywiście działo się w tym małżeństwie. W każdym bądź razie, gdy Milena poznała Kafkę i autentycznie się nim zafascynowała („Jego książki są zadziwiające. On sam jest jeszcze o wiele bardziej zadziwiający”), mamy prawo przypuszczać, że jej stosunek uległ zasadniczej zmianie. Kafkę bez wątpienia pokochała. Razem z jego wszystkimi kompleksami i lękami. Nie stanowiła dla niej przeszkody nawet jego ustawiczna obawa przed impotencją. Te zahamowania psychiczne, które następowały u niego po każdym intymniejszym zbliżeniu, mogła przełamać tylko bardzo wrażliwa kobieta.

Wielu autorów, którzy pobieżnie rozejrzeli się w życiu Kafki, mówi o nim, używając persyflażu, jako o impotencie. Znany amerykański nowelista żydowskiego pochodzenia, Philip Roth, pisze o tym z drwiną, jakby współczując Milenie podczas ich wiedeńskiego tete-

a-tete: „Można sobie wyobrazić, że ta młoda kobieta, pełna wigoru, wyciągnięta w poprzek na łóżku, napawała Kafkę podobnym lekkiem, jakim napawał go własny ojciec rozciągnięty na mapie świata”. I dalej: „... przynajmniej podczas jednego z ich dwu krótkich spotkań wykazuje żenujący brak potencji”.

Milena wiedziała swoje. Można przypuszczać, że tam, w Wiedniu, otwierał się przed nią przede wszystkim mężczyzna. Pomagała mu życzliwie w tym dążeniu do zdobycia wiary we własne siły. I rzeczywiście coś musiało się w nim przełamać, bo wszystko, co do tej pory było najważniejsze, nagle straciło dla niego znaczenie. Nawet pisanie - jego jedyna dotąd prawdziwa miłość. („Wszelkie pisanie wydaje mi się bezwartościowe, i takie ono jest w istocie”). Podniecony dodaje: „nie wiem, jak mam objąć szczęście słowami, oczyma, rękami i tym biednym sercem, szczęście z tego powodu, że jesteś (istniejesz) i także do mnie należysz”.

Milena chce w Kafce wywołać odruch zdecydowania, chce, by zaczął wreszcie o nią walczyć jak rozbudzony, zakochany mężczyzna. Niech powie pełnym głosem: musisz być moja na przekór wszelkim przeciwieństwom - zarówno zewnętrznym, jak i tym, które są w nas; musimy się połączyć i zerwać z dotychczasowym życiem.

Milena już wcześniej umiejętnie sterowała Kafką chcąc go pobudzić i zwiększyć jego aktywność: to skarżyła się przed nim na groźną chorobę, która ją nagle zaatakowała, to na swoją przykrą sytuację małżeńską, to na gorzkie upokorzenia, jakie coraz częściej stają się jej udziałem...

A kiedy po powrocie z Wiednia Kafka znowu znalazł się w kleszczach rozlicznych kompleksów i postanowił ponownie - jak powiada Marcel Reich-Ranicki na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung” - wszcząć wojnę nerwów przeciwko ukochanej, a zatem i przeciwko sobie, Milena przystąpiła do swoistej kobiecej kontrofensywy: wytacza bogaty arsenał żalów i postanowiła szerzyć wieści o chmurach zbierających się nad ich wspólnym szczęściem. Pojawi się tu nawet postać Polaka - tym razem jako zazdrosnego męża, który - podobno - nosi się z zamiarem pobicia biednego Franka.

Niestety, wszystkie te bardzo niezwykle opowieści, zamiast utwierdzać wiedeńskie postanowienia, poczęły odnosić skutek wręcz odwrotny. Kafka popada w marazm, który doprowadzi go do tej co zwykle konkluzji, że to on jest winien wszelkiemu złu na świecie. Dlatego głównym inspiratorem ponownego widzenia była z pewnością Milena, która liczyła na wpływ osobisty, urok dawnych wspomnień, Bóg wie, na co jeszcze?

Zanim jednak dojdzie do tego spotkania - w owym dziwnym, przygranicznym Gmünd, które tylko mógł Kafka wymyślić - ich listy wypełnią się tyłoma obiekcjami, tyłoma popisami samooskarżycielskimi i mętną sofistyką psychologiczną, że oboje mogli się poczuć nie tylko zmęczeni, ale i wypaleni wewnątrz.

Kafka z tego okresu przypomina osaczone zwierzę, które w desperacji gotowe jest kąsać i ranić. Zdaje się jednak nie wiedzieć, że naganiaczem swych nieszczęść jest on sam. W rozpaczę próbuje zranić najbliższą osobę. Stwarza sytuację, z której ma wynikać, że Milenie zależy na tym spotkaniu, ponieważ chodzi jej głównie „o męską sprawę”. Dlatego postanawia pochwalić się przed nią swoimi erotycznymi sukcesami: oto już przed maturą była dziewczyna ze sklepu, a potem coś jeszcze w pewnym szwajcarskim hotelu.

U czytelnika tych niezwykłych listów ów passus o „małej obrzydliwości” musi wywołać uczucie zażenowania. Delikatny, ustawicznie sobą przerażony Franek zdawał sobie sprawę, że tym razem dążąc do zniechęcenia Mileny, stara się zranić nie siebie, lecz ukochaną. Dobrze wiedział, że w Gmünd nie o „męską sprawę” będzie chodziło, ale o przyszłość ich niełatwej miłości. Nic tu żadne deliberacje nie pomogą. Trzeba będzie wreszcie przeciąć ten gordyjski węzeł...

Wyprawa do Gmünd - podobnie jak samo miasteczko - okazała się nieporozumieniem. Los kochanków rozstrzygnął się już wcześniej, na długo przed tym spotkaniem.

Ranicki powiada, że Milena nie chciała już znosić „tego maltretowania”. Taki pogląd jest ogromnym uproszczeniem. Źródłem klęski nie należy upatrywać w owym maltretowaniu. Nie przyczynili się też do niej ani Maks Bród, ani Ernst Polak, chociaż starali się działać destrukcyjnie na zakochanych. Źródło i przyczyna klęski tkwiły głęboko w samym Franzu Kafce. Trafnie to wyraziła Milena Jesenska, powiadając w pewnym momencie: „nemate síly milovat”. To prawda, Kafka nie miał po prostu siły, by kochać. Próbował wprawdzie odwrócić interpretację: „... miłością jest, że Ty jesteś mi tym nożem, którym ja w sobie grzebię”.

Tego związku nie dało się uratować. Po spotkaniu w Wiedniu Kafka mówił nieco zagadkowo: „Okazuje się, być może, że teraz oboje jesteśmy zaślubieni, Ty we Wiedniu, a ja z lękiem w Pradze i że nie tylko Ty, ale i ja szamotamy się daremnie z naszym małżeństwem”. Za tym stwierdzeniem stała jednak wówczas jeszcze nadzieja. Teraz, po powrocie z Gmund, już jej nie było. Niech nas zatem nie zmylą różne stylistyczne wybiegi pisarza w rodzaju: „muszę naprawić to, co zepsułem w Gmund”, albo: „uratować to, co utonęło i - abyś nie dała się ode mnie odstraszyć”.

Powoli zaczynają opadać namiętności i rozpoczyna się proces wzajemnego oddalania. Wielka szkoda, że nie zachowały się listy Mileny Jesenskiej pisane do Franza Kafki - wiele mogłyby one dopowiedzieć, rozjaśnić tę skomplikowaną sytuację. A tak - bez odpowiedzi pozostaje podstawowe pytanie: jakże po tak wielkich uniesieniach mogło dojść do definitywnego - i co tu wiele mówić - nagłego rozstania? Tym bardziej że uczucia wcale nie wygasły, a kochankowie pozostali sobie wierni nawet wówczas, gdy zaczęli wiązać się emocjonalnie z innymi partnerami.

O czym pisała wówczas Milena, dowiadujemy się jedynie wrywkowo z listów Kafki do niej. Obdarzona nieprzeciętną inteligencją i żywą wyobraźnią wielokrotnie próbowała pojąć ich wzajemne stosunki, które w końcu podsumowała stwierdzeniem „o niedoskonałości we dwoje”.

A może za dużo od siebie oczekiwali? Może obawiali się owych rozczarowań, jakie ze sobą niesie dzień powszedni? Znacznie później Milena będzie próbowała samooskarżeń; w liście do Maksa Broda przyjmie winę na siebie. Ale przecież nie było w niej winy, jak również nie był winny Franz Kafka. „Tylko jedno wiem - powie pisarz jakby na pożegnanie - że my stale przenikaliśmy się nawzajem, ja byłem Tobą, a Ty byłaś mną”.

Kiedy po raz trzeci spotkali się w Pradze, słowa zamarły im na wargach.

Rozeszły się ich drogi w przedziwnym pośpiechu. Po raz pierwszy wypowiadają słowa bez znaczenia, nieszczerze, udając się każde w inną stronę. Słowa nic nie znaczą, bo przerwany został dialog uczuć. Zachwycili się sobą gwałtownie... I to się liczyło. O wstydliwym pożegnaniu każde z nich próbowało szybko zapomnieć.

Krótkotrwała namiętność miała z pewnością niemałe znaczenie zarówno dla Franza Kafki, jak i Mileny Jesenskiej. Szczególnie może dla autora „Procesu”, który znalazł to, czego dotąd daremnie szukał - miłość, chociaż nie był w stanie udźwignąć nadmiaru szczęścia. Dlatego musiał ten „chodnik”, wykopany do niej, „z powrotem powoli przewędrować i zasypać”. Tę drogę powrotną przerwała śmierć.

Czym była Milena dla Franza Kafki? Zbigniew Bieńkowski powiada, że była tą jedyną przyjaźnią, która dała mu szansę wolności. A zatem szansę wyzwolenia się zarówno spod tyranii otaczających go brutalnych ograniczeń, jak i z więzienia, które było w nim, tkwiło w jego psychice i w mózgu.

Milena stała się najbliższym mu człowiekiem. Na początku czerwca 1920 roku zwierza jej się, że ma do niej takie zaufanie jak do nikogo na świecie. Takie słowa u Kafki znaczą bardzo wiele, prawie wszystko.

Nie dziwią zatem owe gorączkowe i wciąż powtarzające się wyznania. Jakże mogło być inaczej, skoro zesłana mu została przez Niebo Oto relacja tego zaskakującego zdarzenia: „Ja

urodziłem się w osiemdziesiątym trzecim, miałem więc lat trzynaście, gdy Ty się urodziłaś. Trzynaste urodziny są całkiem specjalną uroczystością. (Dokonywał się wówczas rodzaj żydowskiego bierzmowania - przyp. B.L.). Miałem w świątyni u góry przy ołtarzu odmówić z trudem wyuczoną modlitwę, a potem w domu wygłosić krótkie (też wyuczone) przemówienie. Dostałem wtedy wiele podarków. Ale wyobrażam sobie, że nie byłem w pełni zadowolony; brakowało mi jeszcze jakiegoś podarku, oczekiwałem go od Nieba; Niebo zwlekało do 0 sierpnia”.

Milena została mu przez siły wyższe podarowana na bierzmowanie, a zatem stała się od razu jakby jego częścią. I to jego lepszą częścią, bardziej optymistyczną. „Chyba jest coś bluźnierczego w takim budowaniu na jednym człowieku” - zauważy.

Zadziwiająco są te „późne” wyznania Kafki, kiedy właściwie już wszystko zostało rozstrzygnięte. Niedobry pobyt w Gmund zacierał się we wspomnieniach, szarzał. Pisarz doskonale wiedział, że marzenie o wspólnym stole, „żeby było ciało przy ciebie” - zostało raz na zawsze przekreślone. A przecież nadal z najwyższą troską śledzi z oddali każdy krok Mileny, która podróżuje po Górnej Austrii i pisuje do gazet refleksje swych peregrynacji; nasłuchuje wieści o niej, czyta jej prace równie niecierpliwie i z takim samym przejęciem jak dawniej. Martwi się jej kłopotami - zarówno zawodowymi, jak i zdrowotnymi. Czar Mileny trwa. Kafka wie, że nigdy się od niego nie uwolni. Kocha Milenę nadal, chociaż już nigdy nie będzie zabiegał o spotkanie: najbezpieczniejsza jest miłość na odległość.

W okresie opadających namiętności na nowo próbuje wyrazić swoje do niej przywiązanie. Trawestuje opowieść o Robinsonie, którym stanie się natychmiast, gdy ją utraci. „Ale byłbym Robinsonem bardziej od niego. On miał jeszcze wyspę i Piętaszka, i wiele różnych rzeczy, wreszcie okręt, który go zabrał i sprawił, że wszystko stało się niemal snem. Ja nie miałbym nic, nawet nazwiska, bo i nazwisko moje Ci oddałem”.

Przy innej okazji skreśli wstrząsającą opowieść o zagubieniu, które wtrąciłoby go w nicość, gdyby nie objawiła się Milena. Przedziwne to i przejmujące wyznanie. Miłość, którą jej zawdzięcza, otwarła przed nim nieznane dotąd obszary wrażliwości.

„o jest mniej więcej tak: ja, leśne zwierzę, byłem wówczas zaledwie w lesie, leżałem gdzieś w jakiejś brudnej jamie (brudnej oczywiście tylko dlatego, że ja tam byłem), wtem na zewnątrz, na wolnym powietrzu, ujrzałem Ciebie, to coś najcudowniejszego, co kiedykolwiek widziałem. Zapomniałem o wszystkim, zapomniałem doszczętnie o sobie, wstałem, podszedłem bliżej - co prawda lękliwie w tej nowej, a jednak swojskiej wolności, ale podszedłem bliżej - doszedłem aż do Ciebie - byłaś tak dobra - przycupnąłem u Twoich stóp, jakby mi było wolno, złożyłem twarz w Twoich dłoniach, byłem tak szczęśliwy, tak dumny, tak wolny, tak potężny, tak u siebie w domu - ciągle to: jak u siebie w domu - ale w gruncie rzeczy byłem tylko zwierzęciem, należałem do lasu. A na swobodzie żyłem przecież jedynie z Twojej łaski, sam o tym nie wiedząc (bo wszystko zapomniałem). W Twoich oczach czytałem 253 moje przeznaczenie. Nie mogło to trwać”.

O wpływie Mileny Jesenskiej na życie osobiste i duchowe Franza Kafki mówi się niewiele. Cień Maksa Broda, który pada na wszystko, co jest związane z postacią i twórczością autora „Zamku”, wyraźnie ten wpływ umniejsza. Panuje także przekonanie „wśród dawnych znajomych”, że był to nic nieznaczący epizod w ich życiu - szczególnie w życiu Mileny. Na przykład stare praskie damy, Hanna Sklibova i Anna Kvapilova, które pamiętają Jesenską nie tylko z lat międzywojnia, ale jedna z nich także z obozu koncentracyjnego, są o tym przekonane po dzień dzisiejszy.

Czeski emigrant, Ota Filip, który je odwiedził pod koniec 1982 roku w Oslo, gdzie żyją od lat kilkudziesięciu, usłyszał od nich nie raz: „Franz Kafka? To był tylko epizod dla Mileny - nie pierwszy, nie ostatni i na pewno nie najważniejszy”.

No cóż, życie toczyło się naprzód. Milena opuściła Polaka w pewien czas po rozejściu się z Kafką; potem snuł się za nią dziwaczny hrabia Ksawery Schafgotsch - były oficer cesarsko-

królewski i komunista austriacki; wreszcie kolejne małżeństwa: jedno - z Jeromirem Krejcarem, wybitnym awangardzistą, mającym powiązania ze słynnym Bauhausem, drugie - z trockistą Eugenem Klingerem oraz bardzo owocna dla jej talentu przyjaźń z dziennikarzem, Ferdinandem Peroutką, wydawcą i redaktorem najważniejszego w latach trzydziestych czasopisma czeskiego „Přítomnost” („Współczesność”).

Franz Kafką stawiał na Milenę. Nie na Maksa Broda, nie na swą ostatnią przyjaciółkę Dorę Dymant ani nawet na swoją ukochaną siostrę Otlę. Spotkał bowiem w Milenie partnera o wysokiej wrażliwości uczuć, ukształtowanej przez bogate życie wewnętrzne. Powierzył jej swoją miłość, której się nie sprzeniewierzyła. Że tak się stanie, wiedział od samego początku znajomości - bodajże od tej pierwszej chwili w praskiej kawiarence, kiedy spoczął na nim jej zaciekawiony wzrok, gdyż poza przychylnością było w nim coś więcej - zrozumienie.

W tej ekstrawaganckiej damie czeskiej literatury Franz odnalazł samego siebie. Być może, iż to właśnie Milena w swoich listach powiedziała mu najwięcej o nim samym. Podobno posiadała zadziwiająco intuicję. Kafka poza intuicją podziwiał jeszcze jej talent.

Nie mamy listów Mileny do autora „Procesu”, ale o jej sztuce epistolarnej dobrze świadczy zachowana korespondencja z Maksym Brodem. Niewiele także pozostało z jej twórczości. Przepadł pamiętnik pisany skrycie w obozie koncentracyjnym, przechowywany dość długo po jej śmierci przez Annę Kvapilovą. Niestety - oświadczyła z rozbijającą szczerością - został on po prostu zwyczajnie zagubiony. Nie przypomina sobie nawet w jakich okolicznościach.

Natomiast listy Kafki do Mileny przeleżały bezpiecznie w jednym z praskich sejfów przeszło dwadzieścia lat. Wydał je po raz pierwszy w 1952 roku ich wspólny przyjaciel, niemiecki literat Willy Haas - niestety z pewnymi skreśleniami - poświęcając adresatce w posłowie sporo miejsca. W trzydzieści lat później Jürgen Born i Michael Müller opublikowali pełny zestaw listów ustalając zarazem ich kolejność. Dołączyli do nich osiem listów Mileny do Maksa Broda oraz niektóre jej publikacje. Całość opatrzyli wyczerpującymi przypisami i uwagami.

Około 1955 roku Felice Bauer sprzedała adresowane do niej listy Kafki niemieckiemu wydawcy. Złożyły się na pękate tomisko, liczące 750 stron. Elias Canetti, który je dokładnie przestudiował i na ich podstawie napisał obszerny esej pt. „Der andere Prozess” (1968) z zażenowaniem mówi o tej transakcji handlowej. No cóż, dała raz jeszcze znać o sobie owa najgorsza „krzyżówka”.

Kiedy 3 czerwca 1924 roku Franz Kafka zmarł - a stało się to w sanatorium przeciwgruźliczym pod Wiedniem - jedyny liczący się nekrolog, jaki opublikowano w praskiej prasie, wyszedł właśnie spod pióra Mileny Jesenskiej. Pisała z temperamentem i z wielkim uznaniem zarówno o nim jak i o jego dziele, poruszając, a nawet bulwersując swoją wypowiedzią ówczesną krytykę, przede wszystkim zaś kolegów literatów.

„Jego wiedza o świecie była głęboka i niepowtarzalna, a on sam przedstawiał sobą głęboki i niepowtarzalny świat... (Cechowała go) przyrodzona niemal wrażliwość i jasność psychiczna, która szokowała swą bezkompromisowością, a brzemień lęków psychicznych przed życiem spychał w swoją chorobę... Spod jego pióra wyszły najważniejsze utwory współczesnej literatury niemieckiej”. Trzeba przyznać, że w 1924 roku były to słowa mocne, wybiegające daleko w przyszłość. I jeszcze jedno - Milena Jesenska głęboko wierzyła w to, co pisała; ona pierwsza rozpoznała znamiona genialności w prozie autora „Procesu”.

Dla swoich literackich przyjaciół był Franz Kafka, owszem, oryginalnym twórcą, chociaż częściej mówiono o nim: oryginał. Utrał się zwyczaj poklepywania go po ramieniu, litowania się nad jego kompleksami i zahamowaniami, pomagania mu w karierze artystycznej. (Podobno przekonano Carla Sternheima, który należał do ludzi bardzo zamożnych, żeby się zrzekł nagrody imienia Fontanego na rzecz Franza Kafki).



Dzisiaj powiedzielibyśmy, że nie miał „siły przebicia”. A tak naprawdę, to nikt w niego nie wierzył. Bardziej wiarygodni dla otoczenia byli chociażby Werfel, Weiss i chyba przede wszystkim Bród, który już w 96 roku zyskał sławę powieścią „Tycho de Braches Weg zu Gott”. Marek Wydmuch w przedmowie do opowieści biograficznej Broda o autorze „Procesu” powie, że „wokół jego osoby krzyżowały się i mieszały wszystkie prądy literackie epoki”.

Kafka nie stawiał na swoich przyjaciół po piórze. Czas najwyższy stwierdzić, że tą osobą, która ocalała od zniszczenia nie ukończone dzieła literackie Franza Kafki był nie kto inny, tylko Milena Jesenska. Jej to bowiem - a nie Brodowi ani pannie Dymant - powierzył w 1924 rękopisy swoich powieści „Ameryka” i „Zamek”, a wcześniej, bo już w 1921, spisywane na gorąco „Dzienniki”, stanowiące klucz do poznania jego osobowości. Prosił ją wprawdzie, ażeby utwory przekazała - uznanemu już wówczas literatowi - Maksowi Brodowi, ale przecież mogła z nimi postąpić jak chciała. Chociażby tak, jak niefrasobliwa pani Kvapilova z jej pamiętnikiem czy panna Dora Dymant z berlińską prozą Kafki, którą po prostu spaliła. Po latach wyzna, że przykro jej było to zrobić, ale Franz wyraźnie sobie życzył, żeby tak, a nie inaczej z nimi postąpiła. I nikt ją za to nie gani i nie wytacza przeciwko niej oskarżeń.

Nasuwa się w tym momencie inne podejrzenie: czy aby los listów Mileny do Kafki nie był podobny i nie spełnił się właśnie w tamtym berlińskim mieszkaniu? Nie posuwajmy się jednak zbyt daleko. Testament literacki Kafki, zawarty w liście do Broda, jest tylko pozornie jednoznaczny. Bo w istocie Franz Kafka wcale nie chciał, by jego dzieło pisarskie przepadło. Nawet w momencie, gdy pisał ów dramatyczny list: „... spal doszczętnie nie czytając, jak również wszystko, com pisał i rysował, i co jest u Ciebie (u Maksa Broda - przyp. B.L.) lub u innych...” Jesenska jednak jego utwory pilnie czytała i uznała je za dzieła wybitne. Brod, którego Kafka wyznaczył katem swej literackiej spuścizny, dobrze o tym wiedział. Poza tym - jakże wybitnemu humaniście palić rękopisy? W tej sytuacji mógł zostać tylko promotorem prozy swego przyjaciela.

Kafka nie mógł pragnąć zniszczenia tego, co było jedyną treścią jego życia i jego największą miłością. Już w 1921 roku donosił Felice Bauer: „Mój tryb życia skoncentrowany jest tylko na pisaniu... Czas jest krótki, siły marne, biuro przerażające, mieszkanie głośnie, a trzeba się przemycić wraz z utworami artystycznymi, skoro nie udaje nam się to z pięknem i prostolinijnym życiem”. Siadał do pisania regularnie co noc i pracował od wpół do jedenastej do pierwszej, drugiej, a nawet trzeciej nad ranem.

Wszystko było literaturą w otaczającym go świecie. I ludzie, i krajobrazy, i uczucia... Pracował nad swoimi utworami jak wyrobnik - ciężko i wytrwale. W głębi serca - jak każdy piszący - marzył z pewnością, jeżeli nie o sukcesie, to o wielkim zainteresowaniu, jakie jego twórczość powinna wzbudzić wśród ludzi myślących.

Gdyby Franz Kafka chciał, żeby jego dzieło splotęło, powierzyłby tę misję komuś takiemu, jak Dora Dymant. Tymczasem na egzekutorów swej ostatniej woli wybrał nie samego tylko Maksa Broda, ale i Milenę Jesenską, którą się ciągle przemilcza, choć to ona ów sławny już dzisiaj list miała najpierw u siebie. Od niej zatem zależał los utworów Kafki. I tym razem pisarz nie zawiódł się na niej. Była bowiem jakby częścią jego samego. Tuż po spotkaniu w Wiedniu pisał: „A przy tym nie kocham przecież wcale Ciebie, lecz coś więcej - moje własne przez Ciebie podarowane życie”.